

# Neggers Carla

## FBI 3

### Mgła

*Lizzie Rush prowadzi podwójną grę. Zdobywa zaufanie i wkrada się w łaski Normana Estabrooka, ekscentrycznego miliardera, uwikłanego w nielegalne interesy i współpracującego z mafią. Obciążające dowody przekazuje FBI jako tajna informatorka. Dzięki zgromadzonym przez nią informacjom brutalny i dotąd bezkarny przestępca zostaje aresztowany.*

*Wygląda na to, że ryzykowna gra dobiegła końca. Jednak nie wszystko jest takie, jakie się wydaje.*

*To dopiero początek dramatycznych wydarzeń...*

*Norman, po odzyskaniu wolności, zaczyna mścić się na wszystkich, którzy go zdradzili. Krwawy zamach w Bostonie to pierwszy krok zaplanowanej zemsty. Wkrótce nastąpią kolejne... chyba że Lizzie powstrzyma Estabrooka.*

*Niespodziewanie pojawia się Will Davenport, tajemniczy agent brytyjskiego wywiadu. Od dawna śledzi Normana. Jednak nie tylko jego... podąża też śladami Lizzie. Will wydaje się jedyną osobą, która może pomóc Lizzie zatrzymać spiralę przemocy. Jednak czy na pewno pracuje tylko dla wywiadu?*

## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

*Półwysep Beara, Irlandia południowo-zachodnia 4:45 po południu czasu lokalnego 25 sierpnia*

Lizzie Rush znieruchomiała przy swym stoliku w sąsiedztwie kominka, by kątem oka przypatrywać się mężczyźnie - wysokiemu, o bujnej czuprynie - który wszedł właśnie stanowczym krokiem do wioskowego pubu, zatrzasnąjąc za sobą drzwi przed silnym wiatrem i ulewą, od kilku godzin szalejącymi nad całym południowo-zachodnim wybrzeżem Irlandii. Miał na sobie wytworny płaszcz, przez którego rozchylone poły widać było ciemnobrązowy sweter, niemal przylegający do płaskiego brzucha, a także brązowe spodnie i skórzane półbuty, odpowiednie do wędrowek po rozsianych na całym półwyspie Beara wzgórzach. Ale stan tego obuwia, nieskalanego żadnym błotem ani bydlęcym nawozem, świadczył o tym, że przybyły dopiero się do wędrowek sposobił. Lizzie zdążyła już się przyjrzeć kilkunastu miejs-

cowym rybakom i farmerom, którzy w ubłoconych butach i przemoczonej odzieży dotarli do pubu, by się schronić przed słotą i pokrzepić piwem lub kawą. Na nowo przybyłego nie zwracali uwagi, podobnie jak nie zareagował na jego pojawienie się łaciaty, brązowo-biały spaniel, rozłożony na podmurówce kominka. Pies należał do barmana i zapewne był przyzwyczajony do stałego wchodzenia i wychodzenia gości.

Lizzie dopiła którąś już z rzędu filiżankę mocnej kawy. Miała za sobą długi, męczący dzień. Nocą przyleciała z Bostonu do Dublina, zgłosiła się do należącego do jej kuzynów hoteliku i stoczyła walkę z ogarniającą ją pokusą zatrzymania się w nim. Jednak po kilku godzinach powróciła na lotnisko i wsiadła w samolot lokalnej linii lotniczej, którym poleciała do stolicy maleńkiego hrabstwa Kerry, skąd w deszczu i wicherze dotarła samochodem do tej spokojnej wioski położonej nad zatoką Kenmare. Odsunęła od siebie opróżnioną filiżankę i powróciła do lektury pięknie ilustrowanego zbioru irlandzkich baśni ludowych. Wiedziała jednak dobrze z doświadczenia, że nie może się tej lekturze i pojadaniu jagodzianek oddać bez reszty, musi zwracać uwagę na to, co się dzieje w jej bezpośrednim otoczeniu. Obserwując podchodzącego do baru przybysza, uświadomiła sobie, że może on mieć przy sobie jakąś broń - pistolet albo nóż - schowaną pod luźno rozpiętym płaszczem. Równie dobrze może też być zamożnym turystą, który zapragnął posmakować wiejskich atrakcji.

Barman, jasnowłosy Irlandczyk nazwiskiem Eddie O'Shea, powitał nowego gościa z promiennym uśmiechem, pod którym dawało się dojrzeć niejaki zaskoczenie: - Czyżby to lord Will czynił mi ten zaszczyt?

*Lord Will.*

Lizzie niemal przymusiła się do tego, by odwrócić kolejną stronę książki.

- Hello, Eddie - nowo przybyły wdarł się w środek powitalnej formuły grzecznościowej. Wypowiedział te słowa z akcentem charakterystycznym dla ludzi należących do brytyjskiej elity.

Eddie przesunął po blacie baru napelniony piwem kufel w stronę gościa i zagadnął z uśmiechem:

- Nie zjechał pan tu, do Irlandii, tylko po to, by zagrać w golfa?

- W każdym razie nie zrobiłbym tego dzisiaj - odparł przybysz.

Lizzie wpatrywała się uważnie w ilustrację przedstawiającą idylliczną farmę irlandzką z pasącymi się owieczkami. Wśród najgorszych sytuacji, jakie w swych przewidywaniach brała pod uwagę, było pojawienie się Williama Arthura Davenporta w tej samej irlandzkiej wiosce i w tym samym pubie, w których ona teraz się znajdowała.

Z wielkim skupieniem wpatrywała się w akwarelę - różową jutrzenkę rozpościerającą się nad zielonymi wzgórzami, purpurowe osty rozkwitłe wzdłuż polnej ścieżki oraz zwodnicze uśmiechy na twarzach wrózek.

Ilustratorką książki była Keira Sullivan, bostońska plastyczka i badaczka folkloru, pochodząca z irlandzkiej rodziny. Lizzie miała ją niebawem poznać, a wiedziała, że Keira jest uczuciowo związana z Simonem Cahillem, agentem FBI.

I to właśnie Simon spowodował, że Lizzie znalazła się w Irlandii. Lizzie dowiedziała się, że oboje - Keira i Simon - podróżowali latem po półwyspie Beara. Keira malowała i zbierała ludowe klechdy. Mimo iż Lizzie nie

lubiła zakłócać spokoju zakochanym, zdawała sobie sprawę, że tym razem nie da się tego uniknąć. Musiała przystąpić do działania, zanim Norman Estabrook zacznie stanowić śmiertelne zagrożenie dla Simona i jego szefa, dyrektora FBI, Johna Marcha.

Norman zabiłby także Lizzie, gdyby się dowiedział, jaką rolę odgrywała w dochodzeniach prowadzonych przez FBI w sprawie jego nielegalnych działań w ostatnim roku. Dochodzenia te doprowadziły przed dwoma miesiącami do jego aresztowania pod zarzutem prania brudnych pieniędzy i wspierania międzynarodowych transakcji handlu narkotykami. Nie ulegało wątpliwości, że Norman Estabrook stanie przed sądem i trafi do więzienia. Obecnie pozostawał w areszcie domowym - zabrano mu paszport, wpłacił olbrzymią kaucję i rezydował na swym ranchu w Montanie pod ścisłym nadzorem elektronicznym. Ale to nie mogło trwać wiecznie. Chodziły słuchy, że dogaduje się z federalnymi oskarżycielami co do warunków umożliwiających mu uwolnienie. A jeśliby do takiego układu doszło, Lizzie wolałaby nie myśleć o losie tych, którzy w przekonaniu Estabrooka dopuścili się wobec niego zdrady: Simona Cahilla, Johna Marcha i ich anonimowego informatora, czyli - o swym własnym losie.

Kiedy zdecydowała się polecieć do Irlandii i porozmawiać w cztery oczy z Simonem, wymyśliła sobie historyjkę mającą wytłumaczyć przyczyny jej pojawienia się na półwyspie Beara. Była to opowiadka po części prawdziwa.

Lizzie nie ufała niebezpiecznemu, przystojnemu, brytyjskiemu przyjacielowi Simona, również przybyłemu do Irlandii. W żadnym razie nie chciałaby się znaleźć w zasięgu radarów Willa Davenporta.

Postanowiła więc

udawać małą, naiwną wróżkę. Albo też szarą mrówecz-kę. Mrówka potrafi skryć się w szczelinie podłogi i pozostać niewidoczna dla mężczyzny przy barze.

O Davenportcie wywiedziała się sporo. Był młodszym synem brytyjskiego para, markiza czy kogoś w tym rodzaju - nie zapamiętała dokładnie tytułów. Jego starszy brat, Peter, zawiadywał posiadłością należącą od pięciuset lat do ich rodu, położoną w północnej Anglii, a młodsza od Willa siostra, Arabella, projektowała w Londynie stroje ślubne. Mający trzydzieści pięć lat Will był właścicielem kilku posiadłości w Anglii i Szkocji oraz biura w Londynie, w kamienicy, której wnętrza inkrustowane były kością słoniową.

Jakieś dwa lata temu zrezygnował nagle z błyskotliwej kariery w Special Air Service (SAS), by zająć się pomnażaniem swej fortuny. Lizzie podejrzewała jednak, że pracę w SAS zamienił na pracę w SIS, Secret Intelligence Service - brytyjskim wywiadzie, powszechnie określanym mianem MI6.

Lizzie niepostrzeżenie wsunęła kosmyk swych ciemnych włosów pod czerwoną chusteczkę. „O tak, widziałem tę kobietę w pubie. Miała na głowie czerwoną chusteczkę, ubrana była na sportowo”.

Jeśli jej sprawy w Irlandii przybiorą zły obrót, na co się zanosilo, odnalezienie jej nie sprawi kłopotów nikomu, włącznie z FBI, irlandzką policją, zwaną garda, i MI6.

Lizzie nadziała na widelczyk ostatni kawałek jago-dzianki. Siedziała tyłem do ściany, zwrócona twarzą ku wnętrzu pubu. Kiedy miała trzynaście lat, ojciec udzielił jej cennej rady: „Trudno będzie komukolwiek ugodzić cię niespodziewanie w plecy, jeśli będziesz miała za nimi ścianę. I będziesz miała pewną szansę obronić się,

jeśli ktoś będzie próbował ugodzić cię w serce. Zobaczysz zbliżającego się napastnika". Przygotowywał Lizzie - swe jedyne dziecko - do stawienia czoła wszelakim zagrożeniom. Ona jednak pragnęła wieść błogi i bezpieczny żywot. Nawet tego popołudnia chciała być kimś, kto w irlandzkim pubie znalazł schronienie przed deszczem i wiatrem, i nie zastanawiać się, czy do tego pubu nie wkroczył w tym momencie zabójca poszukujący właśnie jej.

Piwosze zasiadający przy sąsiednich stolikach rozmawiali z ożywieniem. Mówili z miejscowym, charakterystycznym dla zachodniej części hrabstwa Cork akcentem. Lizzie przy swym stoliku, samotna także w ich kraju, podziwiała zażyłość, jaka panowała między nimi - możliwa jedynie między ludźmi, którzy całe życie spędzają we własnym kręgu. Lizzie była osamotniona z wyboru przez większą część tego roku - przynajmniej do chwili, w której otarła się o sprawy Normana Estabrooka i FBI.

- Miałem nadzieję, że spotkam tu Keirę - w głosie Willa Davenporta Lizzie usłyszała leciutki ton zaniepokojenia.

Chciał spotkać Keirę? A dlaczego nie wspomina o Simonie? Zagłębiła się w krzesło i pochyliła nad psem; jego sierść była rozgrzana ciepłem bijącym z kominka. Coś się tu nie składało.

Eddie podsunął gościowi kolejny napełniony kufel.

- Keira pojechała dziś do Allihies w związku z tą starą opowieścią. Tą o trzech braciach i kamiennym aniele. Już raz narobiła sobie przez nią kłopotów, chyba się to nie powtórzy, co?

- Zajechałem do Allihies po drodze - odpowiedział Davenport. - Nie było jej, ale to nie ta klechda mnie tam sprowadziła.

- Keira zamierzała odwiedzić muzeum, które otwarto w starym kościele kornwalijskim - Eddie spojrzał znacząco na Davenporta i dodał: - A dwór wzniesiony przez dawnych brytyjskich właścicieli zamieniono na luksusowy hotel.

Brytyjczyk nie połknął haczyka: - Wszystko się zmienia.

- Tak, wszystko, niekiedy na lepsze. Ale stare czasy

- nigdy.

- Na kiedy Keira zapowiedziała swój powrót?

- Myślę, że powinna wrócić lada chwila, przed nocą. Ta zasłyszana przez nią opowieść ściąga tu przez całe lato istne roje turystów. - Przechodząc z tacą obok stolika Lizzie, rzucił jej znaczące spojrzenie: - Każdemu z nich roi się, że to on odnajdzie kamiennego anioła.

- Przyjmijmy, że takowy istnieje.

Irlandczyk wzruszył ramionami i bez słowa rozstawiał kufle na stolikach, przed gośćmi. Lizzie była przekonana, że oni obaj - barman i Will Davenport

- odegrali istotną rolę w zidentyfikowaniu seryjnego zabójcy, który nabrał zbrodniczej obsesji pod wpływem opowieści zapisanej przez Keirę.

Działo się to przed dwoma miesiącami, kiedy wydawało się, że Simon w żaden sposób nie będzie wmieszany w zatrzymanie Normana.

W czasie gdy Eddie roznosił po sali kufle, Davenport podszedł do kominka, przypatrując się Lizzie. Była przyzwyczajona do przebywania w męskim otoczeniu -pracowała jako przełożona recepcjonistów i przewodników wycieczek zatrudnionych w sieci piętnastu wytwornych hoteli, należącej do jej rodziny, a wzrastała wraz z czterema kuzynami z rodziny Rushów, którzy mieli już po trzydzieści kilka lat. Wszyscy oni byli



bezpośredni w sposobie bycia, jednak pod uważnym spojrzeniem Brytyjczyka Lizzie odczuła niejakie zmieszanie. Wyróżniał się on męską urodą tak niepowszednią, że nawet najbardziej niezależna kobieta mogła ulec pokusie fantazjowania na temat księcia z bajki, który oto przybywa, by służyć jej pomocą. Lizzie odrzuciła precz tę pokusę. Nie godzi się na żadnego księcia z bajki. Ani teraz, ani nigdy.

Spojrzał na leżącą przed nią książkę, otwartą na stronie z ilustracją baśniowej farmy.

- To taką Irlandię pragnie pani tu odnaleźć? - zagadnął. - Irlandię czarodziejek, domków krytych strzechą i wypielegnowanych ogródków? Lizzie zauważyła, że jego źrenice mają kolor orzechowy, z domieszką błękitu, zieleni i złota, co powoduje zmiany ich odcieni w zależności od kąta padania światła. Uśmiechnęła się: - Być może odnalazłam taką właśnie Irlandię.

- A wierzy pani w baśniowe ludki?

- Mam umysł otwarty na wszelkie różnorodności. Keira Sullivan jest świetną plastyczką. Słyszałam, jak pan rozmawiał o niej z barmanem. I dowiedziałam się, że pan ją zna.

- Poznaliśmy się wczesnym latem tego roku. Pani kupiła sobie jej książkę?

- Tak. Dziś po południu, w Kenmare.

To nie była prawda. Młodziutka kuzynka Keiry, Fiona O'Reilly, studentka, podarowała tę książkę Lizzie, ale ona uznała, że Will Davenport nie powinien znać tych szczegółów. Dodała po chwili: - Słyszałam tę historię, dla której Keira tu przyjechała. Trzej bracia starli się z wiedźmami przy kamiennym postumencie anioła. Wierzyli, że anioł w jakiś sposób ich wspomocze, czarow-

nice natomiast uważały, że to jedna z nich została zamieniona w posąg. Davenport słuchał jej z przymkniętymi oczami.

- To cudowna opowieść - zakończyła Lizzie.

- W istocie - ton jego głosu był dość nijaki. Lizzie przesunęła talerzyk na środek stolika. Chciała

się jeszcze napić kawy, ale zdawała sobie sprawę z tego, że nadmiar kofeiny nadmiernie przyspieszy jej tętno. Wprawdzie nawykła do różnicy czasów, ale w samolocie z Bostonu spała nie dłużej niż kilka chwil.

Odwróciła książkę tylną stroną obwoluty do góry, ukazując fotografię autorki w ciemnozielonej sukni. Keira Sullivan miała piękne, chabrowe oczy, jej długie jasne włosy przybrane były kwiatami.

- Keira mogłaby uchodzić za księżniczkę wróżek, nieprawdaż?

- Rzeczywiście - potwierdził.

Lizzie powątpiewała, czy sama byłaby w stanie uchodzić za księżniczkę wróżek, nawet gdyby ubrała się w zielony aksamit i przybrała swą fryzurę kwieciem. Nie uważała siebie za nieładną, ale jej jasnozielone oczy ostatnio bywały otoczone ciemnymi obwódkami. Miała za sobą trudne dni.

- Czy pani zna Keirę? - spytał Davenport.

- Nie, jeszcze się nie spotkałyśmy.

- Ale tę opowieść zna pani dokładnie...

- Podawały ją gazety - nie pozwoliła mu dokończyć zdania.

Stał się nagle podejrzliwy, ale nie przejmowała się tym. Pojawienie się Davenporta i nieobecność Simona wymagały od Lizzie zmiany planu działania. Niczego, co chciała powiedzieć Simonowi, nie miała zamiaru opowiadać jego przyjacielowi, lordowi Davenportowi.

Potrzebowała dokładniejszych informacji o tym, co się tu dzieje, gdzie przebywa Simon, gdzie się znajduje Keira.

- Co panią sprowadza na półwysep Beara? - spytał Davenport.

- Przemierzam pieszo Szlak Beary.

Znów nie była to prawda. Lizzie nie lubiła kłamać, ale tak było łatwiej i bezpieczniej dla wszystkich, niż gdyby ujawniła rzeczywisty stan rzeczy. Ciągnęła swe wyjaśnienia: - Ale nie wiem, czy odbędę całą drogę. To prawie dwieście kilometrów. Nie mam aż tyle wolnego czasu.

- Wędruje pani samotnie?

Obdarzyła go promiennym uśmiechem: - Czy to nie nazbyt śmiałe pytanie skierowane do kobiety popijającej kawę i pogryzającej ciasteczka z jagodami?

Oczy mu nieco ściemniały. Odwrócił się i skinął na Eddiego, który stanął na powrót za ladą baru, odkładając pustą tackę.

- Eddie mógłby pani wskazać tutejszy pensjonat, B and B\*.

- To miłe z pana strony, że się pan o mnie troszczy.

Lizzie wątpiła, czy Davenport powoduje się rzeczywistą troską o nią.

Ściągnęła na siebie jego uwagę książką Keiry, którą czytała, i swą samotną obecnością w pubie. Gdyby zatrzymała się na noc gdzieś w pobliżu, mógłby mieć na nią oko. Poinformowała go więc: - Mam z sobą namiot. Mogę przenocować na kempingu gdziekolwiek.

Dostrzegła na jego twarzy załóżek uśmiechu. Miał pełne wargi, wyraziste szczęki, lekko rozwiane jasne

\* **Bed-in Breakfast - hotelik noclegowy ze śniadaniem (przyp. tłum.).**

włosy. Był przystojny, świetnie ubrany, ale nie był w najmniejszym stopniu ugrzeczniejszy ani przymilny.

- Nie wygląda pani na kobietę lubiącą sypiać w namiocie - powiedział z lekką domieszką humoru w głosie.

Miał oczywiście rację. Ta jej determinacja w zamiarze spędzenia deszczowej i wietrznej nocy w plenerze budziła w brytyjskim agencie wywiadu silne podejrzenia. Nie chodziło o to, by uznawał, iż ona nie jest w stanie spełnić swego zamiaru, ale o to, że musi mieć po temu poważny powód. Nie była poszukiwaczką przygód, ale zachowywała się jak jedna z nich.

- Ulewa słabnie - spróbowała się przy tych słowach uśmiechnąć, ale nie wywarło to na Davenporcie żadnego wrażenia. - Od dobrych dziesięciu minut nie słyszę już uderzeń kropli deszczu w okna.

- Jest pani Amerykanką, prawda? Skąd pani przybywa?

- Z Las Vegas.

Mogła bronić tej wersji. Rodzina Rushów miała także tam hotel, w którym Lizzie spędziła sporo czasu.

- Czy to pani pierwsza wyprawa do Irlandii?

- Nie, ale po raz pierwszy jestem na półwyspie Beara. Obróciła książkę pierwszą stroną obwoluty ku górze, na której widniała scena leśnych igraszek grona wrózek.

- Keira Sullivan ma talent do przedstawiania sytuacji, w które prawdziwi ludzie są w stanie uwierzyć. Wierzy pan we wróżki, lordzie Davenport?

- Mów mi po imieniu: Will. Jak masz na imię? Wcale nie chciała, by mówili sobie po imieniu.

- Muszę ruszać - powiedziała, wkładając książkę do plecaka. Przesunęła pozostawione na stoliku przedmioty tak, by zakryły rachunek, i pozostawiła na nim należność wraz z napiwkami.

Will, nic nie mówiąc, pomógł jej zarzucić plecak na ramię. Pies spojrzał na nią jednym ze swych wielkich oczu, pogłaskała go ze słowami „Slan a fhagail ag duine”. Jeśli dobrze zapamiętała, była to irlandzka formułka pożegnalna. Myśl o tym, że mogłaby nauczyć się jej od swej matki, z pochodzenia Irlandki, bardzo się Lizzie spodobała.

Mężczyźni przebywający w pubie przypatrywali się w milczeniu jej przygotowaniom do wyjścia, Eddie zerkał na nią spoza baru - wszyscy oni wyglądali na pogodzonych z rutynowymi regułami zachowania obowiązującymi na farmie, na morzu, we wsi, w kościele, w gronie rodzinnym. Dlaczegoż by nie przysiąc się do nich? Może spędzić z nimi wieczór przy kominku, nie bacząc na cel, który postawiła przed sobą, wyjeżdżając do Irlandii i docierając do tej wioski? To było oczywiście niemożliwe.

Wyszła na zewnątrz. Wiatr i deszcz istotnie osłabły, wokół unosiła się wilgotna mgła. Lizzie wyjęła telefon komórkowy i stwierdziła, że ma dwie wiadomości od Jeremiaha, dalekiego krewnego z rodziny Rushów. Był zatrudniony w Whitcomb, hotelu w Bostonie należącym również do rodziny. Miał kasztanową czuprynę, niebieskie oczy i zgrabną sylwetkę. Bracia Lizzie utrzymywali, że ona mogłaby owinąć go sobie wokół małego paluszka. Jeremiah nigdy nie pisał krótkich wiadomości, a pierwszy sms od niego brzmiał: *Cahill i March w Bostonie. Nie ma tu Keiry.* Lizzie przeczytała go dwukrotnie, by się upewnić, że wzrok jej nie zmylił. Simon Cahill, agent specjalny FBI, i John March, dyrektor FBI, przebywają w Bostonie? **Z** jakiego powodu?

Widywała się z Simonem kilkakrotnie w ciągu minio-

nego roku. Był przystojnym brunetem, miał szerokie bary i zielone oczy, odznaczał się naturalnym urokiem, który pozwolił mu przekonać Normana Estabrooka, że jest już tylko byłym agentem FBI, szukającym sposobności do odegrania się na swym byłym szefie, Marchu.

Czy Simon już powrócił do Bostonu, kiedy ona poprzedniej nocy wylatywała do Irlandii? Lizzie omal nie wybuchnęła śmiechem na tę ironię losu. Spieszyła do Irlandii, by skłonić Simona do uczynienia wszystkiego co możliwe, by utrzymać Normana pod policyjnym nadzorem i uniemożliwić mu tym sposobem działalność w sieci brutalnych kryminalistów, zmierzającą do rozprawienia się za wszelką cenę z Simonem i dyrektorem Marchem. I tu nawet nie chodzi o zemstę. Norman nie chce dłużej trzymać się na uboczu. Chce sam, własnymi rękoma dokonać zaplanowanego czynu.

Lizzie włożyła komórkę do kieszeni żakietu i zaczerpnęła głęboko chłodnego, wieczornego powietrza. Jeśli Keira Sullivan nie poleciała z Simonem do Bostonu, to gdzie teraz przebywa? I dlaczego Will Davenport zjawiał się tutaj i jest w tak poważnym nastroju?

Wyczuła zapach tytoniu i spostrzegła starszego mężczyznę ubranego po farmersku, siedzącego na ławeczce przy piknikowym stoliku wystawionym przed pub. Miał wyraziste rysy twarzy, krzaczaste brwi nad jasnoniebieskimi, bystrymi oczami. Palił fajkę, wydychając obłoczki dymu w mgłę.

- Zapewne chce pani zobaczyć kamienny krąg? - spytał. Wskazał fajką rozciągającą się przed pubem ulicę:

- To tam. Trzeba dojść aż do wzgórza. Łatwo znaleźć drogę.

Lizzie ruszyła przed siebie zgodnie z wiatrem wiejącym

od strony zatoki, wzdłuż rzędu domków otoczonych ogródkami pełnymi różnokolorowych kwiatów, jakby na przekór szarzyźnie zapadającego mglistego zmroku. Miała odnaleźć drogę, ale dokąd wiodącą? Kiedy się odwróciła, by spytać o to mężczyznę z fajką, już go nie było na ławeczce. Spaniel Eddiego wyłonił się z wnętrza pubu i ruszył w stronę, w którą się udał stary farmer. Zawieszony na latarni koszyczek z kwiatuškami kołysał się na wietrze, Lizzie starannie wyliczała składające się na tę kompozycję roślinki: geranium, petunie, lawendę. Pies się zatrzymał i obejrzał za siebie, w stronę Lizzie, machając ogonem.

- W porządku - zwróciła się do niego. - Pójdę za tobą.

## **ROZDZIAŁ DRUGI**

*Półwysep Beara, Irlandia południowo-zachodnia 5:50 po południu czasu lokalnego 25 sierpnia*

Will Davenport ostrożnie postawił stopę na mokrym żwirze przed małym, utrzymanym w tradycyjnym stylu, murowanym dworkiem, w którym zatrzymała się Keira na czas pobytu Simona w Bostonie. Dworek znajdował się przy wąskiej drodze biegnącej wzdłuż starego muru, równoległe do brzegu morskiego oraz wzgórz. Ciemne, skłębione chmury nasuwały się na nie od strony portu. Silny zachodni wiatr - pozostałość po sztormie, który ogarnął całą Irlandię - targał rosnącymi przed dworkiem różami. Na północy, po przeciwnej stronie zatoki Ken-mare, można było dostrzec zarysy półwyspu Iveragh, sąsiedniego klina lądu, wbijającego się w Atlantyckie.

Samochód Keiry stał na ścieżce obsadzonej różami, w oknie kuchni paliło się światło, ale Keira nie odpowiadała na pukanie do drzwi. Może była w łazience?

Do Irlandii przyjechała w czerwcu, by malować



pejzaże i dotrzeć do kolebki opowieści ludowych, jakich się nasłuchiwała w południowej dzielnicy Bostonu. *Stieve Mikish* - pasmo wzgórz Mikish rozciągające się wzdłuż półwyspu - kryło w sobie bogate złoża miedzi, a okolice od tysiącleci zamieszkiwali eksploatujący te złoża ludzie.

Will jechał wzdłuż zatoki Bantry południowym wybrzeżem półwyspu. Pogoda pogarszała się, w miarę jak się zbliżał do Atlantyku i miasteczka Allihies. Przed samym wyjazdem rozmawiał z Simonem i spodziewał się zastać Keirę zwiedzającą zabytki z dawno minionej Ery Górniczej i malującą tutejsze pejzaże. Gdy jej nie znalazł, przyjechał do pubu we wsi położonej nad zatoką Kenmare, ale i tu nie spotkał nowej miłości swego przyjaciela, lecz natknął się na zielonooką wędrowniczkę rozczytaną w książce Keiry. Opanowując zaniepokojenie, wyjął swą komórkę i odczytał wiadomość od Josie Goodwin, swej londyńskiej asystentki.

*Estabrook uwolniony o 9 rano czasu lokalnego.*

Z grymasem niezadowolenia, ale nie zaskoczenia, Will wybrał numer swej asystentki.

- Właśnie miałam do ciebie zadzwonić - odezwała się. - Mam nowe wiadomości. Estabrook natychmiast po uwolnieniu z elektronicznej obroży opuścił ranczo swym prywatnym samolotem. Nigdy nie należał do tych, którzy siedzą spokojnie, czekając na rozwój wydarzeń. Po tych dwóch miesiącach energia wprost go roznosi.

- Czy wyleciał z rancza sam?

- Tak.

- No to musiał dotrzymać obietnicy złożonej władzom i przekazał im wszystkie informacje, jakimi dysponował na temat swych współników w handlu narkotykami.

- Amerykanie musieli się poczuć usatysfakcjonowani, skoro go puścili na wolność.

- Josie, ten typ groził, że zabije Simona i dyrektora Marcha.

- Sądzę, że te pogróżki miały charakter czysto retoryczny.

Ktoś, kto nie znał Josie, mógł nie usłyszeć w jej głosie przekornego tonu, ale Will współpracował z nią już od trzech lat i wyczuł go od razu.

- „Czysto retoryczny”! - zakpił. - Zapamiętam sobie to sformułowanie.

- Irlandia położona jest w znacznej odległości, Willu. Estabrook nie był podejrzewany o dokonanie żadnego aktu przemocy ani nawet o udział w żadnej ze zbrodni popełnianych przez jego kompanów. Jeśli oczywiście nie uznaje się za pewnego rodzaju zbrodnię rozprowadzania trucizn i zakazanych prawem narkotyków.

- Jestem teraz w dworku, w którym zatrzymała się Keira - poinformował Will. - Jej samochód tu stoi, ale jej samej tu nie ma. Może poszła na spacer.

- Z tego, co mówi o niej Simon, ona nie przepada za spacerami. To wspaniała para, prawda? Prawdziwa miłość zdarza się rzadko, ale właśnie im się przytrafiła.

Will tym razem dosłuchał się w głosie Josie tonów niemal rzewnych. Była trzydziestoosmioletnią samotną matką nastolatka. Miała za sobą poważne przejścia uczuciowe. Jego asystentka była zdolną, doświadczoną agentką brytyjskiej Secret Intelligence Service i Will darzył ją absolutnym zaufaniem. Podobnie jak on, Josie rozumiała, że ich życie i praca układają się tym łatwiej, im staranniej się wystrzegają wszelkiego uczuciowego zaangażowania. Ona przekonała się o prawdziwości tej zasady życiowej w wyniku osobistych, bolesnych

doświadczeń. On przyjął tę zasadę za swoją, opierając się na doświadczeniach innych ludzi.

Pomyślał, że wystarczy już spraw na dzień dzisiejszy.

- Czy rozmawiałaś z Simonem? - spytał.

- Przez chwilę. Docenia to, że się wybrałaś do Irlandii, żeby Keira nie była osamotniona. Nigdy by jej nie zostawił samej, gdyby wiedział, że Estabrooka puszcza wolno. I on, i March mieli nadzieję, że nie zostanie wypuszczony z aresztu domowego.

Will wstrzymał się od wszelkich komentarzy na temat dyrektora FBI.

Miał z Marchem pewne niedobre doświadczenie. Zmienił temat: - Jest tu teraz w pubie pewna kobieta zaczytująca się w książce Keiry. Turystka. Niska, szczupła, oczy jasnozielone, ciemne włosy. Amerykanka. Mówi ci coś ten opis?

- Włosy ma długie czy krótkie?

- Nie wiem. Chyba długie. Widziałem tylko kosmyk, który wysmyknął spod czerwonej chustki.

- Aha.

Will westchnął: - Mówi, że jest z Las Vegas i wędruje szlakiem Beary.

- Samotnie?

- Na ile mogę stwierdzić, tak.

- Wygląda to na odlotową wycieczkę. Ale nie wierzę jej. A ty?

Odrzekł bez chwili wahania: - Ja też nie.

- Zakonotowałam sobie ten rysopis i zobaczę, czego się zdołam dowiedzieć. Nigdy nie wiadomo, co się okaże. Powodzenia w poszukiwaniu Keiry. Simon ufa ci całkowicie.

- Mam wobec niego zobowiązania, Josie.

- Wiem.

Will wpatrzył się przez mgłę w zarysy zatoki w dole,

u podnóża wzgórza i wrócił pamięcią do zdarzenia sprzed dwóch lat, kiedy to w Afganistanie przeżył osiemnaście dramatycznych godzin, a Simon Cahill ocalił mu życie. Zdawali sobie obaj sprawę z tego, że jest to dług nie do spłacenia, ale Will nie omijał żadnej sposobności, by choć w części się Simonowi odwdziaczyć. Jednak nie z tego powodu przyleciał teraz do Irlandii. Zjawił się tu po prostu jako przyjaciel. Usłyszał ściszony niemal do szeptu głos Josie:

- Willu, Simon wie, że nie jesteś jakimś fircykiem, który spędza życie na wędkowaniu i grze w golfa. I wie dobrze, że nie pojechałeś do Afganistanu, żeby zbierać motyle.

Rozłączyła się, zanim Will zdołał jej odpowiedzieć.

Schował komórkę do kieszeni. Myślami pozostawał w Afganistanie. Był osamotniony, odwodniony, pokiereszowany i wykrwawiony, ale zdecydowany wytrwać przy życiu z jednego tylko powodu: musiał dać świadectwo bohaterskiemu poświęceniu dwóch przyjaciół - podobnie jak on żołnierzy SAS - którzy polegli u jego boku w trakcie długiej, krwawej walki trwającej przez niemal całą dobę. Simon podjął wtedy z własnej inicjatywy i na własną odpowiedzialność niezwykle ryzykowną akcję. Wyposażony jedynie w linkę i siekiere - oraz niezłomną odwagę - wdarł się do pieczary, która w wyniku ostrzału przez mózdzierze talibów została częściowo zasypana odłamkami skalnymi, i uwolnił Willa. Obaj wynieśli z tej jaskini ciała Davida Mearsa i Philipa Billingsa, którzy zginęli, ponieważ Will zaufał zdrajcy.

*Mylesowi Fletcherowi.*

Will wymówił jego nazwisko szeptem. Fletcher był oficerem brytyjskim, a także agentem wywiadu, który spowodował, że ich wyjątkowo trudna misja zakończyła

się sromotną klęską, ponieważ uznał śmiertelnych wrogów za sojuszników.

Po doprowadzeniu Willa do jego kolegów z SAS, Simon powrócił do wypełniania swojego zadania na rzecz FBI. Nigdy nie zapytał Willa o przyczyny, dla których Davenport znalazł się w owej pieczarze, ani też nie oczekiwał podziękowań za uratowanie mu życia.

Nadal, po dwóch latach, nie odnaleziono zwłok Myle-sa Fletchera. Najpewniej terroryści zlikwidowali go po tym, jak wykonał ich zlecenie. Nie było żadnych dowodów pozwalających na to, by uznawać go za żywego. Will postanowił jednak nie rezygnować z rozwiązania tej zagadki.

FBI podejrzewało, że to handlarze narkotyków i terroryści ponoszą wspólną odpowiedzialność za klęskę misji Willa. John March obciążył Willa odpowiedzialnością za zradę popełnioną przez Mylesa.

Simon nie obwiniął Willa o nic, ale w ciągu dwóch lat ich przyjaźni Davenport nadal nie miał okazji oddać mu żadnej poważniejszej przysługi. Teraz nadeszła taka chwila. Zapiął płaszcz na wszystkie guziki, zarygłował w myślach swe wspomnienia i ruszył przed siebie ścieżką w poszukiwaniu Keiry.

## **ROZDZIAŁ TRZECI**

*Półwysep Beara, Irlandia południowo-zachodnia 6:20 po południu czasu lokalnego 25 sierpnia*

Lizzie zsunęła z głowy chusteczkę i odczuła przez włosy chłód wiatru i wilgoć mgły. Pies Eddiego doprowadził ją do wąskiej ścieżki polnej, biegnącej wzdłuż starego muru i podnóża pagórków. Starła się odnajdywać przyjemność w spacerze alejką wysadzaną różami, szczególnie mocno pachnącymi po deszczu, w porze zapadającego zmroku.

Uśmiechnęła się do owieczek rozglądających się za noclegiem i przystanęła przed murowanym dworkiem, przywodzącym na pamięć dawne lata głodu i masowej emigracji za chlebem, która niemal wyludniła zachodnią część hrabstwa Cork.

Spaniel, który jej wskazywał drogę, zatrzymał się nieco wyżej, odwrócił w jej stronę i wyczekująco machał ogonem. Lizzie roześmiała się na myśl o tym, że miałby ją prowadzić ku określonemu celowi lub też że wykonuje polecenie starego farmera. Powędrowała

ścieżką dalej. Chłodne powietrze oraz spacer rozjaśniały jej myśli. Nad szczytami wzgórz snuły się szare kłęby mgły, które wpełzały w skalne szczeliny. Przygotowując się do wyprawy, Lizzie włożyła do plecaka wszystko, co mogło uprawdopodobnić jej pozorny cel. Wyjęła więc teraz kurtkę przeciwdeszczową, latarkę i suchy prowiant, a nawet składany namiot. Nie pozostawało jej nic innego, jak powędrować Szlakiem Beary przez półwysep do Kenmare albo też w dół, do Allihies i wysepki Dursey.

Wędrując, rozpamiętywała wszystko, co wiedziała o Normanie Estabrooku. Poznała go niespełna półtora roku wcześniej, kiedy gościł w jednym z należących do jej rodziny hoteli w Dublinie. Był błyskotliwym finansistą, mogącym sobie pozwolić na zaspokajanie wszelkich kaprysów, jakie mu przyszły do głowy. A jako kipiący energią człowiek sukcesu miał ich co niemiara. Słynął zarówno z ryzykownych przygód, jak i imponującego bogactwa. Ale nie był lekkomyślny. Jeśli wyruszał w podróż balonem dookoła świata albo skakał na spadochronie z rekordowej wysokości, lub też podejmował niebezpieczną wędrowkę, przygotowywał się na stawienie czoła wszelkim możliwym zagrożeniom. Na początku Lizzie sądziła, że Estabrook daje się wodzić za nos wielkim i nader przebiegłym handlarzom narkotykami, ale szybko się zorientowała, że bynajmniej nie jest naiwny. Teraz podejrzewała, że Norman wykał-kulował sobie dokładnie, iż jeśli zostanie złapany na przestępstwie, władzom będzie o wiele bardziej zależało na dobraniu się do jego przyjaciół dowodzących organizacjami narkotykowymi, niż na ukaraniu jego, geniusza finansowego pomagającego im w interesach

swym kapitałem. Rzadko ulegał impulsom, świetnie wiedział, jak dbać o swój biznes i minimalizować ryzyko.

Lizzie odwiedziła go na ranczo w Montanie w końcu czerwca, kiedy zdawał sobie sprawę z tego, że agenci federalni zamierzają go aresztować. Był tęgim czterdziestolatkiem o miłej prezencji, który nigdy się nie ożenił i nigdy nie miał zamiaru tego uczynić. Wstrząśnięty i pobladły, wyznał jej:

- Zdradzono mnie.

Miał na myśli Simona Cahilla, nie j a. Norman wynaj ał Simona poprzedniego lata do pomocy w zaplanowaniu i przeprowadzeniu niezwykle ryzykownych operacji. Dowiedział się, że Simon właśnie zakończył pracę w FBI i przypuszczał, że z tego powodu przymknie oczy na nielegalność działań swego klienta, zwłaszcza dokonywanych w porozumieniu z wielkimi dealerami narkotyków. Okazało się tymczasem, że Simon bynajmniej nie jest eks-agentem FBI.

W pełnych napięcia godzinach przed aresztowaniem Estabrook nie zajmował się analizowaniem swoich poczynań, które go przywiodły do współpracy z kryminalistami. Zamiast tego obwinał ludzi, którzy dopuścili się wobec niego zdrady. Poza kilkoma osobami z grona domowej obsługi była przy nim jedynie Lizzie. Norman nigdy nie nawiązał, z tego, co wiedziała, poważnego związku uczuciowego z nikim, ani też z nią oczywiście. Ludzie z jego otoczenia - krewni, znajomi, pracownicy, koledzy po fachu - byli jedynie planetami krążącymi wokół słońca, którym był on. Żadne reguły go nie obowiązywały. Na studia w Harvardzie otrzymał stypendium. Zaraz po uzyskaniu dyplomu rozpoczął pracę jako doradca finansowy. Kiedy miał dwadzieścia siedem lat,



był już ceniony w swoim zawodzie i zaczął pracować na własny rachunek. Osiągnąwszy czterdziestkę, był wart kilka miliardów dolarów i mógł zwolnić tempo zabiegania o sukcesy prowadzonych interesów. Lizzie siedziała z nim przed ogromnymi oknami, przypatrując się jego rozległemu ranczu oraz jeszcze rozległej szemu niebu na zachodzie. Nakłaniała go, by się porozumiał z prokuratorami i zaoferował władzom współpracę. Jednak wszystko, czego się dowiedziała o Normanie w ciągu minionego roku, umacniało w niej przekonanie, że on zawsze robi wyłącznie to, czego sam zapragnie. Większość ludzi zagrożonych zakuciem w kajdanki i odczytaniem im praw, jakie przysługują zatrzymanemu, nie chwyciłaby za telefon i nie wygrażała agentowi FBI oraz jego przełożonemu, ale Norman ustawicznie powtarzał, że nie zalicza się do takiej większości.

- Normanie, nie rób tego - tłumaczyła Lizzie.

Nie była wcale pewna, czy w ogóle ją słyszy. Ze spienioną śliną w kącikach ust, oczyma błyszczącymi wściekłością, wymyślał Simonowi przez telefon:

- Już nie żyjesz. Jesteś martwy. Najpierw zabiję Johna Marcha. A potem ciebie.

Lizzie patrzyła na zielone osiki na tle niebieskiego nieba i myślała, że Norman zabije także ją, kiedy odkryje, że to ona przez większą część roku przekazywała anonimowo FBI informacje o nim. Do chwili aresztowania Normana nie wiedziała, czy FBI traktuje te jej informacje poważnie i czy wszczęto dochodzenie przeciw Normanowi w związku z jego machinacjami. Nie wiedziała też, że jego sprawę prowadzi zakonspirowany agent specjalny. Nie mieli pojęcia o sobie nawzajem. Nikt o nich nie wiedział.

Nawet wobec funkcjonariuszy FBI przybyłych na ranczo Normana i przesłuchujących także ją zachowała w tajemnicy swą rolę w całej sprawie. Utrzymała ją w sekrecie także podczas przygotowań do podróży do Irlandii. Opowiadała tylko o zakupie ekwipunku turystycznego i o legendach, które ją zainspirowały do przemaszerowania Szlakiem Beary. Niech Simon i Keira widzą w niej turystkę, kiedy się na nich natkną. Niech Simon mówi co chce o Normanie, ich wspólnym byłym przyjacielem. Ona jest przekonana, że Norman ma wpływowych znajomych, którzy mu pomogą. Rozprawiał o nich z Simonem w rozmowie telefonicznej odbywanej z rancza owego dnia. To nie były czcze przechwałki, stanowiły z pewnością załączek planu, jaki Norman powziął, a FBI powinno ten plan z niego wycisnąć. Przez ostatnie dwa miesiące Lizzie oczekiwała, że do zarzutów wysuniętych przeciw Normanowi dołączone zostanie oskarżenie o „spisek w celu dokonania morderstwa”. FBI ma z pewnością nagrane na taśmie pogróżki pod adresem dyrektora i jednego z agentów. Nie powinny mu one ujść płazem.

Doszła do szlaku wiodącego ku szczytowi wzgórza i spostrzegła świeże ślady zwierzęcych łap odcisnięte w mokrej ziemi. Uznała, że pozostawił je spaniel barmana i ruszyła za nimi pod górę. Po chwili jednak zawróciła do swego samochodu. Nie mogła odlecieć z powrotem do Bostonu tej nocy. Ale mogła wrócić do Dublina albo poszukać noclegu na miejscu. Chciało się jej spać, jeść i potrzebowała informacji z Montany o Normanie, a z Bostonu o Simonie i Marchu. Błotnistą drogą doszła do znaku *Strzeżcie się byków* umieszczonego przy bramie zagradzającej przejście. Zatrzymała się i ogarnęła wzrokiem rozległe pastwisko, na którym

na tle mrocznych chmur dało się dostrzec zarysy prehistorycznego kręgu głazów.

Nagle spoza olbrzymiego otoczaka wyłonił się pies Eddiego, całkowicie ją zaskakując.

- Ach, więc to ty - zwróciła się doń, rozbawiona własną reakcją na jego pojawienie się. - Prowadź, idę za tobą.

Nie zwlekając ani chwili, pies ruszył pędem ku kręgowi uformowanemu z głazów, przeskakując pomniejsze kamienie. Lizzie przeskoczyła barierę z bali, wylądowała w mokrej trawie i pośliznęła się na krowim placku.

Starannie unikając następnych kup łąjna, wchodziła w głąb pastwiska.

Nagłym zwrotem pies zmienił obrany kierunek i zniknął jej z oczu.

Wzruszyła ramionami i kontynuowała marsz w stronę kamiennego kręgu, jednego z ponad setki megalitycznych zabytków rozsianych po zachodniej części hrabstwa Cork i południowym skraju hrabstwa Kerry.

Skakała po drodze z kamienia na kamień, by nie brodzić w błocie.

Wkroczyła w środek kręgu pomiędzy dwoma wielkimi otoczakami, osadzonymi tutaj przed tysiącami lat.

Doliczyła się ośmiu ciężkich głazów różnej wysokości, tworzących zewnętrzny pierścień. Dziewiąty głaz wychylał się poza krąg, a miejsce po dziesiątym było puste. Niski, spłaszczony kamień, wyglądający tak, jakby go podtoczono, stanowił jedenasty człon skalnego pierścienia.

W dole, za pastwiskiem i opadającymi ku wodzie zielonymi polami widać było szare wody zatoki, pomarszczone powiewami słabnącego już sztormu. Stała chwilę bez ruchu, chłonąc tę szczególną atmosferę. Nigdy dotychczas nie znalazła się w miejscu tak niesamowitym, tak tajemniczo spokojnym. Praprzodkowie musieli

wybierać lokalizacje szczególnie sposobne do układania kamiennych kręgów, niezależnie od tego, jakim one celom służyły. - Teraz mogę zrozumieć, że ludzie wypatrywali tu wróżek - powiedziała szeptem do samej siebie.

Do jej uszu dotarły jakieś posapywania, zwróciła wzrok w ich kierunku i dostrzegła wielką, tłustą krowę brązowego koloru, spokojnie krocącą wokół kamiennego kręgu. Złękła się jej, nie wiedząc czemu. W chwilę później spostrzegła jakiś ruch w zagajniku, wzięła głęboki oddech i zsuwając plecak z ramienia, ruszyła w kierunku wzgórz. Coś tam było albo ktoś tam był. Nie była tu sama.

## **ROZDZIAŁ CZWARTY**

*Półwysep Beara, Irlandia południowo-zachodnia 7:10 po południu czasu lokalnego 25 sierpnia*

Prześlizgując się pomiędzy dwoma wielkimi otoczkami, Lizzie poczuła, że lewa stopa zapada jej się głęboko w grząską rozpadlinę. Nie przejęła się jednak zbyt woda i błotem, które wdarły się do wnętrza buta i przemoczyły skarpetę. Porywy wiatru znad wzgórz i skałek niosły z sobą smugi deszczu. Pomyślała, że przesuwa się przez tę okolicę ostatnia faza sztormu.

Nagle usłyszała coś za sobą, odwróciła się i zobaczyła jakąś szczupłą kobietę wchodzącą w pradawny kamienny krąg. Wiatr targał jej długimi, jasnymi włosami. Miała na sobie rozciągnięty irlandzki sweter rybacki, sięgający jej niemal do kostek. Lizzie pomyślała, że musiał należeć do Simona Cahilla, a ową kobietą musi być Keira Sullivan.

- Wszystko w porządku - zwróciła się do niej Lizzie - przybyłam tu w dobrych zamiarach.

Nie dopuszczając kobiety do głosu, dodała: - Znam Simona. Simona Cahilla. Pani jest Keirą, prawda?

Źrenice przybyłej zwięziły się, a twarz w szarej poświacie wydawała się trupioblada, kiedy przemówiła do Lizzie: - Przyszłam tu z mojego dworku. Byłam rano w dawnych kopalniach miedzi i próbowałam przegnać stamtąd duchy i nawałnicę. - Wzdrygnęła się i zapytała bez oznak lęku: - A to co znowu?

Lizzie także to usłyszała - jakiś szelest dobiegający z kępy drzew na zboczu wzgórza. To nie odgłosy wiatru. Ktoś tam był.

- To nie duchy ani nie zawierucha - orzekła Lizzie i zsunęła plecak z ramienia, jakby przygotowując się do ucieczki albo sięgając po broń. - Musimy się stąd zbierać - dodała.

Ciemne chmury zsuwały się po zboczach pagórków. Gęsty i zimny deszcz nasycił wilgocią zakiet i odsłonięte włosy Lizzie, a także sweter Keiry. Ona jednak zdawała się w ogóle tego nie zauważać. Spytała: - To co to może być, pani zdaniem?

- Nie wiem.

Lizzie zauważyła krowę wybiegającą spomiędzy drzew. Rzuciła: - Musimy się spieszyć.

Keira zwróciła wzrok w tym samym kierunku. Krzyknęła: - Tam!

Lizzie nie zdążyła jej odpowiedzieć. Jakiś krępy mężczyzna, w czarnej czapeczce narciarskiej na głowie, wyskoczył spomiędzy drzew i ruszył biegiem ku wyrwie w kamiennym kręgu.

- Biegnie po ciebie - krzyknęła Lizzie. - Keiro, uciekaj!

- Nie mogę cię zostawić samej...

- Umiem walczyć. Uciekaj, błagam!

**30**

Mężczyzna rzucił się na Keirę, ale ona wymknęła mu się i schroniła za jednym z głazów. Napastnik przeklinał i próbował ją dopaść, obiegali głaz jak w szaleńczym tańcu. Mężczyzna trzymał w prawej dłoni nóż. Lizzie zastąpiła mu drogę, osłaniając się przed ciosem plecakiem i czekając na sposobny moment, by go zaatakować. On pośliznął się na którymś z mokrych kamieni i upadł na wznak. Zanim się zdążył podnieść, wytrąciła mu nóż z ręki i z całej siły uderzyła go plecakiem w lewe kolano.

Zawył z bólu i wyciągnął rękę, by podnieść leżący na ziemi nóż. Ona jednak zdała sobie sprawę, że musi wykorzystać uzyskaną chwilę przewagi, i wymierzyła kolejny cios plecakiem, jednocześnie przydeptując mężczyźnie goleń obolałej nogi. Jej posunięcia były odruchowe, nie planowała ich, zdała się na swój instynkt i nawyki nabyte w trakcie szkolenia. Tysiące razy ćwiczyła takie chwytty.

Napastnik opadł na plecy, grzęznąc w błocie, gnoju i mokrej trawie. Lizzie podniosła nóż, zanim on zdążył go odzyskać, uklękła i przyciskając mu nóż do gardła, uniemożliwiła powrót do pozycji wertykalnej. - Trzymaj ręce tak, żebym je widziała, i nie ruszaj się - rozkazała.

Posłuchał jej natychmiast, ciężko dysząc, w obawie, że jeśli będzie stawiał opór, ona poderżnie mu gardło. Połowę twarzy miał zanurzoną w błocie. Lizzie ustawiła ostrze noża tak, by wyczuwał je przez cienką skórę osłaniającą tętnicę szyjną. Poleciała mu kategorycznym tonem: - Rób co ci każę albo zginiesz. Rozumiesz?

- Taak, rozumię.

W jego głosie rozpoznała irlandzki akcent. Być może był to jakiś tutejszy najemnik. Ale mógł też tylko udawać tutejszego. Lizzie także potrafiła wymawiać słowa z ir-

landzka, choć urodziła się w Bostonie. Był trzydziesto-parolatkiem, wzdłuż dolnej wargi miał szramę po szarpanej ranie, odniesioną zapewne wskutek innego nożowniczego pojedynku.

- Złamałaś mi kolano - poskarżył się.

- Wątpię, czy aż złamałam.

Mimo bólu mówił tonem, w którym nie wyczuwało się lęku, jakby był pewien, że odzyskanie przezeń noża i wykonanie zadania, jakiego się podjął, jest tylko kwestią czasu. Zadaniem było uśmiercenie Keiry Sullivan.

Keira zapowiedziała:

- Przeszukam go, sprawdzę, czy nie ma jeszcze innej broni.

Lizzie skinęła głową. Keira przyklękła i przeszukała mężczyznę od stóp do głów z dokładnością, która Lizzie bynajmniej nie zaskoczyła.

Wuj był w Bostonie agentem wydziału zabójstw, a sama Keira jeszcze w czerwcu stawiała skuteczny opór zabójcy. W trakcie przeszukania znalazła przy powalonym napastniku jeszcze jeden rzeźnicki nóż.

Lizzie, nie spuszczając wzroku z mężczyzny, analizowała sytuację. Jak widać, Norman się nie ościagał. Już działał. Czy sprecyzował, co chce począć z kobietą, którą kocha Simon? Jaką śmierć jej przeznaczył?

Uznała, że Norman z całą pewnością będzie nadal kontrolował przebieg wydarzeń. Czy przystąpił już do rozprawy z Simonem w Bostonie? I z Johnem Marchem? A z kim jeszcze zechce się porachować?

Zwiększyła nieco nacisk ostrza na szyję napastnika i zapytała go:

- Człowiek, który cię nasłał na Keirę, nie poprzestanie na niej. Kto jest następny na liście?



- Nic nie wiem - wykrztusił, oddychając z trudem.  
- Kolego, masz być ze mną szczery - zagroziła. - Kto jest następny?  
Poruszył się, usiłując złagodzić nacisk ostrza na szyję, i odpowiedział:  
- To nie ma znaczenia. Spóźniłaś się. Nie mogę zatrzymać tego, co ma się stać. Ty też nie możesz.

- Nie o to cię pytałam.

Ostrożnie wypluł grudkę ziemi i oznajmił: - Idź do diabła. Nie będę odpowiadał na żadne twoje pytania. Blefował w starciu z nią.

Usłyszała dobiegające spoza kamiennego kręgu głucho, groźne szczekanie psa, które nie brzmiało tak, jakby wydawał je z siebie spaniel Eddiego. Do Lizzie i napastnika podeszła Keira z odebranim mu nożem w rękę i wielkim, czarnym psem u boku. Oboje stanęli w polu widzenia Irlandczyka, który popatrywał na psa z widocznym strachem. Nóż przyłożony do gardła nie wzbudzał w nim lęku, natomiast pies nappełniał go prawdziwym przerażeniem. Keira zwróciła się do niego spokojnym tonem:

- Odpowiedz tej pani na pytania, a ja uspokoję psa. On wyczuwa, że stanowisz zagrożenie dla nas obu.

Mężczyzna obliznął spieczoną wargę: - Nie lubię psów.

- No to mi odpowiedz. Kto jest następny?

Przez chwilę jeszcze się ociągał. W końcu powiedział:

- Córka dyrektora FBI.

- Abigail - westchnęła Keira i wpatrzyła się w Lizzie przerażonym wzrokiem - Abigail Browning. Detektyw wydziału zabójstw w Bostonie. Lizzie również znała Abigail, owdowiałą córkę Johna Marcha, ale całą uwagę skupiła na nadzorowaniu Irlandczyka.

- Jak zaplanowano to zabójstwo?

Deszcz osłabł, ale Lizzie czuła wilgoć przenikającą całe ciało przez odzież i bieliznę. - No, mów - ponagliła

go- Nie mogę. Zabiją mnie.

Pies zawarczał groźnie i podsunął się bliżej głazu, spuszczać łeb, gotów w każdej chwili zaatakować leżącego.

- Bomba - wyszeptał Irlandczyk zdławionym głosem, przymykając oczy, ale natychmiast je otworzył. Nie spuszczał psa z oka ani na chwilę.

- Gdzie?

- Na kuchennym ganku.

- Na którym piętrze?

Keira z wrażenia wstrzymała oddech, ale Lizzie nie miała czasu tłumaczyć jej, skąd wiedziała, że Abigail Browning mieszka na parterze dwupiętrowego budynku w osiedlu Jamaica Plain, zamieszkałym jeszcze przez dwie inne rodziny bostońskich policjantów, w tym przez Boba O'Reilly'ego, wuja Keiry. Napastnik nie odpowiedział.

- Mów zaraz - nalegała Lizzie.

Pies odsłonił zęby, krople śliny kapały mu z pyska, Irlandczyk wyraźnie zwijał się ze strachu. Z pewnością nie należał do miłośników psów.

W końcu wykrztusił: - Na parterze. Przy mieszkaniu Abigail Browning.

- Kiedy ma wybuchnąć?

Odwrócił się od psa i spojrzał na Lizzie: - Teraz.

Odczuła prawdziwy szok: on nie kłamał. Wizja psa rozrywającego mu wnętrzności na strzępy i jej samej podrzynającej mu gardło nasunęła jej myśl, że absolutnie nie ryzykuje zawierzenia kłamstwu. Kiedy

miała czternaście lat, ojciec wytłumaczył jej, że nic bardziej nie motywuje mężczyzny do działania niż lęk przed wykrwawieniem się.

- Musimy zatelefonować do Bostonu - powiedziała Keira.

Lizzie potaknęła skinieniem głowy, ale nagle jej tętno przyspieszyło gwałtownie: dostrzegła wysokiego mężczyznę zmierzającego w ich kierunku przez pastwisko. Will Davenport. Zobaczyła go także Keira i zawołała w jego stronę: - Will! Podłożyli bombę - muszę ostrzec Abigail! Natychmiast zorientował się w sytuacji: - W porządku. Dzwonię do niej - jego głos był całkowicie opanowany. - Podaj mi numer.

- Nie znam go na pamięć. Mam w notesie, w dworku.

- A pamiętasz numer twojego wuja? Potwierdziła skinieniem głowy i dodała: - Będzie

lepiej, jeśli ja zadzwonię.

Podał swą komórkę. Łzy stanęły jej w oczach, ale palce bezbłędnie wyszukiwały odpowiednie cyfry. - Jeśli oni są tam wszyscy - myślała na głos - jeśli Abigail wyszła na ganek...

Will przykucnął obok Lizzie i położył rękę na jej dłoni, w której trzymała nóż przytknięty do gardła Irlandczyka. Jego dłoń była silna i ciepła. Ich oczy się spotkały: - Ja się nim już zajmę - powiedział. - Ty dopomóż Keirze.

Lizzie nie odstępowała mu jednak noża.

- A skąd mam wiedzieć, że nie zamierzasz wziąć tego noża ode mnie po to, by zadźgać nas obie?

- Nie potrzebowałbym do tego celu twojego noża. Bo i tak było. Lizzie wysunęła swą dłoń spod jego.

- Mam w plecaku linki do namiotu. Możemy związać nimi ręce temu osobnikowi.

- Nie wyobrażałem sobie, że pomyślisz o wszystkim
  - powiedział i wyjął nóż z jej ręki, nie odrywając go od szyi pojmanego. Deszcz spływał po twarzy Keiry, rozmawiającej przez telefon z wujem w Bostonie. - Bob? Dzięki Bogu, jesteś! Lizzie wstała z klęczek i lekko się zachwiała.
  - Twoja rodzina i przyjaciele są w niebezpieczeństwie!
- Lizzie wyjęła słuchawkę z rąk Keiry i rzuciła zwięźle:
- Proszę słuchać. Proszę natychmiast zabezpieczyć zagrożonych.
  - Co to znaczy, u diabła? - odkrzyknął O'Reilly.
  - Na ganku Abigail zostanie zdetonowana bomba!
- W następnej sekundzie Lizzie usłyszała, jak rozkazuje: - Kryć się, kryć się! Scoop, Abigail, Fiona, kryjcie się!
- W telefonie rozległ się głośny trzask, po nim zadudniła eksplozja.
- Poruczniku! Połączenie zostało zerwane.

## **ROZDZIAŁ PIĄTY**

*Boston, stan Massachusetts 2:37po południu czasu lokalnego 25 sierpnia*

Dwie niemal równoczesne eksplozje wstrząsnęły dwupiętrowym budynkiem. Podmuch przewrócił Boba O'Reilly'ego na ziemię. Upadł na lewy bok, z rozrzuconymi rękoma i nogami. Telefon komórkowy wyśliznął mu się z dłoni. Stłukł sobie łokieć, ale poza tym nie odczuwał żadnego bólu.

Najpierw ukląkł, a dopiero potem wstał. Szumiało mu w uszach, serce waliło jak młotem. Podszedł do kuchennych drzwi, otworzył je na oścież i wyszedł na zewnątrz, by zaczerpnąć powietrza. Stapał po chrzęszczącym pod jego stopami, potłuczonym szkle, w którym tkwiły także odłamki metalu.

- Fiona! - krzyknął w stronę dolnej galeryjki ganku. - Scoop! - zawołał w stronę górnej.

Scoop Wisdom, funkcjonariusz wydziału śledczego, mieszkał na piętrze nad nim. Fiona przebywała właśnie

w należącej do Scoopa części ogródka, gdzie zbierała mu pomidory. Była najstarszą z trzech córek Boba. Czy usłyszą jego okrzyki?

- Tato! Tatusiu!

Fiona odkrzyknęła, a więc mogła mówić. Jego dziecko żyło. Uchwycił się poręczy balkonu i wychylił, próbując przebić wzrokiem tuman czarnego dymu kotłujący się w mieszkaniu pod nim.

- Wychodź stamtąd, Fi! Schodzę do ciebie! - Jego głos brzmiał skrzekliwie i niepewnie.

- Scoop! Scoop! O mój Boże! - Głos Fiony również łamał się i dławił. Dalsze słowa przez nią wykrzykiwane były niezrozumiałe.

Bob próbował nie ulec jej strachowi i wyczuwalnemu załamaniu nerwowemu. Dostrzegł języki ognia wspinające się na piętro ku jej gankowi, nie mógł więc już zbiec kuchennymi schodami. Wrócił do kuchni i wyjął małą gaśnicę, prezent gwiazdkowy od swej najmłodszej córki Jayne, która postanowiła wyposażyć ojca we wszystko, co może być potrzebne w razie jakiejś katastrofy. Keira przebywała w Irlandii. Skąd dowiedziała się o bombie podłożonej na ganku mieszkania Abigail? Umieścił gaśnicę pod pachą i ruszył w stronę hallu i frontowych drzwi. Na klatce schodowej nie było dymu. To dobrze. Ale czy nie ma jeszcze jednej bomby gotowej do zdetonowania? Wyjął telefon komórkowy i wybrał numer 911, schodząc jednocześnie po schodach. Zgłosił się dyżurny, Bob przedstawił mu się, podał adres i nakreślił zwięźle sytuację: zamach bombowy, pożar, możliwe, że są ranni. - Obawiam się, że ofiarą stał się policjant, który wrócił do domu po służbie. Detektyw, sierżant Cyrus „Scoop” Wisdom. Przebywał w ogródku wraz z moją dziewiętnastoletnią córką, Fioną O'Reilly.

- A gdzie pan się znajduje?

- Na parterze. Wewnątrz domu. Szukam innego agenta po służbie, Abigail Browning.

Drzwi do jej mieszkania były uchylone, co upewniło Boba, że Abigail wyszła. Cofnął się i poszedł na chodnik przed domem, gdzie spodziewał się zobaczyć Abigail. Owen, który mieszkał wraz z nią, wyszedł z domu wcześniej, Bob słyszał śmiechy jego i swej córki dobiegające jakiś czas temu z ulicy. Jej wóz stał przed domem, ale Abigail nie było.

Uzupełnił dyżurnemu opis sytuacji: - Być może Abigail próbuje pomóc Scoopowi i Fi wydostać się z tylnej części mieszkania. To tam wybuchł pożar.

- Proszę znaleźć sobie jakieś bezpieczne miejsce i tam poczekać - poradził dyżurny.

- Jestem oficerem policji - odpowiedział. - Wiem, jak się powinienem zachować. Proszę decyzje pozostawić mnie. Powiadomię pana o tym, co stwierdzę.

- Panie poruczniku, powinien pan poczekać na pomoc... - dyżurny trwał przy swoim.

- Ja jej udzielam.

- Może nastąpić kolejna eksplozja. Jeśli w mieszkaniu córki jest butla gazowa...

- Jest. Ta druga eksplozja była z pewnością spowodowana jej wybuchem.

- No to rozumie pan potrzebę, by pozostać tam, gdzie się pan teraz znajduje.

Dyżurny miał oczywiście rację, ale Bob otworzył drzwi do wąskiego korytarzyka łączącego ich budynek z sąsiednim. Dym przegryzał łagodne powietrze późnego lata i dławił mu oddech. Bob zaniósł się kaszlem, ale usłyszał okrzyk: - Tato! Ratuj mnie!

Fiona musiała być głęboko przerażona, skoro nazwała

go „tata”. Nie używała tej formy, od kiedy ukończyła dziesięć lat. Teraz na uniwersytecie bostońskim zaliczyła już drugi rok studiów i oto, co ją spotyka: zamach bombowy na mieszkanie siostry. Nie zasłużyła na to. Włożył komórkę do kieszeni spodni i wykrzyknął w głąb mieszkania:

- Nie przestawaj do mnie mówić, dziecinko! Gdzie jesteś?

Zanim zobaczył pomarańczowo-bordowy żar na ganku mieszkania Abigail, poczuł uderzenie fali gorąca. Jeden wspornik ganku już spłonął, drugi właśnie ogarniały płomienie, wspinając się ku gankowi na piętrze tak szybko, jakby komenderował nimi szatan. Zbliżenie się do tego piekielnego ognia było śmiertelnie niebezpieczne, ale Bob, nie zważając na nic, wypatrywał Abigail przedzierającej się przez żywioł lub też Fiony i Scoopa, zmagających się z kłębamii dymu na podwórczku z tyłu domu.

- Fiona, gdzie jesteś?

Okrzyki rozdzierały mu bólem zaschnięte z przerażenia gardło. Gaśnica nie byłaby w stanie uporać się z tak rozbuchanym ogniem, ale nie odrzucał jej na wypadek kolejnej eksplozji czy też jakichś mniejszych płomieni. Zadarł na sobie koszulkę polo, zasłaniając usta i nos, i brnął ku stołowi na ganku, przy którym spędzali tyle miłych godzin w okresie krótkiego bostońskiego lata. Podmuch wywołany eksplozją powygiął plastikowe krzeselka, ale dwa solidne foteliki kupione u stolarza w górach Adirondack oparły się katastrofie.

- Fiona! Scoop! Abigail! Odezwijcie się!

- Tu jesteśmy - usłyszał głos Fiony, już nieco mniej rozhisteryzowany. - Schowaliśmy się za pojemnikiem z kompostem. Nie mogę się poruszyć.



- Dlaczego?

- Scoop...

Bob jednym skokiem przedarł się przez grządkę fasoli w głąb warzywnika stanowiącego przedmiot szczególnej dumy Scoopa. Jakiś jęk dobiegł Boba zza pojemnika na kompost, z drugiej części ogródka. Bob przeskoczył przez zagon pomidorów i kalafiorów. Scoop zrobił pojemnik na kompost i napełniał go tym, co nazywał „materiałem organicznym”. A także robakami. Zamówił je z katalogu i zakazał Bobowi informowania o nich Fiony, ponieważ polubiła „kompostowanie” i nie powinna się dowiedzieć o robakach, które w nim uczestniczyły. Za zagonem kalafiorów Bob pozwolił już, by skraj koszulki polo wysliznęła mu się z ust, i w tej samej chwili dojrzał stopę Scoopa wystającą nad krawędź pojemnika. Nie poruszała się.

- Tatusiu... nie mogę tego... tatusiu...

Spoza pojemnika dochodziło pochlipywanie Fiony. - Scoop nie może umrzeć...

- On nie umarł - Bob pocieszył córkę, wcale nie będąc pewny, czy się nie myli. Ale to zapewnienie powinno być prawdziwe. Scoop uprawiał boks, zapasy, był silnie umięśnionym, reprezentacyjnym policjantem.

Przygotowując się na najgorsze, Bob wziął głęboki oddech i zajrzał za pojemnik na kompost.

Scoop leżał na kolanach Fiony twarzą zwróconą w dół. Ona w pozycji półsiedzącej wciśnięta była ciężarem jego bezwładnego ciała w ściankę pojemnika. Oplatała go ramionami pokrytymi plamami krzepnącej krwi.

Bob dostrzegł, że w większości nie była to jej krew.

Spojrzała na ojca szeroko otwartymi, niebieskimi oczyma - te ogromne oczy ujrzał najpierw, kiedy mu ją

pokazano zaraz po urodzeniu. Po jej bladych policzkach spływały łzy mieszające się z krwią.

- Fi - powiedział, z trudem powstrzymując łkanie -jak się czujesz? Czy jesteś ranna?

- Trochę pokaleczona. Ja... tato!... Zakrztusiła się, nie mogła opanować szczękania zębami. Z przygryzionych warg broczyła jej krew. Wyduсила w końcu z siebie:

- Scoop... On mnie ocalił. Uratował mi życie. Odłamki bomby albo też wyrwane podmuchem fragmenty obudowy ganku poraniły Scoopowi plecy, ramiona i nogi. Koszulę miał podartą na pokrwawione strzępy. Z karku, tuż pod linią włosów, wystawał kawałek wbitego metalu. Metalowe drzazgi tkwiły też w lewym ramieniu oraz w nodze, poniżej skraju szortów.

Bob przyklęknął przy nim i wymacał tętno w przegubie dłoni.

Wykrzyknął radośnie: - Fi, on żyje!

Zacisnęła dłoń, którą go uchwyciła. Spomiędzy jej palców kapłała krew.

Spytała: - Co to było?

- Ekspłodowała bomba. Strażacy i ratownicy już są w drodze, za chwilę tu będą. Nie ruszaj się, dobrze?

- Czekał na jej aprobujący uśmiech. - Nie będziesz się poruszała?

Scoop westchnął i drgnął, próbując zmienić położenie swego ciała. Bob dodał: - Scoop, ty się też nie poruszaj.

Większość krwi pochodziła z zewnętrznych okaleczeń, podmuch zdawał się wycisnąć ją z rannego, ale Bob nie miał złudzeń. Scoop był potężnie zbudowanym mężczyzną, nawet pokryty ranami, prezentował się jak dzielny policjant, jednak jeśli dotychczas nie odczuwał bólu, poczuje go wkrótce ze zdwojoną mocą.

Bob wahał się przez chwilę, ale wiedział, że musi zadać to pytanie: - Czy przed wybuchem... widzieliście Abigail?

Fiona jeszcze bardziej zbladła: - Zadzwoił telefon. Ona...

- Spokojnie, Fi. Musisz się opanować.

Sam z trudem panował nad panicznym lękiem, ale dodał: - Spróbujesz?

- Podeszła, by odebrać połączenie.

- Kiedy?

- Na chwilę przed eksplozją.

Fiona wypowiedziała te słowa z zamkniętymi oczyma, spod jej powiek wciąż wypływały łzy. Ciągnęła:

- Nie pamiętam, jak długa była ta chwila. Minuta?

- Nagle otworzyła oczy i wyszeptała: - Tatusiu, będę wymiotować.

Bob pokręcił głową: - Nie możesz. Nie możesz zwymiotować na Scoopa.

Czy Bob niewłaściwie zrozumiał widok uchylonych drzwi? Czy mogło być tak, że Abigail nie uciekała przed płomieniami, lecz ktoś wszedł do środka domu po nią? I dlaczego? Po co? Dotknął palcem policzka Fiony i poczuł jego zimno. Powiedział uspokajającym tonem:

- Pomoc zaraz nadejdzie. Nie można poruszyć Scoopa. To zbyt niebezpieczne.

- Zostanę przy nim.

• Potaknął skinieniem głowy: - W porządku. Pożar tutaj nie dotrze. Rób, co możesz, by Scoop się nie ruszał, to uniknie powiększania i rozdrażniania ran. To by zwiększyło krwawienie. Ty też się nie poruszaj. Być może też jesteś ranna, tylko jeszcze o tym nie wiesz.

- Nie jestem ranna, tato, i wiem, jak się udziela pierwszej pomocy.

Zabrał dłoń z jej policzka. Zawsze była wytrwała i silna.

- Zostań więc tutaj, dziecinko. Nie pozwolę, by ci się coś stało.

- Czy już do tego nie doszło? - Przygryzła dolną wargę: - Będziesz szukał Abigail, prawda?

Abigail. Zapanował nad lękiem i odrzekł: - Tak.

- W porządku, tato - uśmiechnęła się nieśmiało. - Możesz na mnie polegać.

Zakłuło go w sercu. Nie chciał jej pozostawiać samej, ale i dla niej, i dla Scoopa lepsze było pozostanie na miejscu, niż przedzieranie się przez płomień do ulicy. A on musi odnaleźć Abigail. Bob ułożył gaśnicę przy skrzynce na kompost i wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy.

- Nie wiem, co do was dotarło - powiedział do dyżurnego - ale może pan porozmawiać z moją córką. -Zwrócił się do niej: -Na linii jest dyżurny spod numeru 911. On ci przyśle pomoc. Wykonuj jego polecenia.

Skinęła głową i wzięła komórkę z jego rąk.

Bob spojrzał w stronę domu. W ogniu stała już weranda na piętrze Scoopa. Budynek miał sto lat. Bob widywał już pożary trawiące takie konstrukcje. Strażacy powinni się spieszyć, jeśli ten budynek ma być uratowany.

Przebiegł przez warzywnik i podwórko. Było gorąco. Pot zalewał mu twarz, tors, plecy, nasączał całą odzież. Piekły łzawiące oczy. Usłyszał syreny, wozy strażackie były już chyba przy sąsiednim budynku. Ale Bob nie mógł czekać - przebiegł przez ulicę długimi skokami.

Kłęby czarnego dymu buchały z mieszkania Abigail. Zasłaniając sobie twarz dolną częścią koszulki polo, wdarł się do środka. W bawialni - żadnych śladów Abigail. Podobnie w jadalni.

Dym stawał się coraz bardziej gryzący. Pożar się szybko rozprzestrzeniał. Bobowi nie udało się już zajrzeć do kuchni ani do sypialni w tylnej części

mieszkania. Zaczęła go dławić sadza. Kolana się pod nim uginały, ale był pewien, że zdoła utrzymać się na nogach. Miał pięćdziesiąt lat i był w dobrej formie. Zdusił w sobie lęk i skupił myśli na tym, co ma do zrobienia. Przenieść Fionę i Scoopa z podwórza i powierzyć ratownikom. Odnaleźć Abigail. Ująć zbrodniarza, który dokonał zamachu bombowego na jej ganku. Nie ulegało wątpliwości, że pożar nie wybuchł przypadkiem. Keira i ta druga kobieta w Irlandii miały rację - to był zamach bombowy.

Z obu jego stron pojawili się nagle strażacy, ujęli go pod pachy i wyprowadzili na podwórko. Wyrwał się im, kiedy tylko znaleźli się na zewnątrz.

- Na tylnym podwórku przebywa funkcj onariusz policji, który odpoczywał po służbie, i moja córka - powiadomił ich. - On jest ciężko poraniony. Ona nie. Skryli się za pojemnikiem na kompost. Scoop i Fiona. To ich imiona.

Strażacy odeszli bez słowa. Kolejni wylaniali się z wozów strażackich i włączali do akcji. Zjawili się też ratownicy medyczni i dwa policyjne radiowozy. Bob spojrzął na budynek. I on, i Scoop, i Abigail będą musieli poszukać sobie dachu nad głową.

Z nieoznakowanego auta policyjnego wysiadł Tom Yarborough, partner Abigail, playboy korzystający z czyjejś wysokiej protekcji, i podszedł do budynku. Bob zmusił się do myślenia. FBI, ATF - antyterrorysty, wydział zabójstw - cały świat się tym interesuje.

Z sąsiednich domów wylegli mieszkańcy, by zobaczyć, co się dzieje i czy mogą w czymś pomóc, a także czy pożar się nie rozszerza i nie zagraża ich bezpieczeństwu. Yarborough, już wczuwający się w rolę, zwrócił się do niepoinformowanych funkcjonariuszy: - Trzymajcie tych ludzi z dala. Na widok Boba dodał: - Wszystko w porządku?

- Tak - odparł Bob i skierował jego uwagę na Scoopa i Fionę. - Powrócili tam strażacy.

- Co spowodowało pożar? - spytał Yarborough.

- Na ganku Abigail wybuchła bomba. Yarborough nie zareagował na tę informację. - Gdzie

ona jest? - spytał.

- Zaginęła.

- A co z Owenem?

Bob potrząsnął głową: - Nie było go tutaj.

- Czy może być celem następnego ataku? Co...

- Do diabła - przerwał mu Bob. - Muszę go ostrzec. Daj mi swoją komórkę.

Yarborough podał mu efektowny, drogi aparat komórkowy, który Bob natychmiast ubrudził sadzą, potem i krwią.

- Bob - sarknął Yarborough - panie poruczniku, ja mogę wybrać numer...

- Nie znam numeru - odparsknął. - Wszystkie numery Abigail i Owena powinienem mieć w pamięci. Mają ich mnóstwo. O, tu jest numer komórki, Beacon Street, Teksas, Maine. Mają szczęście. Powinienem znać ich numery.

- Numer Owena jest w mojej książce adresowej. Bob rzucił mu kose spojrzenie: - W czym? Yarborough wyciągnął rękę po swoją komórkę.

- Bob, pozwól, ja cię połączę.

Nacisnął kilka guzików i zwrócił aparat Bobowi. Owen odezwał się po pierwszym sygnale: - Hej, Tomie.

- Mówi Bob.

Odbył w czasie swej służby blisko trzydzieści tysięcy przykrych rozmów telefonicznych, a teraz oto głos mu się łamał. Spytał: - Gdzie jesteś?

- Na Beacon Street. - W głos Owena wkradła się nutka zaniepokojenia: -  
Co się dzieje? Gdzie jest Abigail?

- Czy jesteś bezpieczny?

- Odpowiedz mi, Bobie, co się stało?

- Nie wiem. Jestem w domu. Jej tu nie ma. Wybuchł pożar.

Nie chciał się wdawać w szczegóły. Powiedział stanowczo: - Słuchaj uważnie. Posyłam tam Yarborougha. On sprawdzi sytuację. A ty natychmiast musisz opuścić swój dom.

- Podłożono ogień, tak?

- Zdetonowano bombę, Owen. Ruszaj natychmiast. Abigail pochodzi z naszego miasta. Odnajdziemy ją.

Ale Owen, były wojskowy, był jednym z najlepszych na świecie ekspertów od poszukiwań. Był szefem Fast Rescue, przywróconej do działania organizacji dobroczynnej, zajmującej się natychmiastowym udzielaniem pomocy ofiarom wszelkich katastrof i kataklizmów. Sądził, że on również powinien wziąć udział w poszukiwaniach. Bob nie był tego pewien: - Wiesz, że to całkiem inna sprawa. Nie jedna z takich, którymi się zajmujecie...

- Będę z tobą w kontakcie.

I rozłączył się. Bob nawet nie próbował ponownie się z nim połączyć. Owen by nie odebrał. Usunął wszystkich z będącego własnością jego rodziny gmachu Federal Period przy Beacon Street i zainstalował tam biura swej fundacji. A teraz zabrał się za poszukiwania Abigail.

- Jadę tam - oznajmił Yarborough.

- Mogli podłożyć bombę także w dyrekcji Fast Rescue w Austin oraz w jej akademii na wyspie Mount Desert. Jeśli przebywają tam ludzie...

Yarborough skinął głową i ruszył w stronę swego wozu. Sam sobie wydawał polecenia. Była to jedyna jego zaleta.

Kiedy Bob poszukiwał numeru Abigail w komórce Yarborougha, stwierdził, że już nie drżą mu ręce. Znalazł i wybrał ten numer. Zaraz po pierwszym sygnale włączyła się poczta głosowa. Poczekał na sygnał o rozpoczęciu nagrania i powiedział: - Tu Bob. Zadzwoń do mnie.

Podszedł do niego jakiś młodziutki, nieorientowany w sprawie policjant i z wyraźnym onieśmieleniem powiedział: - Panie poruczniku, powinien się pan odprężyć. Może by pan usiadł...

- Może?

Policjant uśmiechnął się i powtórzył: - Powinien pan usiąść.

- To rzecz pewna, a nie tylko możliwa. Ale teraz proszę mi w czymś pomóc. Muszę wrócić do córki. Proszę powstrzymać strażaków, by mnie nie zmiotli wodą z sikawek.

- Panie poruczniku, powinien pan odpocząć.

- Proszę się ze mną nie spierać.

Młodemu człowiekowi pociemniała twarz: - Nie, nie spieram się z panem. Mówię tylko, że powinien się pan cofnąć i umożliwić działanie strażakom.

W Bobie narastała irytacja. Wybuchnął szyderyczym śmiechem, po czym zaniósł się kaszlem. Zaczął przesuwając jakiś wielki czarny głaz na skraj chodnika. Kiedy rozprostował plecy, miał wrażenie, że się rozpląca. A gdyby do tego doszło, musiałby przejść na emeryturę i kupić sobie dom na Florydzie, w sąsiedztwie krewniaków, bo jako gliniarz byłby skończony.

Policjant przypatrywał mu się zatroskanym wzrokiem: - Panie poruczniku...



Bob odzyskał spokój i wskazał ciemną, wilgotną jeszcze, plamę na krawężniku, o jakiś metr od miejsca, gdzie się znajdowali: - O, to tam. Proszę sprawdzić, co to. Wygląda jak krew, prawda?

- Zabezpieczę pasami cały ten teren - odpowiedział policjant zduszonym głosem.

Bob podszedł do plamy, by przyjrzeć jej się z bliska. Wyglądała jak plama krwi. - Abigail nie wyszła na spacer - powiedział sam do siebie.

- Ja też tak myślę, panie poruczniku.

Bob wyprostował się: - Co myślisz, synku?

Policjant spłonął rumieńcem, ale wypowiedział swe przypuszczenie śmiałym tonem: - Wszystko wskazuje na to, że detektyw Abigail została uprowadzona.

- Taak... też tak przypuszczam.

Bob przetarł sobie twarz dłonią. To stwierdzenie przygniotło go swym ciężarem.

W ulicę skręcała właśnie kolumna lśniących czarnych SUV-ów.

- Agenci federalni - stwierdził policjant. - Skąd się tu wzięli tak szybko?

- Ojciec Abigail jest w mieście.

- Dyrektor FBI? Tego nam tylko potrzeba! SUV-y zatrzymały się za wozami strażackimi. Bob

uświadomił sobie, że nie może zwlekać ani chwili, jeśli chce uniknąć spotkania z FBI. Nie miał już gdzie się ukryć. - Plama! - powiedział młodemu policjantowi.

Ten skoczył natychmiast w stronę swego radiowozu, w którym siedziała jego partnerka wyglądająca na równie jak on niedoświadczoną.

Ze środkowego SUV-a wysiadł Simon Cahill. Był wprawdzie zakochany w bratanicy Boba, Keirze, ale w tej chwili był dla niego tylko agentem FBI.

SUV-y ruszyły, ale zaraz się zatrzymały. Tym razem z jednego z nich wysiadł John March. Jego stalowoszara fryzura i szary garnitur były nienaganne mimo panującego upału. Kiedy Bob był w policji nowicjuszem, March był początkującym detektywem. W tej chwili March miał pod sobą milion szeregowych funkcjonariuszy, ale jego oczy, równie czarne jak oczy córki, były pełne bólu. Bob go rozumiał. March wyskoczył z SUV-a nie dlatego, że był dyrektorem FBI, ale dlatego, że był ojcem Abigail.

Pierwszy do chodnika podszedł Simon. - Bob, co się tu dzieje? - spytał. Bobowi zaschło w ustach, oczy jarzyły się gniewnym blaskiem, w gardle go paliło. Spojrzał w niebo i zebrał się w sobie. Nie było wyjścia, musiał opowiedzieć Simonowi i Marchowi o wybuchu bomby.

- Teraz poszukujemy Abigail. - Starał się nadać swemu głosowi jak najbardziej rzeczowe brzmienie. - Strażacy przeszukują jej mieszkanie - ciągnął swe sprawozdanie - ale ja byłem w jego wnętrzu i nie znalazłem jej tam. Drzwi do jej mieszkania i główne drzwi do klatki schodowej były po wybuchu otwarte.

- Jej samochód stoi przed domem - dodał March.

- Otaczamy pasami cały teren, sprawdzamy samochody. Gdyby uległa jakiejś kontuzji w wyniku eksplozji, zwróciłaby się do kogoś z sąsiedztwa.

Simon odsunął się, by przepuścić kolejnych strażaków, i spytał: - A co z Owenem?

Bob potrząsnął głową: - Jest na Beacon Street. Yarbo-rough tam się udał. A co wy dwaj zamierzacie tu robić?

Simon odpowiedział mu spokojnie: - Przed godziną zadzwoniła do nas Abigail i poprosiła o spotkanie. Nie podała przyczyny.

Bob również jej nie znał, ale nasunęło mu się pewne przypuszczenie. Na początku lata dowiedziała się, że jej ojciec sprawuje nieomal ojcowską pieczę nad Simonem Cahillem, który przed dwudziestu laty stracił ojca w wyniku egzekucyjnego niemal mordu, jakiego dokonano na tym agencie DEA. Chciała poznać bliżej tło i okoliczności tej sprawy i dlatego zamierzała wypytać ich o nią. I właśnie zanim się spotkali, wybuchła ta bomba.

Stał za tym także Norman Estabrook i jego groźby kierowane pod adresem Simona i jej ojca, a także seryjny morderca, którego schwytali Simon i Keira w czerwcu, oraz tuzin brudnych spraw, które tropiła Abigail. Zanim Bob zdążył je sobie przypomnieć, pojawił się młody policjant, poblady na twarzy z przejęciem: - Panie poruczniku... ja właśnie...

March obrócił się w jego stronę ze słowami: - Spokojnie, młody człowieku. Zamelduj spokojnie, co miałeś do zakomunikowania. Nie patrząc w oczy szefowi FBI, jakby lękając się, że spłonie od skrzyżowania z nim wzroku, młody funkcjonariusz policji oznajmił: - Właśnie rozmawiałem z detektywem Yarboroughem. Owen Garrison chciał tutaj przybyć, podszedł więc do swego auta. Najpierw je sprawdził i...

- I znalazł bombę? - podpowiedział Bob.

Młody policjant przytaknął: - Tak, panie poruczniku. Bomba była już uruchomiona, ale pan Garrison rozbroił ją sam.

- Własnymi rękoma - uzupełnił Bob, wzdychając. Simon i March milczeli, ale podobnie jak Bob zdawali sobie sprawę, że Owen znał sposoby rozbijania wielu rodzajów bomb. Ta umieszczona w jego wozie otwierała nową serię podejmowanych działań. Ile jeszcze bomb

uda się unieszkodliwić? Kto je podkłada? Kiedy? Dlaczego?

Dzień zaczynał się dłużyć. Bob chciał teraz porozmawiać ze Scoopem i swą córką, ale czekała go jeszcze jedna zła wiadomość. Zwrócił się do Simona: - Keira dzwoniła z Irlandii.

- Dlaczego? - spytał Boba.

- Wraz z jakąś inną kobietą dzwoniły, by mnie ostrzec przed bombą podłożoną na ganku Abigail.

## **ROZDZIAŁ SZÓSTY**

*Półwysep Beara, Irlandia południowo-zachodnia 8:05 wieczorem czasu lokalnego 25 sierpnia*

Lizzie skrepowała Irlandczykowi ręce linkami do namiotu. Poprowadzili go do wioski - Will maszerował po jego lewej stronie, Lizzie po prawej; Keira szła z tyłu, za nimi. Czarny pies myszkował na poboczach drogi, pod murem.

- Idź spokojnie - Lizzie przestrzegła Irlandczyka - bo cię poszczujemy psem.

Spojrzał na nią martwym Wzrokiem: - Idę spokojnie.

Kiedy doszli do wioski, pies zniknął nagle między wzgórzami.

Lizzie obejrzała się za siebie - Keira wytrwale próbowała się połączyć z wujem w Bostonie, ale jej się to nie udawało. Lizzie próbowała ją pocieszać: - Nie załamuj się. Nadal jest nadzieja.

Ale obie dobrze zdawały sobie sprawę z dramatyzmu sytuacji, w której znajdował się Bob O'Reilly w dwu-

piętrowym domu, w którym zdetonowano bombę. Wszystko zależało od przysłowiowego łutu szczęścia, a także od odporności fizycznej i wyszkolenia Boba.

Wróżki dały znać o sobie. Lizzie wiedziała, że maczały palce w tym, co się zdarzyło w kamiennym kręgu. Lizzie i Keira stawiały opór Irlandczykowi i ocalały się, ale to czarny pies przymusił go do wyjawienia im planu zamachu bombowego w Bostonie. Wszystko to było bardzo dziwne.

Dla Lizzie nie ulegało wątpliwości, że to Norman Estabrook zlecił zaatakowanie Keiry i zamach bombowy w Bostonie. Celem tych akcji były nowa ukochana Simona oraz córka Johna Marcha. Ale to był dopiero początek.

Nagle wyłonili się z mroku i stanęli na ścieżce trzech mężczyzn w wełnianych czapczkach na głowach. Był to Eddie O'Shea, który swych towarzyszy przedstawił jako braci, Aidana i Patricka. Podeszli do Keiry. Will skinął im głową. Nie odzywał się w ogóle od chwili, w której zerwało się połączenie telefoniczne Keiry z wujem w Bostonie.

Kiedy podeszli do pubu, zobaczyli, że pies Eddiego już ich tam oczekuje. Lokal świecił pustkami, miejscowi rolnicy i rybacy wrócili już na noc do domów. Pies rozłożył się leniwie przed kominkiem.

Will wskazał niedoszłemu mordercy stolik, przy którym uprzednio siedziała Lizzie. W trakcie szamotaniny z Lizzie napastnik zgubił swą narciarską czapczkę. Miał rzadkie, ciemne włosy, niebieskie oczy i - co można było stwierdzić w świetle - był mocno umięśniony. Uświadomiła sobie, że zwycięstwo, jakie nad nim odniosła, było godne uznania.

- Zadzwoń po policję - powiedział najmłodszy z braci O'Shea, Patrick.

- A ja wraz z bratem dopilnuję tego faceta - dodał Aidan, najstarszy z nich.

Keira dołączyła do Lizzie i psa, którzy osuszali się przy ogniu. W pubie było bardzo ciepło, ale Lizzie dostała istnego ataku dreszczy. Schowała zabrany napastnikowi nóż do plecaka i wyciągnęła dłonie ku ogniewi, rozcierając je w promieniującym z kominka ciepłe. Zauważyła krwiste plamy na knykciach i przegubach dłoni, ale nie pamiętała bólu, jaki musiał jej zadać w trakcie zmagania nożownika, poczuła go dopiero teraz. Eddie zaoferował pomoc: - Poproszę Patricka i Aida-na, żeby przygotowali trochę bandażu i lodu.

- Dziękuję, naprawdę nie ma takiej potrzeby - uśmiechnęła się do niego. - Natomiast chętnie przyjąłabym łyk brandy.

Skinął głową, a swemu rodakowi rzucił ostre spojrzenie: - Najmniejszy ruch, a podrzynam ci gardło, zanim zdążysz złapać oddech - ostrzegł.

Irlandczyk spojrzał nań spode łba, ale nie odezwał się ani słowem.

Eddie wszedł za ladę baru i postawił na tacy trzy szklaneczki. Nie spuszczać wzroku ze swych gości, sięgnął po butelkę brandy i napełnił je. Keira wzięła głęboki oddech i odzyskując panowanie nad swymi emocjami, zwróciła się do Willa: - Dlaczego się tu pojawiłeś? Czy rozmawiałeś z Simonem?

- Przedtem. Nie w ciągu ostatnich dwóch godzin. Z twojego dworku dozwoniłem się do Josie, ponownie rozmawiałem z nią w drodze do kamiennego kręgu. Estabrook nie pozostaje już pod nadzorem federalnych władz amerykańskich.

Lizzie wpatrywała się w płomienie. Zdawała sobie sprawę, że Will będzie obserwował jej reakcje.

Keira odpowiedziała spokojnym tonem: - A więc Simon miał rację. Estabrook zawarł z oskarżycielami układ o uwolnieniu spod nadzoru w zamian za współpracę.

- W każdej chwili mogą wznowić procedury dochodzeniowe, jeśli nie dotrzyma warunków umowy - powiedział Will, po czym dodał: - Obawiam się, że w grę może wchodzić coś więcej. Dziś rano wyleciał z rancza w Montanie swym prywatnym samolotem.

- No to nikt nie wie, gdzie jest.

Z włosów Keiry skapywały krople wody i mieszały się na podłodze z wodą spływającą z sierści spaniela. Keira dokończyła swą myśl: - Willu, Norman Estabrook groził śmiercią Simonowi i Johnowi Marchowi.

- Wiem o tym, Keiro. Ale on nie ma bandyckiej przeszłości, mógł więc przy pomocy swych adwokatów przekonać prokuratorów, że wypowiedział te pogrożki w gniewie, nie panując nad nerwami.

- Nie wierzę w to, by miały być czysto „retoryczne”. Lizzie też w to nie wierzyła, ale zachowała milczenie. Will spojrzał na Irlandczyka ze związanymi rękoma,

potem na Kirę. Trudno było się zorientować, co o tym wszystkim myśli.

Po chwili spytał: - Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

- Dziękuję, czuję się dobrze - odpowiedziała Keira, po czym zwróciła się do Lizzie: - Uratowałaś mi życie, a ja nie znam nawet twojego imienia.

Po tym wszystkim, co się wydarzyło przy kamiennym kręgu oraz w Bostonie, a także ze względu na obecność agenta brytyjskiego wywiadu, Lizzie nie miała zamiaru się przedstawiać. Simon by ją poznał, ale go tu nie było, a napad na Keirę i zamach bombowy w Bostonie całkowicie zmieniały sytuację. Lizzie musiała stworzyć



nowy plan. Odeszła od ognia, usuwając się tym sposobem z pola widzenia Willa. Musiała określić swą pozycję, zanim zdecyduje się odsłonić swą tożsamość.

Eddie rozdał im trojgu szklaneczki z brandy. Lizzie sądziła, że podejrzliwość barmana wobec niej zelżała, ale kiedy odwróciła się twarzą ku niemu, pokręcił głową i wpił się w nią wzrokiem. Nadal jej nie ufał. Zwrócił się do Willa: - Powiedziałem Patrickowi i Aidanowi, że idę o zakład, że ten tu czarnowłosy przybysz dobrze wie, jak skosić głowę albo i dwie. I wiedzą, że się nie myliłem.

Keira rozgrzewała sobie dłonie przy ogniu.

- Nie okazałam się zbyt pomocna w walce z nim.
- Spojrzała na Lizzie i dodała: - Ty za to dobrze wiesz, jak sobie radzić z napastnikiem.
- Sprawa adrenaliny - stwierdziła Lizzie.
- To było coś znacznie więcej niż adrenalina.
- Uczestniczyłam w kilku zajęciach ze sztuki obrony
- wyjaśniła. Istotnie, ojciec zaznajamiał ją z tą sztuką, od kiedy ukończyła dwa lata. - Szczęście mi sprzyjało i zaskoczenie dało mi przewagę.

Keira się roześmiała, Will natomiast nie reagował na podejmowane przez Lizzie próby ocieplenia atmosfery panującej między nimi. Blask ognia odbijał mu się w źrenicach, uwypuklając ich złotawe obwódki. Jego opanowanie nie wynikało z nonszalancji - był po prostu bardzo sprawnym, niebezpiecznym wywiadowcą postawionym w stan alarmu.

- Dlaczego nie uciekłaś? - spytała Keira Lizzie
- miałaś przecież taką możliwość. Lizzie się uśmiechnęła:
- To długa historia.

Will sącył brandy ze swej szklaneczki.

- Wykazałaś wysoką sprawność.

- Zmusił mnie do tego maniak biegnący z wyciągniętym nożem.

Lizzie wypła łyżeczek brandy i odstawiła szklaneczkę na stolik. Choć była głęboko przejęta sytuacją, nie uśmiechała się jej bynajmniej perspektywa spędzenia całego wieczoru na popijaniu brandy i rozmowie z irlandzkimi policjantami, którzy mieli się pojawić lada chwila.

Podeszła do człowieka, który napadł na Keirę. Miał związane ręce i nie był w stanie jej zaatakować. Wiedziała jednak, jakie ciosy można wymierzać z pozycji siedzącej i że on może zechcieć poderwać się na nogi, toteż zachowała odpowiednią odległość.

- Nie zaatakowałaś przecież Keiry z własnej inicjatywy. Kto cię nasłał na nią?

Irlandczyk odwrócił od niej głowę. Nawet jeśli nie odpowiadał słowami, język jego ciała przekazywał sygnały i Lizzie, i Willowi Davenportowi. Will miał z pewnością bogatsze doświadczenia w przesłuchiowaniu ludzi, ale i ona знаła podstawowe techniki, z którymi zaznajomił ją ojciec.

- Przecież nie dla kaprysu wybrałaś się do kamiennego kręgu. Kto cię tam posłał?

Irlandczyk odwrócił się do niej tyłem. Nie był już tak zalękniony, jak przy czarnym psie. Odparł sarkastycznie: - A masz kogoś takiego na myśli? Niespodziewany chłód przejął Lizzie dreszczem niemal do szpiku kości, kiedy przypomniła sobie ów czerwcowy wieczór w Las Vegas, na kilka dni przed przybyciem na ranczo w Montanie agentów FBI z nakazem aresztowania Normana.

- Tak, mam - potwierdziła niemal szeptem. Uzmysłowała sobie nagle, że Norman zapragnął unurzać we

krwi nie tylko własne dłonie. Zamierzał wymierzyć zbrodniczą karę ludziom oddalonym o całe tysiące kilometrów, potrzebował więc współników. - Mam kogoś na myśli - powtórzyła. - Pewnego Brytyjczyka. Ma około czterdziestki, jasnobrązowe włosy, szare źrenice. Wzrostu mniej więcej twojego. Niezwykle sprawny.

- Jak miałbym go zapamiętać?

Położyła dłonie na udach i przesunęła je ku kolanom, pochylając się, co sprawiło, że patrzyła mu prosto w oczy. - Jest groźny, ma wdzięk osobisty i skupia się na wytkniętym celu. Zapamiętałbyś go.

- Nie znam nikogo takiego.

Lizzie nie mogła wiedzieć, czy kłamie, ale zdawała sobie sprawę z tego, że Will przypatruje się jej uważnie, asystując jej w niewzruszonym milczeniu. Rysopis jego rodaka najwyraźniej dał mu do myślenia. Może to on sam powinien prowadzić przesłuchanie. Próbowала zapobiec jego włączeniu się w to dochodzenie: - Dlaczego zaatakowałeś Keirę nożem? Dlaczego jej nie zastrzeliłeś? Dlaczego nie wsypałeś trucizny do jej jagodowego ciasteczka?

- Ponieważ odgrywasz seryjnego mordercę - nagle wtrąciła się Keira - prawda?

Odpowiedzią Irlandczyka było odwrócenie głowy.

- Morderstwo według wzoru. Naśladując zachowanie seryjnego mordercy, który się tu pojawił z początkiem lata, chciałeś przekonać policjantów, że to znowu jego robota.

Wypuścił ze świstem przez nos powietrze: - Nikogo nie zraniłem.

- Ale próbowałeś zabić moją przyjaciółkę. - Przy tych słowach podeszła po swą szklaneczkę. - Eddie

i jego bracia rozpoznaliby ciebie, gdybyś był miejscowy. Skąd jesteś? Z Dublina? Z Corku? Z Limerick?

Nie zareagował na żadną z tych nazw.

Will podszedł do Irlandczyka i wsadził dłoń do prawej kieszeni jego kurtki. Powiedział: - Zobaczmy, skąd się wzięłeś.

Wyjął skórzany portfel i wyciągnął z niego kartę kredytową.

- Michael James Murphy. Czy to twoje prawdziwe nazwisko? Mam wrażenie, że tak. Myślał pan, panie Murphy, że wykona pan dziś wieczorem łatwą robotkę?

- Chciałem ją ocalić. Tę tutaj - wskazał głową Keirę, głos mu nieco złagodniał. - Obawiałem się, że ta czarnowłosa wiedźma chce jej wyrządzić krzywdę. Wszystko wytłumaczę policjantom.

Lizzie wytrzeszczyła oczy ze zdziwienia: - A to łgarz!

Irlandczyk ciągnął swoje: - Ty mogłabyś wyprowadzić w pole ich, ale nie mnie. Przedstawię im wszystko tak, jak było.

- Wspaniale. Zrób to. Póki co jednak jesteś tu sam naprzeciw nas wszystkich.

Uśmiechnął się do niej wyrozumiale.

Keira odeszła od kominka z policzkami zaczerwienionymi od ognia, co kontrastowało z bledością reszty jej twarzy.

- Musiał mnie wypatrzeć jeszcze na ścieżce, jak podchodziłam do kamiennego kręgu. - Pociągnęła łyk brandy, trzymając szklaneczkę w obu dłoniach. - Miałam wrażenie, że deszcz ustał na dobre i chciałam się spacerować. Tęsknię za Simonem. Niepokoję się o niego.

Michael Murphy - czy jakkolwiek się ten osobnik

nazywał - poskarżył się na Lizzy: - Rozwaliłaś mi kolano. Boli jak diabli. Nie wyraziła skruchy ani współczucia: - A czego oczekiwałaś, biegnąc do mnie z nożem w rękę?

- Straciłem panowanie nad sobą, spiesząc na pomoc Keirze. Niczym nie zasłużyłem na to, by mnie traktować jak bożonarodzeniowego indyka.

- Niczym? - Lizzie uniosła brwi ze zdziwienia jego bezczelnością. - To się jeszcze okaże - dodała.

Wróciła ze swą szklaneczką brandy do baru i przysiadła na drewnianym stołku. Nagle poczuła się osamotniona. Miała przyjaciół, rodzinę.

Dlaczego prowadziła tu walkę samotnie? Spojrzała na Willa, który, wyraźnie już zdenerwowany, wybierał właśnie numer na swej komórce.

On się skupia na zadaniach pierwszoplanowych. Zabiega o bezpieczeństwo Keiry. Potem zajmie się Lizzie.

Jej wyprawa do Irlandii przebiega zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażała.

Zamiast uniemożliwić Normanowi dokonywanie krwawych aktów zemsty, wpadła w wir wydarzeń będących już w toku. Nie mogła dłużej utrzymywać, że zatrzymała się w małej irlandzkiej wiosce, by podczas wędrówki Szlakiem Beary spotkać się z Simonem Cahillem. Simon i jego przyjaciel, lord Davenport, mieli teraz za zadanie wspólnym wysiłkiem i przy wykorzystaniu wszystkich swych możliwości rządowych i pozarządowych dociec, kim ona jest. Na razie jednak miała pewne pole manewru.

Will podał swą komórkę Keirze ze słowami: - Simon jest na linii. Ani jego, ani dyrektora Marcha nie było na miejscu, kiedy wybuchła bomba.

Twój wuj i kuzynka nie są ranni. - Przerwał na chwilę, po czym dodał: - Ciężko poszkodowany jest detektyw Wisdom.

- A co z Abigail?

- Nie było jej w strefie wybuchu.

Keira odebrała z jego rąk komórkę. - Simon - powiedziała niemal szeptem. - Ze mną wszystko w porządku. Kocham cię.

Lizzie podczas tej rozmowy Keiry z ukochanym mężczyzną ścisnęło się gardło - ona odnalazła swą bratnią duszę, a on odnalazł swoją.

Instynkt podpowiadał Lizzie, że powinna natychmiast opuścić pub, bo później nie będzie to już możliwe. Nie chciała wpaść w ręce irlandzkiego wymiaru sprawiedliwości. Oni porozumieją się z FBI i policją bostońską, a co z nią wtedy? Będzie naocznym świadkiem, a może i osobą podejrzaną. Jeśli Scoop Wisdom będzie w stanie mówić, opowie FBI i swym kolegom z bostońskiej policji o czarnowłosej kobiecie, która wczorajszego popołudnia spacerowała przed dwupiętrowym budynkiem. On właśnie wychodził z podwórka z naręczem zielonej fasoli, co nadawało mu wygląd nieco zagadkowy.

- Czy mogę pani w czymś pomóc? - spytał. Wahając się, spierając z samą sobą, postanowiła

w końcu nie wyjaśniać mu prawdy: - Nie, dziękuję. Wyszłam zaczerpnąć powietrza i trochę się rozprostować - uśmiechnęła się. - Kości mi się zastały.

Nie ukrył sceptycznego niedowierzania, ale nie zatrzymał jej, kiedy odchodziła, by udać się na lotnisko i jeszcze tego wieczora odlecieć do Irlandii. Sięgnęła po swój plecak. Czy popełniła błąd? Gdyby porozmawiała z Wisdomem wczoraj, czy on i jego współlokatorzy, detektywi, odkryliby tę bombę?

Coraz boleśniej odczuwała swe draśnięcia i stłuczenia. Zwróciła się do brytyjskiego przyjaciela Simona

Cahilla: - Norman nie odleciał ze swego rancza po to, by uczcić swe uwolnienie spod nadzoru. Wścieknie się, że jego plan się nie powiódł. Podejmie następne próby.

Will pochylił się w jej stronę. Oczy mieniły mu się odblaskami ognia w kominku. Przypatrywał się jej uważnie, dostrzegając - była tego pewna - znacznie więcej, niż chciała przed nim odsłonić. Nieoczekiwanie pojawiła jej się mrzonka o nich obojgu w irlandzkiej małej gospodzie, nie mających nic do roboty oprócz poczytania przyniesionych książek i wyboru odpowiedniej soli do kąpieli.

- Pani z pewnością zna Estabrooka - powiedział spokojnym tonem. - Jest pani przyjacielem?

- Norman nie przyjaźni się z nikim - odparła.

- Jest bardzo bogaty. Niektórych bogactwo przyciąga.

- Tak, niektórych - zgodziła się.

Nagle zrozumiała, co powinna uczynić. Jeśli w jakikolwiek sposób miała się okazać pomocna w udaremnianiu kolejnych poczynań Normana, musi zachować anonimowość, dopóki się to uda. Nie może objaśniać charakteru swego związku z nim ani znajomości z jego otoczeniem - zamożnymi inwestorami, awanturnikami, współpracownikami, pośrednikami i handlarzami narkotyków.

- Wyobrażam sobie - podjęła temat - że niewiele osób zna Normana Estabrooka z innej strony niż jako dobrze ułożonego miliardera awanturnika. Zechcą mi państwo wybaczyć...

- Podlega dziś pani pewnym rygorom - Will położył kciuk na jej dłoni, tuż ponad kostkami palców. - Jest pani ranna.

Wysunęła dłoń spod jego kciuka: - Nic nie leczy lepiej od gorącej kąpieli i brandy...

Zarzuciła sobie plecak na ramię, odczuwając przy tym ukłucie bólu.

- Proszę mnie nie zatrzymywać. Nikomu w niczym nie pomogę, przesiadując w policyjnym pokoju przesłuchań.

Spojrzał na nią przenikliwie: - Domyślam się, kim pani jest.

- Byłby pan w stanie zabrać mi plecak i sprawdzić jego zawartość, ale nie uczyni pan tego. Oboje znajdujemy się w obcym kraju. - Odrzuciła głowę do tyłu i obdarzyła go miłym uśmiechem. - Nie zaryzykuje pan szamotaniny ze mną na chwilę przed przybyciem policji, bo mogłoby to doprowadzić do aresztowania pana. Oboje z Keirą macie i tak wiele spraw do wyjaśnienia tutejszej gardzie.

Zmiana jego nastawienia była drobna, ale nadała już ich rozmowie nowy ton, czyniła z niej walkę, szermierkę słowną, starcie. Grę o wysoką stawkę. Nabrała erotycznego odcienia. Rodziła w Lizzie pragnienie fizycznego kontaktu z jej własnym Jamesem Bondem. Uznała to za kolejny przejaw wzrostu poziomu adrenaliny, swoiste przedłużenie zmagania z irlandzkim nożownikiem w kamiennym kręgu, a także konsekwencje wychylenia dwóch szklaneczek brandy.

Najwyższy czas wynosić się z pubu. Wyjęła z kieszeni nóż odebrany Murphy'emu i podała go Eddiemu O'Shea: - Dziękuję za brandy i za pańską pomoc okazaną dziś wieczorem. Pańskim braciom również proszę ode mnie podziękować.

Odebrał z jej rąk nóż. Jego podejrzenia wobec niej zaostrzyły się: - A więc wyrusza pani Szlakiem Beary, jak pani mówi?

Ale i on nie zdołał jej zatrzymać, wyszła z pubu.



Wioska pogrążona była w spokojnej ciszy, tylko z oddali dobiegało szczekanie psa zaganiającego zbłąkaną owcę. Wiatr ucichł, wyczuwało się tylko lekką bryzę, deszcz ustał, w chłodnym powietrzu wyczuwało się aromat róż i lawendy.

Przy stoliku piknikowym było pusto. Nie było już starego farmera z fajką. Lizzie wędrowała wzdłuż kolorowych domków w stronę wynajętego auta, którym tu przybyła. Nikt za nią nie szedł.

Usiadła za kierownicą i postanowiła natychmiast ruszyć w drogę, by umknąć przed policjantami, mogącymi lada chwila dotrzeć do pubu. Kiedy jednak zapalała silnik, odczuła ból wywołany szarpaniną z nożownikiem i zapragnęła tam powrócić - do ludzi, którzy byli jej przyjaźni i którym mogła ufać. Mimo to skierowała wóz w przeciwną stronę, ku głównej szosie i ku niebu z wolna ściemniającemu się nad zatoką Kenmare. Zastanawiała się, jak długo jeszcze uda jej się unikać spotkania z irlandzką i bostońską policją, FBI oraz z przystojnym agentem brytyjskiego wywiadu.

Zapewne już niedługo dojdzie do spotkania z nimi.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

*Boston, stan Massachusetts 3:40 po południu czasu lokalnego 25 sierpnia*  
Zadzwoił telefon...

Abigail Browning zapamiętała, że przekomarzała się właśnie ze Scoopem i Fiona, którzy zbierali pomidory w ogródku położonym naprzeciw jej ganku na tyłach domu. Zaśmiewała się, wchodząc z ganku do mieszkania, by odebrać telefon. A teraz, prowadzona przez dwóch mężczyzn, którzy porwali ją z ulicy, szła przez coś, co mogło być portowym dokiem.

Owinęli jej głowę cuchnącym kocem zabranym z auta i po obu stronach przyłożyli do żeber lufy pistoletów. Byli zwykłymi, cynicznymi oprychami. Z pewnością woleliby ją zabić i wrzucić jej zwłoki do wody, zamiast uprowadzać żywą. Zresztą chcieli jej pozwolić spłonąć w pożarze.

Wyczuwała zapach słonej morskiej wody i ryb, a dźwięki, jakie do niej docierały, potwierdzały przypuszczenie, że wywieźli ją na nabrzeże portowe. Posta-

nowiła zapanować nad strachem i przeanalizować sytuację, w jakiej się znalazła. Mogła słuchać, oceniać docierające do niej sygnały, pozostawać w czujnym pogotowiu. Zbierać energię i próbować przetrwać.

- Powinniście zdjąć mi ten pled z głowy. Zwracam tym na siebie uwagę.

- Jeśli ktoś zapyta, powiemy, że cierpisz na chorobę morską i światło ci szkodzi.

Człowiek po jej prawym boku, który wyrzekł te słowa, mówił z akcentem charakterystycznym dla południowych dzielnic Bostonu. Dodał: - I dlatego musimy cię podtrzymywać.

- Czy mam zzielenieć na rozkaz? Odburknął, że nie podoba mu się jej zaczepka. Odtwarzała w myślach przebieg zdarzeń, poczynając od telefonu, którego dzwonek przywołał ją z ganku do domu. Owen dzwoniłby na jej komórkę. Tom Yar-borough, jej partner, też najpierw telefonowałby na komórkę. Ale ojciec i Simon byli już w drodze, mogli zadzwonić na telefon stacjonarny, gdyby coś ich zatrzymywało. Na ganku było gorąco, postanowiła pójść do kuchni, odebrać telefon, nalać sobie szklaneczkę mrożonej herbaty, po czym wrócić na ganek.

W chwili gdy podnosiła słuchawkę, ktoś zadzwonił do drzwi frontowych. A może tylko się jej to zdawało? Nie. Była tego pewna.

W słuchawce rozległ się czysty i wyraźny głos. Nie był to mężczyzna o południowobostońskim akcencie. Zapewne telefonował kierowca furgonetki parkującej naprzeciw domu: - Za pięć sekund na twoim kuchennym ganku wybuchnie bomba... za cztery sekundy... za trzy...

W tym momencie wbiegła do bawialni. W chwilę później rozległa się eksplozja, podmuch przewrócił ją na

podłogę i wyssał jej całe powietrze z płuc. Na czworakach przemieściła się do drzwi frontowych.

Scoop... Fiona... Bob... Gorączkowo wyliczała w myślach osoby, którymi musi się natychmiast zająć. Otworzyła drzwi wejściowe. I niemal w tej samej chwili dwaj mężczyźni chwycili ją pod ramiona i zawlekli do furgonetki. Oszołomiona wybuchem, ledwie próbowała stawić im opór. Udało jej się jedynie zadrapać tego z południowobostońskim akcentem, ale zdołała zadrasnąć go do krwi.

Wrzucili ją na tył furgonetki i wpakowali się tam za nią, tłumiąc jej próby wzywania pomocy. Trzeci mężczyzna siedział za kierownicą. Trzech uzbrojonych drabów na nią jedną. Nie miała szans. Kiedy się zatrzymali, ten zza kierownicy wymruczał coś, że trzeba szybko kończyć całą sprawę, i pozostawił ją z dwoma porywaczami w aucie.

- Tylko spokojnie - odezwał się ten z jej lewego boku. - Przecież nie chcemy cię rzucić na żer rekinom.

- Rekinom... - powtórzyła. - To zabawne.

Obaj wywlekli Abigail z furgonetki i wsadzili do czegoś, co było niewątpliwie łodzią. Sporych rozmiarów. Zanim zdjęli jej koc z głowy, sprowadzili ją po schodkach na dół, do jakiejś ciemnej kajuty i posadzili na metalowym krześle. Szybko zawiązali jej oczy jakąś szarfą, skrępowali ręce i nogi.

Abigail zdawała sobie sprawę z tego, że jeśli chce zachować życie, musi pokonać strach i klaustrofobię. Zatrzymała w płucach powietrze, w myśli odliczyła do ośmiu, a potem wypuściła je przez nos. - Mam nadzieję, że mnie nie pobrudziłeś krwią - powiedziała do tego podrapanego.

Pytanie to wywołało ostry ból lewej połowy jej

twarży, który jednak stłumiła w sobie. Wydała tylko lekki okrzyk.

- Będzie dla mnie prawdziwą przyjemnością cię zabić - odpowiedział.

Wznowiła ćwiczenie z oddechem. Wdech - osiem

- wydech - osiem...

- Estabrook i jego kumpel Brytyjczyk mogą już nią pogrywać - dodał bostończyk z południowych dzielnic.

- Cały ten interes śmierdzi. Idę na drinka.

- Dotrą tu za kilka godzin - powiedział ten drugi.

- To będą mogli się napić ze mną.

Usłyszała trzaśnięcie drzwiami i obrót klucza w zamku. Wszelkie odgłosy ucichły. Była sama. *Estabrook*.

A więc był wolny. I to był powód, dla którego jej ojciec i Simon przebywali w Bostonie. A także dla którego ona dziś rano zwróciła się do nich o rozmowę. Czyżby Estabrook przystąpił do spełniania swych pogroźek, że zabije tych, którzy go zdradzili?

Abigail wykonała trzy kolejne ćwiczenia oddechowe i przywołała w pamięci obraz Owena uśmiechającego się do niej w letniskowym domku na wyspie Mount Desert. Był przystojnym przedstawicielem mieszanki bostońsko-teksaskiej, ekspertem od nagłych poszukiwań osób zaginionych, który nie pozwoli, by jego ukochanej wyrządzono krzywdę. Ale jeśli on sam też jest u nich na celowniku? W tej samej sytuacji mogli być także Simon i jej ojciec. Czy ci, którzy ją porwali, wiedzieli, że ojciec i Simon mieli się z nią dziś zobaczyć? I czy wiedzieli, jaki był powód tego spotkania?

Przestała o tych sprawach rozmyślać. Nawet jeśli ją tu zamknięto samą, gdzieś może być ukryta kamera. Nie

chciała zdradzać swego zaniepokojenia. Osiem. Wydech. Osiem. Wdech. Patrole morskie pewnie już zaczęły jej poszukiwać. Miała nadzieję, że porywacze popełnią jakiś błąd - może już popełnili, jacht jest pod obserwacją i planuje się akcję jej odbicia.

*Owen...*

Znów oczyma wyobraźni ujrzała, jak w świetle księżyca podchodzi do niej. Oddała mu się w myślach, niemal wyczuwała jego dotyk.

Dochodziły do niej odgłosy fal uderzających o skały, krakanie mew w oddali.

Był jej. Cokolwiek się zdarzy, Owen jest z nią.

## **ROZDZIAŁ ÓSMY**

*Półwysep Beara, Irlandia południowo-zachodnia 9:10 wieczorem czasu lokalnego 25 sierpnia*

Posuwając się w głąb półwyspu, Lizzie zboczyła z głównej szosy i udała się wiodącą przez wzgórza drogą do Kenmare, handlowego miasteczka u nasady półwyspu. Nie była to krótsza droga, ale na tym mniej uczęszczanym szlaku Lizzie miała szansę nie być zauważona przezeń *Garda Siochdna* - Gwardię Pokoju, czyli irlandzką policję. W Kenmare miała zamiar odlecieć z małego, obsługującego powiat lotniska do Dublinu. W ten sposób przystępowała do realizowania nowego planu.

Droga nie była lepsza od pasterskiej dróżki. Lizzie czuła się poważnie osłabiona walką stoczoną z nożownikiem, a do tego przygnębiona wydarzeniami, które rozegrały się w Bostonie. Silne wrażenie wywarło na niej także spotkanie z Davenportem.

Popatrywała na szare wody zatoki stopniowo mroczniejące z powodu zapadającego zmierzchu. Od chwili

gdy zjechała z głównej szosy, nie napotkała żadnego samochodu. Jediną oznaką obecności innych ludzi w polu widzenia była oświetlona farma na zboczu wzgórza. Szybko opanowała pokusę, by rozbić między skałkami namiot i przenocować w nim, zapominając w tym sielskim otoczeniu o wszystkim, co zaprzętało jej umysł, włącznie z przystojnym Brytyjczykiem, który - jak przewidywała - pozna jej nazwisko, zanim minie północ miejscowego czasu. Zatrzymała jednak wóz i wysiadła, by zaczerpnąć świeżego powietrza i zebrać myśli.

Will Davenport mógł się dla niej stać poważnym problemem. Zachodziła w głowę, jakim cudem Will dowiedział się o jej spotkaniu z owym Brytyjczykiem w Las Vegas. Bo była pewna, że wie o tym spotkaniu. Tak, z pewnością Will Davenport przysporzy jej kłopotów.

Do Las Vegas przyjechała w czerwcu, po kilkudniowym pobycie w Maine i krótkiej wizycie w Bostonie, w głównej kwaterze należącej do rodziny sieci hoteli. Jej stryj, Bradley, młodszy brat ojca, zarządzał siecią i zaczynał tracić cierpliwość z powodu ustawicznego zmieniania przez nią planów i miejsc pobytu. Przebąkiwał nawet o przeniesieniu jej na inne stanowisko w firmie. Była dobra w błyskawicznym rozwiązywaniu kłopotliwych sytuacji i łatwo zdołała go ułagodzić. Przejeżdżając z jednego hotelu sieci Rush do drugiego, mogła wyrywać się z orbity wokół świata Normana Estabrooka i łapać świeży oddech umożliwiający wykluwanie się jej nowych pomysłów dotyczących usług świadczonych przez te hotele, organizowanych przez nie wycieczek itp. Mimo to stryj chciał ją widywać na zebraniach zarządu, a także przy służbowym biurku.



Ponieważ jego starszy brat mieszkał w Las Vegas, Bradley nie miał nic przeciwko jej wyjazdowi do tego miasta. Od dawna już zrezygnował ze ściągania jej na zebrania zarządu i nakłaniania do ślęczenia w biurze.

Lizzie poczuła się świetnie w tym gorącym, tętniącym życiem mieście, które ojciec uznał za najbardziej dla niej odpowiednie miejsce na ziemi.

Niespodziewanie pojawił się w Las Vegas Norman, chcący wziąć udział w rozgrywce pokerowej o niezwykle wysoką stawkę. Lizzie nie zdołała się przymusić do powitalnego uśmiechu na jego widok. W tamtym czasie nie wiedziała jeszcze o tajnym zadaniu Simona i zastanawiała się nad znalezieniem sposobu nakłonienia FBI do przyjrzenia się interesom Estabrooka. Ale do Las Vegas przyjechał sam, bez asysty swych przyjaciół z mafii narkotykowej, postanowiła więc nie psuć sobie wypoczynku.

W czasie przerwy w rozgrywkach pokerowych do Normana podszedł jakiś krótko ostrzyżony człowiek i rozmawiał z nim przez chwilę, ale do Lizzie nie dochodziły żadne wypowiedziane przez nich słowa. W każdym razie widać było, że dotyczyły jakichś ważnych spraw. Lizzie podeszła do baru, a w kilka minut później nieopodal niej usiadł ów Brytyjczyk. Lizzie starała się przybrać pozę osoby śmiertelnie znudzonej, próbującej się ożywić kieliszkiem martini, do którego dolewała wodę mineralną.

W odróżnieniu od lekceważącego ją Normana, Brytyjczyk natychmiast dostrzegł w niej osobę nieprzeciętnie bystrą. Zagadnął: - Masz może jeszcze jedną butelkę tej wody, kochanie?

- No pewnie - odpowiedziała, wyciągając butelkę z torby. Wiedziała, jak się zachowywać w Las Vegas. Przedstawiła się: - Nazywam się Lizzie Rush. A ty?

Otworzył podaną mu butelkę i odparł: - Powinnaś zachowywać się grzecznie, kochanie. Przepraszam, nie mogę się tu zasiadywać. Spieszę się.

Zauważyła, że ma szare źrenice. Odszedł, coś do siebie pomrukując, a ona jeszcze tego samego wieczora odleciała z Normanem do Montany. Simon zapowiedział, że dołączy do nich po odwiedzeniu swego przyjaciela Willa Davenporta w Londynie. Miał wraz z Normanem planować kolejne ryzykowne operacje finansowe. W trzy dni później Normana aresztowano. Lizzie podała FBI rysopis tajemniczego Brytyjczyka spotkanego w Las Vegas; uczyniła to anonimowo, za pośrednictwem Internetu, wykorzystując sposób, jakiego nauczył ją jej ojciec.

Dotychczas nic nie było jej wiadomo o żadnych następstwach tego zdarzenia. Zanim wyleciała do Montany, zapytała ojca o owego Brytyjczyka. Odpowiedział, że go nie zna. Pewnie mówił prawdę. Albo nie mówił prawdy. A Lizzie była teraz w Irlandii i morzyła ją senność. Wyjęła swoją komórkę z kieszeni i zatelefonowała do ojca. - Tato, to ja. Czy jesteś w Las Vegas?

- Tak, przegrywam w pokera. A co u ciebie, Lizzie?

Usłyszała zatroskanie w jego głosie, ale nie odpowiedziała mu na pytanie. Zadała następne: - Czy pamiętasz tego Brytyjczyka, który w czerwcu rozmawiał z Normanem Estabrookiem?

- Kogo?

- Przecież słyszałeś. Pytałam cię już o niego tamtego wieczora i powiedziałeś, że go nie znasz. Zastanawiam się, czy ty też z nim wtedy rozmawiałeś albo nawiązałeś przelotny kontakt.

- Kochanie, niech skonam, właśnie przegrywam pię-ciocyfrową sumę. A gdzie ty jesteś?

Wyobraziła go sobie w ich hotelu, niemal dwustu-pokojowym, największym w sieci. Harlan Rush był przystojnym i bogatym ciemnym blondynem. Jej irlandzką matkę poderwał trzydzieści jeden lat temu, kiedy zatrzymała się w hotelu Whitcomb w Bostonie podczas podróży służbowej. Pracowała w irlandzkiej firmie turystycznej. Tak przynajmniej twierdziła.

Lizzie nie chciała się przyznać ojcu, gdzie jest. - Przyjmijmy, że sobie gdzieś wożają.

Roześmiał się: - Jesteś w Irlandii. Tłumaczyłem ci, żebyś tam nie jeździła. Już przed laty cię przed tym przestrzegałem.

- To nie Irlandia jest przyczyną moich kłopotów.

- Jest naszym nieszczęściem.

- Ja ją kocham. Kuzyn Justin świetnie się spisuje w dublińskim hotelu, który odniósł wielkie sukcesy. Może Irlandia kojarzy ci się z nieszczęściem z powodu mojej matki i mnie samej.

- Zapamiętałem, ile dla ciebie znaczyła. Pierwszym słowem, które wypowiedziałaś, było „mama”. Ona odeszła, a to słowo na zawsze pozostało pierwszym, które wypowiedziałaś.

- Tato, daj spokój.

- Wpadłaś w tarapaty. Słyszę to w twoim głosie. Spojrzała w niebo. W nocy będzie widać gwiazdy.

Mogłaby tu pozostać i poczekać, aż wzejdą. - Przypuszczam, że Brytyjczyk, którego widzieliśmy w Las Vegas, może znać innego Brytyjczyka, Willa Davenporta, który jest przyjacielem Simona Cahilla.

- Cahilla? Tego agenta FBI? - ojciec jęknął. - Lizzie!

- I myślę, że ów Will należy do twojego świata.

- Will? Tak go teraz nazywasz? Znasz go tak dobrze?

- Popijaliśmy brandy w irlandzkim pubie.

- Brandy to ty popijasz tylko wtedy, kiedy masz kłopoty.
- Nie tylko wtedy - uśmiechnęła się z nadzieją, że uśmiech przygłuszy z troskanie, jakie ojciec wyczuł w jej głosie. - A to były bardzo miłe chwile, które w tym pubie spędziłam.
- Wracaj do Maine i podglądaj kormorany.
- Tato...
- Ten sukinsyn Estabrook, twój przyjaciel, został dziś rano zwolniony spod nadzoru. Rozumiesz, co to oznacza, prawda?
- Oczywiście, że rozumiem. A więc nic nie wiesz o moim Brytyjczyku? Wahał się jakby przez chwilę, po czym odrzekł: - Nie znam nazwiska, nie wiem o nim nic. Zapomnij o nim, Lizzie. A jeśli lord Davenport jest jego przyjacielem, zapomnij i o lordzie.
- Mówiłam o Willu, nie o lordzie.
- To co, przecież on *jest* lordem? Czyżby sobie kpił tylko?
- Niezależnie od tego, czy mówił prawdę, czy nieprawdę, nie powiedział jej wszystkiego. Nie dlatego, że był łgarzem, ale dlatego, że nigdy ani jej, ani nikomu innemu nie mówił wszystkiego, co wiedział o omawianych sprawach. Mógł sprawdzić przyjaciół Simona Cahilla równie łatwo jak ona - jeszcze przed aresztowaniem Normana albo zaraz potem. Jej ojciec nie cieszył się zbytnio z powodu jej znajomości z Normanem i jego otoczeniem.
- Will należy do twojego świata, prawda?
- Tylko na podstawie tego, czego cię nauczyłem, nie powinnaś wyciągać wniosków co do tych zajęć, które podejmuję dla zdobycia środków na życie.

- Czy to jest odpowiedź potwierdzająca, czy zaprzeczająca?  
- Jesteś amatorką obdarzoną niejaką umiejętnością wyłuskiwania sygnałów, Lizzie, ale ciągle tylko amatorką. Nie masz za sobą nikogo. Stajesz do walki osamotniona.  
- Mam ciebie.  
- Lizzie! - wziął głęboki oddech. - Jeśli mnie potrzebujesz, stanę przy tobie. Wiesz o tym.  
- Potrzebuję cię, tato.  
- Twoja ciotka Henrietta jest w Paryżu, kupuje bieliznę.  
- Uwielbiam ciotkę Henriette, ale czy ty wiesz, co to znaczy kupować z nią bieliznę?  
- Wiem. Zupełne piekło. Paryż jest położony bliżej Irlandii niż Maine. Dołącz do niej, by jej pomóc. Upij się porządną brandy. Ciesz się życiem, Lizzie! - Zawiesił na chwilę głos, po czym dodał: - Davenportowie są porządną angielską rodziną. Ale i rodem spod czarnej gwiazdy. Jeśli odczuwasz pociąg do brandy, mała szklaneczka w towarzystwie Davenporta, od czasu do czasu, nie byłaby niczym złym. Takiej aprobaty potrzebowała. - Dzięki. Możesz wracać do swej partii pokera. Nie blefujesz w grze we trójkę, prawda?  
- Staram się nie blefować. Uważaj na siebie, moja dziewczynko.  
- Kocham cię, tato.  
Rozłączyła się. Dzięki ojcu potrafiła się obronić w bezpośrednim zwarciu, uwolnić z więzów, rozbroić nieskomplikowaną bombę. - Po pierwsze - pouczał ją - musisz się przekonać, że bomba tam rzeczywiście jest.  
Wróciła do swego samochodu, przebrała się w ciuchy

równie proste, jak te, które miała na sobie, ale suche. Zmoczone rozwiesiła na ogrodzeniu pastwiska. Zmieniła także buty - zamiast przemoczonych kamaszy turystycznych włożyła lekkie pantofle nabyte rankiem u Browna Thomasa w Dublinie. Ojciec nie znosił tego miasta i unikał go, odkąd pamiętała. To w Dublinie zmarła Shauna Murrigan Rush, jego żona, a jej matka. Jak zapewniał John March, wówczas młody detektyw bos-toński, późniejszy agent FBI, a dziś dyrektor tej instytucji, i jak twierdziły irlandzkie władze, był to wypadek.

Lizzie zatrzasnęła klapę bagażnika, a wtedy nagle powróciły do niej wszystkie pytania naraz. - Porzuć spekulacje - wytrwale napominał ją ojciec - dyscyplinuj swe myślenie. Skup się na celu, który chcesz osiągnąć.

Łatwiej to postanowić, niż wykonać w sytuacji rojącej się od nożowników, bomb, agentów FBI i szpiegów, ale ona zrobi co w jej mocy.

Przypomniała sobie oficjalną herbatkę u babci, Edny Whitcomb Rush, twardej, ale uprzejmej kobiety. Tłumaczyła wtedy wnuczce przyczyny tego, że ojciec Lizzie musi wyjeżdżać na dłuższe okresy. - Wyszukuje miejsca na nowe hotele i planuje ich wyspecjalizowanie.

Aha. Jest zwiadowcą. Harlan Rush był szpiegiem i nauczył córkę wszystkiego, co sam umiał.

Lizzie wsiadła do auta, uruchomiła silnik i ruszyła przed siebie nieznaną drogą. Co chwilę zerknęła w lusterko wsteczne.

Nadal nic nie świadczyło o tym, by szukała jej irlandzka policja lub też Will Davenport. Przynajmniej na razie.

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY**

*Boston, stan Massachusetts 4:25 po południu czasu lokalnego 25 sierpnia*  
Simon oglądał odciski swych palców pozostawione na kolorowej rycinie przedstawiającej celtyckiego kamiennego anioła, którego naszkicowała Keira i którego -jak przysięgała - widziała w ruinach w południowo-zachodniej części Irlandii. Widziała owego wieczoru również czarnego psa.

Podarowała tę rycinę Fionie O'Reilly, która powiesiła ją na ścianie w eleganckim salonie wykorzystywanym, dzięki uprzejmości Owena, przez Fionę i grono jej przyjaciół do organizowania koncertów muzyki irlandzkiej oraz podobnych imprez. Dom, położony w eleganckiej dzielnicy Beacon Hill, od ponad stulecia należał do rodu Garrisonów. Na parterze, w dyskretnie urządzonych pomieszczeniach, odbywały się różne spotkania dyskusyjne. Na pierwszym piętrze mieściły się biura fundacji upamiętniającej siostrę Owena. Dorothy Garri-

son utonęła, mając czternaście lat, w okolicy domu letniskowego Garrisonów, w stanie Maine (Owen był wtedy jedenastoletkiem). Rodzice przenieśli się po tym wypadku do Austin w Teksasie. Po odbyciu służby wojskowej Owen założył Fast Rescue, wysoce cenioną organizację pozarządową, zajmującą się natychmiastowym wspomaganiami ofiar klęsk żywiołowych, a także spowodowanych przez ludzi, obejmującą swą działalnością cały świat.

Simon, będący ekspertem w dziedzinie poszukiwań i udzielania doraźnej pomocy ofiarom nieszczęść różnego rodzaju, przystąpił do tej organizacji przed półtora rokiem, po tym jak poznał Owena przez Johna Marcha.

Owen i March znali się od ośmiu lat, kiedy to Owen odnalazł ciało zięcia Marcha. Christopher Browning, agent FBI, został zamordowany na wyspie Mount Desert, gdzie spędzał miesiąc miodowy. Tamtego lata wdowa po nim, wraz z Owenem, odnalazła zabójcę męża.

W tym samym czasie Simon rozpoczął utajnioną współpracę z FBI, penetrując środowisko aferzystów skupione wokół Normana Estabrooka oraz rozpracowując jego machinacje finansowe i przestępcze. W następnym roku, już po aresztowaniu Normana w czerwcu, Simon poznał Keirę Sullivan... a przed kilkoma godzinami, właśnie ze względu na łączącą ich więź uczuciową, Keira o mało nie straciła życia.

Kolejny szkic Keiry ukazywał Dublin w okresie bożonarodzeniowym - z choinkami, jemiolą i bombkami zawieszonymi na złotych wstążeczkach. Jak zwykle, Keira nie odzwierciedliła rzeczywistości, lecz nasyciła swą wizję żywymi pragnieniami i marzeniami.

Simon natomiast zgłębiał mroczne strony rzeczywis-



tości. Jego zadaniem było przeniknięcie i udaremnienie knowań Normana. Nie były to żadne rojenia, lecz zawodowy obowiązek. Nielicznych pracowników fundacji wypuszczono już do domów. Nieopodal Bob Reilly zmagał się z następstwami wybuchu drugiej bomby zdetonowanej tego dnia. Oni obaj znaleźli się w krytycznej sytuacji. Jeszcze jedna uczestniczka zdarzeń - funkcjonariuszka policji - została uprowadzona. W dodatku była to córka szefa FBI. A w Irlandii napadnięto na jego bratanicę. *Keirę*.

Jej jednak nic się nie stało, pozostawała pod opieką irlandzkiej policji. Najważniejszym zadaniem chwili stało się bezpieczne uwolnienie Abigail Browning. Wszystkie służby stojące na straży prawa postawiono w stan alarmu.

Funkcjonariusze policji bostońskiej oraz agenci FBI zgromadzili się w foyer domu Garrisonów. Simon w tym właśnie miejscu ujrzał Keirę po raz pierwszy w czerwcu, na kilka dni przed odkryciem przez nią kamiennego anioła w irlandzkich zabytkowych ruinach. Miał w pamięci tę chwilę, kiedy stanęła w drzwiach, niebieskooka i długowłosa jak księżniczka wróżek. Być może pokochał ją od pierwszego wejrzenia. Może zresztą miłość rozwijała się w nim stopniowo. Dołączył do Keiry w początku sierpnia. W czasie gdy ona rysowała i malowała, on prowadził dochodzenie w sprawie zaprzyjaźnionych z Estabrookiem handlarzy narkotyków.

Simon przeszedł ku środkowi salonu, gdzie stał Owen wpatrzony w milczeniu w oślepy żyrandol, jakby szukając w nim odpowiedzi albo chociaż nadziei na nią. Simon już wiedział, że takie zachowanie jego przyjaciela oznacza, iż skupia się na powściągnięciu emocji i opracowaniu najskuteczniejszego sposobu odnalezienia i zapewnienia

bezpieczeństwa Abigail. - Wczuwam się w bicie jej serca - powiedział Owen.

- Ona o tym wie. Zdaje się na twoje uczucie do niej i dodaje jej to siły. Umiesz wczuwać się w ludzi będących w trudnych sytuacjach.

Owen był z natury człowiekiem czynu, obdarzonym szybkim refleksem i pragnieniem działania. Jego skupienie było zewnętrznym przejawem głębokiego zatroskania. W pewnej chwili się odezwał: - Bob mówi, że krew na chodniku nie była jej krwią.

Simon przytaknął. Badania wykazały, że była to krew innej grupy niż krew Abigail! - Na tej podstawie wnoszę, że była w stanie umożliwiającym podjęcie walki z porywaczami.

- Ja też mam taką nadzieję. A co ze Scoopem?

- Zszyto mu rany, jest spokojny. Problem stanowi odłamek, który utkwił mu u nasady czaszki, ale lekarze są już usposobieni bardziej optymistycznie niż na początku.

Owen przymknął oczy. W wyniku doświadczeń zebranych w czasie służby wojskowej oraz w późniejszych akcjach ratowniczych różnego rodzaju - takich jak trzęsienia ziemi, tsunami, powodzie, ataki terrorystyczne - wyrobił w sobie umiejętność skupiania się na przewyciężaniu sytuacji kryzysowych. Ale ta sytuacja dotyczyła go osobiście.

- Nie chcę tu wystawać pod żyrandolem - rzucił Simonowi bystre spojrzenie, a grymas wzburzenia odmalował się na jego twarzy. - Nie znoszę poczucia bezradności.

Simon spróbował się uśmiechnąć: - Człowiek, który właśnie rozbroił bombę, nie jest bezradny. Potrzebowałeś na to chwili, nie więcej, prawda?

- Niezbyt długiej.
  - Bogu dzięki.
  - To było dość proste urządzenie.
  - Ale mogło cię wyprawić na tamten świat. Owen pozostawał napięty i poważnie skupiony.
  - Dzięki Keirze zostałem uprzedzony. Bombę w tamtym budynku odpalono z odległości. Bomba w moim aucie miała eksplodować przy zapalaniu silnika. Zawierała dość C4, by kompletnie rozwalić samochód i zabić każdego, kto by się znajdował we wnętrzu lub w pobliżu.
  - Nikt cię nie obserwował, kiedy miałeś wsiadać do wozu - stwierdził Simon.
  - Ale po co było zabijać mnie i porywać Abigail?
  - To dobre pytanie.
  - Przesłuchiwał mnie już Yarborough i powiedziałem mu wszystko, co na ten temat myślę. Pozostawiłem Abigail wcześniej rano w łóżku i wsiadłem do auta. Na ulicy nie widziałem nikogo obcego; tu, po dojechaniu na miejsce, też nie. Zaparkowałem wóz w alejce, tam gdzie zawsze go stawiam, kiedy przyjeżdżam do pracy.
  - W Fast Rescue?
- Owen skinął głową potakująco: - Przenosimy naszą kwaterę główną do Bostonu.
- Od kiedy?
  - Powzięliśmy tę decyzję na początku sierpnia. Jeszcze nie zdażyłem powiedzieć o tym Abigail. - Głos ściszył mu się niemal do szeptu: - Chciałem jej sprawić niespodziankę. Ta przeprowadzka jest wstępem do podróży. My zamierzamy... - Zamilkł na chwilę, po czym oświadczył: - To nie ma teraz znaczenia.
  - Ma. Abigail będzie miała ci za złe utrzymywanie przed nią sekretów. Wątki uśmiech dał się zauważyć na twarzy Owena,

ale nie rozjaśnił mu wzroku: - Jestem gotów określić różnicę między niespodzianką a sekretem.

- Próbuj. Po uwolnieniu Ab.

- Wiesz przecież, że nie znosi tego skrótu swego imienia, i właśnie dlatego się nim posłużyłeś, co? Nie masz żadnych wieści o Estabrooku?

- Na razie żadnych. Prowadzimy dochodzenie, ale on zapewne poleciał do jakiegoś bardzo odległego kraju. Będziemy potrzebowali dni albo nawet tygodni czy miesięcy, by go odnaleźć. A może się to nie udać wcale.

- Zwłaszcza jeśli on nie będzie chciał dopuścić do tego, by go odnaleziono.

Simon pojął, dlaczego Owen był taki zasepiony: - Norman przekazał władzom bardzo cenne informacje dotyczące niektórych groźnych przestępców, którzy będą chcieli się z nim rozprawić. Te dzisiejsze wydarzenia mogą być początkiem całego festiwalu. To ci ludzie mogą być odpowiedzialni za bomby, za napad na Keirę. Mogliby dokonać zamachu na jego samolot, on zapewnia, że go śledzą i dlatego postanowił zniknąć.

- Stróże prawa muszą brać pod uwagę wszystkie możliwości. Ja tego nie muszę - stwierdził Owen.

- Istnieje też możliwość, że Norman wróci na swe ranczo po zapadnięciu nocy, a to, co się zdarzyło tutaj i w Irlandii, jest dziełem kogoś związanego z którąś ze spraw, jakimi zajmuje się Abigail - dawną lub nową, albo też z jakimiś dochodzeniami prowadzonymi przez Scoopa lub Boba. Może też mieć to coś wspólnego z tobą lub jej ojcem - dodał Simon. - Oto dokąd sięgają nasze przypuszczenia. Nie możemy wydobyć broni i zaatakować brzydko prowadzących się chłopców jedynie na podstawie domniemań.

- Ale to wszystko tutaj to robota Estabrooka - stwier-

dził Owen. - Wykonanie trzech ataków niemal równocześnie, przy jego ograniczonych środkach, wymagało przygotowania co najmniej schematycznego planu tych uderzeń. Zapewne sporządzono go jeszcze przed aresztowaniem Normana. Simonie, jaki cel mu przyświecał? O co mu w tych akcjach chodziło? - Przerwał na chwilę, pokręcił głową i dodał: - Powinieneś się stąd zabierać. Leć do Irlandii, żeby Keira nie była sama.

Simon oczyma wyobraźni widział ją stojącą pośrodku kamiennego kręgu, na zboczu ponad dworkiem - i zamachowca podbiegającego do niej z nożem. I odczuł przyływ żalu: - Gdybym pojechał w czerwcu z Willem Davenportem na ryby do Szkocji, zamiast wracać tu do Bostonu, Keira byłaby bezpieczna.

- Albo by zginęła - do ich rozmowy włączył się John March, który właśnie wszedł do pokoju. W foyer kłębił się tłumek agentów FBI, ale utrzymywali dyskretny dystans. - Ten seryjny morderca był już poważnie zainteresowany jej irlandzką historią i miałby wolną rękę, gdybyś ty nie wkroczył w jej życie. Kto może wiedzieć, jak by się sprawy potoczyły? Ale teraz Keira jest już bezpieczna.

Natomiast jego córka, Abigail, jeszcze bezpieczna nie była. Przejęty tym Simon zaczął: - Nie mam prawa... w sytuacji, w której ty i Owen... - nie zdołał dokończyć zdania.

- Masz pełne prawo - uciął March. - Estabrook odleciał po zaatakowaniu osób nam najbliższych. Nie są mu już potrzebne.

Simon skinął głową: - Wiem. On chce dopaść nas.

- I w tej chwili wcale nie pragnie nas zabić - March kontynuował swe rozważania. - Oczywiście myśli o krwawej zemście, ale chce, byśmy przed śmiercią

swoje odcierpieli. - Popatrzył przy tych słowach na swego przyszłego zięcia: - Owenie, nie wiem, co powiedzieć.

- Johnie, będę jej szukał.

- Nie. To zbyt ryzykowne. Zbyt mało wiemy. Współpracuj z nami. Może coś dostrzegłeś, może Abigail coś powiedziała... - Twarz mu skamieniała, dając świadectwo opanowania, które w sobie wypracował przez czterdzieści bez mała lat spędzonych w służbie prawa. - Abigail też nie życzyłaby sobie, byś jej poszukiwania prowadził na własną rękę.

- No to pojedę do Montany i wezmę pod lupę tego sukinsyna. Mogę odnaleźć jego samolot. Mam do dyspozycji ekipy poszukiwaczy.

- Ktoś - najpewniej ten, kogo chcesz wytropić w Montanie - próbował cię dzisiaj zabić. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

- Przestrzeżono mnie na czas. Bombę odnalazłem. I żyję. - Owen podszedł do dużych okien i wpatrzył się w panoramę Beacon Street wiodącą do Boston Common. Powiedział: - Nie mogę dać się zastraszyć tym, co się mogło zdarzyć.

- Nasze służby teraz tropią Estabrooka.

Owen rzucił Marchowi bystre spojrzenie. - Ale to nie są moje służby. Ani March, ani Simon nie odpowiedzieli. Simon podszedł do przyjaciela. Patrząc przez okna na ulicę, którą przechodzili turyści, studenci, pracownicy biurowi, ludzie interesu, powiedział: - Od roku próbuję zrozumieć sposób myślenia Normana. On dąży do bezpośredniej konfrontacji ze śmiercią. Chce, by władze posłużyły mu jako sprawdzian tego, czy żyje.

- Dlaczego wybrał do tego celu mnie, Simonie? - spytał March spokojnym tonem.

Odpowiedział mu Owen: - Bo cię uważa za równego sobie. Ludzie nawzajem równi sobie zdarzają się rzadko w całym wszechświecie. Wszyscy inni nie zasługują na uwagę. Ty jesteś szefem najpotężniejszej na świecie agencji stojącej na straży prawa.

Dyrektor FBI, który był zastępczym ojcem Simona po śmierci jego rodzzonego ojca przed dwudziestu laty, również podszedł do okien. Simon wyczuwał jego ból, jego lęk o córkę. Było to doznanie wyjątkowo silne.

- Nie jestem zamożny- odezwał się March po dłuższej chwili. - Nie szukam głośnych awantur. Jestem po prostu gliną. I gdziekolwiek się znajdę - czy to w Bostonie, przy zamachu na cudze życie, czy w moim biurze w Waszyngtonie - jestem po prostu policjantem na służbie.

Simon potrząsnął głową: - Zupełnie innym widzi cię Norman. Jesteś dla niego wyzwaniem. Chce mieć cię za przeciwnika. Zmaganie się z tobą i z całym FBI jest dla niego drogą do tego, by stanąć oko w oko ze śmiercią.

Owen odwrócił się od okien: - Woli polec w walce, niż zgnieć w więziennej celi.

- To mnie przekonuje - odpowiedział March. - Żona jest pod ochroną w Waszyngtonie. Wy obaj też zostaniecie objęci ochroną. Zdajcie się na agentów. Pozwólcie nam zadbać o wasze bezpieczeństwo.

Owen oznajmił: - Będę współpracował z FBI i pomagał mu najlepiej jak potrafię, ale o własne bezpieczeństwo zatroszczę się sam.

Simon uniósł brwi: - Żartujesz sobie, Johnie, prawda? Spędziłem rok z Normanem i jego bezwzględnyimi handlarzami narkotyków. A *teraz* się o mnie martwisz?

- Simonie...

- Daj spokój. Prowadzę właśnie działania zmierzające do zapewnienia bezpieczeństwa Keirze.

Nie wdawał się w szczegóły. W Irlandii przebywał Will Davenport, dzielił on z Marchem wspólne, trudne doświadczenia. Simon niewiele wiedział, ale podejrzewał, że ich bliskość wywodziła się z Afganistanu i z sytuacji, w której Will został osaczony w jaskini wraz z dwoma martwymi współtowarzyszami - trzeciego z nich przechwycili nieprzyjacielscy bojownicy. Simon przebywał tam z ramienia FBI. Spostrzegł, że March zwrócił się do niego w formie bardziej odpowiadającej roli policjanta niż przyjaciela lub ojca i że jego komentarz wzbudził zainteresowanie dyrektora FBI. Najwyższy czas na wyłączenie się z tego.

Klepnął dłonią ramię Owena, skinął głową Marchowi i wyszedł bez słowa. Cóż mógł jeszcze powiedzieć? Przeszedł przez foyer i pod spojrzeniami kilku kolegów z FBI oraz funkcjonariuszy policji bostońskiej wyszedł na zewnątrz. Zastanawiał się, czy dostali polecenie, by go nie tracić z oczu. Byłoby źle, gdyby je dostali.

Dzień był ciepły, nawet upalny. Simon wrócił myślami do podanego mu przez Willa opisu kobiety, która unieszkodliwiła nożownika, gdy zaatakował Keirę w Irlandii. „Długie, ciemne włosy i zielone oczy. Niska, ale bardzo szybka i opanowana. Obserwowałem z pewnej odległości jej starcie z Murphym. Powaliła go na ziemię, przytknęła mu do gardła nóż, jego własny, zanim zdołałem zbliżyć się do ogrodzenia. Jakie masz na jej temat przypuszczenia, Simonie?”.

Odpowiedział wtedy, że nie ma żadnych. I była to prawda. Ale teraz nie był już tego pewien. Opis kobiety zapadł mu w pamięć, ale zupełnie żadnych domniemań na jej temat nie umiał wysnuć. Agent FBI, który przesłuchiwał Lizzie po aresztowaniu Normana, tak ją opisywał:

„Bezradna. Nieco zakłopotana,



pragnąca jak najrychlej powrócić do swego ojca rozpustnika w Las Vegas".

Simon doszedł do schodów wiodących w dół, do Boston Common. Zanim zaczął schodzić, odwrócił się, by sprawdzić, czy ktoś go śledzi.

Jeszcze nikt za nim nie szedł, ale jego koledzy przypatrywali mu się z odległości. Nie zdziwiło go to, na ich miejscu robiłby to samo. Wybrał na komórce londyński numer.

- Grosiku - powiedział, kiedy w słuchawce usłyszał głos Josie Goodwin, asystentki Willa. - Czy mogę się ośmielić i zapytać, gdzie przebywasz?

- Agencie specjalny Cahillu - odpowiedziała. - Przypuszczałam, że zatelefonujesz do mnie dziś wieczór.

- Mam dla ciebie nazwisko.

- Słucham.

- Lizzie Rush. Jeśli to ona jest czarnowłosą, tajemniczą kobietą, to proszę powiedzieć Willowi, żeby kazał jej się odczepić i zająć własnymi sprawami.

- Być może ona wie więcej, niż pan sobie wyobraża.

- No to może do mnie zadzwonić i powiedzieć mi o tym. Josie, ona jest znudzona, bogata i bardzo piękna. Nie może się wtrącać...

Przerwał nagle. Myślał o niej ciągle od rozmowy z Willem i Keirą - o tym, kiedy ją poznał, o jej związkach z Normanem. A jeśli ona *rzeczywiście* wie więcej, niż on sobie wyobraża? Sarknął: - Diabli ją nadali, Josie.

- W rzeczy samej, Simonie. Może ona była od początku utajonym uczestnikiem całej gry? Czy jest możliwe, by dyrektor March miał anonimowego informatora?

Nie można tego wykluczyć. March miał przecież takiego. Od roku March przekazywał Simonowi różne informacje, nazwiska, numery kont, które można było uzyskać jedynie od kogoś pozostającego z Estabrookiem w bardzo bliskim kontakcie. March nigdy nie zaprzeczał istnieniu takiego źródła, lecz zabraniał Simonowi snucia wszelkich domysłów. Niech wykorzystuje te informacje i prowadzi swoją robotę. Simon oczywiście nie porzucił domniemywań, zwłaszcza po aresztowaniu Normana.

Przychodziły mu na myśl różne nazwiska: księgowych, bankowców, służących. Ale Lizzie Rush?

- Zostaw tę sprawę Willowi - poradziła Josie. Simon usłyszał w jej głosie dziwną nutkę: - Grosiku

- powiedział - nie będziesz nic knućła poza plecami?

- Skądże, Simonie, co za pomysł!

Rozłączył się przejęty lękiem. Jej zapewnienie świadczyło o tym, że właśnie coś knuje. Josie Goodwin była kimś, ale działała wspólnie z Simonem, przyjacielem jej szefa, a może nie aż przyjacielem. Will był samotnym wilkiem, wiodącym niebezpieczny żywot i próbującym uchronić przed takim życiem ludzi ze swego otoczenia. Nie zawsze było to możliwe - uświadomił sobie Simon, wybierając numer telefonu Owena.

- March nadal cię nie odstępuje ani na krok?

- Właśnie.

- Pomogę ci w wyjeździe do Montany.

Po chwili milczenia Owen odpowiedział: - Dziękuję.

- Zastanawiałem się, jak przeprowadzić to twoje zamierzenie. W każdym razie będę cię chronił przed aresztowaniem. - Z trudem zdobywał się na swój normalny, niefrasobliwy ton. - Podejmę się misji poszukiwawczej wraz z tobą, Owenie. Jeśli ktokolwiek jest w stanie odnaleźć Normana, to ty jesteś tym kimś.

- Mogę wyruszyć zaraz.

Simon uśmiechnął się do słuchawki: - Tak też myślałem.

Owen uznał, iż nie ma żadnego bagażu do zabrania. W drodze do Montany będzie mógł się we wszystko zaopatrzyć.

Simon skierował się na wschód, ku portowi, zakładając, że znad otwartego morza łatwiej będzie mu uzyskać połączenie telefoniczne z Keirą. Skupił myśli na swej miłości do tej kobiety. Will jej nie opuści, dopóki się nie przekona, że opiekę nad nią roztoczyła irlandzka policja, wróżki i bracia O'Shea. Keira opierała się temu, ale w końcu zrozumiała tę konieczność.

To nie była jej walka.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

*Półwysep Beara, Irlandia północno-zachodnia 10:15 wieczorem czasu lokalnego 25 sierpnia*

Keira stała przy stole z sosnowego drewna w swym dworku, przy drodze wiodącej W górę, ku kamiennemu kręgowi, i układała przybory malarskie w drewnianej kasetce. Zwróciła się do Willa:

- Kobieta, która mi dzisiejszego wieczoru pomogła, znała wszystkie imiona. Pytała o Boba, Scoopa, Abigail, Simona, Owena. Kim ona jest?

- Nie wiem - odpowiedział Will, wzruszając ramionami.

Detektywi sprawdzili dworek Keiry i nie znaleźli żadnych materiałów wybuchowych, ale stali teraz na zewnątrz, czekając aż będzie gotowa do przenosin w jakieś bezpieczne miejsce. Will dotarł do kamiennego kręgu zbyt późno, by móc służyć jakimiś użytecznymi informacjami. Simon mógł sobie czynić wyrzuty z powodu swej nieobecności w Irlandii, ale i tak nie miało to

znaczenia. Tajemnicza brunetka obezwładniła Murp-hy'ego i przesłuchiwała go z profesjonalną biegłością, a następnie znikła przed nadejściem policji.

Rozglądali się teraz w poszukiwaniu tej czarnowłosej obrończyni Keiry. A Keira uważała, że Will mógł tę kobietę zatrzymać. Dlaczego tego nie uczynił?

On znał odpowiedź na to pytanie. Nie zatrzymał jej z tego samego powodu, z którego nie ingerował, kiedy podczas przesłuchiwania Murphy'ego spytała go o Brytyjczyka, który jej zdaniem nasłał zabójcę na Keirę. *Jest niebezpieczny i uroczy, i bardzo skupiony w sobie.*

Keira wstrzymała się na chwilę z pakowaniem.

- Spróbujesz się dowiedzieć, kim jest, prawda?

- Tak.

- Nie zatrzymywałaś jej, kiedy odchodziła.

- Nie, nie próbowałem.

Bławatkowego koloru oczy Keiry wpatrzyły się w Willa, ale nie powiedziała ani słowa, wkładając do torby podróżnej jeden ze szkicowników. Przez otwarte okna wpadały zapachy kwiatów, intensywniejsze po ustaniu wichury. Włosy Keiry były mokre od deszczu, ubranie uwalane błotem w wyniku szamotaniny, jaka się odbyła w kamiennym kręgu. Irlandzcy detektywi powiedzieli, że będzie się mogła wykapać i przebrać po przybyciu w bezpieczne miejsce. .

- Willu - powiedziała nagle Keira - nie przestaję myśleć o tych bombach.

O Scoopie. To świetny facet. Przygarnął dwa bezpańskie koty - strażacy oba uratowali z pożaru. Jego stan jest krytyczny, ale stabilny.

Will położył dłoń na jej ramieniu: - Keiro, bardzo mi przykro, że to się zdarzyło, rozumiem, jakie to wszystko jest dla ciebie trudne.

- Scoop ma silny organizm. Wygrzebie się z tego.

Abigail też się wyrwie. Ale nie mogę przestać się zastanawiać, gdzie ona może być teraz, przez co musi przechodzić. Boję się, żeby się nie rozkleić - to by przecież nikomu w niczym nie pomogło.

Will wiedział od Simona, że jego nowa miłość przez całe lata przenosiła się z miasta do miasta, nigdzie nie zapuszczając korzeni. W końcu powróciła do Bostonu, by być bliżej matki, która się odwróciła od świata, wybierając żywot religijnej ascetki. Zbudowała sobie drewniany domek w lesie w południowej części stanu New Hampshire. Keira nawiązała bliższą więź ze swym wujem, Bobem O'Reillym, i młodszymi od siebie kuzynami w Bostonie, zaprzyjaźniła się z Abigail Browning i Scoopem Wilsonem. I wtedy w jej życie wkroczył Simon Cahill.

- To nie była wina Simona - powiedziała z naciskiem. - On był takim samym celem jak każdy z nas.

- Co ci Simon opowiedział o Normanie Estabrooku?

- Niewiele, prawie o nim nie rozmawialiśmy. Wiem, że jest opryskliwy, podejrzliwy, błyskotliwy. Musi znajdować się w niebezpieczeństwie, by poczuć, że żyje. Okazał Simonowi wielkie zaufanie.

- I nie popełnił błędu. Simon nigdy nie zrobił niczego, co by stanowiło niebezpieczeństwo dla Estabrooka.

- Z tego co wiem, Estabrook jest przeczulony w kwestii zabezpieczeń i alternatywnych planów. Gdyby dzisiaj coś się nie powiodło - on przystąpiłby do realizacji któregoś z planów dodatkowych.

- Nie ułatwi to jego odnalezienia.

Skinęła głową, jej twarz przybrała wyraz smutku.

- My z Simonem odnaleźliśmy się dopiero co. W uszach brzmią mi śpiewane przez niego irlandzkie pieśni. I on, i mój wuj mają piękne głosy. Ja w ogóle nie umiem śpiewać. Moja matka też nie ma głosu.

- Twoja matka jest absolutnie bezpieczna, Keiro - Will pospieszył z uspokajającymi wyjaśnieniami, że FBI i bostońska policja nie pozwolą wyrządzić jej żadnej krzywdy.

Przypatrując się zachowaniu Keiry, przekonał się, że jest tak silna, niezależna i odważna, jak ją charakteryzował Simon. Zapytywana przez agentów o wszystko, co dotyczyło jej bezpieczeństwa, udzieliła odpowiedzi najbardziej potrzebnych śledztwu. Nie chowała głowy w piasek.

Do ich uszu dobiegło delikatne pukanie, drzwi kuchenne uchylły się i do środka zajrzał jeden z policjantów: - Za dwie minuty powinniśmy ruszyć w drogę.

Keira westchnęła ciężko: - Sama już nie wiem, co zapakowałam, ale mam nadzieję, że jeśli o czymś zapomniałam, będę mogła poprosić kogoś o przywiezienie mi tego. - Spojrzała na Willa i dodała: - Któregoś dnia natkniesz się na ten gang. Zamierzaliśmy tegoroczną Gwiazdkę spędzić w Irlandii. My to znaczy mój wuj, kuzyni, moja matka i ja.

- Będzie tu zimno, ciemno i mokro.

- Mam nadzieję - uśmiechnęła się. - Przyrzekłam obwieźć moją kuzynkę Fionę po irlandzkich pubach, żeby mogła *in situ* posłuchać irlandzkiej muzyki. Cieszę się na jej wizytę. Wcale nie chcę uciekać i ukrywać się, Willu.

- Toteż wcale tego nie robisz.

- A czy to nie jest ucieczka?

Nie czekając na odpowiedź, poszła do sypialni. Po krótkiej chwili wróciła z brokatową torbą w ręku. Włosy zaczesła w koński ogon.

Promieniowała urokiem i imponowała zmysłem praktycznym. Will wcale by się nie zdziwił, gdyby miało się okazać, że policja znalazła dla

niej bezpieczne schronienie w tej samej wiosce. Wyglądało na to, że będzie tu bezpieczna.

- Uczynię wszystko, co należy. Wiesz o tym, prawda? - spytała.

- Simon także o tym wie. Wkrótce twój książę z bajki znajdzie się u twego boku.

Keira uścisnęła jego dłoń i ucałowała go w policzek:

- Jeśli czujesz się w jakikolwiek sposób zobowiązany w stosunku do Simona, on uważa, że nie masz wobec niego żadnych powinności.

- To nie jest kwestia żadnych powinności, Keiro.

- Pewnie że nie. Wiem o tym - stwierdziła i w tej samej chwili w jej wzroku rozjarzył się jakiś płomyk.

- Jeśli się znajdziesz w Bostonie, wystrzegaj się przebywania w strefie zainteresowań tamtejszej policji. Nie poznałeś jeszcze mojego wuja, a on jest głęboko wstrząśnięty tym, co się stało.

- On jest Irlandczykiem z pochodzenia?

- Tak.

Will rzucił jej kose spojrzenie. - No to nie widzę powodu, by się z nim zapoznawać.

Wypuściła jego dłoń ze swej ręki i wyszeptała:

- Uważaj na siebie.

Wyszedł z dworku, zanim policjanci doszli do wniosku, że powinni go zatrzymać i poddać dodatkowemu przesłuchaniu. Gdy wsiadał do samochodu, w głowie rozbrzmiewała mu przestroga udzielona przez Keirę. Nie było mu miło ją opuszczać, ale był pewien, że będzie bezpieczna.

Tymczasem on miał pewne zadania do wykonania.

Z okna pubu biło światło, drzwi nie były zamknięte na klucz. Will zastał Eddiego O'Shea zmywającego



naczynia. Gardziści odjechali. Przynajmniej na razie dochodzenia zawieszono. Na widok Willa Eddie się poskarżył: - Wieść o bombie to bardzo skuteczny sposób wypędzania płacących konsumentów. Czy ma pan ochotę na drinka, lordzie Willu?

- Prosiłbym o kawę, jeśli to możliwe.

- W ekspresie jest jeszcze wrzątek. Przystępując do zaparzania kawy, Eddie zwrócił się

do swego jedyne gościa z prośbą: - Czy wybierając się następnym razem do Irlandii, zechciałby pan, milordzie, uprzedzić mnie o tym telefonicznie? Wtedy będę przygotowany na kłopoty.

- Kłopoty zaczęły się, zanim tu przybyłem.

- To prawda. Zaczęły się jeszcze tego lata od owego kamiennego anioła Keiry i tamtego przekłętego mordercy. Wydaje mi się, że nigdy się od tych kłopotów nie uwolnię.

- Mam nadzieję, że nie będzie aż tak źle.

- Ja również mam taką nadzieję.

Podsunał Willowi filiżankę kawy, a także cukier i śmietankę, jak należało. I podjął temat: - Gardziści przesłuchali Michaela Murphy'ego. To jego prawdziwe nazwisko. Jest za tępy, żeby sobie wymyślić pseudonim. W Limerick znają go jako zbira.

- Zręcznego w działaniu?

- Niespecjalnie... na szczęście. Keira i jej czarnowłosa obrończyni mogły trafić gorzej. Gardziści nie pozwoliliby tej kobiecie odejść.

Will dobrze o tym wiedział.

- Sam pan widział jej twarde kości, zabłocone ubranie i żelazną dłoń, którą unieszkodliwiła pana Murp-hy'ego. Czy pan pragnął wciągnąć ją w tę rozgrywkę?

- Wcale się nie kwapiła oddać nam nóż zabrany napastnikowi.

I sama, będąc bezbronna, rozbroiła go. Murphy nie spodziewał się jej w tym odludnym miejscu, nawet kiedy ją tam dojrzał, nie dostrzegł w niej żadnego zagrożenia. Był silny, zaprawiony w walkach, a ona go wgniotła w błoto, zanim zdążył zadać jej jakikolwiek cios.

Eddie wydawał się zupełnie nieutrudzony wydarzeniami. Ciągnął swe wywody: - Myślę, że gardziści mają wtyki w środowisku przestępców i będą mogli dociec, kto wynajął Murphy'ego, nawet gdyby to była baba albo zwierzak.

- Także na to liczę.

Will pociągnął łyk kawy - była gorąca i mocna

- i nagle zapragnął, by któregoś wieczora zasiąść w tym pubie i pogawędzić z barmanem o sprawach niezwiązanych z przemocą i przestępstwem.

- Pan pewnie nie wie, dokąd gardziści zabrali Keirę?

- spytał Eddie.

Will powiedział: - Nie wiem, niestety.

- Wypytywanie ich o to byłoby stratą czasu. - Eddie zamyślił się na chwilę, po czym zagadnął: - A może jeszcze czymś mogę panu służyć? Została jeszcze jedna jagodzianka. Jest też trochę zupy przyrządzonej przez Patricka.

- Nie, dziękuję, nie jestem głodny.

- Taki pan markotny...

Will wiedział, dlaczego mu markotno. Wydarzenia tego wieczora przywołały mu na pamięć Afganistan, jaskinię, w której przed dwoma laty zginęli ludzie, którzy mu zaufali. Ze względu na pamięć o nich musiał się skupić na wykonaniu zadania, które stało przed nim teraz.

Dopił kawę i zagadnął barmana: - Czy pan widział Murphy'ego w wiosce dziś o wcześniejszej porze? Albo wczoraj?

Eddie opróżnił do końca pojemnik z kawą: - Nie przypominam sobie, bym go widział przed dzisiejszym wieczorem. Wszystko opowiedziałem gardzistom.

Will odsunął opróżnioną już filiżankę i przypatrując się uważnie barmanowi, przystąpił do wypytywania go: - Murphy mógł mieć wspólnika. Zdaję sobie oczywiście sprawę z tego, że obcy pojawiają się u was często, zwłaszcza w tej porze roku, a szczególnie po rozgłosie, jaki latem nadała Keira kamiennemu aniołowi. Czy rzucił się panu w oczy jakiś obcy? Jakiś turysta nietypowy? Niech pan sobie dobrze przypomni, przyjacielu. Kto do pańskiego baru zaglądał w ciągu ostatnich dni? Eddie milczał przez chwilę, zmywając pozostałe naczynia, w końcu się odezwał: - Był tu jakiś tydzień temu Brytyjczyk podobny do tego, którego opisywała ta czarnowłosa kobieta. Może to było nawet dawniej niż przed tygodniem.

Will spiął się w sobie: - Proszę mi o nim opowiedzieć.

- Zjadł zupę i wyszedł.

- Czy Keira i Simon też już tu wtedy byli?

Eddie pokręcił głową: - Jeszcze nie. Przyłączyli się tu dopiero pięć dni temu, łodzią, którą im pan wynajął. Ten Brytyjczyk był tu przed nimi.

- Czy o nich pytał?

- Nie. Zwróciłbym na to uwagę. Wnosząc z jego sposobu zachowania się, to był jakiś wojskowy. Panował nad sobą równie dobrze jak pan, lordzie Willu. - Przetarł ścierką naczynia i podsumował: - Ale niewiele wiem o wojskowych.

Will umiał zapanować nad drżeniem rąk nawet wtedy, gdy tętno gwałtownie mu przyspieszało. Przypomniał sobie Mylesa, leżącego ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma, wpatzonego w rozgwieżdżone afgańskie niebo

i zapewniającego z głębokim przekonaniem, że zaśnie tu równie spokojnie, jakby się znalazł w którejś sypialni Buckingham Pałace. Przez osiem lat Will mu ufał. Myles Fletcher w żaden sposób się nie ujawnił, nic nie zwiastowało, że dopuści się zdrady.

- Kogo jeszcze pan sobie przypomina? Nawet jakiś błahy szczegół może mieć znaczenie.

- Płacił euro i siedział sam, zajęty swymi sprawami. Zamówił wodę mineralną, a nie kawę czy alkohol. Po wyjściu z baru udał się w stronę portu, a potem aleją w dół. Aidan, Patrick i ja ruszyliśmy jego śladem, ale nie zwracał na to uwagi.

- Czy zatrzymał się we wsi na noc?

- Nie wiem, gdzie przenocował. Straciliśmy go z oczu. Siedząc w pubie, wysłuchał nagrania Keiry o kamiennym aniele, ale wysłuchuje go większość naszych gości. Tak się dzieje przez całe lato.

- Co mu pan powiedział?

W oczach Irlandczyka zamigotała figlarna iskierka: - Poradziłem mu, by wypatrył sobie tęczę i podążył za nią po czarę złota.

Will uśmiechnął się z żartu barmana. Eddie O'Shea lubił prowadzić pub, ale nie był kimś, kto zabawia żarcikami intruzów lub głupków. I polubił Keirę i Simona. Któż by ich nie polubił!

Eddie przystąpił do przecierania ściereczką blatu baru. Nagle spytał:

- Czy postąpiliśmy właściwie, lordzie Willu, pozwalając odejść czarnowłosej kobiecie?

- Pan próbował się zatroszczyć o jej nocleg.

- A jeśli ona się przecenia i stanowi zagrożenie dla samej siebie?

Powinniśmy ją przed takim niebezpieczeństwem uchronić, lordzie Willu.

Nawet nie cofając

się przed użyciem siły. Moglibyśmy nawet przegrać. Ona wie, jak ugodzić mężczyznę w czułe miejsce. Poznałem się na niej, jak tylko tu weszła. I jak...

- podszedł do drzwi wejściowych - ... jak zdjęła żakiet i powiesiła go na wieszaku.

- Ja też ją przejrzałem - potwierdził Will. - Myślę, że przeszła odpowiednie przeszkolenie.

- Jakiego rodzaju?

Will pozostawił to pytanie Eddiego bez odpowiedzi.

- I dlatego właśnie pozwolił jej pan odejść?

- W głosie Eddiego pobrzmiwały rozbawienie i dociekliwość. -

Wysportowany Brytyjczyk uląkł się przewagi kobiety?

- Ona rozbroiła doświadczonego nożownika!

- Aha. Nie chciał pan ryzykować przegranej? Will przywołał w wyobraźni jej obraz wczytanej

w książkę Keiry o irlandzkich podaniach ludowych i uśmiechnął się: - Tego bym nie powiedział.

Podsunał barmanowi wizytówkę, którą dała mu Josie w Londynie. Był na niej dopisek: „Dzwoń, kiedy zechcesz i z każdego powodu”. Eddie rzucił na nią okiem i powiedział: - Ja tak samo stawiam się panu do dyspozycji, lordzie Willu! Zawsze zrobię, co będę mógł. A kim, pana zdaniem, był ten Brytyjczyk, którego sobie przypomniałem?

Will zdawał sobie sprawę z tego, że nie może na to pytanie odpowiedzieć. Ani prawda, ani kłamstwo nie wchodziły w rachubę. Eddie, nie czekając na odpowiedź, zagadnął: - A gdybym go znów zobaczył?

- Gdyby go pan zobaczył - Will spokojnie dobierał słowa - proszę go potraktować jak zwykłego klienta, który tu spędza wolny czas.

- Bo w innym wypadku mógłby mnie zabić we śnie?

Odpowiedzi udzieliła Eddiemu Josie Goodwin, stając w drzwiach pubu:

- Nie miałyby dla niego znaczenia, czy pan śpi, czy nie.

Rozpinała płaszcz - bardziej odpowiedni na spacer po Londynie niż na wyprawę do irlandzkiej wioski. Podeszła do baru ze słowami: -

Przyleciałam tak szybko, jak to było możliwe. Będę tu bardziej użyteczna niż w Londynie. Keirze będzie potrzebna pomocna dłoń, a mnie może się uda nakłonić naszych przyjaciół gardzistów do podzielenia się z nami informacjami, jakimi dysponują. Ale już zateęskniłam za miastem.

Egipskie ciemności tu panują!

Przystojna kobieta około trzydziestki, od kiedy Will ją poznał, nie była nigdy tak blada. Uświadamiał sobie jej obecność w drzwiach już od paru chwil, ale nie wiedział, ile słyszała z jego rozmowy z Eddiem. Chciał ją przedstawić barmanowi, ale on gestem ręki wstrzymał tę prezentację.

- Zostawiam państwa, żebyście sobie porozmawiali. Przypuszczam, że wcale nie pragnę usłyszeć tego, czego będzie dotyczyła ta rozmowa.

Wyszedł na zaplecze, a Will, wyczuwając zaniepokojenie Josie, przystąpił do wprowadzenia jej w sytuację: - Nie wiemy, Josie...

Przerwała mu: - Wyjaśnijmy najpierw sprawę podstawową. Powinieneś wrócić do Londynu, WiH- Zostaw ten kłopot Amerykanom i Irlandczykom.

- Wiesz coś więcej o tej tajemniczej kobiecie?

- Nazywa się Lizzie Rush - Josie przysiadła na stołku przy barze. - Należy do hotelarskiego klanu Rushów. Zajmuje się instruowaniem obsługi i projektowaniem organizowanych przez ich hotele wycieczek. Wiedzie żywot obfitujący w przygody.

- Co ją łączy z Simonem?
- Była z Normanem Estabrookiem w Montanie tego dnia, kiedy FBI go aresztowało. Przesłuchiowano ją, ale jej nie zatrzymano.
- Czy była z Estabrookiem związana uczuciowo?
- Nie. Absolutnie nie, na ile zdołałam się wywiedzieć. Mimo że on lubi otaczać się ludźmi atrakcyjnymi, odnoszącymi sukcesy, a ona do takich należy.

- A jakie ma związki z Johnem Marchem?

Josie się uśmiechnęła: - Szukam informacji na ten temat.

- March nie zawaha się użyć każdego, kto mu pomoże osiągnąć zamierzony cel.

- Willu, on jest teraz bolejącym ojcem.

- Wiem. Jest w sytuacji niemożliwej do zniesienia.

- Często w takich sytuacjach bywa.

Ześliznęła się ze stołka i przeszła na drugą stronę lady, gdzie sięgnęła po butelkę Midleton Rare Whiskey.

- Nie powinieneś ulegać osobistej niechęci do dyrektora Marcha przy ocenianiu jego działań.

- Nasza wzajemna niechęć jest w pewien sposób bezosobowa, bo nigdy nie zetknęliśmy się osobiście. Jestem przeświadczony, że on wie o Mylesie o wiele więcej, niż zechciał nam powiedzieć. Nie wierzy, że ja mu ufałem.

Nigdy dotychczas Will nie zwierzał się Josie ze swego poglądu na postawę Marcha i nie miał zamiaru powiedzieć na ten temat ani słowa więcej. Zmienił więc temat: - Czy Lizzie Rush jest bogatą kobietą włączającą się w jakieś afery dla zabicia nudy lub w pogoni za przygodami, czy też ma jakieś osobiste porachunki z Normanem Estabrookiem?

- W pewien szczególny sposób ona może stawać po

jego stronie, Willu. - Josie naląła sobie whiskey do szklaneczki i dodała chłodnym tonem: - Jeśli wsadza nos w nie swoje sprawy dla przygody, mogę go jej uciąć.

- Ale ona uratowała Keirę od śmierci.

- Co samo w sobie nic nie znaczy, Willu. Wiesz, jak to jest. To, co oglądałeś dzisiaj, mogło zostać zainsceni-zowane, uknute przez nią i przez Murphy'ego, żeby wprowadzić nas w błąd. Ta kobieta może rozgrywać jakąś swoją grę, nie oglądając się ani na Keirę, ani na Estabrooka czy Simona, ani w ogóle nikogo.

Nikt na całym świecie nie patrzył na życie jaśniej, chłodniejszym okiem i nie panował nad emocjami równie niezłomnie jak Josie Goodwin. Will wiedział, że może na niej polegać nie tylko ze względu na efektywność jej działań, ale także ze względu na precyzję jej analiz.

- Zakładam czysto teoretycznie - stwierdził w odpowiedzi - że ona może snuć jakieś własne plany, które śmierć Keiry i tych ludzi w Bostonie mogłaby pokrzyżować.

- A co z Abigail Browning? - spytała Josie, nalewając sobie do szklanki whiskey do ostatniej kropli, jaka została w butelce. Stropiona spojrzeniem Willa, wytłumaczyła się: - Przepraszam. Od miesięcy nie miałam w ustach kropelki alkoholu. Przeplakałam wiele nocy z powodu różnych zgrzyot... - machnęła ręką - ... ale to nieważne. Może się okazać, że nasza Lizzie Rush - niezależnie od tego, gdzie się teraz znajduje - pomoże w odnalezieniu detektyw Abigail Browning.

Will przymrużył oczy: - Masz jakieś nowe informacje?

- Niewiele. Rozmawiałam z Simonem - wbiła wzrok w podłogę. - Sprawy nie wyglądają dobrze. Nie ma



żadnych świadków ani wyraźnych poszlak, nie ma żądań okupu, przynajmniej jak dotychczas.

- Ale również nie znaleziono ciała.

- To prawda. Ciało też nie ma. - Josie zrobiła minę, jakby zapragnęła jeszcze alkoholu, ale zastrzegła się:

- Wiesz, że nie szaleję za whiskey, prawda? Will uśmiechnął się: - Wiem, Josie, wiem. Nalała sobie do szklanki trochę, tym razem mniej niż poprzednio. Z jej oczu biły zdecydowanie i determinacja kontrastujące z bladością cery.

- Jak zawsze zebrałaś multum informacji. Co ja bym począł bez ciebie, Josie?

- Wiódłbyś przyjemny żywot w Szkocji, jak sądzę.

- Odstawiła butelkę na półkę i spytała: - Czy sądzisz, że panna Rush pomoże nam odszukać tego podłego zdrajcę, Mylesa Fletchera?

- Josie...

- Zadałam ci rzeczowe, profesjonalne pytanie, Willu.

- Nie mamy wiarygodnych dowodów, że on żyje. Dopła whiskey ze szklanki i się skrzywiła. - A rysopis podany przez barmana? Wydaje się mu odpowiadać.

- Odpowiada wielu innym Brytyjczykom. To nie musi być on.

Odsuwając od siebie pustą szklankę, obrzuciła go chłodnym, badawczym spojrzeniem. - Próbujesz mnie wymanewrować, Willu.

- Ja? Ciebie? Nigdy.

- Trudno, w porządku. Rób to po swojemu. Zresztą... Albo zdrajca Myles Fletcher zginął przed dwoma laty, albo przeżył i jest teraz bezwzględny najemnikiem.

Will wiedział, że Josie nie chciała posłużyć się nazwiskiem Fletchera, on sam zaś wcale nie pragnął go usłyszeć. Oznajmił: - Muszę dołożyć starań, by go odnaleźć.

- Wszyscy zrobiliśmy wszystko, co możliwe w tej sprawie. Wszystko, Willu.

- A jeśli on nie...

- Przestań, Willu. Przestań! Proszę.

Przymusił się do potakującego skinienia głową. Oczy Josie ściemniały, jej spojrzenie nabrało intensywności, kiedy stwierdzała: - Jeśli Estabrook wynajął Mylesa lub w jakiś sposób się z nim sprzymierzył, to znaczy, że ma na liście płac człowieka zdolnego wykonać jego najokrutniejsze zamysły. - Zamilkła na chwilę, po czym dodała: - Mam nadzieję, że to nie dotyczy tego przypadku.

- Ja również żywię tę nadzieję.

Nie patrząc na Willa, ciągnęła: - Jeśli Myles żyje, to myślę, że stracił pamięć i otworzył sklep z herbatą w Liverpoolu. Ale jeśli nie... - Policzki nieco jej się zaróżowiły, kiedy dopowiedziała: - Miałam możliwość zadusić go na śmierć.

- Josie!

- W porządku, Will. Zabieramy się do roboty. Zbadam przypuszczalne powiązania między nim a Lizzie Rush oraz jej rodziną. Może ona się w nim kocha? Myles umie postępować z kobietami.

- Na podstawie tego, co usłyszałem kiedy przesłuchiwała Michaela Murphy'ego, powiedziałbym że w ogóle nie zna Mylesa.

- Co mogłoby oznaczać, że chciała, abyś doszedł do podobnego wniosku.

- Josie wróciła na swe poprzednie miejsce przy barze. - Nie muszę ci przypominać, że Myles jest przebiegłym, bezwzględnym zabójcą, Willu, nawet nie próbuj łagodzić sprawy.

- Josie, przykro mi, że w ogóle padło jego nazwisko. Ale ona nie rezygnowała z pełnego przeanalizowania

sytuacji: - Jeśli go tylko zobaczysz, natychmiast go zastrzel. Znajdź na to jakiś sposób. On jest groźnym drapieżnikiem. Czai się gdzieś w buszu, wypatrując sposobnego momentu, stosownego łupu. I wtedy atakuje.

Wiem, że dybie na Simona. Kiedyś ja byłam jego ofiarą.

- On manipuluje nami obojgiem, Josie, na różne sposoby. Korzystaliśmy z jego usług kiedyś, kiedy wydawało się, że ma otwarty umysł.

Josie zapięła płaszcz, w jej oczach odczytać można było pełną determinację i gorycz. Ubiegając dalsze rozważania Willa, oznajmiła: -

Myles wie, jak sprawić, by ludzie widzieli go takim, jakim chce być widziany. Istotne jest to, że rodzina Rushów nie ma hotelu w Zjed-

noczonym Królestwie. A ma - co uważam za zrozumiałe - uroczy hotel w Dublinie.

- Dlaczego uważasz to za istotne?

- Bo tam zarezerwowałam ci pokój na dzisiejszą noc. Powinien się okazać całkiem przyjemny. Sprawdzisz to sam i przekażesz mi swą opinię.

Uprzedziłam ich, że zgłosisz się bardzo późno.

- Przypuszczasz, że Lizzie też się tam pojawi? Czy może wiesz, że tak będzie?

- Odgaduję to. A w każdym razie to dobre miejsce do rozpoczęcia akcji.

Ty przecież ją tropisz, prawda?

Will przypomniał sobie zielone oczy w oprawie czarnych rzęs i kryjące się w nich tajemnice, skrywane lęki. - Tak - przyznał - idę jej tropem.

- To świetnie. Aprobuję tę decyzję - wprowadziła do ich rozmowy akcent humorystyczny. - Przekaż ode mnie pozdrowienie Simonowi, kiedy go zobaczysz. A co z Keirą? - spytała, jakby wiedziała, że od początku lata

tych dwoje zakochało się w sobie nawzajem. - Czy jest bezpieczna?

**107**

Will potwierdził i dodał, że Keira nie może się doczekać powrotu Simona.

- No tak, mogę to sobie wyobrazić. A ty powinieneś już ruszać w drogę. Do Dublina jest ponad trzysta kilometrów, ale dasz sobie radę.

Przywykłeś do dziwnych pór, długich dni i - uśmiechnęła się przy tych słowach - jeszcze dłuższych nocy.

Will uśmiechnął się w milczeniu. Dopiero po chwili odrzekł: - Jak widzę, wszystko zostało przygotowane i zakomunikowane, pozostaje mi tylko wykonać instrukcje.

- Nareszcie dojrzał światelko w tunelu.

Ale odprężenie między nimi trwało tylko chwilę. - A co z tobą, Josie? - spytał Will troskliwym tonem.

- Zarezerwowałam sobie pokój w pięciogwiazdkowym hotelu w Kenmare, ale może zdobędę się na mądrą rezygnację z takiej ryzykownej jazdy po uraczeniu się whiskey. Wyobraź sobie międzynarodową wrzawę, gdybym została przyłapana w takim stanie przez irlandzkie władze na prowadzeniu auta. Lepiej współpracować z nimi dyskretnie. W barze pojawił się Eddie O'Shea, nic jednak nie wskazywało na to, by miał ich podsłuchiwać. Zaoferował Josie nocleg: - Mój brat Aidan ma pokój gościnny na swej farmie, w dole wsi. Będzie tam pani mile widziana.

Josie się rozpromieniła: - Nocleg na irlandzkiej farmie! To znakomite zakończenie trudnego dnia.

## **ROZDZIAŁ JEDENASTY**

*Boston, stan Massachusetts 6:25 po południu czasu lokalnego 25 sierpnia*

Popołudniowe słońce oświetlało dwupiętrowy budynek, w którym Bob mieszkał od trzech lat. Nie wyczuwało się żadnego powiewu bryzy.

Słońce było niemal pionowo, pot ściekał Bobowi pod koszulą. Strażacy pozostawili po sobie niezły bałagan, ale ocalili dom, w każdym razie jego konstrukcję. Mieszkania Abigail i Scoopa na parterze były istnym pogorzeliiskiem. Trzeba będzie ściągnąć rzeczoznawców ubezpieczeniowych, by ocenili poniesione straty.

Nie znaleziono na szczęście żadnej kolejnej bomby.

Zanim jeszcze karetka zabrała do szpitala krwawiącego Scoopa, Bob zorientował się, że będzie szczegółowo przesłuchiwany. Już go przepytawali o różne szczegóły przedstawiciele służb policyjnych miasta, stanu, a także władz federalnych. Dostrzegał detektywów krążących po sąsiednich budynkach, którzy również zbierali informacje i spostrzeżenia mieszkańców.

W chwili obecnej przyjmowano, że bombę umieszczoną w worku na śmieci podłożono pod gazowy piecyk grillowy stojący na ganku parterowego mieszkania Abigail. Jeśli zważyć, że ani ona, ani Owen, obłożeni tyłoma zajęciami, nie używali grilla nazbyt często, można przyjąć, że bomba leżała tam od kilku godzin, a nawet dni. Zdetonowano ją z odległości, wykorzystując zdalnie sterowany zapalnik. Bombę w samochodzie Owena podłożono po tym, jak przyjechał na Beacon Hill. W przeciwnym razie wybuchłaby już w chwili, kiedy wyruszał rankiem spod mieszkania Abigail.

Fiona była przekonana, że ostrzeżenie udzielone Scoopowi przez Boba umożliwiło temu pierwszemu wepchnięcie jej za osłonę w postaci skrzyni na kompost. Ocaliły ją więc kuchenne odpadki. Tylko Scoop pozostał niczym nieochroniony. Co by się działo, gdyby podłożono więcej bomb? Gdyby celem stali się przybyli na miejsce zdarzenia policjanci?

Wszyscy oni działali sprawnie, zgodnie z przyjętymi procedurami - z wyjątkiem pewnego idioty, który uznał za konieczne telefoniczne zawiadomienie byłej żony Boba, matki ich trojga córek, o tym, co się wydarzyło.

Theresa O'Reilly spoglądała na Boba surowo. Pogroziła mu palcem dla nadania wagi zakazowi: - Nigdy więcej. - Powtórzyła: - Rozumiesz? To się nie ma prawa już nigdy zdarzyć.

Bob przyjął tę reprimendę spokojnie. Wdawanie się z Theresą w szczegóły nigdy do niczego nie prowadziło. Oznajmił natomiast: - Fiona nie chce się przenieść z dziewczętami do twojego domu.

- Nie przejmuję się tym, czego chce lub nie chce. Nie wróci do swego mieszkania - odpowiedziała.

Postanowił ją uspokoić: - Jestem z tobą, Ter.

Nie porozumiewając się z ojcem, najstarsza córka wynajęła na lato mieszkanie w dzielnicy Brighton wraz z trzema przyjaciółkami ze świątka muzycznego. Antyterrorysty sprawdzili to mieszkanie, ale niczego nie znaleźli. Sprawdzili także położone w południowej części Bostonu mieszkanie siostry Theresy, Eileen, matki Keiry, do którego wróciła ze swej leśnej chatki. Nagrała się ona Bobowi na pocztę głosową, zawiadamiając, że modli się o zdrowie wszystkich członków rodziny. W porządku. Bob zdziwił się, stwierdzając że sam w myślach odmawia pacierz. W intencji Abigail. Jej odnalezienia.

Oczy Theresy zaszyły łzami: - Przepraszam - wyszeptwała. - Nie mogę się opanować. To wszystko jest tak straszne...

- Taak - potwierdził Bob, przełamując skrepowanie. - Wiem. Rozumiem cię.

Theresa pracowała na przedmieściu Lexington w zakładzie wytwarzającym skomplikowaną aparaturę techniczną. Poznali się przed laty, kiedy była rozmarzoną urzędniczką, a on funkcjonariuszem patrolującym ulice. Ich związek trwał do czasu, kiedy ich najmłodsza córka, Jayne, osiągnęła czwarty rok życia. Było to siedem lat temu. Po dwóch latach Bob podjął próbę ponownego małżeństwa, ale trwało nie dłużej niż chwilę. Theresa nie wyszła za nikogo, ale miała przyjaciela. Był menadżerem, podobnie jak ona. Po Bobie nie chciała już wiązać się z policjantami.

Nie mógł znieść załęknięcia swej byłej żony. Spytał:

- Ufarbowałaś sobie ostatnio włosy, Ter?

- Daj mi spokój. I nie nazywaj mnie „Ter”. Mam na imię Theresa.

- Dobrze, Thereso.

Uśmiechnął się przy tych słowach. Włosy miała jasnoblonde - najpewniej za sprawą farby, w kącikach oczu umalowała się zbyt mocno, również usta pokryła zbyt grubą warstwą szminki, ale ogólnie wyglądała dobrze. Czas nie był też łaskawy i dla niego. Musiał trochę stracić na wadze, na skórze pojawiły się brązowe plamki, których przedtem nie miał. Był rudy.

- Bob? - zagadnęła go nagle.

- Słucham. Czekam na kolejny cios.

- Głupol! - sarknęła i dotknęła go ręką. - Dobrze się czujesz?

- Lepiej niż kiedykolwiek.

Przyglądał się czarnemu SUV-owi, w którego wnętrzu agenci bostońskiej policji przepytывali Fionę. Właśnie dano jej odpocząć przez chwilę w klimatyzowanym wnętrzu. Przekąsiła coś i napiła się wody mineralnej; wyszła na zewnątrz, ale po chwili znów się skierowała ku policyjnemu samochodowi.

- Poczekaj tu chwilkę - polecił Bob byłej żonie. - Porozmawiam z Fi i za kilka minut wrócę.

- Nie ruszę się stąd.

Wiedział, że dotrzyma obietnicy. Mimo wszystkich różnic, jakie ich dzieliły, była wzorową matką. Bob chwiejnym krokiem ruszył w stronę SUV-a. Niedostatek adrenaliny. Przydałby się jakiś mocny drink. Theresa namawiała go kiedyś, błagała niemal, by podjął zaoczne studia na prawie i awansował, podobnie jak March. Nigdy nie lubiła policyjnej roboty swego męża. Nie rozumiała też jego zainteresowania statystyką ani zaufania, jakim darzył dane statystyczne. „Bobie - pod-kpiwała - idziesz do pracy uzbrojony w pistolet, po co ci jeszcze jakaś wiedza?”. Nie znajdował odpowiedzi. A jakiej jeszcze wiedzy potrzebowała Theresa?



Bob dostrzegł podchodzącego do niej Yarborougha. Od chwili wybuchu bomby zachowywał się wręcz wzorowo: był skupiony, profesjonalnie sprawny, ale też spięty emocjonalnie. Od ośmiu miesięcy współpracował z Abigail i często się spierali; Bob parokrotnie łagodził ich sprzeczki. Ale darzyli się nawzajem szacunkiem i oboje byli wysoko wykwalifikowanymi pracownikami wydziału zabójstw. Z Abigail jednak łatwiej było o porozumienie.

Fiona pierwszy szok przeżywała otoczona opieką ojca. Zdołała przy jego pomocy skupić się na ratowaniu Scoopa. Potem stopniowo odzyskiwała kontrolę nad sobą, wspierana przez Yarborougha i Lucasa Jonesa. Lucas był wcześniej partnerem Abigail. Ubiegłej jesieni awansował na porucznika i przeniesiono go do wydziału narkotyków. Ponieważ Norman Estabrook zadawał się z ludźmi ze środowiska handlarzy narkotyków, Lucasa włączono w to śledztwo. Kiedy tylko Fiona podeszła do SUV-a, natychmiast się nią zajął. Sposobem bycia przypominał salonowego rozmówcę, ale potrafił być dobrym policjantem.

- Jak sobie radzisz, dziecinko? - spytał Bob córkę.

Przygryzła dolną wargę: - Jako tako.

Lucas włączył się do rozmowy: - Jest wyczerpana, ale wykonuje wielką robotę.

Gdyby Bob miał wskazać kogoś, kto powinien przesłuchiwać jego córkę, wybrałby Lucasa. Był człowiekiem uroczym, a przy tym jednym z najlepszych detektywów w bostońskiej policji. Bob nie chciał, by Fionę przepytawali policjanci. Chciał, żeby na powrót znalazła się wśród przyjaciół, by śpiewała wraz z nimi irlandzkie piosenki.

Podjechał Simon Cahill. Wylegitymował się swą

kartą identyfikacyjną FBI i podszedł do SUV-a. Przydzielono mu dwóch agentów FBI jako ochronę, ale zgubił ich po drodze. Był opanowany i skoncentrowany na obserwowaniu otoczenia. Bob rozpoznał go od razu, ale nie miał już przed sobą tego pogodnego człowieka, który przed dwoma zaledwie miesiącami tańczył z Keirą i śpiewał irlandzkie piosenki na wewnętrznym podwórku dziś spalonej kamienicy.

- Bob... - wykrztusił - tak mi przykro...

- Z jakiego powodu? Przecież to nie ty podłożyłeś te bomby...

- Powinienem był to przewidzieć, kiedy wiązałem się z Keirą. Estabrook miał już prawdziwą obsesję na tle Marcha, ale...

- Stop! Ubolewania w niczym nam nie pomogą.

- Masz rację. - Wziął głęboki oddech. - Chciałbym się dowiedzieć, co zapamiętała Fiona, przechodząc przez to wszystko.

Usłyszał go Lucas i podszedł o krok bliżej: - Może pan przejmie moje notatki?

Simon nie zareagował na tę ofertę, nadal wpatrując się w Boba. Ten uśmiechnął się do Lucasa.

- Agent federalny właśnie z nią rozmawia.

Lucas nie wydawał się zadowolony, ale odsunął się bez słowa. Simon otworzył tylne drzwiczki SUV-a, wsiadł do wnętrza i sięgnął po butelkę wody mineralnej. Otworzył ją i podał Fionie. Wymamrotała podziękowanie.

- Dobrze się czujesz? - spytał.

Skinęła głową. Poza paroma skaleczeniami nie odniosła poważniejszych obrażeń. Doprowadziła do porządku swój ubiór, Bob wyniósł jej ze swego mieszkania czystą koszulę. Nie była nasiąknięta dymem aż tak jak

jej bluzka, która w dodatku była poplamiona krwią Scoopa.

Popijając wodę, Fiona opowiadała, że zbierała właśnie wraz ze Scoopem pomidory, nucąc przy tym irlandzkie piosenki, a w pewnej chwili została przerzucona za pojemnik na kompost, a wokół niej rozpętało się piekło - buchały płomienie, kłębił się dym, lała się krew.

- Czy przed wybuchem zauważyłaś w pobliżu kogoś?

Potrząsnęła głową przecząco.

- O której tu przyszłaś?

- Około drugiej po południu. Chciałam porozmawiać z ojcem o naszej, planowanej na Boże Narodzenie, wyprawie do Irlandii. Wiesz, że Keira zamierzała wybrać się z nami, prawda? Nasza babcia urodziła się w Irlandii, tata i jej mama mają irlandzkich przodków po mieczu i po kądzieli.

Simon uśmiechnął się mile: - Dobrze znam twój irlandzki rodowód.

- Wywiedziałam się przez Internet, gdzie w Dublinie można się napić dobrej herbaty w Wigilię. Czy to nie dobry pomysł, spędzać Wigilię przy irlandzkiej herbacie?

Simon nie był zbyt zainteresowany herbatą dublińską ani żadną inną, ale podtrzymał uprzejmie rozmowę na ten temat. - Wyobrażam sobie twego ojca z filiżanką mocnej herbaty w dłoni.

- On uwielbia taką herbatę.

- I najpewniej się takiej w Wigilię napije. No więc zebrałaś swoje wydrukowane z komputera informacje i przyjechałaś do ojca. Gdzie byłaś przedtem?

- W domu Garrisonów przy Beacon Street. Ćwiczyłam grę na harfie.

- Byli z tobą jacyś znajomi?
  - Nie, byłam sama. To znaczy był Owen, ale on przebywał w biurze, na piętrze. Już go zastałam, kiedy się pojawiłam gdzieś około dziesiątej. Większość czasu spędziłam tam, ćwicząc grę.
  - Czy dotarłaś tam miejskim środkiem komunikacji, czy przyjechałaś samochodem?
  - Przyjechałam metrem. Od stacji szłam pieszo. Pogoda była piękna. Nadal jest taka. - Zająknęła się i łyknęła trochę wody. - Niedobrze mi. Simon nie zwrócił na te słowa uwagi. Bob też na nie nie zareagował.
  - A na której stacji wsiadłaś do metra?
  - Przy Downtown Crossing. Jechałam linią pomarańczową.
  - Czy ktoś wsiadał z tobą?
  - Myślę, że tak. Nie przypatrywałam się nikomu. Nikt się o nic do mnie nie zwracał.
  - A czy ktoś wysiadał na tej samej stacji co ty?
  - Nie i nikt za mną nie szedł. Zawsze to sprawdzam. Mam taki nawyk. - Zwróciła wzrok ku ojcu. - Tata mnie tego nauczył. Simon nie spojrzał na Boba, przez cały czas pilnie wpatrywał się w Fionę.
  - I spacerem doszłaś do domu ojca?
  - Niczego szczególnego nie zauważyłam po drodze. Przejeżdżały samochody, chodnikami szli ludzie. Kiedy doszłam na miejsce, weszłam do środka od strony zaplecza. Nie pukałam, nie użyłam dzwonka...
  - Ojciec cię oczekiwał?
- Skinęła głową potakująco: - Zadzwoiłam do niego z komórki po wyjściu z metra. Kiedy weszłam na podwórko, zawołałam, że już jestem.

- Furtka wiodąca na podwórko nie była zamknięta na klucz?  
- Nie. Weszłam do środka bez przeszkód. Powiedziałam ojcu, że będę zbierać pomidory i mu je przyniosę. Scoop miał ich całe mnóstwo. *Ma* ich mnóstwo.

Rzuciła Simonowi i ojcu dość gniewne spojrzenia, jakby oczekiwała, że będą się z nią spierali, ale to nie nastąpiło. Złagodniała i ciągnęła swą relację: - Strażacy i ratownicy rozdeptali te pomidory w trakcie akcji, ale mam nadzieję, że niektóre ocalały. Scoop wkrótce wróci do swego ogródka.

- W porządku - Simon pochylił głowę jakby nieco odprężony; jak dotychczas nie usłyszał niczego, co by go wzburzyło czy też przyprawiło o napięcie wewnętrzne. - Jesteś więc już na wewnętrznym podwórku. Zawiadomiłaś o tym ojca. Czy on się znajdował na zewnątrz domu? Fiona pokręciła głową: - Wyszedł na balkon, kiedy mnie usłyszał. Wykrzyknął „hi!” i z powrotem wszedł do środka.

- A Scoop był w ogródku?

- Tak.

- Czy cię zaprosił, żebyś do niego dołączyła, czy sama się tam wprosiłaś?

- Pewnie że sama. Ubóstwiam pomidory.

- Tak więc dołączyłaś do niego. I co dalej? Zaczerpnęła większy niż uprzednio łyk wody: - Abigail wykrzyknęła do mnie „hello!”.

- A gdzie wtedy była? Pamiętasz?

- Na swoim ganku. Najpierw pomyślałam, że jest w kuchni, ale ja... - przy tych słowach zatrzęsły się jej ręce. W tym właśnie punkcie jej opowieść odbiegała od relacji o zbieraniu pomidorów w końcu lata i wkraczała

w opis prawdziwego piekła - ... ja byłam w błędzie. Abigail stała na ganku.

- Co ci powiedziała? Możesz powtórzyć dokładnie? Fiona namyślała się przez chwilę.

- Powiedziała: „Hi, Fiona. Ostrzeż Scoopa, żeby cię nie obrzucał zgniłymi pomidorami”.

Simon uśmiechnął się i spytał: - A Scoop? Miał w tej sprawie coś do powiedzenia?

- Roześmiał się, wyciągnął w naszą stronę wielkiego, czerwonego pomidora i wykrzyknął: „Nie udałoby się wam kupić czegoś takiego na rynku!”.

- A co na to Abigail?

Dolna warga Fiony zadrżała, co przypomniało Bobowi jej podobne reakcje w okresie dzieciństwa. Odpowiedziała ściszym głosem: - Nic. Nic, co bym usłyszała.

Na jej twarzy odmalowało się skupienie. Po chwili dodała: - Zadzwoił telefon. Nie skojarzyłam tego przedtem. To musiała być przyczyna tego, że Abigail weszła do wnętrza mieszkania.

- Aby podnieść słuchawkę - uzupełnił Simon.

- I wtedy tata ostrzegł nas okrzykiem, a Scoop porwał mnie i uniósł obiema rękami.

- A więc: najpierw był telefon, potem okrzyk ojca, a po nim - akcja Scoopa.

- Tak.

- A po tym wszystkim?

- Scoop wcisnął mnie w szczelinę za poj emnikiem na kompost.

- Czy coś przy tym mówił?

- Nic. Ani słowa. Wycisnął ze mnie oddech. Nie mogłam oddychać, kiedy wybuchła bomba. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, co się dzieje. I wtedy Scoop...

- przerwała, gwałtownie łapiąc oddech, jakby chciała nabrać siły przed wkroczeniem w najmroczniejszą strefę swej pamięci, wypełnioną lękiem.
- Wszystko to stało się tak szybko, jakby w jednej chwili. Wybuch, gwałtowny podmuch - zdawało mi się, że wyciska powietrze z całego podwórka, całego otoczenia. Scoop jęknął i... było tyle krwi...
- Ugodziły go odłamki grilla i zbiornika na gaz
- wyjaśnił Simon. - Jego rany nie miały nic wspólnego z działaniem w twojej obronie. Gdyby sam wepchnął się za skrzynię kompostową, nadal by...
- Gdybym to ja osłaniała jego, a nie on mnie, uniknąłby poranienia - stwierdziła Fiona kategorycznym tonem. - Tak jak ja tego uniknęłam dzięki niemu.

Zanim Bob zdążył wypowiedzieć swą opinię, Simon wyszedł z samochodu i sprostował: - Tak się nie mogło zdarzyć. Ty jesteś dziewiętnastoletnią studentką col-lege'u, a Scoop jest policjantem. Zachował się tak, jak powinien, jak go szkolono.

- On jest bohaterem - rzekła Fiona.

Bob nie wyrzekł ani słowa. A teraz już nie mógł się włączyć do przesłuchania. Stracił po temu okazję, a i tak nie pomogłoby to córce. I nie mogło pomóc Abigail.

Fiona podała Simonowi swą butelkę wody mineralnej, dłonie przestały jej drżeć. - Nie widziałam nikogo na ulicy ani w sąsiednich domach. Nie słyszałam też niczyjego głosu. Ani żadnych w ogóle dźwięków - szczekania psa, telewizora. Otaczała mnie naga cisza. Absolutna. Przypominam sobie, że wchodząc w podwórko domu, nuciłam sobie półgłosem piosenkę „Irish Rover”.

Bob usłyszał ją wtedy, ale zapomniał o tym, dopiero córka mu to przypomniała.

Fiona nagle uśmiechnęła się do Simona: - Pan i tata powinniście śpiewać. Moglibyście wystąpić kiedyś w moim zespole.

Fiona zawsze używała określenia „zespół”, nigdy „orkiestra”. Simon dorzucił: - Moglibyśmy też odtńczyć irlandzki taniec dżig.

- To prawda! Nie przyszło mi to do głowy aż do tego lata. Ojciec ukrywał swe talenty przez całe lata. - Wypowiadała te słowa z takim przejęciem, że kosmyki jasnych włosów zsunęły się jej na blade policzki.

Tymczasem Simon otworzył tylne drzwi SUV-a i nappełnił wodą opróżnioną już butelkę, po czym zatrzaskał drzwiczki. Bob zorientował się, że tymi czynnościami chce zmniejszyć napięcie i skierować uwagę Fiony na zwykłe, powszednie sprawy. Simon zajął swe poprzednie miejsce i powrócił do przepytywania Fiony: - Przedtem powiedziałaś, że słyszałaś krzyki Abigail po wybuchu.

- Pamiętam, że to powiedziałaś. Ale ja nie usłyszałam jej krzyku.

Myślałam, że go słyszałam, ale to nie było tak. Nie wiem, co usłyszałam. To wszystko rzeczywiście nie stało się jednocześnie. Najpierw zadzwonił telefon, potem tata krzyknął ostrzegawczo, potem Scoop chwycił mnie w ramiona, a *potem* nastąpiła eksplozja. Tak to przebiegało. Ale wydarzenia następowały szybko, jedno po drugim.

- Dobrze się spisałaś, zachowując je w pamięci dla nas - pochwalił ją Simon.

Ale ona popatrzyła na ojca: - Tato, a czy ty coś widziałeś? Skąd wiedziałeś, że trzeba nas ostrzec?

Nie powiedział jej do tej pory o telefonie z Irlandii. Ani o Keirze. I tej drugiej kobiecie włączającej się w rozmowę. Nie powiedział o tym ani Lucasowi



Jonesowi, ani Tomowi Yarboroughowi. Nie zadali mu pytania, które postawiła Fiona. Simon wiedział, ale i on milczał.

- Tato - Fiona wróciła do swego pytania - skoro ty nas ostrzegłeś, to ktoś musiał ostrzec *ciebie*, prawda? Kto to był?

- Ty i twój ojciec możecie sobie o tym porozmawiać, ale my wróćmy do twoich ćwiczeń odbywanych przed południem w domu Garrisonów. Czy zauważyłaś tam kogoś...

- Kto mógł podłożyć bombę w samochodzie Owena? - dokończyła Fiona.

- Nie wiem. Nie sądzę, żebym kogokolwiek zauważyła. - Zaczynała się niecierpliwić. - Nie mogę... sobie przypomnieć. Nie wiem.

- Mam jeszcze kilka pytań. Mogę ci je zadać w cztery oczy? Bez obecności twego ojca?

Bob nie zaprotestował przeciw temu. Pocałował córkę w czoło i ruszył w stronę Theresy, ale został przywołany do udzielenia prasie kolejnych informacji.

Agent agencji antyterrorystycznej, rówieśnik Boba, zreferował dotychczasowe ustalenia.

- Środkiem wybuchowym było C4, idealne do tego rodzaju bomb. Ćwierć funta tego materiału zniszczyło butlę z gazem i wszystkie przedmioty w pobliżu.

Agent policji bostońskiej potwierdził tę ocenę. Zgodzili się z nią także strażacy. Bob włożył do ust kolejną gumę do żucia. Oświadczył: - Bomby nie wybuchły w bezpośrednim sąsiedztwie Abigail ani też Owena, nie mogła więc ona zniknąć w wyniku eksplozji. Ktoś ją porwał, umieścił w jakimś pojeździe i wywiózł stąd. Tuż pod moim nosem.

Nikt się nie odezwał. Bob ciągnął swój wywód, czując

na sobie wzrok wszystkich: - Telefon ściągnął Abigail z ganku do wnętrza. Ci bandyci nie chcieli jej zabić. Scoop, Fiona - bandytom było obojętne, czy oni zginą, czy ocaleją. Mną też się nie interesowali. Wybuch mógł przewrócić Abigail. Obezwładnić ją. Bandyci osiągnęli swój cel i wywlekli ją do oczekującego auta.

- Bob wskazał ślady krwi na chodniku, w miejscu otoczonym policyjną taśmą ochronną. - Tu wydarła z jednego z nich dowód zastosowanej wobec niej przemocy.

Przerwał swe wyjaśnienia na chwilę, ale nadal nikt się nie odzywał. Wyczuwał własne przyspieszone tętno.

- Skupiłem się na wybuchu. Udało im się ściągnąć na tę eksplozję całą naszą uwagę. Nic nie widziałem. Żadnego pojazdu. Nic.

Agent służby antyterrorystycznej w końcu zadał pytanie: - Jak się dostali na ganek i podłożyli bombę?

Bob chętnie by go rąbnął w zęby. - Jezu... Pewnie to ja wprowadziłem ich na podwórze, wskazałem grill Abigail i powiedziałem: macie, czegoście chcieli, nikt tu bomby nie zauważy.

- Nie było żadnych naprawiaczy sieci telefonicznej, elektryczności, kominiarzy?

- Złożyłem zeznanie. Scoop też złożył swoje świadectwo, z tą różnicą, że jest nieprzytomny. A Abigail tu nie ma, co komunikuję na wypadek, gdybyście tego nie spostrzegli.

Coś drgnęło w agencji służby antyterrorystycznej:

- Przepraszamy pana, poruczniku.

Śledczy służby pożarniczej spytał: - Czy możemy w czymś panu pomóc? Albo pańskiej rodzinie?

Bob miał w zanadrzu tuzin odpowiedzi, żadna nie byłaby uprzejma, ale dostrzegł malujące się na twarzy

pytającego szczere przejęcie. Wszyscy chcieli mu pomóc. Wszyscy mu współczuli.

Musiał się jak najszybciej stąd zabierać.

Schronienie znalazł na fotelu pasażera we wraku swego samochodu, skąd połączył się telefonicznie z Eddiem O'Shea w jego wiejskim pubie w południowo-zachodniej Irlandii. Bob rozmawiał już z Keirą i jednym z irlandzkich detektywów o ataku na nią. Teraz pragnął porozmawiać z barmanem. Poznał go jeszcze w sierpniu, w trakcie pierwszej w życiu wycieczki do krainy swych przodków. Wybrał się w tę podróż wraz z siostrą, niedługo po tym, jak opuściła swą leśną pustelnię i wróciła do miasta.

Bob miał nadzieję, że Simon wybierze się na Gwiazdkę do Irlandii wraz z Keirą, jej córkami i jego siostrą. Ale perspektywa takiej rodzinnej wyprawy nieco się oddalała.

O'Shea zgłosił się po kilku sygnałach.

- Są tam jeszcze ciągle irlandzcy gliniarze? - spytał Bob.
- Poszli sobie, Bobby, przeszukali mój pub w poszukiwaniu bomby!

O'Shea nalegał, by nazywać swego rozmówcę Bobbym.

- Znaleźli coś?
- Trochę wypieków Patricka.
- Nie ufaj nikomu - przestrzegł go Bob. - Żadnym gardzistom, żadnym irlandzkim wróżkom. Nikomu, O'Shea. Słyszysz mnie?
- Czy dobrze się czujesz, Bobby?
- Przypaliły mi się brwi i rzęsy.
- A co z Simonem?

- Poczująca się do misji.

Bob spytał irlandzkiego barmana: - Chciałbym się czegoś dowiedzieć o tym Irlandczyku, który próbował pozbawić życia moją bratanicę.

- On wiedział o bombie.

- Tylko o tej w moim domu. Drugą podłożono w samochodzie.

- Nie wspominał o niej. To najemnik.

- A dlaczego powiedział Keirze o tej pierwszej bombie?

- Powiedział nie jej, tylko tej czarnowłosej diablicy. Keira opisała ją Bobowi.

- Nadal nie wiadomo, kto to taki?

- W każdym razie mnie nikt nic o niej nie powiedział. Ona wie co robi, Bobie. Wiem co mówię.

- Ale nie reprezentuje prawa?

- Ach, Bobie, wolę nie myśleć o tym, kim ona może się okazać.

- Kim na przykład? Szpiegiem? - przy tych słowach Bob pokręcił głową. - Nie przejmuj się. Ty jesteś barmanem. Lubisz tajne układy. Czy ona jest sama?

- Tak. Mówi, że wędruje szlakiem Beary, ale wie, kto to jest Norman Estabrook, miliarder Yank...

- Ja wiem, kto to jest.

- To mnie nie dziwi. - Eddie zamilkł na chwilę, po czym dodał niemal szeptem: - Był tu też lord Will.

- Przyjaciel Simona?

- Możemy mu zaufać. Jestem tego pewien. Jest też przyjacielem Keiry. Ona będzie tutaj bezpieczna, Bobby. Jest dzielniejsza od większości ludzi.

- No to da sobie radę.

Bob nie chciał kończyć rozmowy. Martwiło go to, że Keira znajduje się po drugiej stronie oceanu, zatroskana

**O** Simona, zaatakowana przez nożownika. Zawsze traktował ją jak córkę. Sarknął: - Szurnięta malarka! Poradź jej, żeby przestała się pasjonować irlandzkimi wrózkami i magicznymi ziołami. Będę z tobą w kontakcie, w miarę możliwości. Wysiadł z samochodu. Podszedł do niego agent służby antyterrorystycznej i spytał: - Z kim pan rozmawiał, poruczniku? Jego jawna podejrzliwość i arogancja wzburzyły Boba. Odpowiedział: - Z pewnym barmanem z Irlandii. Podawał mi przepis na ciasto z rabarborem. I zanim antyterrorysta zdążył zebrać myśli, Bob ruszył ku swej byłej żonie i córce.

## **ROZDZIAŁ DWUNASTY**

*U wybrzeża Massachusetts*

*7:45 po południu czasu lokalnego*

*25 sierpnia*

Abigail znowu zebrało się na mdłości, starała się ze wszystkich sił powstrzymać przed wymiotami. Owen twierdził, że jest odporny na chorobę morską. Myślenie o nim dodawało jej energii. Radził też, żeby spała, ilekroć znajdzie po temu okazję. Bob, Scoop, Yarborough, Lucas, jej ojciec. Wszyscy udzielali tej samej rady. Zapewne i Simon sugerowałby jej to samo, ale znała go zbyt powierzchownie, by mogła być tego pewna.

Chwilami jednak budziły się w niej wątpliwości, czy w ogóle zna własnego ojca. Przymknęła oczy, by powstrzymać łzy. Utrudniałyby jej widzenie i pogłębiały poczucie osamotnienia. Doskwierały jej ból, swędzenie, ale pragnęła walczyć z tymi łotrami, nie miała jednak żadnej możliwości. Zrewidowali ją dokładnie i dali do zrozumienia, co ją spotka, jeśli będzie próbowała stawiać opór.

**126**

Przez zamknięte drzwi dochodziły do jej uszu rozmowy dwóch mężczyzn, których głosów nie umiała rozpoznać. Jeden z nich był bez wątpienia Amerykaninem - podejrzliwym i aroganckim. Drugi musiał być Brytyjczykiem - bezwzględny i rozwścieczony.

- Obiecywałeś, że będziesz do mojej dyspozycji - wypomniał Amerykanin swemu rozmówcy.

Brytyjczyk odburknął: - Ale nie obiecywałem wypełniania idiotycznych poleceń.

- Nie zwracaj się do mnie w ten sposób.

- Będę się zwracał w sposób, jaki uznam za stosowny. Podjąłem się wykonania roboty, a ty za moimi plecami wynajęłeś tych kompletnych kretyńców, by spełnili twe małostkowe pragnienie zemsty.

- W tym, co robię, nie ma żadnej małostkowości. Nic mnie nie obchodzi twoje fochy, jesteś najemnikiem pracującym dla mnie i masz robić dokładnie to, co ci każę.

- Będę się do tego stosował, ale z mojego profesjonalnego punktu widzenia...

- Wyraziłeś już jasno swoją opinię. Dajmy więc spokój przeszłości - w głosie Amerykanina zabrzmiały pojednawcze nutki - i ruszajmy naprzód. Zgoda?

Po chwili wahania Brytyjczyk odpowiedział: - Zgoda.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem. Abigail sprężyła się w sobie, pokonując ból. Usłyszała kroki, ktoś obchodził dookoła jej krzesło.

- No, no... Masz za sobą trudny dzień, co? - Był to głos Amerykanina, nadal pełen irytacji. - Ja też nie miałem lekkiego dnia. Odbyłem długą, męczącą podróż z Montany.

*To Norman Estabrook.* Abigail nie dawała po sobie poznać, że go rozpoznała.

- Ryzyko, które podjąłem, zaostrożając sytuację, opłaciło się, skoro mam w ręku panią detektyw Browning zdaną na moją łaskę. - Stał na wprost niej. - Twój tata i koledzy po fachu nie domyślają się w ogóle, gdzie się możesz znajdować ani gdzie ja przebywam. Nikt się tego nie domyśla.

- No to ciesz się rolą głównego porywacza, dopóki możesz, Normanie. Abigail stropiła się chrapliwością swego głosu, jednak brzmiał stanowczo. I dodała: - Zwłaszcza że to nie potrwa długo. Skrewiłeś dziś sprawę, prawda? Nic nie poszło tak, jak planowałeś, co?

Odczuła na twarzy ciepło jego oddechu.

- Mam ciebie. Mam Abigail March Browning, córkę Johna Marcha. Powiedz mi, detektywie, czy myślisz, że twemu ojcu potrzebne jest wsparcie osobistego szatana do tego, by walczyć?

- Możemy do niego zatelefonować i spytać go o to.

- On potrzebuje mnie. Potrzebuje przeciwnika, który mu dorównuje. Dowiedziałaś się tego lata, czym jest dobro i zło, prawda? Seryjny morderca, który dybał na życie twej przyjaciółki, Keiry, jest szatanem zafascynowany. Przesłuchiwałaś go. On pojął, że Bogu potrzebny jest Lucyfer.

Abigail zadrżała wewnątrz. W czerwcu dowiedziała się o naturze zła więcej, niż kiedykolwiek pragnęła wiedzieć. W ciągu ośmiu lat pracy w policji nigdy nie zetknęła się z czymś tak otwarcie szatańskim - z pragnieniem dokonywania aktów najbrutalniejszej przemocy na niewinnych ofiarach.

- Wiem, kim jest Bóg i Lucyfer - odpowiedziała. - Mój ojciec jest zwyczajnym człowiekiem. Tak jak i ty.



- We mnie nie ma niczego zwyczajnego. Zarówno moi oskarżyciele, jak i obrońcy, popełniają błąd, uważając mnie za człowieka takiego jak inni. Mam do dyspozycji zasoby i powiązania, których FBI nigdy nie odkryje.

- Nie będziesz mógł z nich korzystać, kiedy trafisz do więzienia.

Estabrook zachichotał diabolicznie: - Twój ojciec musi być teraz pogrążony w rozpacz, wiedząc że cię schwytalem i że on temu zawinił. Mając mnie pod kluczem, puścił mnie wolno.

- To nie był jego pomysł. Sprzeciwiał się temu układowi z tobą. Ale nie jest wszechwładny.

- On nie sądził, że jestem zdolny do przemocy. Bardziej pragnął dopaść moich przyjaciół niż mnie. Wyobraź sobie, jakie się otworzyły perspektywy, detektywie. Rzuciłem wyzwanie najpotężniejszemu na świecie szefowi służb strzegących prawa. Będzie on tego świadom przez całą resztę życia, aż do zgonu, który kiedyś spotka tego zgorzkniałego, złamanego człowieka.

- Nie jesteś nikim wyjątkowym - burknęła.

Tym razem jego śmiech nie spowodował fali ciepła dosięgającej jej twarzy i domyśliła się, że się wyprostował. Głos zabrzmiał mu wręcz sucho: - Najpierw zapragnąłem śmierci Johna Marcha. Teraz pragnę, by cierpiał. By cierpiał bez przerwy aż po kres swego istnienia. - Przerwał na chwilę, po czym dodał: - Innych zabiję własnymi rękami.

Abigail starała się zapanować nad swym oddechem, by nie dopatrzeć się w nim znamion lęku, którego oczekiwał. Wdech. Odliczanie do ośmiu. Zatrzymanie oddechu. Do ośmiu. Wydech. Do ośmiu. Usłyszała

zatrzaśnięcie drzwi, ale nadal regulowała rytm swego oddychania. Odbyła trzy cykle odliczeń.

- Twoi przyjaciele są niestrudzeni. Szukają cię. - Te słowa zostały wypowiedziane z brytyjskim akcentem, miękko, z bliskiej odległości.

- Estabrook wyszedł? - spytała.

- Na chwilę.

Spróbowała nieco się odprężyć, pokonać lęk, a także mdłości, klaustrofobię, ale zaschło jej w gardle i z trudem wykrztusiła z siebie: - Byłoby dla was lepiej, gdybyście mnie uwolnili teraz, zanim moi przyjaciele mnie odnajdą.

- Rozumiem twój punkt widzenia.

Jego głos brzmiał rzeczowo i pragmatycznie, nie świadczył ani o obawie, ani o podnieceniu perspektywą starcia z przedstawicielami prawa.

- Która to godzina? - spytała.

- Około ósmej. Jesteś ranna?

- Nie, nic mi nie jest. Pozwól mi odejść, zanim...

- Detektywie, jesteś w całkowitym potrzasku. Radzę ci nie tracić energii na zabieganie o coś, co nie może nastąpić.

- Opowiedz mi o moich przyjaciółach, którzy byli na miejscu, kiedy zdetonowano bombę. O Scoopie, Bobie, Fionie - celowo używała imion, by ich uczynić rzeczywistymi postaciami dla swego rozmówcy. - Czy bardzo ucierpieli?

- Nikt nie zginął, detektyw O'Reilly i jego córka są ranni.

Starła się zapanować nad emocjami. Spytała jeszcze: - A Scoop?

- Detektyw Wisdom został ugodzony odłamkiem. Wyżyje, ale ma przejściowe kłopoty.

- A Owen? Co z nim?

- Spryciarz z tego twojego Owena.

Próbowała usiąść głębiej na swym krześle, lecz przeszkadzały jej w tym skrupowane na plecach ręce. Dlaczego ściągnęła to nieszczęście na swych przyjaciół? Awansowała na detektywa, będąc już wdową, która porzuciła studia prawnicze, by spieszyć ludziom z pomocą w rozwiązywaniu kłopotów, jakie na nich spadły. „Masz poważne obciążenia. Mąż, agent FBI, poległ w okresie miodowego miesiąca w wyniku akcji ludobójczej. Ojciec w przededniu awansu na dyrektora FBI. Radziłbym ci spakować manatki i wracać na studia”. Tak oceniał Bob jej ówczesną sytuację i perspektywy. Ale postanowiła poddać się próbie.

Usłyszała kroki: to Brytyjczyk podchodził do jej krzesła. Powiedział: - Wszyscy mieliście wyjątkowe szczęście.

- Właśnie to sobie uświadamiam. Szczęście! Ty próbowałeś zabić Owena czy też go porwać?

- Zabić.

Doznała skurczu żołądka, ale opanowała wymioty. - Była więc druga bomba - starała się nadać swemu głosowi profesjonalny ton. - Gdzie? W domu rodzinnym przy Beacon Street?

- W jego wozie.

- Jesteś zbirem.

- Ostrzeżono go na czas. A więc, kochanie - ściszył głos, przysuwając się do niej - jak myślisz, jak się to mogło odbyć?

Odsunęła się, na ile mogła, by nie mógł odgadnąć jej wewnętrznych reakcji. Nalegał: - Powiedz!

- Nie mam pojęcia. Siedziałam wtedy w skrzyni furgonetki. Ale wasz plan nie został zrealizowany tak, jak zamierzaliście, prawda?

**131**

- Czy ja powiedziałem, że to był mój plan? Uświadomiła sobie, że stoi być może o krok przed nią

i że nie powinna dać się zwieść łagodnemu tonowi jego głosu. Był doskonale opanowanym, doświadczonym przeciwnikiem. Spytała: - Czego właściwie ode mnie chcesz?

- W tej chwili niczego, kochanie. I ty, i twoi przyjaciele jesteście wspaniałymi zawodnikami. Twój ojciec również.

- To musi cieszyć Normana, co? Ty jesteś profesjonalistą. Wiesz, że nie podejmuje się nadmiernego ryzyka dla zaspokojenia swych osobistych ambicji.

- Być może, kochanie, wszyscy postępujemy podobnie.

Abigail podjęła próbę rozluźnienia zaciśniętych szczęk i napiętego karku.

- Słyszałam, jak do tej łodzi parokrotnie podpływała jakaś łódka. Jak to zrobiłeś - ściągnąłeś Estabrooka na prywatne lotnisko, a potem go tu dowiozłeś?

- To już nie ma znaczenia, jak.

- Masz rację. Możesz się wycofać. Pomóż mi. Wypuść mnie do domu i zaplanuj moje wesele.

Parsknął śmiechem. - A co bym osiągnął, odchodząc teraz? Opanuj się, kochanie. Przetnę natomiast więzy kępujące ci przeguby dłoni i kostki u nóg.

- Jak się nazywasz? Jak mam się do ciebie odzywać?

- Fletcher.

- To imię czy nazwisko?

- I jedno, i drugie.

Mogła to być prawda, ale i nieprawda.

- Jesteś Brytyjczykiem?

- Niech żyje królowa.

Miał swoje poczucie humoru: - Najpierw ręce.

Poczujesz ostrze noża. Nie bój się, przestrzegam, choć widzę, że nie należysz do lękliwych.

Poczuła ostrze wślizgujące się pomiędzy jej skórę a pętlę linki. Był zbyt perfekcyjnym profesjonalistą, by sobie pozwalać na zbędne okrucieństwo. Gdyby postanowił ją zabić, nie wdawałby się w żadne dysputy. - Spokojnie - instruował nadal - ostrożnie wykonuj ruchy. Pozostań przez chwilę jeszcze w takiej samej pozycji. Teraz uwolnię ci kostki.

Kiedy powoli wycofywała ramiona spoza swych pleców, odczuwała silny ból i nawet nie poczuła przecięcia więzów na nogach. Opanowując łzawienie, poruszyła jedną stopą, potem drugą. Krew napłynęła żywiej do jej stóp i nie zdołała zapobiec okrzykowi, który wydarł jej się z gardła. On tymczasem zdejmował jej opaskę z oczu. Nagle oślepiąca światłem, zmrużyła powieki i powoli je uniosła. Zaczęła dostrzegać przed sobą stół bilardowy, lodówkę obok swego krzesła, pośrodku kajuty, i sofę w głębi, pod ścianą.

Fletcher odsunął się od niej o parę kroków. Był gładko ogolonym, przystojnym czterdziestolatkiem, wzrostu około 180 centymetrów. Miał szare źrenice i brązowawe włosy. Nie dostrzegła żadnej blizny ani tatuażu. Nic, co powinna zapamiętać.

Uśmiechnął się: - Przyjrzyj mi się uważnie. Z pewnością zechcesz opisać mi dokładnie twej przyjaciółce rysownicze. - Wskazał palcem jej lewy policzek: - Ci ludzie cię pobili?

- Uderzył mnie ten z akcentem z południowej dzielnicy Bostonu.

- To narwaniec. Czy chciałabyś wykorzystać tę chwilę i obmyć się trochę?

**133**

Przytaknęła skinieniem głowy. Podeszedł i ujął ją pod ramię. - No to wstań.

Próbował jej pomóc, ale odtrąciła jego rękę i podniosła się o własnych siłach. Kręciło jej się w głowie, ale utrzymywała pozycję pionową.

Doprowadził ją pod drzwi na końcu kabiny. Powiedział:

- Zapukaj w nie, jak skończysz. Masz dwie minuty.

- Nie zdążę...

- Zdasz, kochanie.

Otworzył drzwi i zamknął je za nią cicho, pograżyła się w ciemności.

Wyszukała kontakt i zapaliła światło. Były tam natrysk, zlew i muszla klozetowa. Mydło w płynie, krem do rąk, papierowe ręczniki. Całkiem elegancki sanitariat, jak dla więźnia.

Zamknęła drzwi na zatrzask. Kiedy się wytarła luksusowym ręcznikiem, natychmiast odzyskała animusz. Napiała się też wody z kranu, zaspokajając w pełni pragnienie. Nie chciała zachorować, ale nie wiedziała, kiedy będzie mogła znów się czegoś napić lub coś zjeść. Czuła głód.

Sprawdziła też, na ile mogła, funkcjonowanie poszczególnych kończyn, zdętwiałych wskutek unieruchomienia. Obejrzała otarcia pozostałe po więzach - nie krwawiła.

- Jeszcze trzydzieści sekund - sygnalizował Fletcher zza drzwi.

Przyjrzała się swemu policzkowi. Był posiniaczony. Kiedy otworzyła drzwi, Fletcher ujął ją za ramię i podprowadził do krzesła.

- Nie będę cię już wiązał. Nie dlatego, bym wierzył, że nie pragniesz się stąd wydostać, ale dlatego, że wiesz, że to niemożliwe.

- Dokąd mnie wieziecie?

**139**

- Zabraliśmy cię w krótki rejs. Czy grasz w bilard?
- Prawie nigdy.
- To będziesz miała okazję poćwiczyć tę grę, kochanie.
- Dlaczego zostałeś tu ze mną, skoro już nie zamierzałeś z powrotem mnie związywać?
- Chciałem tu być na wypadek, gdybyś straciła równowagę, stanąwszy na nogi. Masz tu lodówkę, w niej lód, jedzenie i picie. Obsłuż się sama.
- Dziękuję. Wyszedł bez słowa.

## **ROZDZIAŁ TRZYNASTY**

*Dublin, Irlandia*

*1:00 w nocy czasu lokalnego*

*26 sierpnia*

Do Dublina Lizzie dotarła już nocą. Podjechała pod wytworny hotel należący do rodzinnej sieci, położony przy St. Stephen's Square. W drzwiach powitali ją dwaj odziani w liberie recepcjoniści - jednym z nich był jej dwudziestodwuletni kuzyn, Justin. Ich ukłony sprawiły, że poczuła się jak księżniczka, na którą - zwłaszcza tego wieczoru - bynajmniej nie wyglądała; pragnęła jedynie wykapać się i położyć. Chociaż lot z Kerry do stolicy kraju trwał tylko niecałą godzinę, pogłębił jej całodobowe zmęczenie i poczucie osamotnienia.

Justin właśnie ukończył college, był najmłodszym z braci Rushów. W hotelu miał przepracować jeszcze przynajmniej pół roku. Błękitne oczy i nieśmiały wyraz twarzy odziedziczył po matce, ale ciemne włosy i hardo wysuniętą dolną szczękę porodzie Rushów.

Obejrzał uważnie jej ubłocone ubranie i buty; nie

136



zdołała ich oczyścić, nie mając szczotki. - Pozwól, że je doprowadzę do porządku - powiedział.

- Myślisz, że da się je doczyścić?

- Obawiam się, że to się nie uda. Są gruntownie przemoczone. Gdzież to się tak ubrudziłaś?

- Przy kamiennym kręgu w okolicach Kerry.

- W czasie burzy?

- Właśnie.

Uśmiechnęła się i weszła do hallu, a on zabrał jej z rąk plecak ze słowami:

- Wybaczy pani, madam, ale niesienie bagażu, nawet tak cuchnącego stodołą, jak ten plecak, należy do mnie.

- Nie należy jednak do twoich zadań, mój chłopcze, komentowanie bagażu gości, nawet najbardziej ubrudzonego w podróży.

- Nawet owczym nawozem?

- Myślę, że to krowi nawóz.

- Wspaniale - odpowiedział bez entuzjazmu.

Już od chwili wejścia do hallu Lizzie zaczęła się odprężyć. Znowu znajdowała się na znanym sobie terenie i z lubością rozsiadła się w wygodnym fotelu na wprost kominka.

Justin przypatrywał się jej startym knykciom.

- Gzyżbyś wdała się w jakąś awanturę przy tym kamiennym kręgu?

- Na ogrodzeniu przy furtce był napis, który zlekceważyłam: *Strzeżcie się byków*.

Kuzyn przyjrzał jej się krytycznym wzrokiem, ale nie miała powodu, by wtajemniczać jego - ani nikogo w tym hotelu - w swe sprawy czy też by informować, że irlandzka garda oraz FBI mogą potrzebować od niej jakichś informacji.

Odebrała z recepcji klucz do swego pokoju i zwróciła

się do Justina: - Plecak zaniosę na górę sama. Gdyby ktokolwiek o mnie pytał, powiedz, że jestem w Las Vegas. Nie, nie, tam jest ojciec. Jestem w Rzymie. Mów, że jestem w Rzymie.

- Jak się miewa wujek Harlan?

- Kiedy go ostatnio widziałam, przegrywał w pokera.

- I tak by nie wiedział, co zrobić z wygraną. Spróbuję oczyścić ci do rana buty. Może mi się uda.

- Dziękuję, Justinie, ale ja je wyrzucę. Przeczesała dłonią włosy, rozwichrzone przez wiatr

i szarpaninę z Michaeliem Murphym. Zagadnęła Justina: - Może wiesz, czy pewien Brytyjczyk, nazwiskiem Will Davenport, zarezerwował sobie tutaj pokój?

- Lizzie!

Z miny Justina wywnioskowała, że zgadła. Justin znał wszystkie rezerwacje.

- Kiedy się tutaj zjawi, daj mi znać. On jest Brytyjczykiem. Wysoki, blondyn.

- Mówimy o lordzie Davenporcie, prawda?

- Ty go znasz?

- Nie zetknąłem się z nim osobiście. Jego młodsza siostra jest projektantką sukni ślubnych w Londynie. Lady Arabella Davenport.

- Skąd wiesz to wszystko?

Uśmiechnął się: - Jestem recepcjonistą. Wiem wszystko. Lady Davenport projektowała stroje na uroczystości ślubne, które się tu odbyły tego lata.

Mama tu wtedy przyjechała z wizytą, a wiesz, jaka ona jest.

Istotnie, Lizzie wiedziała. Jej ciotka musiała wiedzieć wszystko, co się wiązało z materiałami, projektowaniem, krojeniem i szyciem, zwłaszcza jeśli uroczystości miały się odbyć w ich hotelu. Stwierdziła: - Doinformowałam się szczegółowo o każdym ściegu tej sukni ślubnej.

Justin westchnął wymownie: - Ułatwiłabyś sobie życie, gdybyś od czasu do czasu poświęcała jej chwilę, by mogła się na te tematy wygadać.

- Uwielbiam ciocię Henriette, ale rozmowa z nią o strojach ślubnych...

- ... jest lepsza niż rozmowa o irlandzkim byku. Lizzie przywołała w pamięci obraz starszego brata

Arabelli Davenport wchodzącego do wiejskiego pubu przed walką stoczoną przez nią przy kamiennym kręgu. Mimo talentów, w jakie była wyposażona jego siostra, on z pewnością nie interesował się weseliskami.

Biorąc pod uwagę jego samodyscyplinę i obycie, można się było zorientować, że nad zatokę Kenmare przybył w celach bitewnych. Ale Lizzie podejrzewała, że on wszędzie wybiera się w takich celach.

Wyłączyła wewnętrzny ekran wspomnieniowy. Powiedziała: - Justinie, jestem wykończona. Zobaczmy się rano.

Odeszła już o dwa kroki, kiedy on się odezwał: - Czy lord Davenport odegrał jakąś rolę w wydarzeniach, podczas których uwalniałaś sobie buty błotem?

Odwróciła się w jego stronę. Zapewne dlatego, że był synem swej matki, domyślał się różnych rzeczy, na które większość ludzi w ogóle by nie wpadła. Odpowiedziała: - To długa historia.

- Jak każda wiążąca się z tobą - uśmiechnął się przy tych słowach. -

Zadzwoń do ciebie, kiedy się ten Brytyjczyk tu stawi.

Ponieważ okoliczności przynaglały ją do rychłego wyjazdu, wybrała sobie apartament na pierwszym piętrze, blisko schodów. Wniosła plecak do łazienki i położyła go na podłodze. W pamięci odżyły epizody minionego popołudnia: nóż w dłoni Murphy'ego... warczący,

czarny pies... mgła zacierająca kontury. Instynkt i doświadczenie pozwoliły jej wtedy natychmiast uświadomić sobie, że nie jest przy kamiennym kręgu sama.

Dopiero teraz, w swym ulubionym hotelu, mogła się rozluźnić wewnętrznie - przynajmniej do czasu przybycia lorda Davenporta. Obie z Keirą otarły się poprzedniego dnia o śmierć. Czy Will zdążyłby je uratować, gdyby jej nie udało się obezwładnić nożownika?

Przywdziała hotelowy szlafrok i weszła do miło urządzonej bawialni swego apartamentu. Zamówiła sobie przez telefon pełne irlandzkie śniadanie. Miałyby też ochotę na jakiegoś drinka, ale odmówiła go sobie. Opadła na sofę, zebrała talię kart ze stolika do kawy, który wraz z ciotką zakupiły na wyprzedazy w hrabstwie Clare. Każdy z trzydziestu siedmiu apartamentów hotelowych miał inny wystrój, stworzony z antyków i wyrobów irlandzkiego rzemiosła artystycznego.

Wbrew oporom ojca, Lizzie spędziła półtora roku w dublińskim hotelu, poświęcając każdą minutę urządzaniu go. Przewędrowały z ciotką niezliczone galerie irlandzkie, wyszukując odpowiednie obrazy, rzeźby, ryciny, zastawę stołową, szkło na wyposażenie hotelu. Lizzie przypomniała sobie, że stojącą w jej apartamencie miedzianą wazę wypatrzyły w galerii Kenmare. Zaprojektował ją współczesny irlandzki metaloplastyk, a teraz przywiodła ona Lizzie na myśl starą kopalnię miedzi, z której Keira wywiodła swą opowieść o kamiennym aniele. Lizzie odsunęła na bok wazę i książki, a na stoliku rozłożyła talię kart: podzieliła ją na cztery części, po trzynaście kart w każdej, jak do brydża. Zaczęła w milczeniu podliczać punkty każdej, po czym przystąpiła do licytowania, jakby nie wiedziała, co w sobie kryją.

Rozpoczęła tym sposobem grę, która pozwoliła jej odwrócić myśli od dotychczas pochłaniających ją spraw. Przygotowywała się w ten sposób do spodziewanego telefonu.

Śniadanie wniosła pracownica hotelu, niewiasta starsza wiekiem, która nie spytała Lizzie, dlaczego zamawia sobie ten posiłek o tak wczesnej porze. Kiedy wyszła, Lizzie zajrzała do łazienki. Mogła powiadomić Justina, by zawiadomienie jej o przyjeździe Davenporta odłożył do godzin przedpołudniowych, ale zamiast tego sięgnęła po swój telefon komórkowy i wybrała numer, który wykorzystywała dotychczas jedynie dwukrotnie.

Na wschodnim wybrzeżu Stanów była zaledwie dziewiąta rano, ale John March zgłosił się już po pierwszym sygnale. Spytał: - Skąd pani dzwoni? - Z Irlandii.

Nie chciała wdawać się w szczegóły. Wyrecytowała:

- Norman nie wyruszył rano na wycieczkę piknikową. Nie uległ zderzeniu z żadną górą ani nigdzie nie wylądował przymusowo. To pan wie, prawda?

- Tak.

- Bardzo ubolewam nad tym, co się wydarzyło rano. Wolałabym dowiedzieć się o tym przed czasem. Czy Scoopi pańska córka...

- To pani ma mi coś do zakomunikowania - przerwał.

Serce Lizzie zabiło mocniej: - Bomba była aktem dywersyjnym, prawda?

- Ojciec objaśnił jej, na czym polega taktyka odwracania uwagi aktami dywersyjnymi. - Norman porwał pańską córkę?

- Proszę mówić, nie wypytywać.

Uniosła w górę widelec. Jeśli dałaby się teraz zastraszyć Johnowi Marchowi, pozbawiłaby się możliwo-

ści pomocy jemu i w ogóle komukolwiek - przede wszystkim Abigail Browning. Powiedziała więc: - Zastanawiam się, czy skosztować czarnego puddingu

- przy tych słowach uderzyła lekko widelcem w talerzyk. - Co pan o tym myśli?

- Do jego wyrobu używa się świńskiej krwi. Smakuje jak kiełbasa. Wyczuła ojcowski niepokój w jego głosie, kiedy spytał: - A biały pudding?

- Nie ma w nim świńskiej krwi. Jest w nim łój, owsianka.

- W żadnym razie nie brzmi to apetycznie. Nie chcę nawet słuchać o czymś takim.

- Dotyczy to każdego, z nas.

Teraz już wręcz dosłuchała się w głosie dyrektora FBI prawdziwego przerażenia ojca losem córki. Spytała:

- Pan przebywa nadal w Bostonie?

- Tak.

- A Simon?

- On też jest tutaj.

Lizzie spojrzała na podgrzany czarny chleb, masło, jaja, bekon, pieczone pomidory - czarny i biały pudding

- wszystko podane na chińskiej porcelanie przypominającej o normalności. Prowadziła dotychczas względnie normalne życie - kontakty z rodziną, praca, podróże, przelotne romanse i przygody.

Zaspokajała swą ciekawość - albo w poczuciu obowiązku - zadając pytania, które innym nie powstałyby w głowie. Kiedy znalazła się w jednym pomieszczeniu wraz z brutalnymi dostarczycielami narkotyków, jakiego zachowania po niej oczekiwano? Przystąpiła do przekazywania Johnowi Marchowi pocztą elektroniczną nazwisk i ukradkiem sporządzonych komórką zdjęć. Ale czyż nie

wypatrywała pretekstu, by się skontaktować osobiście z detektywem zajmującym się przed trzydziestu laty śmiercią jej matki?

Nie miało to w końcu znaczenia. Zamiast pozostawić sobie wyłuskiwanie poszczególnych członków kręgu przyjaciół Normana, czym się dotychczas zajmowała, zanurzyła się oto w mroczną głębię przynajmniej na cały rok.

- Norman nigdy nie zastanawiał się nad sobą i nie zrozumiał, że aresztowano go dlatego, iż czynił zło

- tłumaczyła spokojnie, nie bacząc na swe zmęczenie i zaleknienie. -

Obwiniął o to pana i Simona. Obwiniłby i mnie, gdyby się kiedykolwiek dowiedział, co robiłam.

March zapytał: - To pani jest tą kobietą, która uratowała życie Keirze Sullivan i ostrzegła Boba O'Reilly'ego o bombie?

- Nie jestem pewna, czy Keira potrzebowała mej pomocy.

- Dźgnęła widelcem kostkę czarnego puddingu.

- Przez cały ten czas, który spędziłam w Irlandii, nie spróbowałam czarnego puddingu. Myślę, że pan już się zapoznał z kartą Michaela Murphy'ego.

- Władze irlandzkie prowadzą dochodzenie w tej sprawie.

Nieszczera odpowiedź.

- To sprawka Normana.

- Nikt nie doszedł do takiego wniosku.

- Ja doszłam.

- Estabrook nie miał powodu, by podjąć takie ryzyko.

- A czy miał jakikolwiek powód po temu, by się zabawiać pirotechniką?

- To była przygoda.

- Reprezentuje pan punkt widzenia profesjonalisty. Rozumiem go, ale mu nie dowierzam. Wie pan równie dobrze jak ja, że za to, co się stało dzisiaj, winę ponosi Norman. A także za to, co się stało w Irlandii właściwie wczoraj. Już minęła północ. - Spojrzała na kawałek puddingu nadziany na widelec. - Być może powinien pan dorastać, zajadając czarny pudding, żeby to zrozumieć.
- Jest pani przemęczona. Słyszę to w pani głosie.
- Być może wzmocni mnie obfite irlandzkie śniadanie. Już zdarzało mi się z kimś zmagać, ale w prawdziwej walce uczestniczyłam po raz pierwszy w życiu. - Zagłębiła się w sofie, na której siedziała. - i po raz pierwszy stoczyłam walkę w obronie cudzego życia.
- I przy tym odniosła pani zwycięstwo - dodał March.
- Mogłam zabić Murphy'ego. Przyłożyłam mu do gardła jego własny nóż.
- A pragnęła go pani zabić? Lizzie przywołała na pamięć chwilę, w której spostrzegła podejrzaną cień pomiędzy drzewami. Odpowiedziała: - Nie, nie chciałam go zabijać.
- Po co pojechała pani do Irlandii?
- Czytałam o irlandzkich wrózkach i postanowiłam...
- Chciała pani porozumieć się z Simonem - przerwał jej March.
- To nie ma teraz znaczenia. Prawie się spóźniłam z pomocą Keirze. I nie zdążyłam ostrzec pańskiej córki.
- Córka Boba O'Reilly'ego i Scoop Wisdom zawdzięczają pani życie. Słowa Marcha nie sprawiły Lizzie satysfakcji: - Norman ma skape wirtualne zaplecze.
- Rząd federalny Stanów Zjednoczonych może mu je odciąć.



- Może przebywać w tej chwili, gdzie zechce. Proszę mi wierzyć. On ma swój plan. Nie jest niczym pionkiem. Jest porywczy i szuka trudnych wyzwań. Niech pan będzie pewien, że pańscy analitycy rozumieją, co to naprawdę znaczy. Pan też to na pewno rozumie. Zrazu nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale Norman jest wyjątkowo niebezpiecznym, okrutnym człowiekiem.

Usłyszała, jak March westchnął: - Sprawia pani wrażenie, że jest profesjonalistką. Jest nią pani czy nie? Nie odpowiedziała na to pytanie.

- Chcę wiedzieć, kim pani jest - nalegał.

- Wkrótce sam pan się tego dowie. Proszę mi zaufać, panie dyrektorze March. Nie może pan nikomu opowiadać o mnie ani też o tym, co zrobiłam. Nie może mnie pan śledzić. Naraziłby pan na niebezpieczeństwo moje życie i moje możliwości ocalenia życia pańskiej córce.

- Mogę panią jeszcze tej nocy skontaktować z którymś z moich agentów, niezależnie od tego, gdzie pani jest. Nie chcę narażać ani pani, ani dobra śledztwa na jakieś niepotrzebne ryzyko.

- Ma pan jedyną możliwość dopomożenia mi - odezwała się pełnym wahań głosem, zastanawiając się, czy się nie posuwa zbyt daleko. Ale nie wycofała się: - Zdaża mym tropem wysoki, przystojny, wytworny Brytyjczyk, Will Davenport. Przyjaciół Simona. Przyjechał do Irlandii spieszyć z pomocą Keirze. Czy mogę mu zaufać?

- A nawet gdyby pani mogła, to czy by pani zaufała? Czy pani ufa komukolwiek?

Nie chciała tej nocy odpowiadać na to pytanie.

- Norman nie wie, że pani pomagałam. Chciałbym, aby sprawy pozostały w tym stanie.

Skosztowała czarnego puddingu i dodała: - Miał pan rację. Smakiem przypomina kielbasę.

Rozłączyła się, zanim zdążył jej odpowiedzieć.

Czy March doszedł już do tego, kim ona jest, i czy rankiem jej hotel otoczą jego agenci? On byłby w stanie to zaaranżować, nawet w Irlandii.

Ale on by tego nie zrobił. John March był człowiekiem twardym, który często stawał oko w oko z wyborami, w których każda opcja była niesłuszna, ale w tej chwili Lizzie była bezpieczna, a jego córka nie.

Musiał dokonać własnego wyboru. Mógł pozostawić swemu anonimowemu dobrowolnemu źródłu informacji przestrzeń do tego, by miało możliwość manewru i wykorzystało szansę odnalezienia

Estabrooka - a także ocalenia swej własnej skóry oraz życia jego córki.

Lizzie popróbowowała jeszcze paru irlandzkich przysmaków, po czym weszła do łazienki i puściła do wanny wodę tak gorącą, jak tylko da się

wytrzymać. Dosypała do wanny soli lawendowej i zanurzyła się w

kąpieli, a wtedy w jej wyobraźni zarysował się obraz Johna Marcha w

należącym do jej rodziny hotelu w Bostonie, w sierpniu. Była to rocznica

śmierci jej matki, March popijał irlandzką whiskey, samotny, w pubie

nazwanym imieniem matki Lizzie. Lizzie była w Bostonie, dokonując

swej strategicznej wizytacji i zatrzymała się w Whit-comb.

Nie podeszła do dyrektora FBI, dawnego detektywa policji bostońskiej i

powątpiewała, czy on zdaje sobie sprawę z jej obecności. A teraz

zastanawiała się, gdzie znajdowałiby się oni wszyscy, gdyby się ujawniła

jako dostarczycielka informacji o Normanie Estabrooku i jego

przyjaciołach z mafii narkotykowej. Ale ona się nie ujawniła.

Wyszła z wanny, wysuszyła się ręcznikiem i przywdziała szlafrok. Wróciła do bawialni i, pragnąc uniknąć pogawędki, odwołała prośbę o zawiadomienie o przyjeździe Davenporta. Weszła pod kołdrę z miękkiej, irlandzkiej wełny. Kiedy zadzwonił telefon, zerwała się na równe nogi. Zegar wskazywał czwartą nad ranem.

- On już jest - zawiadomił ją Justin. - Co mam robić?

- Poślij go na górę.

- Lizzie? Mówisz poważnie?

- Oczywiście.

- W porządku, nie powiem nikomu.

Poczuła falę gorąca: - To nie jest tak... - zaczęła, ale nie mogła przecież powiedzieć mu prawdy. - Wyjaśnię ci to kiedyś, Justinie, przyrzekam...

- Mogę sobie wyobrazić, co to będzie za bajka.

- Niech Davenport myśli, że dajesz mu klucz do jego pokoju, a ja go stąd wyprawię.

- Wiesz skomplikowany żywot, kuzynko! Odkładając słuchawkę, odsłoniła swe ciało spod rozsuniętych poł szlafroka, wydając je na nocny chłód.

To nic nie da - pomyślała. Przybyła do Irlandii, by porozmawiać z agentem FBI o człowieku, którego posądzała o udział w morderstwie, a nie po to, by mając na sobie hotelowy szlafrok, zabawiać brytyjskiego lorda.

Najlepiej ubrać się szybko, przed pojawieniem się Willa Davenporta w drzwiach.

## **ROZDZIAŁ CZTERNASTY**

*Dublin, Irlandia*

*3:47 nad ranem czasu miejscowego 26 sierpnia*

Od chwili, w której usłyszała, jak karta elektroniczna wsuwa się w zamek drzwi jej pokoju, Lizzie zdążyła jeszcze włożyć spódnicę i T-shirt. Nadal bosa, podbiegła do drzwi i zwolniła chroniący je łańcuch. Will trzymał płaszcz w jednej ręce, a podróżny neseser w drugiej - nie zaistniała więc potrzeba wzywania Justina na górę.

- Miałam wrażenie, że pan sobie poradzi. Will posłał jej leciutki uśmiech.

- A ja miałem wrażenie, że to panią znajdę po drugiej stronie tych drzwi.

- My, Rushowie, lubimy mieć oko na wywiadowców goszczących w naszych hotelach.

- Ma pani bujną wyobraźnię. Jeśli dobrze zrozumiałem, to zaprasza mnie pani do wnętrza?

- Zapraszam.

Cofnęła się o krok, on minął ją, wchodząc, i postawił

neseser na podłodze obok stolika do kawy. Zamykając drzwi, spostrzegła że przygląda się kartom rozłożonym na stoliku. Przeczesła włosy dłonią, uświadamiając sobie, że nie dotknęła ich grzebieniem od chwili wyjścia z wanny i zaczęła się zastanawiać, co też ją czeka w czasie sam na sam w pokoju hotelowym z agentem MI6.

Zebrała karty ze stolika.

- Gra w brydża z samą sobą pomaga mi w myśleniu. Jest to mój sposób na kreatywne rozwiązywanie problemów.

- A jakież to problemy ma pani tej nocy do rozwiązania?

- Pan jest moim problemem. Co mam zrobić, kiedy pan się pojawia.

Dyskretne światło nie rozpraszało cieni, które utrudniały Lizzie odczytanie wyrazu jego oczu.

- I skierowanie mnie do pani pokoju było elementem działań zmierzających do rozwiązania tego problemu?

- Nie, to rozwiązanie wymyśliłam już uprzednio. Nie chciałam, żeby pan przepatrywał tu kąty na własną rękę i wydobywał od obsługi informacje o mnie.

- Pani tu już wcześniej pracowała, zanim objęła pani funkcję dyrektora nadzorującego obsługę recepcyjną wszystkich hoteli należących do rodziny.

- Aha, nie tracił pan czasu, jak widzę.

- Mam sprawną asystentkę.

- Bardzo dobrze mi się tu pracowało. Wiele się nauczyłam. Irlandia oferuje wiele różnorodnych możliwości - wspaniałe restauracje, bogatą przeszłość historyczną, piękno przyrody.

- W istocie.

- Większość tego, co mógłby pan o mnie usłyszeć od

służby, jest dość nieszkodliwa. Dowiedziałyby się pan, że znam trochę irlandzki, lubię irlandzkie masło i świeże tutejsze owoce morza, zwłaszcza omułki, i że uwielbiam piesze wędrówki. - Uniosła blat biurka obiema rękami, zauważając, że dłonie nieco jej drżą. Speszyło ją to, ale przyczyny upatrywała w swym niedospaniu, a nie w mężczyźnie, który stał naprzeciw niej. - Ale uznałam, że nie pozostawię nikomu innemu możliwości opowiedzenia panu o mych zakupowych szaleństwach na Grafton Street.

Will nadal nie podejmował podsuwanej mu oferty zabarwienia ich rozmowy żartobliwością. Zdawał się tej oferty w ogóle nie dostrzegać.

- Czy Norman Estabrook był w tym hotelu?

- Tak, właśnie tu go poznałam. Zeszłego roku, w kwietniu. - Odłożyła karty na stół, nadszedł czas na przesłuchanie. Dodała: - W kilka miesięcy później Norman zaangażował Simona na swego konsultanta.

Will przełożył płaszcz przez oparcie krzesła. Przeobraził się całkowicie z brytyjskiego lorda w przesłuchującego ją agenta SAS: - Zapewne powinna mi pani powiedzieć, kim pani jest.

- Znalazł się pan w hotelu należącym do mojej rodziny. Już pan wie, kim jestem.

- Lizzie Rush, hotelarka i - kim jest pani jeszcze?

- Ostatnio nie miałam dość dużo czasu, by być jeszcze kimś innym.

- Po co pani przyjechała dzisiejszej nocy do Dublina?

- Czy pan uwierzy w to, że zmęczyło mnie przemierzanie Szlaku Beary i zateśniłam za czystą pościelą?

Wyraźny uśmiech na jego twarzy nieco ją zmieszał.

- Nie, nie uwierzę.

150

- To mój ulubiony hotel. Otwarto go dwadzieścia lat temu, przełamując obiekcje mego ojca. On nie przepada za Irlandią, ale jego córka i wuj wręcz zapalali miłością do Dublina. Miałam dziesięć lat i bardzo pragnęłam tu przyjechać.

- Ojciec się na to nie zgadzał?

- Nigdy mu się nie przyznałam do tego, jak bardzo pragnęłam tego przyjazdu. - Podeszła do biurka i wysunęła szufladę. - Zmarzły mi stopy - powiedziała, wyjmując parę wełnianych skarpet. - Przyleciałam do Dublina dziś rano i zameldowałam się w hotelu, zanim rozpoczęłam mą wędrowkę. Zawsze zajmuję ten pokój. Przytulny, prawda?

- Tak, uroczy - potwierdził, wyraźnie mało zainteresowany jej upodobaniami. - Czy w okresie pani praktyki, odbywanej w tym hotelu, ojciec tu panią odwiedził?

- Nie - zaprzeczyła, siadając na krzesło i wkładając skarpety. Była to czynność zbyt intymna jak na obecność obcego mężczyzny, ale zimne stopy wymagały jej dokonania. - Niezależnie od tego, czy to pana zdziwi, czy nie, mamy z ojcem odmienne poglądy na Irlandię.

- Lizzie...

Nieoczekiwanie miękki ton jego głosu sprawił, że poderwała się z krzesła. To *nie był* przecież żaden jej kuzyn. Oświadczyła: - Zbyt dużo mówię. Musi pan być mistrzem w przesłuchiowaniu. Jest pan tak łagodny i... - przerwała. Jak wiele osób przez niego przesłuchiowanych ujęłaby troska wyczuwalna w jego głosie, zarys jego barku pod miękkim swetrem? - Ale proszę nie zwracać na to uwagi. Zapędziłam się, ale teraz jestem na powrót na poły przebudzoną, właściwie wyrwaną ze snu istotą...

- Nie jest pani przyzwyczajona do tak ostrej walki,

jaka pani stoczyła wczoraj, i czuje się pani wyczerpana. Dlaczego przyleciała tu pani z Bostonu?

- Nie powiedziałam, że przyleciałam stamtąd. Znów się uśmiechnął, mówiąc: - Ale ja powiedziałem, że mam sprawną asystentkę.

- Czy to oznacza, że mam do czynienia z agentem MI6?

- Ma pani nie tylko bujną wyobraźnię, ale także żywi pani skłonność do rozświetlania sytuacji flarami.

- To zrozumiałe o tej porze roku. Nasze główne biura mieszczą się w Bostonie. Spędziłam tam wiele lat w okresie dorastania. -Nie wdawała się jednak w bliższe szczegóły. - Jak się miewa Keira?

- Jest bezpieczna pod opieką gardy.

- To dobrze. Przypuszczam, że pan nie pozostanie tu dłużej. Chciałabym spotkać się z nią w innych okolicznościach niż wczorajsze. To, co się zdarzyło przy kamiennym kręgu, było... - nie mogła znaleźć właściwego określenia. Dokończyła: - było czymś zupełnie odmiennym.

- Gdzie się pani nauczyła taktyki samoobrony? Odpowiedziała mu ze znaczącym uśmiechem:

- Przystudiowałam SAS-owski podręcznik samoobrony.

- Jak widzę, zajmowała się pani samokształceniem.

- Więc pan nie zaprzecza, że jest agentem SAS?

- Czy Simon nie poinformował pani o moim zapleczu?

Tu ją dopadł. Musiała się wycofać: - Wiedziałam, że się ze sobą przyjaźnicie, a ja jestem typem dość dziwnym. Mam na myśli to, że wygrałam walkę na noże na irlandzkich wzgórzach. A co pan tam robił?



- Poszukiwałem Keiry. Zbliżyłaś się do Estabrooka ze względu na jego awantury?

- W ogóle nie zbliżyłam się do Normana. Po prostu towarzyszyłam mu oraz jego przyjacielom. Długie weekendy, wakacje, kiedy zatrzymywał się w naszych hotelach.

- Długą drogę odbyłaś, by odnaleźć Simona.

Tym razem miała już ochotę uniknąć dalszych pytań, odciąć się pytającemu: - Odbyłam tę długą drogę, by rozpocząć wędrówkę Szlakiem Beary. Odsłuchałam opowieść Keiry o kamiennym aniele i pomyślałam, że mogłabym dołączyć do Keiry i Simona.

Nadal uśmiechnięty Will przybliżył się do niej tak, że mógł dotknąć dłonią jej włosów i niemal poczuć jej oddech.

- Jesteś wprawna zapaśniczką, ale kiepską kłamczuchą.

- Może mam dziś niefart. Na ogół kłamię dość zręcznie.

- Przejęłaś się uwolnieniem Estabrooka i wymyśliłaś sobie historyjkę mającą umożliwić ci skontaktowanie się z Simonem bez narażania się na podejrzenie, że wybrałaś się do Irlandii specjalnie w tym celu.

- Sytuacja prawna Normana dała mi dodatkowy impuls do tego, by wybrać półwysep Beara jako teren mojej włości. - Oblizła zaschnięte wargi i dodała: - Od pewnego już czasu myślałam o przemierzeniu Szlaku Beary.

- Nie poświęciłaś jednak realizacji tego zamiaru nazbyt wiele czasu.

- Burza i atak nożownika zniechęciły mnie do tej wędrówki.

- A rozpoczęłaś ją w wiosce, w której spodziewałaś

się zastać Simona. Czy zawsze odbywasz swe wędrówki samotnie? Lizzie pojęła, że została w pełni rozszyfrowana przez tego mężczyznę. Otworzyła z impetem drzwi szafy.

- Zadzwoń do recepcji, żeby ci przysłano, czego sobie zażyczysz - powiedziała, wspinając się na palce, by dosięgnąć górnej półki. - Zrób sobie kąpiel. Polecam moje ulubione sole lawendowe. I ja, i moja ciotka Henrietta robimy sobie ich mieszankę. Ja już się w nich nurzałam przez pół godziny. A teraz ślaniam się na nogach z senności.

Ale spojrzała w jego stronę z uśmiechem, pewna, że on sobie właśnie wyobraża ją w kąpiele. Wyjęła z półki miękki koc i poduszkę.

- Masz do dyspozycji sypialnię. Ja się prześpię tu, na sofie. O, w takiej pozycji - ułożyła się na niej wygodnie. - Usłyszę, gdybyś próbował się wymknąć. Gdybym ci się czymś naraziła, potrafię się bronić. Nie dbam o to, czy jesteś agentem SAS, MI6 czy jakimś znudzonym brytyjskim arystokratą.

Will zaskoczył ją, obejmując ją ramieniem i przyciągając do siebie: - A ty jesteś dokładnie tym, kim być się wydajesz.

- To znaczy?

- Hotelarką, bardziej biegłą w wybieraniu soli kąpielowych i w wędrowaniu Szlakiem Beary niż w samoobronie przed zabójcami obcokrajowcami.

- Może jest mi równie miło brać wonne kąpiele jak i zabójców obcokrajowców.

- Powinienem był wyruszyć z pubu od razu twoim śladem. Mógłbym zaoszczędzić ci kłopotów... - Wydawał się rzeczywiście zmartwiony.

Dodał: - Lizzie, nie

jesteś zawodową zapaśniczką. Cokolwiek przedsięweźmiesz, nie wdawaj się w to sama.

Uznała, że jest dobrym człowiekiem. Pod wytwornym ubraniem i gładkimi manierami właściwymi ludziom z jego kasty kryło się doświadczenie życiowe i poczucie odpowiedzialności człowieka, który wie, co czyni. Ale Lizzie była od dawna przywiązana do swoich sekretów. A skoro zostały odkryte, przestały już być jej własnością. Przestały zapewniać jej bezpieczeństwo, które dzięki nim zyskiwała. Teraz musiała zaufać temu, komu je zawierzyła. To wielka zmiana w jej życiu. Zbyt wielka.

- Ja już zasypiam - powiedziała cicho - tak jak stoję. Will opuścił obejmujące ją ramię aż do jej bioder, jakby chciał jej pomóc w utrzymaniu pozycji pionowej.

- Ciągłe bronisz się przed wyznaniem mi prawdy.

- To, co ci powiedziałam, to prawda.

- Ale nie cała.

- Obawiam się, że pełna prawda wymaga ruchu dwukierunkowego. -

Nagle uświadomiła sobie, że nadal pachnie solą lawendową, i zadała sobie w myśli pytanie, czy on ten zapach czuje. - Jesteś mężczyzną atrakcyjnym i niebezpiecznym, Willu Davenportie. Masz na sobie mięciutki, miłutki sweter. To śmiertelne zagrożenie dla sennej kobiety.

Pocałował ją w czoło i przytulił tak, że odczuła ciepło zaczajone w jego swetrze: - Zachowam się szlachetnie - oznajmił - i będę bronił nas obojga przed nami obojgiem. - Głos brzmiał mu tak łagodnie, że było jasne, iż stawianie takiego oporu nie było dla niego zadaniem łatwym.

Lizzie zaschło w gardle, wzbierała w niej chęć poddania się jego objęciom, jego obronie, by poczuć się bezpiecznie. Jak długo jeszcze ma działać w odosob-

nieniu? Norman wyrwał się z klatki dwadzieścia cztery godziny temu. Z jego polecenia omal nie zginęli ludzie. Porwano kobietę. On sam też zniknął. Ale jej nadal ufał. Uświadomienie sobie tego dawało jej pewną przewagę nad Estabrookiem i najpewniej tylko ona taką przewagą dysponowała. Gdyby zgodziła się na współdziałanie z kimkolwiek - z dyrektorem FBI, Simonem, tym tu oto pełnym uroku księciem z bajki, ryzykowałaby utratę tej przewagi, stwarzającej możliwość odnalezienia Abigail Browning. A także wystawiłaby na śmiertelne ryzyko własne bezpieczeństwo.

Will dotknął kciukiem jej kości policzkowej. - Masz podkrążone oczy, jesteś skrajnie zmęczona. - Przesuwał kciuk po jej twarzy ku kącikowi warg, po czym cofnął rękę. - Dobrej nocy, Lizzie.

- Dlaczego tu przyjechałeś? - spytała zamierającym głosem.

- Dla pięknej, tajemniczej kobiety.

- Lordzie Davenport, jesteś uroczym kłamcą.

- Słodkich snów.

Podniósł z podłogi neseser i wszedł do sypialni, cicho zamykając za sobą drzwi. Lizzie odetchnęła głęboko. *Bardzo* atrakcyjny, niebezpieczny mężczyzna. Rozłożyła na oparciu sofy spódnice, T-shirt i okryła się kocem po samą brodę.

Poranek był już nieodległy.

Lizzie pozostawiła suknię na podłodze łazienki. Will podniósł ją i powiesił na wieszaku, zauważył przy tym ręcznik, którym się wycierała. To grzeszna obserwacja - pomyślał i oddalił od siebie wyobrażenia jej ciała okrytego tym ręcznikiem. Za późno już na takie wizualizacje - orzekł w duchu.

W łazience wyczuwało się zapach lawendy, a także lekką woń wyschniętego błota. Wydzielała się z jej plecaka. Istotnie, było zbyt późno, by sprawiać jej kłopot, musiał się zadowolić widokiem tego przedmiotu, który miała z sobą w czasie wydarzeń przy kamiennym kręgu.

Otworzył plecak. Wewnątrz był ekwipunek potrzebny nie tylko do wędrowki, ale także do obezwładnienia ewentualnego napastnika - to dlatego tak sprawnie Lizzie poradziła sobie z Murphym.

Bez najmniejszego zażenowania wziął prysznic i przeszedł do sypialni. Była nieduża, gustownie urządzona, dominowały w niej neutralne kolory, ale Will nie umiał się odprężyć. Zerkał na zamknięte drzwi do bawialni i przemyślał nad tym, czy by tam nie wkroczyć i nie zmienić rozlokowania użytkowników apartamentu.

Mógłby także spytać Lizzie o Brytyjczyka, o którego pytała Murphy'ego, a którego później Eddie opisał Willowi. O Mylesa...

Właśnie teraz, kiedy Lizzie już była zmorzona sennością, nadszedł moment, w którym można było wydobyć z niej intrygujące informacje. Dlaczego zapytała napastnika akurat o tego mężczyznę? Co go łączyło z Normanem Estabrookiem, a także co ją samą łączyło z tym amerykańskim miliarderem? Will dostrzegł nie tylko podkrążone ze zmęczenia oczy Lizzie i drżenie jej rąk, ale jej niepospolitą atrakcyjność, czyniącą ją kobietą niebezpieczną i pociągającą. I całkowicie naturalną - dodał w myślach, uśmiechając się do samego siebie.

Ona musiała się wyspać i odzyskać formę, on również potrzebował paru godzin, by przeanalizować sytuację,

w jakiej się znalazł - w jej apartamencie w Dublinie. Pociąg, jaki do niej odczuwał, utrudniał mu to zadanie.

Przywołał w pamięci opinie swych przyjaciół, Davida Mearsa i Philipa Billingsa, o swym życiu uczuciowym. David, skłonny do alkoholu i obdarzony ostrym poczuciem humoru, tak scharakteryzował Willa:

„Jesteś samotnym wilkiem. Biada kobiecie, która się w tobie zakocha”.

Philip, ulubieniec pań, ostatnio zakochany w jednej z londyńskich przyjaciółek Arabelli, uzupełniał osąd wydany przez Davida: „I biada tobie, kiedy spotkasz partnerkę dorównującą ci, gdyż nie będziesz jej traktował tak, jak traktowałeś inne kobiety. Ona da ci kopa w tyłek, a wtedy my, David i ja, powiemy, żeśmy cię przestrzegali”.

Will wsunął się pod pled przykrywający łóżko. Prześcieradła także pachniały lawendą.

## **ROZDZIAŁ PIĘTNASTY**

*U wybrzeży Massachusetts 1 w nocy czasu lokalnego 26 sierpnia*

Abigail zamierzała właśnie pograć z samą sobą w bilard, kiedy do kabiny wszedł Estabrook w asyście Brytyjczyka Fletchera. Dobrze, że się nie położyła. Mimo niewyspania postanowiła zachować czujność jak w stanie alarmu. Estabrook miał na sobie strój żeglarski i takąż czapkę, ale rozpoznała go natychmiast po rysach twarzy: prasa publikowała od kilku tygodni jego zdjęcia. Opinię zaciekawił dorobkiewicz miliarder i jego związki z przestępczym podziemiem. Kiedy Abigail dowiedziała się o jego pogróżkach kierowanych pod adresem Simona i jej ojca, rysy Estabrooka wbiła sobie w pamięć na trwałe.

Fletcher delikatnie wyjął jej z rąk kij bilardowy. Oddała go bez sprzeciwu.

- Nie jestem dobra w te klocki. A wy moglibyście pomyśleć, że żywię jakieś złe zamiary.

**164**

Zbyli to oświadczenie milczeniem. Przerwał je Estabrook: - Widzę, że ma pani zaczerwienione oczy. Jak się pani spało?

Zdecydowała się odpowiedzieć: - Marnie.

- Jeśli cieszy mnie myśl o cierpieniu pani ojca, to pani niewygodami szczerze się smucę. Przykro mi, że dokucza pani ból i że jest pani zalękniona.

Abigail z chęcią by go zabiła.

- Powinien pan więc mnie uwolnić. Wypuścić mnie na wolność i zerwać z ludźmi, którzy podłożyli te bomby. To nie pan je podkładał i detonował. Pan był w Montanie.

Oczywiście on był za tę akcję odpowiedzialny, bo to on tych ludzi wynajął. Ale nie było na to dowodów. On sam nie wyruszył na wybrzeże wschodnie, by uczestniczyć w tej akcji. Odbyłby się proces, a jej koledzy prawnicy pokierowaliby nim zgodnie z jej życzeniem. Ufała im. A tymczasem ona zachowałaby życie i uczyniła wszystko co możliwe, by Estabrook trzymał się z dala od całej sprawy.

Rozważał ryzykowność takiego rozwiązania i nie odrzucił go pochopnie.

- Nie bierz mnie za głupka, detektywie. Czy mogę się do ciebie zwracać po imieniu?

- Proszę. Czemu nie?

- Usiądź.

Wzruszyła ramionami i przysiadła na brzegu stołu.

- Nie tutaj - uśmiechnął się i wskazał metalowe krzesło, do którego jego ludzie uprzednio ją przywiązali.

- Ty też zadbaj o siebie - powiedziała, przypatrując mu się uważnie.

Fletcher cofnął się o krok, ominęła go, podchodząc do krzesła. Usiadła, zakładając nogę na nogę. Podjęła



wątek: - Opowiem moim przyjaciółom, że to nie ty uderzyłeś mnie w twarz.

- Myślisz, że mi na tym zależy?

- Zacznie ci zależeć, jak oni wpadną na twój trop. Pochylił się nad stołem bilardowym, opierając się na

nim obiema rękami. Patrzył na nią lekko z góry: - Twój ojciec podstawił mi Simona, by ten wkraść się w moje zaufanie i zdobył moją przyjaźń, ale plan się nie powiódł. I oto tu stoję przed tobą, wolny.

Abigail ziewnęła: - A nie drażni cię, że władze federalne użyły cię do rozgrywki z grubszymi od ciebie rybami? Nie odpowiada ci przecież rola płotki. Dokładnie wiedziałeś, w co się wdajesz, kiedy skumałeś się z przemytnikami narkotyków, ale nie dotarło do ciebie, że oni są większymi tuzami od ciebie.

Estabrook uśmiechnął się, jakby czytał w jej myślach i napawał się jej lękiem.

Niech się napawa. Ona ma pewną szansę. Nadała swemu głosowi rzeczowy ton: - Co się naprawdę zdarzyło wczoraj? Twój faceci sknócili sprawę. Czy nie widzieli, że mój ojciec i Simon byli w tym czasie w Bostonie?

- Wynająłem profesjonalistów - w tonie jego głosu wyczuwało się niejaką niepewność. - Dałem im wolną rękę, pozwoliłem, by podejmowali decyzje, opierając się na własnym rozeznaniu. Zawsze tak postępuję. Szczegółowe instruowanie wykonawców jest oznaką słabości.

- Obaj oni - i tata, i Simon - byli właśnie w drodze do mnie.

Użyła zwrotu „tata” z pełnym rozmysłem i dostrzegła w jego oczach błysk nienawiści na dźwięk tego wyrazu. Ale sama nie zareagowała na jego emocje. Ciągnęła wywód: - Gdybyście, chłopaki, mieli lepszy wywiad

i wstrzymali się jeszcze o kilka minut... - westchnęła.

- Ale nie, nacisnęliście guzik zapalnika i porwaliście mnie.

Estabrook odetchnął głęboko: - Żałuję, że mnie nie było na miejscu, kiedy Simon i twój ojciec wdychali dym po eksplozji, oglądali płomienie pożaru i krew na chodniku.

- To była krew twojego najemnika. To on krwawił na ulicy.

Fletcher pozostawał milczący. Abigail widziała, że jej słowa godzą celnie w Estabrooka. Wyprostował się, odrywając dłonie od skraju stołu, poprawił sobie czapkę żeglarską na głowie i odparował:

- Detektywie, nie jesteś ani w połowie tak mądra, za jaką się uważasz.

Nie wdała się w polemikę. Ciągnęła swą opowieść:

- Przez całe rano byłam w domu. Scoop dość wcześnie zszedł do ogrodu, on próbuje swymi jarzynami wyprzedzić sezon. Wyobraź sobie, że twoi faceci umieścili bombę przed tym porankiem. Poprzedniej nocy? Poprzedniego dnia? Mogło to się zdarzyć kiedykolwiek. Nastąpiły dwie eksplozje. Druga wybuchnęła butla gazu do mojego grilla, prawda? Nie używałam go od paru tygodni.

- Przeprowadzasz całe dochodzenie, kotku - odezwał się Norman.

- Tak, bo muszę przeanalizować całą sytuację przed składaniem zeznań na twoim procesie. Twoi faceci mogli nacisnąć zapalnik w każdej chwili. Dlaczego z tym zwlekali?

- Dla zsynchronizowania działań.

- Aha! Wszystko chciałeś uruchomić w chwili, w której cię zwalniano spod nadzoru!

- Po co chciałaś się spotkać z Simonem i ojcem?

- Po to, żeby z nimi porozmawiać o tobie. Estabrookowi najwyraźniej ta odpowiedź trafiła do

przekonania. Podeszedł do niej, pochylił się tak, że dokładnie zobaczyła jego wypukłe gałki oczne nabiegłe krwią. Wycedził: - Pod wieloma względami jesteś podobna do swego ojca. Widzę to podobieństwo w kąci-  
kach ust, w kształcie nosa. Nie było ci łatwo dorastać obok takiego mężczyzny. Czy obciążasz go odpowiedzialnością za śmierć twego męża?

- Nie.

- Christopher Browning był agentem specjalnym FBI. Twój ojciec nie był wtedy dyrektorem, ale miał poważną pozycję w tej służbie. Taił to przed tobą, prawda?

- Każdy ma swoje sekrety. Na przykład ty. Jakie kryjesz tajemnice? Nie dorastasz do poziomu, jaki sobie zamierzyłeś. Zdawałeś sobie z tego sprawę, kiedy byłeś jeszcze małym, strachliwym chłopcem. - Abigail poczuła, że zbiera jej się na mdłości. Nigdy nie czuła się pewnie na żadnej łodzi czy statku. - A w swym wnętrzu nadal pozostajesz lęklwym chłopakiem. Nie ma się co zapierać. Pozwól, że cię zawrócę z tej ślepej uliczki, zanim będzie za późno. Zanim ktoś zostanie z twej winy śmiertelnie ugodzony.

Widać było po jego zachowaniu, że go przejrzała na wylot. Odsunął się od niej i od stołu, sięgnął po kij bilardowy, ale nie ten, który ona trzymała w dłoni, kiedy obaj z Fletcherem tu weszli, i spytał: - Dopiero tego lata dowiedziałaś się, że twój ojciec był zastępczym ojcem Simona, prawda, detektywie?

- Nie, nie wiedziałam o tym.

- Brendan Cahill i twój ojciec byli przyjaciółmi.

Brendan był agentem DEA w Kolumbii. Zamordowano go, kiedy Simon miał czternaście lat.

- Widzę, że jesteś świetnie zorientowany w sprawach DEA i FBI.

Zauważyła, że zacisnął dłoń na kiju bilardowym.

- Twój ojciec czuwał nad Simonem przez dwadzieścia lat, a ty o niczym nie wiedziałaś. Tyle sekretów wokół ciebie, detektywie. Tyle spraw ojciec przed tobą taił.

- Mój ojciec miał baczenie na chłopca, który stracił ojca, i starał się mu pomóc w miarę swych możliwości. To żaden sekret. Ja po prostu o tym nie wiedziałam. Simon jest świetnym człowiekiem i dobrym agentem FBI. Wielu z twoich kumpli kryminalistów trafiło za kratki dzięki niemu, a także dzięki tobie i twojej współpracy z organami federalnymi.

Abigail zrobiła szeroki gest obejmujący całe pomieszczenie, w którym się znajdowali, i spytała: - A w tym tu wszystkim o co chodzi? Uciekasz przed swymi kumplami z mafii narkotykowej? Chcesz im w ten sposób wmówić, że już nie żyjesz? Boisz się, że cię dopadną?

Estabrook położył kij na stole: - Nie powinnaś nadużywać mej cierpliwości, detektywie.

Jego ton - opanowany, zdystansowany - przyprawił ją o skurcz żołądka. Pomyślała, że on nie zawaha się zastosować wobec niej przemocy.

Powróciła do tonacji nieagresywnej, konwencjonalnej rozmowy i zmieniła temat: - Dokąd płyniemy? Do twojej posiadłości na wybrzeżu Nowej Anglii? Do jakiegoś szczególnego miejsca, na przykład rezydencji któregoś z twoich przyjaciół? Czy też będziemy tak sobie żeglować w kółko?

Wziął do ręki kulę bilardową i miętosił ją w sprężystej dłoni: - Kto miałby być tym przyjacielem, detektywie?

Posmutniał nagle, Abigail zaś uświadomiła sobie, że on nie zna w ogóle uczucia przyjaźni, że jego narcyzm sprawia, iż obraca się jedynie wokół własnej osi i angażuje się emocjonalnie jedynie w samego siebie.

Odłożył kulę bilardową na stół, nagle zwrócił się do Fletchera: - Wiesz, co jest grane.

Równie nagle wyszedł z kabiny. Fletcher odczekał kilka sekund, po czym podszedł do Abigail.

- Jeśli chcesz, możesz wrócić do gry, jaką zaczynałaś.

- Nie boisz się, że wykorzystam kij bilardowy jako oręż przeciw...

- Nie, nie boję się tego - przerwał z nieoczekiwanym uśmiechem - i to nie w przekonaniu, że nie byłabyś do takiego czynu zdolna, ale dlatego, że wiesz, iż jestem ci potrzebny.

- A niby dlaczego miałby pan być mi potrzebny, panie Fletcher?

Wbił w nią spojrzenie swych szarych oczu: - Dlatego, że mogę panią stąd wypuścić żywo, pani detektyw Browning. - Wyciągnął rękę i pomógł jej wstać z krzesła. - Simon Cahill i pani ojciec pomogli kiedyś komuś mającemu bliskie związki z panem Estabrookiem.

- Nie wiedziałam.

Abigail odstawiła na miejsce kij wyjęty ze stojaka przez Estabrooka i ujęła w dłoń kij uprzednio wybrany przez siebie. I dodała wyjaśnienie: - Oni obaj funkcjonują w strukturze FBI. Ja pracuję w bostońskim wydziale policji.

- Pan Estabrook dąży do ustalenia tożsamości pewnej osoby.

- A cóż to może mieć teraz za znaczenie?

- Zyskałbym o wiele wyższe wynagrodzenie, gdy-

bym mu tę osobę wskazał. - Zebrał kule bilardowe w trójkąt i dokończył:  
- Abigail, wiesz o wiele więcej, niż ci się zdaje.

Nazwisko samo nasunęło jej się na myśl. Ale natychmiast zepchnęła je w podświadomość. Nadal jednak tam tkwiło.

*Lizzie Rush.* Lizzie była bogata, atrakcyjna i potrafiła zbliżyć się do kręgu znajomych i współpracowników Estabrooka, ale jej rodzina była związana z Bostonem, a ona sama interesowała się ojcem Abigail.

W gruncie rzeczy Lizzie Rush była głównym powodem, dla którego Abigail zaprosiła do siebie Simona i swego ojca - chciała z nim o niej porozmawiać. Wymierzyła pchnięcie kijem kuli bilardowej, ale chybiła. Owenowi nie powiedziała o swych przypuszczeniach i podejrzeniach. Ponieważ nie miała dostatecznej wiedzy o ich przedmiocie, zachowała powściągliwość. Interesowała się tymi sprawami jako funkcjonariuszka bos-tońskiej policji, nie zaś osobiście, musiała więc przestrzegać reguł dochodzeniowych.

Prawdę mówiąc, sztuki dochowywania tajemnic uczyła się już od lat dziecięcych od własnego ojca. Uważała go za jednego z najlepszych ludzi, z jakimi się w życiu zetknęła. Jego dyskrecja była funkcją poczucia odpowiedzialności i wewnętrznego zaangażowania. A te były wytworem jego osobowości - człowieka, któremu można ufać, który nigdy nie gadał od rzeczy, a często podejmował bardzo trudne decyzje.

Fletcher zdjął drewniany trójkąt ograniczający swobodę toczenia się kul bilardowych i cofnął się o krok od stołu. Abigail rozbiła je uderzeniem kija i trzy z nich wpadły do dołka. Miała fart! Nie bardzo zdawała sobie sprawę z tego, co właściwie robi. - Miałaś rację

- Fletcher skomentował jej zachowanie - nie jesteś w te klocki nazbyt dobra.

Niemal się roześmiała, przymierzając się do następnego uderzenia. - Łączysz ze sobą elementy, które do siebie nie pasują - powiedziała, nawiązując do jego wyznania sprzed chwili. - Nie mogę ci pomóc. Mam własny problem do rozwiązania.

- To kto ma mi pomóc w takim razie? - spytał. Znow odczuła skurcz w żołądku.

*Fiona.*

Zbiła czerwoną kulę w narożną kieszeń i przymusiła się do oderwania myśli od córki Boba. Od jej imienia, jej obrazu, wszystkiego, co się z nią wiąże. Fionę widziała poprzedniego wieczora, grającą na harfie wraz z małą irlandzką orkiestrą w pubie Morrigan w Whitcomb, hotelu Rushów w Bostonie.

- *To nie jest dobry pomysł, Fiono.*

- *Dlaczego niedobry?*

- *Nie mogę ci wytłumaczyć. Kogo tu znasz? Kogo poznałaś?*

*Nikogo.*

Fiona zarumieniła się, a Abigail dostrzegła młodego, bystrego Rusha stojącego w drzwiach; pomyślała wtedy, że jest przeczulona i że Fiona nie zasługuje na to, by ją wplątywać w któryś z labiryntów Johna Marcha. Przy całej swej miłości do ojca, Abigail była świadoma tego, że ślad, jaki pozostawia on po swojej, niemal sześć dekad trwającej, drodze życiowej, jest nazbyt skomplikowany.

Fiona знала wszystkie irlandzkie puby w mieście i proponowała im muzykę na żywo. Pub Morrigan płacił za występy honoraria należące do najwyższych i przysparzał muzykom prestiżu. Mogła odkryć ten bar sama, ale nie doszło do tego. Odkryła go, ponieważ jej ojciec

znał Abigail, która właśnie rozkochiwała się w Owenie Garrisonie. A rodzina Owena, tak głęboko powiązana z Beacon Hill, często zatrzymywała się w hotelu Whitcomb i rekomendowała go swym przyjaciołom.

Ojciec Abigail znał się z Garrisonami jeszcze zanim ona zetknęła się z Chrisem Browningiem, który wydorósł na wybrzeżu niedaleko od ich letniego domku położonego na wyspie Mount Desert. Ale związki jej ojca z Garrisonami nie miały nic wspólnego z jej zainteresowaniem Fioną O'Reilly grającą irlandzką muzykę w pubie Morrigan. Zainteresowanie to natomiast wiązało się z kobietą, której pamięci składano hołd w nazwie tego pubu - Shauną Morrigan, matką Lizzie Rush. Abigail była jednak świadoma, że teraz, pod uważnym spojrzeniem Fletchera, nawet rozmyślanie o nich było niebezpieczne.

Przygotowując się do kolejnego uderzenia, odczuła w lewym barku ból wywołany wydarzeniami z ostatnich godzin. Była odwodniona, zdawała sobie sprawę z tego, że powinna pić dużo płynów, ale sama myśl o nich wzbudzała w niej mdłości. Powiedziała Fletcherowi: - Będziesz musiał dużo do mnie mówić. W uszach ciągle mi dzwoni po ciosie, który mi wymierzył jeden z tych skurwysynów, którzy się wdarli do mojego mieszkania.

- Mamy dużo czasu.

Skupiła się na kolejnym uderzeniu, było już jednak za późno - Fletcher się zorientował, że ona kłamie. - Miłej zabawy - powiedział łagodnym tonem i wyszedł.



## **ROZDZIAŁ SZESNASTY**

*Dublin, Irlandia*

*7:23 rano czasu lokalnego*

*26 sierpnia*

Kiedy Lizzie się obudziła, drzwi do sypialni były nadal zamknięte. Włożyła na siebie obcisłe czarne spodnie i również czarną bluzkę. Makijaż zapewniał jej wygląd osoby wypoczętej i wyspanej. Starając się, by nie powodować żadnego hałasu, zeszła do hotelowego lobby. Uśmiechnęła się do recepcjonistki i poszła na śniadanie do restauracji hotelowej. Pogawędziła z kelnerem, studentem z Litwy. Wydawało jej się, że właśnie przybyła z Bostonu. Wydarzenia dnia wczorajszego - atak bombowy, porwanie Abigail, zniknięcie Normana, a nawet wytworny Brytyjczyk śpiący w jej apartamencie - jakby zapadły w niepamięć. Postanowiła zaraz po śniadaniu wyruszyć na zakupy. Nie zdążyła jednak dokończyć jedzenia, kiedy pojawił się jej brytyjski współlokator, odziany w inny, równie miękki i wytworny sweter, i bez pytania o po-

**174**

zwolenie przysiadł się do jej stolika. - Moja siostra uwielbia Dublin - oświadczył na zagajenie rozmowy. - Muszę ją spytać, czy zna ten hotel. - Jest projektantką strojów ślubnych w Londynie. Nosi piękne imię: Arabella. Masz także starszego brata, Petera. Zarządza rodzinną posiadłością - pięćset lat liczącą rezydencją położoną w północnej Anglii - wyrecytowała Lizzie. - Wszystkiego tego mogłaś się dowiedzieć z Internetu. - I właśnie z tego źródła skorzystałam.

Jeszcze w początku lipca, w trakcie pobytu w Londynie, zebrała trochę informacji o Davenportach, ale nie przyznała się do tego Willowi.

Interesował ją jako przyjaciel Simona.

Tymczasem podano i jemu śniadanie. Jak na człowieka, który spał zaledwie kilka godzin, zachowywał zadziwiającą sprawność umysłową. A także powagę. Wrócił do przestrogi, udzielonej Lizzie już wczoraj: - Podjęłaś bardzo niebezpieczną grę, Lizzie. Pora z nią skończyć.

Nabrała sobie na talerzyk trochę dżemu. Odgarnęła z czoła włosy i stwierdziła, że nie są dobrze wyczesane. Noc spędzona na sofie pozostawiła po sobie ślady. Odpowiedziała: - Jeśli chcesz ściągnąć mi na głowę FBI albo irlandzką gardę, powinieneś już to zrobić.

Kiedy odstawiał filiżankę na spodek, zauważyła na jego dłoni małą szramkę - być może ślad po walce na noże odbytej wczoraj mniej szczęśliwie niż jej konfrontacja z Murphym.

- Nie jesteś wcale dyletantką, jaką udajesz. Walki na noże nie uczyłaś się z poradnika. Kto cię jej uczył?

- Często podróżuję samotnie, uznałam więc, że

przyda mi się kurs samoobrony. Ale podręcznik SAS-u mam naprawdę. -  
Wyprostowała się na krześle. - Nie uśmiechasz się dziś, Willu.

- Obudziłem się zdjęty lękiem o ciebie.

- Aha. Być może powinnam zaproponować ci nocleg na sofie. Mnie się  
dobrze spało. I nie masz się czym martwić.

Posmarowała rogalik dżemem, odgryzła kawałek i stwierdziła: - Jesteście  
z pewnością dobrymi przyjaciółmi, ty i Simon, ale to nie dlatego  
przyjechałeś tu moim śladem.

- A czy ty masz przyjaciół, Lizzie?

- Kogoś oprócz moich czterech kuzynów i Normana? Nadal się nie  
uśmiechał. Odpowiedział krótko: - Właśnie.

- Tak, mam przyjaciół, choć ostatnio większość z nich zaniedbywałam. -  
Widząc, że jej towarzysz zjada rogalik bez żadnych dodatków, spytała: -  
Nie używasz ani masła, ani dżemu? Jesteś ascetą.

- To nie ja uczestniczyłem wczoraj wieczorem w walce wręcz.

- Walce? Skoro tak to nazywasz... - Ale nie chciała już kontynuować tej  
słownej szermierki. - Nie jestem głodna. Późnym wieczorem jadłam duże  
irlandzkie śniadanie. Od jak dawna znasz Simona?

Po chwili zastanowienia odparł:

- Od dwóch lat.

- Norman bardzo się zdziwił, kiedy się dowiedział, że Simon widział się z  
tobą w Londynie. Czy wiedziałeś, że on działa w ukryciu, czy też  
uważałeś go za byłego agenta FBI, który się zwaśnił z dyrektorem  
Marchem?

- Nie rozmawialiśmy z Simonem o Normanie Estabrooku.

- Czyżby MI6 nie interesowało się nim?

Will uśmiechnął się lekko: - Bardzo sprytne pytanie, Lizzie. Jakie masz plany na dzisiaj?

- Zakupy. A potem - nie wiem. - A po chwili spytała poważnym tonem: - Spytałam wczorajszego wieczoru Michaela Murphy'ego o pewnego twojego rodaka. I spostrzegłam, jak na to zareagowałeś, Willu. Przypuszczam, że z tego właśnie powodu zjawiłeś się tu, w Dublinie. Znasz tego kogoś, prawda?

- Jak już mówiłem, planujesz bardzo niebezpieczną grę.

Lizzie jednak nie ustępowała: - Kto to jest?

- Duch.

- Jakiś upiór?

Pokręcił głową: - Nigdy nie powiedziałem...

- Nie musiałeś - przerwała. - Ten człowiek pojawił się w Las Vegas na kilka dni przed aresztowaniem Normana. Czy on jest z SAS? Z wydziału specjalnego? Jakiś zbieg?

- Jest zabójcą. Eddie O'Shea zetknął się z nim w zeszłym tygodniu na półwyspie Beara. Nie było tam wtedy ani Simona, ani Keiry.

Lizzie analizowała nową sytuację i poczuła żal, że spokojne życie Eddiego i jego braci uległo zakłóceniu. Ale oni wyglądali na takich, co dadzą sobie radę. Spytała: - Czy to ten człowiek zaaranżował napad na Keirę?

- Cokolwiek zrobił, Lizzie, trzymaj się od niego z daleka. Nawet przy twoich zdolnościach, nie zdołasz go pokonać. Jeśli coś o nim wiesz, powiedz mi to teraz.

- Podaj mi przynajmniej jego imię i nazwisko. Will patrzył jej przez chwilę w oczy, jego źrenice

zmieniały właśnie barwę: błękit, zieleń i złoto jakby się stopiły w czerni.

- Nazywa się Myles.

Usłyszała ton lęku w jego głosie. - To twój znajomy...

- zająknęła się. - Willu...

- Nie widziałem na własne oczy człowieka, którego i ty, i Eddie O'Shea mi opisywaliście. - Znów w pełni odzyskał kontrolę nad swym głosem: - Mogłem się pomylić.

- Rozmawiałam z nim przez kilka minut. Przysiadł się do mnie w barze hotelowym, poprosił o butelkę wody i... - przerwała na wspomnienie dziwnego spotkania w Las Vegas. - Poradził mi, żebym była grzeczna. Will uśmiechnął się niemal ze smutkiem na twarzy:

- To mi wygląda na Mylesa. Czy spotkał się już wtedy z Estabrookiem?

Lizzie potaknęła: - On - Myles, Brytyjczyk - podszedł do niego w trakcie, gdy Norman grał w pokera. Żaden z siedzących przy stole mężczyzn nie znał go. Nie mogłam usłyszeć jego rozmowy z Normanem, ale sprawiała wrażenie ważnej. To jeden powód, dla którego go zapamiętałam.

- A jest jeszcze inny powód?

Skierowała wzrok na Willa, który patrzył przed siebie.

- Staram się wszystko zapamiętywać.

- Dlaczego, Lizzie? Działo się to przed aresztowaniem Estabrooka. Czy wiedziałaś już o jego nielegalnych machinacjach?

Uśmiechnęła się: - Powinnam się w tej chwili powołać na Piątą Poprawkę do Karty Praw do Konstytucji Stanów Zjednoczonych.

- Lizzie! Nie dywagujemy teraz o jakiejś luksusowej wycieczce organizowanej przez któryś z twoich hoteli.  
Jakby nie była tego świadoma. Szybko dodał: - Przepraszam. To zabrzmiało patriarchalnie.

- Nie powinnam ci się przedstawiać jako przywidła dziedziczka tego hotelu...

- Którą nie jesteś.

- Nie, nie jestem, Willu. Jeśli twój znajomek Myles pomaga Normanowi we wzięciu odwetu, Abigail Browning wpadła w poważne kłopoty.

- Przez dwa ostatnie lata byłem przekonany, że Myles nie żyje.

- I żywiłeś to przekonanie aż do wczoraj, kiedy ci go opisałam. To dlatego pozwoliłeś mi wyjść z pubu Eddiego, prawda? Nie chciałeś, żebym strawiła długie godziny na rozmowie z detektywami irlandzkiej gardy. Chciałeś sam porozmawiać ze mną. Czy powiadomiłeś FBI?

Wyraz twarzy słuchającego jej Willa sprawił, że niemal poderwała się na nogi, potrącając zastawiony filiżankami i spodeczkami blat stolika. - Zrozumiałam nareszcie! Ty, Simon i Myles byliście towarzyszami broni!

- Zbyt wiele dostrzegasz, Lizzie - sięgnął po filiżankę powolnym ruchem i zmienił temat: - Co cię łączyło z Estabrookiem?

Postanowiła mu odpowiedzieć: - Myślał, że go rozumiem.

- A czy go rozumiałaś? Czy omawiał z tobą zamiar pomszczenia swej porażki?

- Nie, nie omawiał tego ze mną. Zdarzyło mi się być z nim w Montanie, kiedy odgrażał się, że zabije Simona i dyrektora Marcha. Nie zawsze mogłam odróżnić, co

w wypowiedziach Normana było fanfaronadą lub czczą pogrózką, a co dosłownie rozumianym postanowieniem. On jest fantastą, a przy tym zręcznym i doświadczonym taktykiem. Miałam nadzieję, że jego prawnicy wyperswadują mu przestępcze rojenia i że on zgodzi się z nimi, iż zbrodnicza zemsta jest zgubną mrzonką. Wątpiłam też w możliwości zrealizowania takich koszmarnych zamiarów. A on uznał je za swe ostatnie życiowe zadanie. Will zagłębił się w swym krześle.

- Lizzie...

Ale Lizzie nie pozwoliła sobie przerwać wywodu. Uśmiechnęła się promiennie: - Lordzie Davenport, wyglądasz jak człowiek, który nigdy nie smaruje sobie rogalików masłem ani dżemem.

Spostrzegła przy wejściu do restauracji Justina i skinęła mu dłonią.

- Poznałeś już po przyjeździe tutaj mego kuzyna Justina. Właściwie wychowywałam się z nim i jego o trzy lata młodszymi braćmi. Mój ojciec dużo podróżował. I nadal podróżuje.

- A twoja matka...

- Zmarła, kiedy byłam dzieckiem. Przykre doświadczenie, Willu - położyła zużytą serwetkę na talerzu, sygnalizując skończenie śniadania. - Życie obfituje w przykre doświadczenia. Wrzucasz kamyk do stawu, a nie wiesz, kto może zostać nim ugodzony pod wodą. Dopij herbatę, Willu. Justin ci pomoże we wszystkim, co należy. Muszę złapać samolot.

- Uważaj na siebie, Lizzie.

Znów się do niego uśmiechnęła: - Zawsze na siebie uważam.

Nie wstał z krzesła, by się z nią pożegnać.

- Podejrzewam, że mamy odmienne wyobrażenia

o tym, co te wyrazy znaczą - powiedział smutnym głosem.

Wiedziała, że się jej przygląda, kiedy podchodziła do Justina przy drzwiach do restauracji.

- Zrób coś dla mnie - zwróciła się do swojego kuzyna. - Muszę odlecieć przed naszym lordem Davenportem. Nie próbuj go wywieść w pole, bo ci się to nie uda. Po prostu zdobądź dla mnie trochę przewagi czasowej.

Justin wyprostował się, jakby podjął się ważnego zadania. Spytał:

- A co się stanie, jeśli on wykupi bilet na ten sam samolot, którym ty wylecisz do Bostonu?

- Nie przejmuj się - przy tych słowach ruszyła już w stronę hotelowego lobby. - Lord Davenport lata pierwszą klasą. Ja będę siedziała w klasie turystycznej.

Justin Rush, którego nos i oczy były uderzająco podobne do swych odpowiedników w twarzy Lizzie, usiadł przy stoliku Willa i zaczął mu opowiadać anegdoty z dziejów rodziny. Przystąpił do działania na zwłokę: - Lizzie stanowi kłopot. Wszystko, co mi o niej opowiadali rodzice i starsi bracia, świadczy o tym, że zawsze sprawiała sobą kłopot. Najstarszym z nas jest Whit. Imię otrzymał po naszej babci ze strony ojca, która nosiła imię Whitcomb. Drugi z kolei jest Harlan - nosi imię takie samo jak ojciec Lizzie, który otrzymał je po dziadku Harlanie Rushu, tym, który namówił naszą babcię do przekształcenia siedziby rodu przy Charles Street w Bostonie w hotel.

- Czy bardzo kłopotliwe było to jej przekonywanie?

- Nie, dała się do tego nakłonić bez trudu, kiedy



odkryła szczury i karaluchy w pokoju przełożonego służących.  
Oczywiście teraz już nie ma po nich śladu.

- Oczywiście - zgodził się Will. - A więc są to Whit, Harlan - a po nim Lizzie?

- Dokładnie tak. Po nich następuje Jeremiah. Ja jestem ostatni. Ostatnie dziecko. - Uśmiechnął się szeroko przy tej autoprezentacji.

- No proszę.

- Lizzie spędzała z nami wiele czasu, podobnie jak z babcią, ale już w okresie dzieciństwa wiele podróżowała z ojcem. Nawet pan sobie nie wyobraża, jakim jest znawcą win, kiedy je zamawia w restauracji pięciogwiazdkowego hotelu.

- I dobrze gra w brydża.

- Z samą sobą. Opowiadała panu, że to ćwiczy jej umysł? Mojemu umysłowi bardziej pomaga kufel Guin-nessa. Od dawna ją pan zna?

- Poznaliśmy się wczoraj wieczorem.

- Gdzie? Nie w Dublinie, sądząc po stanie jej obuwia. Czy pan także stawia czoło bykom w powiecie Cork?

Will zastanawiał się, kiedy wieść o napadzie na Keirę dotrze do Justina Rusha w Dublinie albo może, czy już o tym słyszał i nadal zrećnie prowadzi swą grę towarzyską z hotelowym gościem.

- Poznałem Lizzie w jednym z tamtejszych pubów. Justin spojrzał w stronę wejścia do restauracji, jakby pragnął, by się w nich pojawiła i wybawiła go z kłopotu, ale ponieważ jej tam nie było, ciągnął swą opowieść:

- Lizzie to wolny duch, ale jest też niebywale rzetelna w pracy. Pracowała w każdym z naszych hoteli, podobnie jak my wszyscy. Świetnie sobie radzi. Mój tata by ją zwolnił, gdyby nie była taka dobra.

- Ale w ciągu tego roku miała sporo wolnego, prawda?
  - Sporo - na szyi jej młodego kuzyna pojawiła się czerwona pręga. - Zadała się z tym kretynem Normanem Estabrookiem. Wiem, że to nieładnie z mej strony, ale mam nadzieję, że jego samolot... - a zresztą, co mi tam. Nie chcę mówić o tym głośno.
  - A gdzie mieszka ojciec Lizzie? W Bostonie?
  - Wujek Harlan unika Bostonu jak ognia.
  - Irlandii też unika, jak mi wiadomo. Pewnie ze względu na przykre wspomnienia związane z matką Lizzie?
- Justin wpatrzył się pilnie w solniczkę i nie odpowiedział. Will jednak nie rezygnował z wydobywania z niego tej odpowiedzi. - Co się jej przydarzyło?
- Zginęła w dziwnym wypadku, kiedy Lizzie była jeszcze dzieckiem - tutaj, w Dublinie. Była Irlandką. Przyjechała do rodziny z wizytą.
  - Nie wzięła ze sobą Lizzie? Justin potwierdził.
  - Ani męża?

Znów potwierdził, ale dodał: - To było osiem lat przed moim przyjściem na świat. Przyleciała na pięć dni i potknęła się o wystający kamień, wchodząc do baru Tempie. Uderzyła głową o bruk. Mówią, że zmarła na miejscu. - Odwrócił wzrok od solniczki. - Takie to się sprawy zdarzają. Zdanie to nie zabrzmiało jak utyskiwanie na zwykłą kolej rzeczy, ale Will zorientował się, że Justin powiedział tylko tyle, ile chciał powiedzieć, a może tyle, ile sam na ten temat wiedział. Will wznowił wypytywanie: - Skoro nie mieszka w Bostonie, to gdzie wuj Harlan ma swą siedzibę?

- Jego oficjalna rezydencja mieści się w Las Vegas, ale osobiście wątpię, czy spędza tam choćby połowę roku. Należy do rady zawiadującej rodzinnym biznesem, ale już nie odgrywa w niej zbyt aktywnej roli. Większość czasu spędza podróżując i uprawiając hazard.

- Wiem, że Lizzie także dużo podróżuje. A czy uprawia hazard?

- Nigdy nie gra o pieniądze. Lubi ryzykować, ale jest bardzo rygorystyczna, jeśli chodzi o pieniądze. Zajmuje się teraz wynajęciem lub też sprzedaniem starej rezydencji Rushów w Maine. Nikt nie chce jej zatrzymać, ale Lizzie ją kocha - zwłaszcza jej usytuowanie. Sam budynek jest już w ruinie.

Justin zaczął się niepokoić, że udziela tyle informacji o swej kuzynce, ale poleciła mu zabawić Willa rozmową tak długo, jak się tylko da, wypełniał więc to polecenie rzetelnie.

- Lizzie mówi, że ten dom jest taki bezpretensjonalny.

Will uśmiechnął się, wyobrażając sobie Lizzie uzgadniającą z architektami i stolarzami koszty renowacji tej rodowej siedziby. Robi to z pewnością po swojemu. Ale Willa interesowały bardziej kwestie bliższe teraźniejszości. - A czy zna pan Normana Estabrooka?

- Zetknąłem się z nim. Niosłem jego bagaże.

- W zeszłym roku, w kwietniu, kiedy tu przyjechał?

- O, to pan już wie wszystko o tym.

- Nie wszystko. Jakie wrażenie on na panu wywarł?

- Nie bardzo mu się przyglądałem. Przyjechałem tutaj na ferie wiosenne. Miałem pełne ręce roboty z obsługiwaniem gości, noszeniem ich bagaży. Odbywałem wtedy praktykę. Pan Estabrook miał jakieś trudności

w pracy, jeśli dobrze pamiętam, ale nie jestem pewien. Towarzyszyła mu liczna świta.

- Czy Lizzie należała do tej świty, pana zdaniem? Na twarzy Justina odmalowało się zarazem urażenie

i sprzeciw. - Lizzie nigdy do nikogo ani niczego nie należała.

- Ale była wtedy w Dublinie?

- Tak. Ale podróżowała na swój rachunek, nie jego. Tutaj właśnie się poznali. Nie byli nigdy niczym więcej niż znajomymi. A jeśli pan spyta, czy ona ma swego chłopca, to nie odpowiem panu na takie pytanie.

Z tonu tej odpowiedzi wynikało, że Lizzie żadnego „chłopca” nie ma, co ucieszyło Willa. Zapytał jeszcze:

- A czy pan pamięta kogoś ze świty pana Estabrooka?

- Nie. Nikogo.

- A czy on tu był jeszcze po tej kwietniowej wizycie?

- Nic mi o tym nie wiadomo. - Spowaźniał, w jego głosie zabrzmiała nuta niepokoju, kiedy zapytał Willa:

- Czy Lizzie napytała sobie jakichś kłopotów?

- Nie wiem. Mam nadzieję, że nie.

- Ona umie dorównać nawet najlepszym. Nabrała takiego doświadczenia u nas. W dzień Nowego Roku rozkrwawiła nos mojemu bratu Jeremiahowi.

- Wasza rodzina zebrała się w noworoczne święto? Gdzie?

- W Las Vegas. Wszyscy wzięli w tym spotkaniu udział, nie wyłączając wuja Harlana.

- Wasz hotel jest bardzo wygodny - powiedział Will, wstając od stolika - a pan świetnie wypełnia swe obowiązki. Skutecznie mnie pan tutaj zatrzymywał.

Justin przybrał minę niewiniątka: - Pragnął pan dowiedzieć się czegoś więcej o Lizzie...

Will dostrzegł znów cień niepokoju w oczach Justina. Spytał: - Czy rodzina martwi się o Lizzie?

- A czy to ma jakieś znaczenie? Lizzie myśli, że jest w pełni samodzielna. Will miał własne doświadczenia z zatroskaną rodziną, ale był profesjonalistą w trudnym zawodzie. Lizzie ewidentnie profesjonalistką nie była. Odpowiedział spokojnie: - Ja jej krzywdy nie wyrządę.

- Ale czy jej pan pomoże?

- Jeśli będę mógł. Jeśli ona mi na to pozwoli.

- Chwilami myślę, że ona lubi niebezpieczeństwo.

- Być może stara się w miarę swych możliwości pomóc innym i uchronić rodzinę przed kłopotami.

Will nie oczekiwał odpowiedzi. Dodał jeszcze: - Zapewnił pan kuzynce dość czasu na to, by dotarła do lotniska. Miło mi było pana poznać, Justinie. Gdyby się pan kiedyś znalazł w Londynie, proszę się ze mną porozumieć.

Justin zmarszczył brwi i po chwili zastanowienia powiedział z uśmiechem: - Pracę zaczynam później. Odwiozę pana na lotnisko; podąża pan w ślad za Lizzie do Bostonu?

- Mam już załatwiony przelot.

- Własnym samolotem? Will nie odpowiedział.

- To wspaniale - roześmiał się Justin - pan przelatuje przez Atlantyk prywatnym samolotem, a Lizzie w kabinie turystycznej, w tłumie podróżnych. To ją nauczy rozsądku.

W drodze na lotnisko Will dowiedział się jeszcze kilku szczegółów o Lizzie. Poznał jej pełne imię i nazwisko: Elizabeth Brigid Rush. Jej matka nazywała się Shauna Morigan. - O ciotce Shaunie krążyły w rodzinie

plotki - opowiadał Justin. - Mój brat Jeremiaś jest przekonany, że ona szpiegowała bostońskich Irlandczyków mających związki z ulsterskimi rebeliantami.

- Działo się to, zanim wyszła za pańskiego wuja?

- Jeremiaś sądzi, że tak. Ale kto to wie? Krążą też pogłoski o wuju Harlanie...

Wjeżdżali właśnie w obręb portu lotniczego. Justin zakończył: - Teraz to już za daleko zabrnąłem. Z tego co wiem, pan jest brytyjskim szpiegiem. W istocie, pomyślał Will, uznając, że lubi Justina Rusha.

## **ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY**

*Boston, Massachusetts 8:00 rano czasu lokalnego 26 sierpnia*

Bob wyczuł pod plecami metalowe sprężyny materaca, co mu uświadomiło, że przenocował na sofie w facjacie swej siostrzenicy w domu Garrisonów. Przez szparę w zasłonach, które Keira kupiła w Irlandii, wdzierało się światło słoneczne.

Wszyscy oferowali Bobowi nocleg - Theresa, Lucas Jones, a nawet Yarborough. Także komisarz i burmistrz przyjęliby go na nocleg, gdyby ich o to poprosił. Ale wybrał skromniejszy, wolny pokój swej siostrzenicy na poddaszu, udekorowany obrazkami niedzielnych malarzy irlandzkich oraz wypełniony książkami zawierającymi ludowe opowieści irlandzkie i samorodną ludową poezję z tego kraju.

Simon i March mieli zarezerwowane noclegi służbowe, ale obaj pragnęli natychmiast rozpocząć poszukiwania Estabrooka. Simon chciałby go pojmać gdzieś na

jego własnym terenie, ale ponieważ zatarł on za sobą ślady, Simon uznał, że będzie pożyteczniejszy, uczestnicząc w poszukiwaniach Abigail, niż działając na chybił trafił w pojedynkę. Znał Estabrooka, jego kontakty i sposób rozumowania, a także miejsca, które lubił i o których zdarzało im się rozmawiać. Gdyby dysponował milionami dolarów, sam mógłby w którymś z takich miejsc się ukryć.

Może ktoś zaobserwował odlot samolotu Estabrooka i dowiedział się czegoś o kierunku, w jakim się udał, ale Bobowi nie udało się uzyskać żadnej informacji na ten temat.

Wstał, odsunął zasłony i wyjrzał przez okno, by ku swemu niezadowoleniu dostrzec przydzielonego sobie ochroniarza policyjnego. Co za marnotrawstwo ludzkiej energii! Bob wolałby, żeby wszyscy funkcjonariusze policji brali udział w poszukiwaniu Abigail, ale musiał się podporządkować poleceniom komisarza.

Poszedł do łazienki, myśląc o rzeczach, które musi sobie ściągnąć z własnego mieszkania. Sam nie przejmował się zapachem dymu, którym najpewniej przesiąkły jego ubrania, ale innym mogło to przeszkadzać.

Trudno, to ich problem.

Na dole spotkał Yarborougha, opanowanego i zadbanego jak zawsze, choć musiał spać znacznie krócej niż Bob. Tom powitał go mile: - Dzień dobry, poruczniku. Wyspał się pan?

- Jak dziecko. A pan?

- Tylko trochę.

Bob rozejrzał się wokół i spytał: - A może już odnaleźliście Abigail, tylko nie chcieliście mnie budzić zbyt wcześnie?

- Nie, niestety.

184



Tom nie miał wyrobionego poczucia humoru. Bob spoważniał:

- A co się dzieje nowego? Co tu pana sprowadza? Przy całym swym opanowaniu Tom nie umiał ukryć

pewnego zakłopotania: - Fiona odmówiła dziś rano przyjęcia ochrony policyjnej i wyszła z domu swej matki. Nie mogliśmy jej do niczego przymusić, skończyła osiemnaście lat.

- Ja bym zdołał ją przekonać. Gdzie jest teraz?

- Antyterrorysty pragną roztoczyć nad nią nadzór.

- Nad moją córką?

- Tak.

- A to dlaczego?

- Przypuszczają, że ona mogła wczoraj spostrzec coś, czego znaczenia sobie nie uświadamia.

- Między ochroną a nadzorem istnieje poważna różnica - w głosie Boba brzmiało zatroskanie. - Gdzie ona może być?

- Nie wiem. Moim zdaniem... - Yarborough zawiesił głos i nie sformułował tego zdania. - To bez znaczenia - zakończył.

- Niech pan wypowie swe zdanie - nalegał Bob.

- Odniosłem wrażenie w trakcie wczorajszego przesłuchania, że ona powstrzymuje się przed dopowiedzeniem czegoś. Bob Lucas także to zauważył. Przypuszczamy, że ona ma coś na myśli, ale nie jest pewna, czy to ma związek ze sprawą. I obawia się, by nie ściągnąć na kogoś kłopotów ani też by nie spowodować straty czasu.

Bob zaczął się zastanawiać nad słowami Toma. Młody detektyw dodał: - Ale ja nie poddaję jej zachowania krytyce.

- Dobrze, w porządku. Ja nie staję w jej obronie. Jeszcze nie staję.

185

Bob wyjął swój telefon komórkowy i spróbował połączyć się z córką, ale odezwała się tylko jej poczta głosowa. Nagrał się i wyłączył telefon.

- Pojadę do szpitala odwiedzić Scoopa - oznajmił Tomowi. - Założę się, że Fiona tam właśnie jest. Jak się z nim sprawy mają?

Mina Yarborougha pozostała nieokreślona, kiedy odpowiedział:

- Żyje. - i dodał: - Podwożę tam pana.

Bob nie próbował oponować; wskazał Tomowi palcem swą umundurowaną ochronę ze słowami:

- Niech im pan powie, żeby poszli do roboty. - Zresztą sam im to powiem.

Yarborough powstrzymał go ruchem dłoni. Podszedł do radiowozu, chwilę rozmawiał z jego załogą, po czym powrócił do Boba i zakomunikował:

- Ruszamy.

- A jeśli ktoś wyskoczy z krzaków z bronią w rękę i będzie mnie próbował zastrzelić, pan się skurczy i schowa za maską wozu, tak?

- Nie, zastrzelę tego drania pierwszy. Pan jest pod specjalną ochroną.

- Mnie się nie przydarzają posttraumatyczne stesy. Ale po poważnym kryzysie można być trochę rozregulowanym.

- Rozregulowanym?

- Mieć kłopoty z zaśnięciem, spowolnione reakcje, nawroty przykrych wspomnień. To całkiem normalne, ale nawet i tego nie doznaję. Jak już mówiłem, spałem dziś jak dziecko...

- Bob, proszę przestać, dobrze?

Bob uśmiechnął się do młodego detektywa: - A więc po raz pierwszy zwróciłeś się do mnie po imieniu?

Daję słowo, Yarborough, uda się nam zrobić z ciebie człowieka!  
Yarborough nie otworzył nawet ust, podszedł do wozu i otworzył drzwi od strony pasażera. Dopiero wtedy się odezwał: - Zastanawiam się, gdzie Abigail spędziła tę noc.

- Na pewno nigdzie w pobliżu.

- Ona jest dobrą policjantką, ale... - przytrzymał przy tych słowach drzwi wozu, by ułatwić Bobowi zajęcie miejsca. Dodał uspokajająco: - Wszystko w porządku, już sprawdziłem, czy nie podłożono bomby.

- Jesteś promykiem słonka, Yarborough.

- Zawsze mi miło oddać przysługę szefowi.

Bob uwolnił Toma od siebie, gdy tylko przyjechali do szpitala. Było tu dość policjantów, którzy mogliby go potem odwieźć do komendy policji, gdyby sobie tego zażyczył, a Yarborough miał wiele innej roboty do wykonania.

Bob się nie mylił: jego najstarsza córka stała na korytarzu, przed pokojem, w którym umieszczono Scoopa. Nie trzymano go już na sali intensywnej opieki, tylko w normalnej izbie chorych, co było dobrym sygnałem. W korytarzu, gdzie czuwała Fiona, nie było klimatyzacji, ale pozostawała na skraju cienia, nie w miejscu nasłonecznionym. Bob zamierzał ją skarcić za odrzucenie opieki policyjnej, odstąpił jednak od tego zamiaru na widok policjanta, który czuwał przed drzwiami pokoju Scoopa i nie pozwalał Fionie nawet zajrzeć do środka.

Byli tam również krewni Scoopa oraz koledzy z wydziału spraw wewnętrznych. Bob uznał, że nie będzie strofował córki jak paroletniego dziecka, ale zobowiązał ją do tego, by w drodze powrotnej do domu skorzystała

z policyjnej asysty. To, że ukończyła już osiemnasty rok życia, nie znaczy, by miała się nie zastosować do rozumnych zaleceń.

Fiona spróbowała się uśmiechnąć do ojca, ale jej uśmiech był dość wymuszony:

- To wygląda gorzej niż odgrywane przeze mnie sceny zatroskania o kogoś w przedstawieniach, w których występowałam. Żadna odgrywana na scenie rola nie wytrzymuje porównania z sytuacją, w której ma się do czynienia z człowiekiem, który uratował mi życie.

- Scoop nie będzie tak na to patrzył.

- Nie ma dla mnie znaczenia, jak on to widzi. Ważne jest to, co się zdarzyło.

- Wiem, Fi.

Z pokoju rannego wyłonił się lekarz w białym kitlu, niewiele starszy od Fiony: - Mogą tam państwo teraz zajrzeć. On się obudził.

Fiona w milczeniu skinęła głową.

Lekarz odszedł w stronę pokoju pielęgniarek. Fiona nadal nie poruszyła się jeszcze i Bob powiedział: - Scoop chciałby cię zobaczyć i upewnić się, że z tobą wszystko jest w porządku.

Fiona powstrzymywała łzy. Powtórzyła: - On mi uratował życie.

Bob dowiedział się już od Theresy, że to zdanie Fiona wypowiedziała trzykrotnie od chwili, kiedy oddaliły się od płonącego domu jej ojca.

- Ale ty być może uratowałaś życie jemu. Gdyby cię nie było na miejscu, on mógłby przejść na ganek, by porozmawiać z Abigail właśnie w chwili, w której nastąpił wybuch. A zamiast tego schwycił cię i wepchnął za osłonę.

Popchnął ją lekko ku drzwiom: - Wejź tam sama, Fi. Porozmawiaj z nim przez kilka minut.

Skinęła potakująco głową, a Bob zacisnął z przejęcia szczękę, kiedy podchodziła do łóżka Scoopa. Leżał na boku, obandażowany, z oparzeniami czwartego stopnia, podłączony do kroplówki ze środkami uśmierzającymi ból.

- Hej, Scoopie - powiedziała Fiona głosem zaskakująco pewnym i spokojnym. - Jak się czujesz? Nie mów, jeśli mówienie cię boli.

- Jakoś to znoszę. A ty, jak się czujesz?

Bob stojący w korytarzu nie słyszał zbyt wyraźnie ich rozmowy. Fiona odpowiedziała: - Mam trochę zadrapań i siniaków. Ale wszystko jest w porządku. Wszyscy mamy się dobrze.

Bob wiedział, że Tom Yarborough i Lucas Jones prosili Fionę, by ani słowem nie wspomniała o Abigail ani Scoopowi, ani w ogóle nikomu, by niczym nie zakłócić śledztwa prowadzonego w sprawie córki Mar-cha.

- Przyszłam przywitać się z tobą i podziękować - te słowa wypowiedziała już odrobinę słabszym głosem.

- Nie dziękuj mi, Fi. Powinienem był odkryć tę bombę. - Scoop mówił cicho, ze słyszalnym trudem, ale wyraźnie. - Czy masz ochronę? .

- Daję sobie radę sama.

- Fiona!

Bob uśmiechnął się do siebie. Pomyślał, że Scoop nie ustąpi w tej materii.

- Powiedziałam, że jej nie chcę - Fiona podjęła próbę samousprawiedliwienia się. - Nie potrzebuję ochroniarza. Bomba nie była przeznaczona dla mnie.

- Celem była Abigail - wyszeptał Scoop.

Bob pomyślał, że to niedobry ruch. Fiona powinna była skłamać i powiedzieć, że korzysta z ochrony detektywa. Nawet dręczony bólem Scoop miał rozwinięty instynkt policjanta. Jako detektyw wydziału spraw wewnętrznych, był przyzwyczajony do kłamstw, które mu opowiadano, i umiał przejrzeć je na wylot. Był najlepszym detektywem w swym zespole i znał się na wszystkich rodzajach łgarstwa.

Fiona pociągnęła nosem: - Wybacz, Scoopie, nie słyszę cię. Powinnam już wyjść. Czeka cię jeszcze rozmowa z rodziną. Mam na dziś luźniejszy program, pójdę do domu Garissonów poćwiczyć grę na harfie.

- Świetnie. Odegraj jakąś irlandzką melodię z myślą o mnie.

- Dobrze. Wybiorę coś zabawnego. Rozweselającego.

Wychodząc, Fiona zobaczyła, że ranny przysnął. Wybuchnęła płaczem.

Bob próbował objąć ją i pocieszyć, ale mu się wysmyknęła i odeszła.

Towarzyszyli jej policjanci. Wyglądało na to, że wiedzą, iż jest jego córką. Ona uświadamiała sobie, że oni wiedzą i to irytowało ją jeszcze bardziej. Ale lepsza irytacja niż lamentowanie.

Zbiegła po schodach do hallu. Bob za nią nie podążył, wszedł do pokoju Scoopa. Spytał: - Obudziłeś się?

- Nie.

- Nie wyglądasz dobrze.

- A czuję się jeszcze gorzej.

- Mówią, że będziesz żył.

- Czasami odzyskuję trochę sił. - Obliznął zaschłe wargi. - Na krótko. Jest pewna kobieta.

- Cały czas przy tobie czuwa.

- Nie o tę pielęgniarkę mi chodzi. Kobieta czarnowłosa. Włosy długie, proste. Drobna. Zielone oczy. Była na naszej ulicy.

- W porządku - Bob nie przywiązywał wagi do tej informacji.

Scoop próbował zebrać myśli, ale wzrok mu zmętniał. - Na dzień przed zamachem bombowym. Zatrzymała się na wprost naszego domu.

Powiedziała, że ma spuchnięte nogi.

- Zwróciła na siebie twoją uwagę?

- Tak... Zastanawiałem się... - usta mu się na powrót skleiły, słabł w miarę tego, jak starał się zebrać w sobie. Potrzebował wypoczynku.

- Sprawdź to - zapewnił go Bob. - Drobna kobieta, brunetka, zielonooka, o spuchniętych nogach.

Bob nie powiedział Scoopowi, że podany przez niego rysopis jest zbieżny z informacjami o kobiecie, która w Irlandii stanęła w obronie Keiry.

Michael Murphy upierał się, że nie zamierzał nikogo zabić, ale irlandzka policja nie dawała tym zapewnieniom wiary. Bob także im nie wierzył.

- Abigail chciała coś wyjaśnić - głos Scoopa brzmiał coraz słabiej. - Ona... jej ojciec... spytaj ją.

Po tych słowach Scoop stracił przytomność. W drodze powrotnej Bob zadzwonił na telefon komórkowy Theresy.

- Wiesz, że Fiona odwiedziła Scoopa?

- Byłam przekonana, że tak postąpi. Dziś rano najpierw wróciła do swojego mieszkania. Tylko przydzielenie jej ochrony policyjnej było w stanie poderwać ją z łóżka tak wcześnie.

- To tylko twoje przypuszczenie. - Bob nie podjął żartobliwego tonu jej wypowiedzi. - W każdym razie jej

mieszkanie pozostaje pod nadzorem policji. Możemy mieć ją w zasięgu oka.

Theresa poczuła się dotknięta: - Jeśli sugerujesz, że powinnam zatrzymać ją u siebie, to zapewniam, że próbowałam to uczynić. Ale ona jest uparta tak jak ty.

- Jesteś dziś w pracy?

- Co to ma znaczyć?

- Po prostu pytam. Odpowiedz tak lub nie.

- Tak.

Bob nie przejął się poirytowanym tonem jej głosu. Nie miał zresztą za złe jej zaniepokojenia.

- Jeśli masz jeszcze trochę zaległego urlopu, wybierz się z dziewczynkami na wybrzeże.

- Fiona nie wyjechałaby z nami. Ma występy ze swym zespołem. Wkrótce zaczynają się zajęcia na uczelni. Ona...

- Możesz ją do takiego wyjazdu skłonić.

- Ty także możesz. Weź broń, bo ja bym ją w tej sytuacji wzięła. Bobie, ona ma dziewiętnaście lat. Sama o sobie decyduje. Pora, żebyś to zrozumiał.

- Nie podobają mi się jej decyzje.

- Ale nie możesz postanawiać niczego za nią. Ja też nie mogę. Możemy na nią wpływać, ale nie możemy niczego w jej imieniu postanawiać.

- W każdym razie wyjedź na wybrzeże z Maddie i Jayne. Ja biorę na siebie Fionę.

- Ona wprawdzie gra na harfie, ale poza tym jest taka sama jak ty.

- Ładniejsza.

- Dzięki Bogu.

- Ter? - uśmiechnął się. - Przepraszam. Rozłączyła się bez słowa.



Nie wiadomo skąd pojawił się Yarborough i usiadł przy nim.

- Myślałem, że się zajmujesz czymś pożytecznym - sarknął Bob.
- Postanowiłem nie zostawiać cię samego - Yarborough podprowadzał Boba do auta. Jego głos brzmiał uprzejmie. - Wsiadaj proszę, zawiozę cię, dokąd zechcesz.
- Na miejsce przestępstwa.
- To znaczy?
- Do mojego domu, Tomie.
- OK. Jedziemy.
- Czy Abigail wspominała ci o drobnej, czarnowłosej kobiecie?
- Nie, a dlaczego pytasz?
- Nie zauważyłeś nikogo takiego?
- No wiesz, w metrze spotykam takich kobiet całe tłumy.
- Ona ma zielone oczy. I spuchnięte nogi. Yarborough spojrzał na Boba takim wzrokiem, jakby właśnie postanowił odstawić go do kliniki psychiatrycznej, ale zachował spokój i oznajmił: - Opowiesz mi o niej w drodze do Jamaica Plain. Bob wiedział, że w tej chwili wygląda na tak chorego i zatroskanego, jakim czuł się rzeczywiście. Ale to nie miało znaczenia. Musiał skupić się na zadaniu, które przed nim stało.
- Abigail jest silna - powiedział Yarborough z pełnym przekonaniem. - Ona będzie...
- Wezmę z sobą broń - przerwał mu Bob.
- To dobry pomysł - przyznał młody detektyw.

## **ROZDZIAŁ OSIEMNASTY**

*Przy wybrzeżu Nowej Anglii W południe 26 sierpnia*

Do kabiny wkroczył Norman Estabrook. O dwa kroki za nim, w drzwiach, stanął Fletcher. Miliarder wyglądał na bardziej niż wypoczętego. Nie miał na głowie żeglarskiej czapki. Jego jasnokasztanowe włosy wymagały rozczesania. Abigail przysiadła na skraju stołu. Zbierało jej się na mdłości, ale utrzymywała reakcje swojego organizmu w ryzach. W lodówce było pełno różnych przysmaków, ale jej marzyła się normalna grzanka.

- Błada jesteś - powiedział Estabrook. - Czy masz tu dość jedzenia?

- Całe mnóstwo.

- Dobrze spałaś?

Potaknęła. Sen, gimnastyka, natrysk. Wykonała wszystkie czynności niezbędne do utrzymania formy w tych okolicznościach i zachowania spokoju przy głosach dochodzących z zewnątrz, a także chybotaniu

się łodzi. Przykrości, jakie ją spotykały, próbowała wykorzystać jako dowód swego silnego pragnienia życia, swej niezgody na bierną rezygnację.

- Czy zetknęłaś się kiedykolwiek z Lizzie Rush? - spytał nagle Estabrook.

- Nie, nigdy - odpowiedziała spokojnie, mimo zaskoczenia, w jakie ją wprawił.

- Ale słyszałaś o niej?

- O jej rodzinie. To właściciele hotelu Whitcomb w Bostonie.

- Była ze mną w dniu, w którym mnie aresztowano i kiedy odkryłem zdradę Simona. Nie mam z nią kontaktu od czasu, kiedy zabrało ją ze sobą FBI. Twój ojciec, jak sądzę, zajął się nią.

Abigail wyjęła z trójkątnej przegródki dużą, białą kulę i pchnęła ją kijem w kierunku kuli żółtej - biała zatrzymała się na skraju dołka.

- Nic mi o tym nie wiadomo - zapewniła, nie patrząc na rozmówcę. -

Możesz mi wierzyć lub nie, ale ojciec nie omawiał ze mną twojej sprawy.

- Detektywie, jeśli uważasz, że używanie terminu „sprawa” zapewnia ci nade mną przewagę, czy też denerwuje mnie lub zasmuca, mylisz się głęboko. Wiem, co ona znaczy dla twojego ojca. - Sięgnął po ósmą kulę i dodał: - Lizzie wychowywała się bez matki. Słyszałaś o tym?

- Nic nie wiem o jej sytuacji rodzinnej - zapewniła, zdając sobie sprawę, że tym razem mija się z prawdą.

Estabrook obracał w palcach ósmą kulę.

- Jest od ciebie o kilka lat młodsza. Ale podczas gdy ty wzrastałaś w normalnym domu z matką i ojcem, ją przenoszono do kolejnych domów różnych krewnych. Ojciec wiele czasu spędzał w podróżach inspekcyjnych

po hotelach sieci należącej do Rushów. Ona przebywała w Bostonie u swego wuja i ciotki mających czterech synów albo u swej babki w Maine. Detektywie Browning, Lizzie była małą półsierotką.

- Wydajesz się wiele o niej wiedzieć.

- Wiem sporo o wszystkich, których gościłem w swym domu.

Ale Simon wpuścił go w maliny i to się liczyło.

- Co się stało z jej matką? - spytała Abigail, choć znała odpowiedź na swe pytanie. Zapewne nie była to odpowiedź wyczerpująca. Tę znał tylko jej ojciec.

Abigail uświadamiała sobie, że całą tę sytuację obserwuje Fletcher z rękoma założonymi na piersiach. Sprawiał wrażenie kogoś, kto zarazem nudzi się i niecierpliwi. Estabrook położył ósmą kulę na stole i popchnął ją lekko:

- Matka Lizzie była Irlandką. Shauna Murrigan Rush. Zmarła w Dublinie, kiedy Lizzie miała siedem miesięcy. Jej śmierć uznano za wypadek - potknęła się - ale kto wie, jak było naprawdę? To straszne, że takie błahe zdarzenia wywierają tak wielki wpływ na nasze życie. Jeden nieostrożny krok na wybrukowanej kocimi łbami ulicy i twoja córka zostaje osierocona.

Abigail kurczowo uchwyciła się krawędzi stołu, starając się zapobiec reakcji wymiotnej. Spytała: - Masz jakieś plany związane z Lizzie? Ona ci pomaga?

- Dowiesz się wszystkiego we właściwym czasie.

Niezależnie od roli, jaką wyznaczał Lizzie, nie uznawał jej za równą sobie. W odróżnieniu od jej ojca. A jak oceniał Simona? Abigail pomyślała, że Estabrook szczególnie rozkoszuje się myślą o zemście na Simonie Cahillu.

Estabrook gwałtownie zwrócił się do Fletchera: - Teraz ty poprowadź tę rozmowę.

- Chciałbym, żebyś stąd wyszedł - powiedział Brytyjczyk.

- Jak sobie życzysz - Estabrook przystał na to z wyczuwalną niechęcią i wyszedł. Fletcher podszedł do Abigail. Przyłożył jej palce do podbródka i obrócił twarz ku światłu.

- Opuchlizna zmaląła - stwierdził.

- Też tak uważam. Gdzie poznaliście się z Estabro-okiem?

- Na herbatce w Buckingham Pałace.

- Z tego co wiem, zwykłeś mówić prawdę. Jesteś człowiekiem praktycznym. Co chcesz przez to osiągnąć?

- Pieniądze.

- Mam dostęp do pieniędzy. Możemy zawrzeć własny układ.

- Źle się czujesz, prawda?

- Zzieleniałam, co?

- Kolor twojej cery przypomina zielony likier Chartreuse.

- To brzydki kolor, ale co robić. Myślę, że ciąża nie jest taka zła - obdarzyła go nieśmiałym uśmiechem. - Marzę o dziecku. Ty masz dzieci? Oczy Fletchera straciły wszelki wyraz, kiedy odpowiadał: - Nie.

Coś się za tym kryło. Jakaś strata, utracona szansa.

- Zostaw tego Normana i w zamian za kasę schroń się bezpiecznie w jakiejś norze, z której wypełznąłeś. Będzie to okup za uwolnienie mnie.

- Pan Estabrook dysponuje setkami milionów dolarów. Ile według ciebie FBI i policja bostońska mogłyby zapłacić za ciebie? Twój narzeczony pochodzi z zamoż-

nej rodziny, ale gdzie jej tam do bogactwa Estabrooka! Wybacz, kochanie, nie wejdę w to, co proponujesz.

- Możemy wziąć pod uwagę zmianę twojej tożsamości. Nikt by cię nigdy nie odnalazł. A zważywszy twą profesję, musisz mieć wrogów co niemiara. Zamiast umykać przed odwetem z ich strony, rozpocząłbyś nowe życie.

- Sam podejmowałem życiowe decyzje.

Abigail przetoczyła żółtą kulę na przeciwległą krawędź stołu, nie potrącając przy tym żadnej innej kuli. Spytała: - A czego chce Estabrook? Fletcher odpowiedział bez chwili wahania: - Chce zabić ludzi, którzy próbowali go zniszczyć.

- To nie takie proste i myślę, że ty o tym dobrze wiesz. A jego nikt nie zamierzał niszczyć. To on łamał prawo. - Odeszła od bilardowego stołu. - W coraz większym stopniu ulegał obsesyjnej chęci przeciwstawienia się zamierzeniom mego ojca, prawda?

- Obawiam się, że nie jestem szczególnie zainteresowany jego motywami.

- On docenia przeciwnika równie silnego jak on sam. Uważa się za niezwykle osobowość i pragnie równie niepospolitych przeciwników - takich jak dyrektor FBI. Mam rację?

Fletcher sięgnął po kij bilardowy i przypatrywał się rozlokowaniu kul na stole. Abigail ciągnęła swój wywód: - Z pewnością nie jesteś głupi. Każdy podejmujący się tak ryzykownych zadań pragnie odpowiednio wysokiej zapłaty.

- Sugerujesz, że ty byś czegoś takiego nie oczekiwała?

Z całą pewnością, przytaknęła mu w myślach, ale odpowiedziała: - Nie powinienesz mnie słuchać.

Pochylił się nad kulami rozproszonymi po całej powierzchni stołu. - Chcesz mnie ustrzelić i wyrzucić trupa za burtę, prawda, kochanie? Ale nie mogę mieć ci tego za złe.

- Nie wyrzuciłabym cię za burtę. Wystawiłabym twe ciało na cały ocean pocisków wycelowanych w twym kierunku. Także przez Normana. -

Przeszła na drugi koniec stołu, przypatrując się, jak Fletcher wymierza uderzenie w czerwoną kulę. - Znów usłyszałam małą łódź, jak dobija do naszej burty, a potem odplywa. Czy porwaliście jeszcze kogoś?

Uderzył i dwie kule wpadły w otwór w stole. Ale nie odpowiedział na jej pytanie.

- Czy na pokładzie znalazła się Lizzie Rush? - spytała. - Czy też płyniemy do jakiegoś miejsca, gdzie mamy się z nią spotkać? Na przykład w Maine? Estabrook wspominał o domu, który miała jej babcia na tamtejszym wybrzeżu.

Fletcher obszedł stół dokoła i stanął przy Abigail, przymierzając się do kolejnego uderzenia. Stwierdził: - Wiesz o Lizzie Rush znacznie więcej niż to, do czego się przyznałaś panu Estabrookowi.

- Nie tak znów wiele. Simon Cahill poznał Estabrooka w hotelu Rushów w Bostonie tego lata, na spotkaniu sponsorów Fast Rescue. Mój narzeczony jest założycielem i dyrektorem tej organizacji. Ale ty przecież wiesz o tym dobrze.

Fletcher pochylił się nad stołem jeszcze głębiej i uderzył zdecydowanie i celnie. - Dobrze, że przynajmniej w tej kwestii nie kłamiesz.

- Nie należę do tych, którzy muszą coś ukrywać. Na przykład porwanie funkcjonariusza policji. - Poczwała narastające mdłości. - A więc nie powiesz mi, co Estabrook zamierza ze mną zrobić?

- Ma jakiś zamiar. To nie ulega wątpliwości.
- Nie wyczuwam w twym głosie entuzjazmu. - Odsunęła się od stołu, umożliwiając mu zajęcie pozycji dogodnej do kolejnego uderzenia. - Ten jego pomysł niezbyt ci się podoba, co? Ty jesteś profesjonalistą, a Estabrook tylko błyskotliwym, narcystycznie usposobionym, oszalałym amatorem. On nie liczy się z realiami, prawda?
- Być może powinnaś zwymiotować i uwolnić się od tego przykrego balastu.

Zbyła tę uwagę milczeniem, ale w chwilę potem zagadnęła: - Gdyby to od ciebie zależało, co byś ze mną zrobił? Wpakował mi kulę w łeb czy wyrzucił za burtę?

- Nie przyniosłoby to mi żadnego pożytku, kochanie - ani jedno, ani drugie. - Po tych słowach wbił kolejną bilę w dołek. - Czy to, że tyle mówisz, powstrzymuje ci wymioty?

Niemal się uśmiechnęła.

- Dopóki to mi się udaje.

Przebiegł wzrokiem pozostałe na stole bile i nie patrząc na nią, powiedział: - Jest pewien sposób na to, żebyś mi pomogła. A jeśli ty pomożesz mnie, ja we właściwej chwili pomogę tobie.

- Cóż mogę dla ciebie zrobić? Przymierzał się do kolejnego uderzenia.
- Możesz mi opowiedzieć, co wiesz o Willu Daven-porcie.

To ją zaskoczyło: - To twój przyjaciel?

- Był nim przed laty.

Abigail rozważyła w myślach splot sytuacyjny i uznała, że wyznanie prawdy pociąga za sobą niewielkie ryzyko. - Jestem przekonana, że wiem o nim mniej niż ty. Will Davenport przyjaźnił się z Simonem, zanim



Simon związał się z Fast Rescue. Nigdy Davenporta nie poznałam, ale jak mi wiadomo, jest bogatym arystokratą brytyjskim, był też oficerem armii brytyjskiej. Nie znam szczegółów, ale podejrzewam, że oni obaj, Simon i Will, nie spotykali się po to, by popijać herbatę i zagryzać ją kruchymi ciasteczkami.

- Zgadzasz się z tobą całkowicie.

- Simon działał w służbach antyterrorystycznych, zanim zaczął rozpracowywać Estabrooka. Domyślałam się, że w podobny sposób rozgryzał powiązania przemytników narkotyków. A co ty masz z tym wspólnego, Fletcher? Skąd znasz Davenporta?

Uderzył w bilę w milczeniu.

- Działałaś po właściwej stronie?

- Współdziałałam z nią. Ale nie przynależałam do niej.

Gwałtownym uderzeniem rozproszył bile po całym stole.

Abigail snuła dalej swe dociekania: - Davenport, z własnej woli, pomógł nam tego lata w unieszkodliwieniu irlandzkiej końcówki sieci, z którą związany był pewien seryjny morderca.

- A czy po tym Will nie udał się do Bostonu?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Wierzę ci. A teraz - znowu obszedł stół dokoła, nie zmieniając tonu głosu - opowiedz mi o Fionie O'Reilly.

Wciągał Abigail w swego rodzaju zeznania. Rozumiała dobrze, że czynił to świadomie, ale nie mogła się powstrzymać. W pamięci odżywały jej wydarzenia dnia poprzedniego, odradzał się w niej dojmujący lęk o Fionę. Targnęły ją wymiotne konwulsje. Fletcher wprowadził ją, a właściwie niemal wniósł do łazienki, ustawił naprzeciw sedesu i wyszedł. Zwymiotowała wszystko,

co się w niej kotłowało, po czym przez kilka minut dochodziła do siebie. Przypatrywała się w lustrze swej twarzy, łzawiącym oczom, trzęsącym się dłońmi. Przemyła zimną wodą twarz i ręce, poprawiła fryzurę i wyszeptała: - Owenie, proszę, dodaj mi sił. Tak bardzo cię kocham.

Kiedy wyszła z łazienki, Fletcher stał już przy drzwiach. Powiedział: - Muszę wyjść na chwilę. Porozmawiamy później. Pozwolę ci trochę pospać.

Kiedy została sama, ułożyła się na pokrytej wykładziną podłodze, równolegle do stołu bilardowego i zamknęła oczy. Odliczała od jednego do ośmiu wdechy i wydechy, nie zważając na łzy spływające na podłogę.

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY**

*Boston, stan Massachusetts 4:15 po południu czasu lokalnego 26 sierpnia*

Wchodząc do hotelu Whitcomb przy Charles Street ze swą harfą w miękkim pokrowcu zawieszoną na ramieniu, Fiona O'Reilly zobaczyła w lobby Jeremiaha Rusha i odprężyła się na jego widok. Hotel był tak elegancki, a Jeremiah tak przystojny...

Odprężenie ze wszech miar jej się należało. Zdjęła harfę z ramienia. Była dumna z siebie, że odważyła się odwiedzić Scoopa. Nie była to wizyta łatwa dla niej, ale się na nią zdobyła. Odmowa przyjęcia policyjnej ochrony nie przyprawiła jej o lęk. Wprost przeciwnie, przebywanie w nieustannej asyście ochroniarzy bardziej by ją kępowało. Czowała się pewniej, będąc zdana na siebie.

Przywitała się z Jeremiahem: - Przyszłam trochę wcześniej. Mam nadzieję, że nie sprawię ci kłopotu.

- Oczywiście, że nie.

Wstał zza potężnego biurka, spadku po przodkach

Whitcombach, i podszedł do niej: - Słyszałem o wczorajszym pożarze w mieszkaniu twego ojca. Jak się wszyscy miewacie? Z tobą wszystko w porządku? Czy byłaś tam wtedy?

- Byłam, ale nic mi się nie stało. To było przerażające. W nocy nie spałam zbyt dobrze, a przez większość dnia ćwiczyłam. To zawsze pomaga. Pracowałam nad koncertem Mozarta na flet i harfę. - Uśmiechnęła się do Jeremiaha i dodała uspokajająco: - Oczywiście przećwiczyłam też kilka irlandzkich melodii.

Zmarszczył brwi. Miał na sobie jasne ubranie, bez najmniejszego zagniecenia. Pracował w hotelowej recepcji, ale miał także mnóstwo innych zajęć. W zeszłym tygodniu widziała, jak czyścił hall odkurzaczem.

- Miałaś szczęście - powiedział. - Oglądałem wiadomości, pokazywano ciężko rannego policjanta...

- Tak, Scoopa - potwierdziła. - Jego prawdziwe nazwisko jest inne: Cyrus Wisdom. Dziś czuje się już dużo lepiej. Nie chciałabym rozmawiać o pożarze, skoro nadal toczy się śledztwo. - Tak jej doradzał Lucas Jones. A o Abigail w ogóle zabronił mówić. Uśmiechnęła się ponownie: - Przyszłam tu po to, żeby się całkowicie od tamtego oderwać, choćby na chwilę.

- Powiedz nam, w czym możemy ci pomóc.

- Dzięki. - I zmieniła temat: - Myślę, że zajmę się planowaniem szczegółów naszej wyprawy do Irlandii.

- Jest tam teraz mój brat Justin - poinformował ją Jeremiah, zasiadając na powrót za biurkiem. - Jest recepcjonistą w naszym dublińskim hotelu. Czuje się w tej roli jak ryba w wodzie. Mógłbym przysiąc, że pełniłby tę funkcję do końca życia, gdyby mu na to pozwolił jego ojciec. Matce to obojętne. Dla niej najważniejsze jest to, by on był szczęśliwy.

Matka Fiony zawiadomiła tego ranka córki, że chce, by były bezpieczne. Szczęście jest rzeczą miłą, pomyślała Fiona i nagle odczuła smutek. Jeremiaś otworzył szufladę biurka i wyjął całe naręczce przewodników po Irlandii. Powiedział: - Zbierałem je dla ciebie. O, a tu jest broszura o naszym hotelu w Dublinie.

- Czy tam się pije herbatę w dzień wigilijny?

- Z pewnością tak.

Podszedł do Fiony i spytał z troską w głosie: - Czy na pewno dobrze się czujesz? Wyglądasz trochę...

- Wszystko ze mną w porządku - niemal wykrzyknęła, czując wzbierający w niej płacz. Przetarła wilgotniejące oczy i spróbowała się uśmiechnąć.

- Czy twój brat w Dublinie jest miły?

- On myśli, że jest taki.

Fiona się roześmiała, co spowodowało, że do oczu napłynęła jej nowa porcja łez, podziękowała Jeremiaśowi i zaczęła schodzić do pubu Morrigan w suterenie. Okna wychodziły na Charles Street. Zobaczyła przez nie spacerujące po chodniku dziecko; pomachała mu dłonią, ono odpowiedziało jej kiwnięciem rączki. Od razu poczuła się lepiej.

Jej zespół dał w ciągu lata sześć występów w tym pubie. Ojciec nie wiedział o tym. Fiona obawiała się, że sprzeciwiłby się tym występom: Wiedział o nich natomiast Scoop, a teraz Abigail, ale oboje prosiła o zachowanie ich w tajemnicy przed Bobem.

Zasiadła pod oknem nad otrzymanymi od Jeremiaśa broszurami. Nie wiedziała, kto spośród członków zespołu weźmie udział w dzisiejszym koncercie, ale nie miało to znaczenia. Każdy muzyk grał na kilku instrumentach, co pozwalało dość swobodnie układać repertuar. Szefowie pubu bardzo lubili ich występy.

Otworzyła jeden z przewodników na stronie ukazującej wiejską drogę w Irlandii, co przywiodło jej na pamięć malarstwo jej kuzynki Keiry. Fiona słyszała o czymś strasznym, co spotkało Keirę ostatnio, ale uspokojono ją zapewnieniem, że kuzynka jest już bezpieczna.

Keira entuzjasmowała się równie mocno jak Fiona planowaną na Gwiazdkę wyprawą do Irlandii. Pragnęła wprowadzić Fionę do irlandzkich pubów, gdzie słuchałyby muzyki irlandzkiej na żywo.

- Będiesz mogła włączyć się w ich występy, ojciec i Simon będą mogli zaśpiewać - rozrzewniła się. Ciotka Fiony, Eileen, przyjechała do domu, przerywając studia w Irlandii, kiedy zaszła w ciążę, po czym urodziła Keirę. Przeżyła ona jakąś tajemniczą przygodę w tych samych ruinach, w których Keira po latach napotkała celtyckiego kamiennego anioła. Anioł zniknął, ale Fiona była pewna, że jej kuzynka naprawdę go widziała. I była też przekonana, że zdarzyło się wtedy coś, co się miało zdarzyć.

Właśnie dopijała szklanek coli, kiedy jakiś nieznajomy mężczyzna podszedł do podium, na którym złożyła swą harfę, i wskazując dłonią ten instrument, powiedział z angielskim akcentem:

- Wygląda jak anielska harfa.

Kiedy mu odpowiadała, przypomniał jej się kamienny anioł: - Są różne rodzaje harf.

- A pani umie grać na harfie każdego rodzaju, panno O'Reilly? - spytał. Niemal zamarła z wrażenia. Mężczyzna przysunął do niej swe krzesło i usiadł.

- Wszystko w porządku, kochanie. Jestem ci przyjazny.

- Nigdy pana nie widziałam. Będę krzyczeć, jeśli pan cokolwiek spróbuje...

Uśmiechnął się. - Krzycz sobie głośno, kochanie. Jak ci poszły ćwiczenia w domu Garrisonów?

- Jak... Skąd...

- To idealny dzień na spacer, nieprawdaż?

Fiona postanowiła zachować kamienny spokój. Zaczęła oglądać plakat ze świetlicie namalowanymi drzwiami georgiańskimi. Wciągnęła je już uprzednio na listę obiektów godnych obejrzenia w Dublinie.

- Łyknij sobie drinka - powiedział Brytyjczyk.

- Ja nie mam jeszcze dwudziestu jeden lat.

W pubie przebywało kilka osób, Jeremiaś dyżurował też przy schodach. Fiona utwierdzała się w przekonaniu, że nie jest osamotniona. Zaczęła przypatrywać się swemu rozmówcy.

- Szedł pan za mną? - spytała.

- Tak, kochanie. Mogę podążać za tobą zawsze i wszędzie, kiedy i gdzie zechcę. I nie będziesz wiedziała, czy idę za tobą, czy nie. Kiedy po raz ostatni widziałaś Simona Cahilla?

- Dlaczego chce pan to wiedzieć?

- To mój stary przyjaciel.

- Nie wierzę panu. Czy ma pan coś wspólnego z pożarem w domu, w którym mieszka mój ojciec?

Żrenice mu się zwężyły, kiedy przypomniał: - Zadałem ci pytanie.

Czekam na odpowiedź, kochanie.

Chciała, by jej głos brzmiał zdecydowanie i mocno, ale zorientowała się, że brzmi słabo, odsłania jej lęk. Wzmocniła go więc: - Było to po wybuchu pożaru. Późno. Wtedy po raz ostatni widziałam Simona.

Brytyjczyk zdawał się przenikać ją wzrokiem na wylot. - Mówisz prawdę

- stwierdził z satysfakcją. - To rozsądne. A co masz do powiedzenia o dyrektorze Marchu?

- Tylko mignął mi przed oczami. Nie rozmawiałam z nim.

- A twoja przyjaciółka Lizzie Rush?

- Ona nie jest... ledwie ją znam.

- Kiedy ją widziałaś, kochanie?

Nie chciała mu powiedzieć już ani słowa.

- Mogę spytać kogoś innego. Jej kuzyna tam, na górze...

- Nie, nie pytaj - przerwała mu Fiona. - Zostaw Jeremiaha w spokoju.

Lizzie widziałam parę dni temu. Nie pamiętam dokładnie kiedy.

- Tutaj?

- Tak. - Wzięła głęboki oddech i dodała: - Nie mam pojęcia, gdzie ona może być teraz. Moi przyjaciele i ja mamy tu występy od czasu do czasu.

Nie znam Rushów bliżej, naprawdę.

Brytyjczyk się uśmiechnął: - Lubisz muzykę irlandzką? To dobrze, panno O'Reilly. Mam dla pani inne zadanie. - Spojrzał przez okno. - Chcę, żeby pani wróciła do domu Garrisonów. Nie dzwoniąc do nikogo. Nikomu nic nie mówiąc. Czy pani rozumie?

Fiona potwierdziła skinieniem głowy, serce biło jej jak młotem.

- Jest tam taka aleja, po drugiej stronie ulicy, zanim się dojdzie do domu. Proszę w nią nie wchodzić. Proszę się zatrzymać i zatelefonować do ojca i powiedzieć mu, by tam przyszedł i coś obejrzał. Zrobisz to dla mnie, kochanie?

- Tak.

Walcz o ocalenie. Tego nauczył ją ojciec. Uczył też, by nie przechodziła z jednego miejsca przestępstwa w drugie. „To się nigdy nie udaje - tłumaczył - użyj swego lęku za przewodnika. To ci pomoże”.



Brytyjczyk wyciągnął dłoń ku jej twarzy i uniósł jej brodę kciukiem tak, by móc jej patrzeć prosto w oczy.

- Pewien człowiek jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Tylko ty zdążysz mu z pomocą na czas.

- Kto to jest?

Nie odpowiedział. Ale zakomunikował: - Kiedy będziesz rozmawiała z ojcem, zawiadom go, że Abigail jest żywa i cała. I to zrobisz dla mnie, prawda, kochanie?

- Abigail... - wyszeptała. - Gdzie...

Dotknął jej brody palcem: - Nie pokpij sprawy. Słuchaj, co ci mówię, i rób, co każe. Powiedz ojcu, że on i jego przyjaciele - stróże prawa - mają śmiertelnie groźnego i obdarzonego bogatą wyobraźnią wroga.

- Pana.

- Ja nie jestem niczym wrogiem. Ani niczym przyjacielem. - Rozsiadł się znów na krześle, jego wzrok nabrał zdecydowania. - Zapamiętasz wszystko, co ci powiedziałem?

- Tak. Tak, zapamiętam.

- No to ruszaj. Nie próbuj mnie śledzić. Nikogo na mnie nie nasyłaj. - Znów spojrzał przez okno na ulicę. - Lizzie Rush wkrótce przyleci z Irlandii. Jeśli się z nią spotkasz, możesz ją wziąć ze sobą.

- Skąd pan wie, że ona...

- Byłabyś zaskoczona, gdybyś się dowiedziała, ile wiem.

- Wczoraj pana nie widziałam. Nikt pana nie widział.

- Wiem. Teraz już mnie widziałaś, ale wszystko jest w porządku. Nie pojawiłem się tu, by cię krzywdzić. Bardzo sobie cenię irlandzką muzykę. Ma szczególny urok, prawda? Nawet dla tak zatwardziałego londyń-czyka, jak ja.

- Czego pan chce od Abigail?

209

- Niczego. Jestem dla niej jedyną nadzieją. Muszę się już stąd zabierać. Jeśli w czymkolwiek sprzeciwisz się moim poleceniom, ona umrze jeszcze przed zapadnięciem nocy. Masz zachować spokój i wypełnić wszystko, o co cię prosiłem.

Brytyjczyk wstał i wyciągnął do niej dłoń: - Zerwij się na nogi, kiedy doliczę do trzech. Polegaj na mnie. Pomoże ci się to skupić. Jeden. Dwa. Trzy.

Wstała bez jego pomocy. Czy powinna krzyknąć, wzywać pomocy? Uderzyć go? Jeśli miałby wskutek tego umrzeć człowiek... Podniosła dumnie brodę: - Moje siostry pozostają pod opieką policji.

Uśmiechnął się: - Ty też będziesz z niej teraz korzystała. Aleja. Twój ojciec. Abigail. Zapamiętałaś?

- Dlaczego pan to robi?

- Ważne jest, by nie pozostawiać niedokończonych spraw.

Fiona wstrzymała oddech, kiedy szedł po schodach i wychodził na Charles Street.

Pod hotel podjechała taksówka, wysiadła z niej drobna, czarnowłosa kobieta. Lizzie Rush. Tak jak została zapowiedziana.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

*Boston, Massachusetts*

*5:35 po południu czasu lokalnego*

*26 sierpnia*

Lizzie skierowała kroki ku lobby hotelu Whitcomb, dochodząc jednocześnie do wewnętrznej równowagi, co było zawsze konieczne po przelocie przez Atlantyk wydłużającym przecież dobę - od Dublina dzieliła ją pięciogodzinna różnica czasu. Nie umiała też odgadnąć, o ile wyprzedziła Willa; zapewne niedużo - zaraz po wylądowaniu odczytała e-mail od Justina: *Brit w drodze do Bostonu twoim śladem.*

Justin nie lubił trwonić słów.

Spędzenie nocy w jednym apartamencie z agentem wywiadu brytyjskiego było oczywiście czymś zupełnie innym od umykania przed nim, ale w Bostonie Lizzie miała nad swym tropicielem zdecydowaną przewagę. Znała to miasto dobrze, miała tu rodzinę, Will nie miał tu nikogo. Grając z samą sobą w brydża przy składanym stoliku w samolocie, analizowała dokładnie sytuację

216

Davenporta. W jaki sposób potrafił się włączać w toczące się właśnie sprawy i gdzie się znajduje w tej chwili? Czy wpadł w jakieś tarapaty? *Każdy* ma kłopoty - wymruczała sobie pod nosem ulubione powiedzonko swego ojca, krocząc przez rozległe lobby. Z olejnego portretu zawieszzonego na honorowym miejscu nad marmurowym kominkiem przypatrywał jej się protoplasta rodu, Sam Whitcomb, szeregowy strażak pożarny w dobie rewolucji amerykańskiej. Henrietta planowała zawieszenie na tym miejscu jednego z obrazów Keiry Sullivan. Podeszła do siedzącego w recepcji Jeremiaha, uśmiechnęła się do niego i zakomunikowała: - Skróciłam swój pobyt w Irlandii.

- Justin już mnie o tym uprzedził - powiedział Jeremiah. - Lizzie, co się właściwie dzieje? Nigdy jeszcze nie widziałem na ulicach takiego roju policjantów.

- Zauważyłam ich. A czy wiesz, dlaczego się tak wyroili?

- Skądże! Jest tu Fiona O'Reilly. Policjanci wypytyują o szczegóły pożaru w domu jej ojca i ewakuacji z domu Garrisonów. Twój znajomy Norman Estabrook zniknął. Słyszałaś o tym, prawda?

- Tak, ale nie mam z nim kontaktu.

- FBI cię nie indagowało?

Lizzie potrząsnęła głową przecząco. Nie widziała powodu, by informować kuzyna o tym, że sama rozmawiała telefonicznie z Marchem.

Dodała natomiast:

- Nie rozmawiałam z Normanem od czasu jego aresztowania.

Jeremiah nie wydawał się o tym w pełni przekonany:

- Ale wróciłaś na wiadomość, że w Bostonie przebywają

Simon Cahill i dyrektor FBI, March. Nie zaprzeczysz, Lizzie...

Żrenice zwięzły mu się z przejęcia. Jeremiaś był spośród wszystkich jej kuzynów najbardziej zainteresowany tym, co zaszło między Marchem a jej matką. Lizzie nie podjęła jego domniemań: - Nie mam nic wspólnego z prawnymi kłopotami Normana, Jeremiahu. Wolałabym nie mieć z nim w ogóle nic wspólnego.

- Nie posądzam cię o nic. Wyobrażam sobie, że większość jego znajomych patrzy na tę sprawę tak jak ty. Co zamierzasz zrobić?

- Wsiąść w samochód i pojechać do Maine. Powzięła taki zamiar jeszcze w samolocie. Obmyślała

sposób, w jaki mogłaby pomóc w odnalezieniu Normana i wyplątaniu rodziny ze spowodowanego przezeń galimatiasu. John March mógł jej dać trochę czasu, ale jeśli Scoop Wisdom opowiedział o niej kolegom z bostońskiej policji, oni mogli już się za nią rozglądać. Uznała, że najwłaściwiej będzie podtrzymywać swą oficjalną wersję wypadu do Irlandii i zachowywać się normalnie - jak ktoś, kto nie ma nic do ukrycia.

Zrezygnowała z przemaszerowania Szlakiem Beary po epizodzie z napadem nożownika na Keirę, a teraz wraca do swego domu w Maine.

Niezależnie od tego, czy Norman uważają za sprzymierzeńca -

mniemając, iż ona nienawidzi Johna Marcha równie głęboko jak on -

Lizzie przypuszczała, że spodziewa się, iż ona przyjedzie do Maine.

Jeremiaś dotknął jej ramienia, patrząc w głąb lobby. Powiedział nagle: -

Fiono...

Lizzie odwróciła się i ujrzała Fionę O'Reilly, która wyłaniała się właśnie ze schodów wiodących do pubu Morrigan, blada i z trudem łapiąca oddech. Przez chwilę

wpatrywała się w Lizzie, zatrzymując się u szczytu schodów, po czym wyszła na Charles Street.

- Coś się tam musiało stać - powiedział Jeremiaś.

- Jakiś czas temu schodził do pubu mężczyzna, którego tu nigdy nie widziałem. Ale już wyszedł, przed chwilą.

- Jak wyglądał? - spytała Lizzie.

- Miał kasztanowej barwy włosy, szybki, zwinny

- nie chciałbym, żeby się wdał w jakąś bójkę w naszym pubie.

Lizzie przeniknął nagły chłód - taki, jakiego doznała, przepytując Michaela Murphy'ego: - Czy wyglądał na Brytyjczyka?

- Nie słyszałem, jak mówi, Lizzie, ale chyba nie myślisz o lordzie Davenporcie?

Zaprzeczyła ruchem głowy: - Po pierwsze, Will jest blondynem. Zarządź alarm służbie hotelowej. Ja dołączę do Fiony.

Jeremiaś zapytał wyraźnie przejęty: - A może zawiadomić policję? Ojca Fiony...

- Tak. Zadzwoń do porucznika O'Reilly'ego i powiedz, że coś się przydarzyło jego córce.

Lizzie myślała szybko. Nie chciała utrzymywać Jeremiaśa w nieświadomości. - Winna ci jestem różne wyjaśnienia, ale teraz muszę się zająć Fioną. Zatrzymaj ją tutaj, jeśli się pojawiła.

- To ja powinienem za nią pójść.

Lizzie się uśmiechnęła. - To mnie, a nie ciebie mój ojciec uczył sztuki walki. - Po tych słowach uśmiech zgasł na jej twarzy. Dodała: - Gdyby ten człowiek, który szukał Fiony, znów snuł się tutaj, nie wchodzić mu w drogę, w ogóle unikaj wszelkiego z nim kontaktu. On jest bardzo niebezpieczny.

- Kto to taki?

- Bo ja wiem? Angielski szpieg czy coś w tym rodzaju.  
Oczy Jeremiaha zaokrągliły się ze zdziwienia: - Myślisz, że to szpieg?  
- Tak, ale szczególnego rodzaju.

Poczucie humoru wzięło w niej górę nad napięciem, co pozwoliło jej odzyskać energię. Żałując, że ma na sobie płaskie pantofelki zamiast mocnych butów turystycznych, w których paradowała wczoraj, Lizzie niemal wybiegła na Charles Street i zaczęła się przedzierać przez rzeszę studentów w stronę Beacon Street. Dostrzegła Fionę zmierzającą w stronę domu Garrisonów. Dobiegając do niej, krzyknęła: - Fiona, poczekaj...  
Ta nie zwolniła kroku, rzuciła przez ramię za siebie:

- Muszę się spieszyć.  
- Dlaczego? Jeremiah mi opowiedział - wydyszała  
- że przed chwilą rozmawiał z tobą pewien mężczyzna.  
- Próbowала uspokoić głos. Spytała: - Co ci powiedział?  
- Czyś ty go widziała? On myśli, że jesteśmy przyjaciółkami.

Powiedziałam, że cię dopiero co poznałam. Bo to przecież prawda.  
Zakazał mi, żebym go tropiła.

- Nagle zwolniła kroku, wyraźnie przerażona. - Nie próbowałaś go śledzić  
- nie posłałaś za nim Jeremiaha...  
- Nikt go nie tropi.

- On wiedział, że masz wkrótce wrócić. Powiedział mi, że pewien człowiek jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie, a ja mam dojść do alei obok domu Garrisonów i... i... - Przerwała dla zaczerpnięcia oddechu i po chwili dokończyła: ... i wtedy mam zadzwonić do ojca.

- Czy ten człowiek ci groził?

- Twierdził, że życie Abigail zależy od tego, czy będę z nim współpracowała. Tam jakiś człowiek umiera. A jeśli to ktoś, kogo znam - jeden z detektywów ojca,

któryś z moich znajomych? My ćwiczymy grę w domu Garrisonów. My...  
- Nie zapędzaj się w domniemania - przerwała jej Lizzie. - Zastanówmy się nad tym, co mamy zrobić.

Fiona opanowała się pod wpływem Lizzie: - On powiedział, że możesz iść ze mną.

- No to chodźmy razem.

Fiona wskazała jej drogę i obie, ciężko dysząc, wspinały się na Beacon Hill. Fiona zatrzymała się przy wąskiej alejce wiodącej pomiędzy dwoma eleganckimi willami.

- To musi być tu - orzekła Fiona. Trzymała w ręce telefon komórkowy. - On powiedział, żebym zadzwoniła do ojca i żebym nie wchodziła w tę alejkę.

Lizzie postąpiła kilka kroków w głąb tej alejki, mówiąc: - Ale nie mówił, że ja nie mogę nią pójść, prawda?

Fiona potrząsnęła głową przecząco, wybierając na swej komórce numer telefonu ojca. Lizzie powiedziała: - Ja pozostanę w zasięgu twojego wzroku. Fiona, nie zostawię cię losowi.

- W porządku.

Lizzie ruszyła w głąb alejki, kończącej się ślepo przed żelaznym płotem. Spodziewała się usłyszeć jęki, chrapliwe oddechy, płacz, wzywanie pomocy. Ale panowała zupełna cisza. Obejrzała się za siebie i zobaczyła Fionę, całkiem już zebraną w sobie i rozmawiającą przez telefon. Przeszła jeszcze kilka kroków i zobaczyła samochód zaparkowany równolegle do płotu. Obeszła go dokoła, obejrzała puste donice na kwiaty. Odgłosy z Beacon Street ścichły za dwiema okazałymi budowlami.

Usłyszała natomiast bzyczenie much. Zatrzymała się, oparła ręką o maskę auta, chłodną w cieniu, pochyliła się i zobaczyła leżącego na ziemi mężczyznę, zwróconego



twarzą ku żelaznemu ogrodzeniu. Nawet z odległości paru metrów dostrzegła, że jest martwy.

Fiona zakończyła rozmowę i zaczęła iść w stronę Lizzie. Ta ją powstrzymała: - Stój! Nie ma potrzeby, żebyś to oglądała.

Ale Fiona zasłoniła usta dłonią i nie zatrzymała się. Zdając sobie sprawę z tego, że znajduje się w miejscu, gdzie popełniono zbrodnię, Lizzie podeszła do martwego mężczyzny. Chciała się upewnić, czy się nie myliła i czy on rzeczywiście nie żyje.

Nie, nie myliła się. Pocisk ugodził go w lewą skroń. Był w średnim wieku, lekko otyły, miał na sobie ciemną koszulkę polo i czarne spodnie. Na prawym przedramieniu miał bliznę, jakby go ktoś mocno zadrapał.

Fiona spytała: - Czy on... jest...

- Jest martwy - odpowiedziała Lizzie.

Fiona odjęła dłoń od ust, zatrzymała się cała drżąca. Wbiła w trupa spojrzenie swych niebieskich oczu.

Lizzie czuła, jak wali jej serce, kiedy zagadnęła Fionę: - Czy znasz tego kogoś?

- Nie... to znaczy nie znam jego nazwiska. My nigdy... - Odwróciła się, zmierzając na powrót ku Beacon Street. - Spostrzegłam go na ulicy wczoraj rano, kiedy dotarłam do domu Garrisonów. Nadchodził z przeciwległej strony ulicy. Nie rozmawiałam z nim.

- Czy szedł sam?

Fiona potaknęła skinieniem głowy: - Powiedział do mnie: „hi!”. On... - zamilkła, jakby starając się dokładnie odtworzyć w pamięci tę sytuację. - Miał ze sobą torbę posłańca. Pamiętam, że pomyślałam, że musi być bardzo ciężka. Ona... on...

- Nie mogłaś przewidzieć, co się stanie - stwierdziła spokojnym tonem Lizzie.

- On z pewnością miał w tej torbie bombę. Mogłam go powstrzymać. Gdyby nie ostrzeżono Owena, bomba mogła wybuchnąć.

Zamilkła nagle, wpatrując się w Lizzie. I dodała:

- Wcale nie miałam tego powiedzieć. O tej bombie.

- W porządku - orzekła Lizzie. - Już sama się tego domyśliłam.

- Ten mężczyzna... Brytyjczyk... on...

Fiona zerwała się nagle do biegu w kierunku ulicy. Lizzie ruszyła za nią, w pewnej chwili zobaczyła, że pojawił się Davenport i schwycił Fionę.

Objął ją ramieniem, Fiona zasłoniła sobie obiema dłońmi usta, by stłumić wyrywający się z jej piersi krzyk.

- Już jesteś bezpieczna - starał się ją uspokoić. Fiona cofnęła się o krok, Will wypuścił ją ze swych objęć. Dyszała ciężko.

- Ten mężczyzna, który... On miał brytyjski akcent... Pomyślałam, że to akcent angielski... On powiedział, że ja... że mój ojciec zjawi się tu lada chwila.

Lizzie rozumiała przerażenie Fiony i starała się ją uspokoić: - To jest Will Davenport. Przyjaciel Simona Cahilla.

- Przepraszam, że cię przestraszyłem - odezwał się Will uprzejmym tonem.

- Tam, na końcu alejki, leży zastrzelony mężczyzna

- powiedziała Lizzie. Usłyszała syreny radiowozów. Nadjeżdżała policja.

- Brytyjczyk, na którego ja natknęłam się w Las Vegas, a Eddie O'Shea w swym pubie, przebywa w Bostonie. To on nakłonił Fionę, by się udała w to miejsce. I wiedział, że wracam z Irlandii. - Rzuciła w tym momencie wymowne spojrzenie Willowi: - Czy mu coś o tym powiedziałaś?

- Nie, Lizzie. - Nie wyglądał na utrudzonego podróżą, wyczuwało się, że dokładnie panuje nad głosem i utrzymuje wewnętrzny dystans. - Powiedziałem ci dziś rano, że od dwóch lat uważam Mylesa za nieżyjącego.

- Nie okłamałeś mnie więc?

- Nie, nie okłamałem.

- To kim on w końcu jest? Ten Myles?

- Przed chwilą się przekonałaś, kim jest. - Wzrok mu stwardniał przy tych słowach. - Myles Fletcher jest mordercą.

Fiona wsłuchana w jego słowa wydała okrzyk pełen przerażenia, ale nie ruszyła się z miejsca.

Lizzie spojrzała w głąb alejki. - Tak - potwierdziła rzeczowym tonem - przekonałam się sama. Czy będziesz go tropił?

Fiona ścisnęła obiema rękami dłoń Willa: - Nie, nie możesz go tropić! On powiedział... powiedział, że tego nie wolno robić. Powiedział, że jest dla Abigail jedyną nadzieją. - Była bliska hysterii. - Proszę! Nie róbcie tego!

- Dobrze, w porządku. - Will łagodnie oswobodził swą pięść z jej uścisku.

- Nie będę go śledził.

Lizzie odczuła nagły przypływ zmęczenia długim lotem, kilkugodzinną beczynnością w samolocie, w którym mogła jedynie grać z samą sobą w brydża i rozmyślać. Zwróciła się do Willa: - Skoro teraz Myles Fletcher się ujawnił, mam nadzieję, że ty i twoje MI6 oraz SAS zechcecie pojąć, do czego on jest zdolny.

Will zignorował jej słowa i spytał Fionę: - Ile czasu minęło od twojej rozmowy z tym człowiekiem?

- Kilkanaście minut. Dziesięć, piętnaście... Ale proszę, nie możesz...

224

- Postąpię, jak sobie życzysz, i nie ruszę jego śladem. Zaczekamy tu wszyscy na twojego ojca.

- On zwracał się do mnie per „kochanie” - wyszeptała Fiona.

Will przymknął powieki, ale Lizzie zdążyła dostrzec w jego oczach cień bólu. Ujęła ją jego uprzejmość wobec Fiony, ale sama miała pełną możliwość działania. Oznajmiła: - Ja nie byłam obecna przy żadnym wydarzeniu.

Ponownie spojrzała w głąb alejki, jakby dopuszczała możliwość, że zastrzelony wstanie z ziemi, podejdzie do nich i powie, że to była śmierć zainscenizowana. W gruncie rzeczy jednak miała pewność, że to prawdziwe morderstwo. Dodała: - Nie widzę żadnego powodu, dla którego miałabym tu tkwić nadal i czekać na pogawędkę z policją. Nikomu w ten sposób w niczym nie pomogę.

Will zrazu nie zareagował na jej słowa, ona jednak nadal na jakąś jego wypowiedź czekała. W końcu się odezwał: - Pracujesz dla Johna Marcha. Przetarła wierzchem dłoni jego twardo napięty podbródek. Dowodził, że Will nie jest łagodnym księciem z baśni. - Łap mnie! - powiedziała żartobliwym tonem, po czym łagodniej wytłumaczyła się Fionie: - Muszę się zbierać. Jesteś tu bezpieczna przy Willu.

Odgłos policyjnych syren nasilał się. Lizzie przeszła na drugą stronę ulicy, Will za nią nie poszedł. Minęła eleganckie domy przy Beacon Hill otoczone żelaznymi parkanami i tonące w powodzi letniego kwiecia. Doszła do Charles Street i - powstrzymując napływające do oczu łzy - weszła do hotelu Whitcomb. Bez słowa przeszła przez lobby, minęła biurko Jeremiaha i zeszła po stopniach do tylnego wyjścia.

Kuzyn dobiegł do niej, zanim zdążyła otworzyć

drzwi. Za przykładem Whita i Harlana oraz starszych braci potrafił w trudnych chwilach zachować zimną krew. Spytał: - Lizzie, dokąd się udajesz?

Zrozumiała, że musi mu przedstawić choćby podstawowe fakty. Tyle mu przecież zawdzięcza!

- Fiona i ja znalazłyśmy martwego, zastrzelonego mężczyznę nieopodal domu Garrisonów. Ten Brytyjczyk, który tu był przedtem, powiedział jej, gdzie ma go szukać.

- Co mam zrobić?

- Za chwilę będzie tu policja. Muszę się stąd zabierać, Jeremiahu. Nie mogę tu zostać. - Przeczesała dłonią włosy, jakby chciała się upewnić w swym postanowieniu, i dodała: - Znajdź mi samochód. Mogę wziąć swój albo twój. Policja...

Nie zdołała dokończyć zdania, uciął jej: - Weź auto Marthy. Marthy Prescott. To nowa asystentka matki. Szara honda. Wolne będzie w niej tylko miejsce kierowcy. Martha jest dość niechlujna.

Uśmiechnął się promiennie i podał jej kluczyki wyjęte z kasetki. Zaczynała mu dziękować, kiedy niemal ją wypchnął na zewnątrz, na zaplecze hotelu. Rushowie może nie zawsze bywali wobec siebie nawzajem w porządku, ale w trudnych chwilach mogli liczyć na wzajemną pomoc. Dobiegła do wąskiej przecznicy, skręciła w nią w stronę Louisbourg Square i po kilkunastu krokach znalazła hondę zaparkowaną w miejscu zarezerwowanym dla hotelowych pracowników. Istotnie, wewnątrz było pełno różnego rodzaju pustych puszek, butelek, pudełek i toreb. Martha musiała być inteligentna i zdolna w pracy, jeśli wybaczano jej takie bałaganiarstwo.

Bak był na szczęście pełny, Lizzie ostro ruszyła

z miejsca. Zaraz też odezwał się jej telefon. Odczytała na ekranie numer ojca w Las Vegas, przyjęła połączenie i natychmiast poprosiła: - Jestem w drodze, błagam, nie utrudniaj mi.

- W Dublinie?

- Nie, w Bostonie.

- A ja właśnie skończyłem rozmowę z bostońskim detektywem nazwiskiem Yarborough. To twardy zawodnik. Chce tu przylecieć. Lizzie, powiedz mi, co się dzieje.

- To bardzo skomplikowane.

- Tak? Ja jestem samotnym myśliwym. Wzrok mi słabnie. Pomóż mi z tego wybrnąć. Pora kończyć tę grę- Jeszcze nie pora na jej zakończenie.

- No trudno. Powiedz, w jakim punkcie się znajdujemy.

- Są dwaj Brytyjczycy. Will Davenport i ten drugi, o którego cię pytałam. To ten, co był w Las Vegas w czerwcu - myślę, że obaj należą do twojego świata.

- A jaki by to miał być świat?

- Tato, nie mogę teraz... Zdobyłam nazwisko tego z Las Vegas. Myles Fletcher.

- Zobaczę, co się da zrobić.

Wahała się przez chwilę, po czym dorzuciła: - John March jest w Bostonie.

Ojciec westchnął: - Świetnie. Spotkałaś się z nim?

- Nie. Właśnie próbuję wyrwać się z miasta. - Skreśliła ku drodze 93 wiodącej na północ. - Tato, kilkanaście minut temu widziałam trupa.

- O cholera.

- Myślę, że to on wczoraj podłożył przynajmniej jedną bombę. - Czyżby to było dopiero wczoraj? - spy-

tala samą siebie w myślach. - Porwano córkę Johna Marcha. Tato, spróbuję w tej sprawie przyjść z pomocą.

- Och, Lizzie, Lizzie...

- Norman ma obsesję na punkcie Marcha. Na początku tego nie zauważyłam. Dostrzegłam to dopiero w przeddzień jego aresztowania.

- Lizzie!

- Wiem, że March prowadził śledztwo w sprawie śmierci mamy - przy tych słowach łzy napłynęły jej do oczu. - Nie chciałam ci o tym mówić.

Wiem, jakie to bolesne...

Ojciec jej przerwał: - Czy Estabrook wie o Marchu i twojej matce?

- Nigdy się do tego nie przyznał, ale myślę, że wie. - Wykonała parę manewrów i wydostała się na trasę wylotową. - Jestem tego pewna. - Nie uświadamiałam sobie tego dotychczas, ale teraz domyślam się, dlaczego telefonował z pogrozkami do Simona i dyrektora Marcha w mojej obecności. On zakłada, że ja nienawidzę Marcha.

- Tak postępują policjanci. Kiedy zbiorą w całość jakieś porozprasane elementy, nabierają zapiekłej nienawiści do tej układanki. Ty nabrałaś do Marcha niechęci równie silnej jak Estabrook.

- Właśnie dlatego nie chcę się tu pętać. Milczenie. A po chwili: - Wcale nie dlatego. Lizzie wyobraziła sobie ojca rozkładającego karty, ze szklaneczką scotcha w dłoni. Nigdy nie pijał irlandzkiej whiskey.

- Ugrzęzłaś w tym, Lizzie. Tkwisz w tym po uszy. Nic mu nie odpowiedziała. Znów jego westchnienie.

I zapowiedź: - Wyruszam do Bostonu, jak tylko skończę tę rozgrywkę.

Pomieszam szyki agentom federalnym.

Zostanę w Bostonie tak długo, jak długo będę ci potrzebny.

- Nie znosisz Bostonu.

- Nie aż tak zdecydowanie jak Irlandii. Spróbowała się uśmiechnąć. -  
Dzięki, tato.

Ale on mówił poważnie. - Masz nadzieję, że Estabrook będzie cię szukał?

- Gdybym była pewna, co zamierza i gdzie jest, zawiadomiłabym FBI.

- Lizzie, jesteś amatorką.

- Norman też jest amatorem. Użyje Abigail do osiągnięcia tego, czego  
pragnie. A potem ją wyrzuci.

- Mógłbym zadzwonić do detektywa Yarborougha, by cię powstrzymał.

- Nie zrobisz tego.

- Nie. - Zamilkł na chwilę. - Mam zdjęcie mojej matki jako małej  
dziewczynki przymierzającej stroje w hotelu w Bostonie. Ma na sobie  
suknię w edwardiańskim stylu. Znalazła ją na strychu. Wspięła się na  
krzesło, na wprost lustra. Wyobraź sobie twą babcię, jak chichocze.

- Tato...

- Starła się dać z siebie wszystko. Wszyscy się o to staraliśmy.

- Ty dałeś z siebie wszystko. Tęsknię za babcią. Jeśli cię to obchodzi,  
muszę cię uprzedzić, że Jeremiaś pozostawił już za sobą okres  
nieodpowiedzialnej młodości. Jest arcysprawny w pracy. Okpi cię,  
jeśli nie będziesz dość czujny.

Ojciec się roześmiał: - To zabrzmiało jak wyzwanie.

Westchnęła głośno, rozłączając się z nim, ale ręka funkcjonowała jej  
precyzyjnie, kiedy wybierała numer podany jej przed rokiem przez Johna  
Marcha.



Odpowiedział natychmiast: - Gdzie jesteś?

- Mam na imię Lizzie - głos drżał jej jednak, kiedy mu wreszcie wyjawiała prawdę. - Lizzie Rush. Ale pan o tym wiedział, prawda?
- Wprowadziłaś mnie w błąd. Brałem cię za profesjonalistkę.
- Czy kiedykolwiek znajdowałam się na pańskiej liście podejrzanych?
- Nie.
- Mógł pan brać to pod uwagę.
- Chciałbym, żebyś się w to włączyła. Zaraz, żebyś nam pomogła. - Wziął oddech. - Lizzie, pozwól, żebym ja ci pomógł.
- Byłam u Normana w czerwcu, kiedy dzwonił do Simona i groził, że was obu zabije. Wiem, że naprawdę chciał tak zrobić. Wiem, że się przeobraził w człowieka zdolnego do wszystkiego. Powinnaś znaleźć sposób, by go powstrzymać. On ma pańską córkę, ponieważ ja go nie powstrzymałam.
- Pracujesz w sieci luksusowych hoteli. To powstrzymanie nie leży w sferze twych zajęć zawodowych.
- Oby moja ciotka i wuj nigdy się nie dowiedzieli o tym, że pan nazywa nasze hotele siecią.
- Lizzie, przestań. Przystąp do nas. Zatrzymała się na poboczu.
- A czy pan próbował powstrzymać moją matkę? Była przecież pańską informatorką, prawda?
- Uciekasz się do przypuszczeń i podejrzeń. - W jego głosie pobrzmiwały raczej tony wyszukanej uprzejmości niż twardego przekonania. - Wniosłaś już pewien wkład. Większy, niż powinnaś wnieść. Twoje informacje pomogły nam w ujęciu poważnych, groźnych przestępców narkotykowego biznesu.

- A Norman jest na wolności.
- Nie za twoją przyczyną. Odpuść sobie.
- Przed trzydziestu laty dopuścił pan do śmierci mojej matki. Żałuje pan tego teraz.
- Wtedy też żałowałem.
- Czy przestrzegł ją pan przed niebezpieczeństwem, na które się narażała? Czy ona zbagatelizowała pańskie przestrogi? - Lizzie złapała oddech, ściskając z całej siły kierownicę auta. - Zresztą to nie ma znaczenia.
- Nie wystawiaj siebie na niebezpieczeństwo. Nie włączaj się w to śledztwo. Usiądę naprzeciw ciębie, kiedy się tylko skończy ta afera, i odpowiem na wszystkie pytania, jakie mi zadasz, związane z twoją matką. - Teraz on zaczerpnął powietrza i dorzucił: - Na wszystkie, na jakie mogę odpowiedzieć.

Lizzie już wiedziała, co zrobić. W czasie lotu z Dublina -jeszcze przed spotkaniem Fiony, zanim usłyszała jej opowieść o Mylesie Fletcherze i przed pojawieniem się Willa oraz zanim zobaczyła trupa - stworzyła sobie plan działania. Oczywiście miała już zupełnie suche, kiedy zakomunikowała Marchowi:

- Z chęcią usiadłabym z panem i porozmawiała o mojej matce. Jak dotychczas, panie dyrektorze March, reguły gry nie uległy zmianie. Norman nie może się dowiedzieć, że panu pomagałam. Nie może wiedzieć, że nie stanęłam po jego stronie. On nie zabiłby po prostu mnie, kiedy by się dowiedział o tym, co robiłam. On by zabił pańską córkę.
- Ale to nie jest twoja walka - wtrącił March.
- Już się stała moja. Proszę utrzymywać i pańskich chłopców, i bostońską policję z dala od mej sprawy.
- Lizzie, pozwól, żebym ci pomógł. Nie FBI, ale mnie na to pozwól. Mnie. Ojcu Abigail.

Znów oczy jej zwilgotniały. Odpowiedziała:

- Pan wie, że to się nie uda. Nie robię niczego nie poczytalnego. Po prostu zajmuję się swymi sprawami tak, jak się nimi zajmowałam przez cały ostatni rok.

- Byłem w twoim wieku, kiedy zmarła twoja matka. Patrząc wstecz, rozumiem teraz, jaki byłem młody. I jak młoda była ona. A także twój ojciec.

- A więc nie potknęła się na kamieniu brukowym?

- Popełniałem błędy. Nie stań się kolejnym z nich.

- Jedno tylko może pan dla mnie zrobić. Jeśli Norman odkryje, co zrobiłam, i dobierze się do mojej rodziny...

- Będę ją osłaniał, Lizzie. Masz moje słowo.

- Ale wie pan, że mego ojca nie musi pan osłaniać? March nie odpowiedział. Lizzie ciągnęła swój wywód:

- On teraz postradał zmysły. Kiedy dostrzega agentów FBI podchodzących do niego... Nie jest jeszcze emerytem. Udaje takiego. To on sprawił, że pan mógł uwierzyć, iż ja jestem profesjonalistką.

- Możemy także osłaniać ciebie.

- Mam nadzieję, że pan odnajdzie córkę. To moja główna nadzieja.

- Dziękuję - powiedział, głos mu nagle stwardniał. - Lizzie...

Ale ona rozłączyła się już z dyrektorem FBI, wjechała na pasmo drogi i wyrzuciła telefon komórkowy przez okno. Nie było to rozwiązanie wygodne, ale nie chciała, by agenci federalni oraz bostońską policja czy też jakaś inna sieć szpiegowska niepokoiili ją telefonami.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY**

*Boston, Massachusetts*

*6:02 po południu czasu lokalnego*

*26 sierpnia*

Will zachowywał kamienny spokój, zarówno ze względu na Fionę, jak i w swym własnym interesie, ale nie miał już żadnych wątpliwości, że Myles Fletcher żyje. Co więcej, że jest tu, w Bostonie. Zapewne obserwuje czynności, jakie policja wykonuje w miejscu zabójstwa. Poprosił Fionę, by powtórzyła mu możliwie jak najwierniej wszystko, co jej powiedział Fletcher. Przekonywał, że może pomóc w rozwikłaniu sprawy w stopniu nieporównanie większym niż policja.

Kiedy funkcjonariusze policji wchodzili w alejkę wiodącą do zwłok, Fiona zasłoniła sobie usta dłonią i spytała: - To pański znajomy zastrzelił tego człowieka tam, przy parkanie?

- Pani ojciec i jego detektywi ustalą, kto dokonał mordu. Teraz prosiłbym, aby się pani upewniła, czy powiedziała mi pani wszystko, co pani wie na ten temat.

228

Wbiła wzrok w chodnik, jakby wypatrywała mrówek.

Will wiedział, że nie może zrezygnować z uzyskania od niej wyjaśnień.

Perswadował: - Rozumiem, że doznała pani silnego szoku, Fiono. To zrozumiałe, że nie chce pani popełnić jakiegoś błędu, który by utrudnił dochodzenie i skierował prowadzących je detektywów w złą stronę.

- Abigail pozostaje w rękach porywaczy... W każdej chwili mogą... -

Spojrzała mu w oczy: - Liczy się każda *sekunda*.

Jeszcze z taksówki wiozącej go z lotniska do Bostonu Will zatelefonował do Simona i Josie, ale żadne z nich nie miało dla niego nowych wiadomości ani o Abigail, ani o Normanie Estabrooku i jego samolocie. Nie mógł zwodzić Fiony złudnymi pocieszeniami. Była córką doświadczonego detektywa i natychmiast by się na zwodniczości takich pocieszeń poznała.

- Doświadczeni detektywi wolą rozporządzać jak największą liczbą informacji - dowodził. - Od własnego doświadczenia i dociekliwości uzależniają wybór informacji wartościowych i przydatnych dla śledztwa.

- Wiem o tym - zgodziła się Fiona. Mimo całego jej zdenerwowania, Will usłyszał w jej głosie tę samą siłę wewnętrzną, którą zaobserwował u jej kuzynki, Keiry.

- Cóż więc panią powstrzymuje? - spytał.

- Abigail - odpowiedziała, zaciskając pięści. - Zajrzała do pubu Morrigan w hotelu Whitcomb przedwczoraj wieczorem. Mieliśmy tam właśnie występ naszego zespołu. Dobiegał już końca. Zauważyłam, iż wydaje się czymś przejęta. Odciągnęła mnie na stronę, kiedy już zeszliśmy z podium, i powiedziała, że to nie był dobry pomysł, bym w tym miejscu przebywała owego wieczora.

- To znaczy: w tym hotelu? Fiona potaknęła skinieniem głowy.

- Zapowiedziała, że później mi wytłumaczy, ale że ja najpierw powinnam... że powinnam jej zaufać.

- A co pani na to odpowiedziała?

- Nic. Nie spierałam się z nią. Nie przejęłam się tym, co mówi.

Pomyślałam, że może ja - nie mając jeszcze ukończonych dwudziestu lat i będąc córką policjanta - nie powinnam przebywać w barach. Kiedy ją zobaczyłam... - znów wbiła wzrok w chodnik. - Wczoraj jej unikałam. To znaczy przed zamachem bombowym. Czułam się dotknięta. Nie chciałam z nią rozmawiać. A teraz...

- Czuje się pani winna - dokończył Will.

Po policzkach Fiony spływały łzy, zamilkła na widok dwóch policyjnych radiowozów zatrzymujących się przy alejce. Tuż za nimi zatrzymał się trzeci, nieoznakowany wóz policyjny. Wysiadł z niego rudowłosy mężczyzna, wyglądający na ojca Fiony, i podszedł do niej.

- Tata - wyszeptała i przetarła oczy zaciśniętymi dłońmi.

Zza kierownicy jednego z wozów wyszedł sztywno wyprostowany młody mężczyzna i dołączył do policjantów. Bob O'Reilly wzburzonym głosem zaczął strofować córkę:

- Myślałem, że ty sobie spokojnie ćwiczysz grę na harfie, a ty się wplątujesz w śledztwo w sprawie o morderstwo.

Westchnął, a w jego niebieskich oczach - podobnych do oczu i Fiony, i Keiry - malowały się lęk i poczucie winy. - Nic ci się nie stało złego? - dokończył.

Odpowiedziała przeczącym ruchem głowy, nie prze-

stając ocierać łez. O'Reilly zwrócił się do Willa: - Mam przyjemność z lordem Davenportem, jak sądzę?

- Tak, poruczniku. Przykro mi, że się poznajemy w tak niemiłych okolicznościach.

- Tak, ja również nad tym boleję. Simon nadjedzie tu lada chwila. - Po czym ponownie zwrócił się do córki: - Opowiedz mi, co się Wydarzyło.

Fiona opowiedziała o wszystkim, co ją spotkało. Will wyłapywał wszystkie dodatkowe szczegóły, ale nic nie podważało jego przekonania, że rozmówcą Fiony był Myles, objaśniający jej drogę do odnalezienia zwłok człowieka, którego uprzednio zastrzelił. Być może był on rzeczywiście jedyną nadzieją dla Abigail Browning, ale wcale nie musiało to oznaczać, że przechodził na jej stronę. Will stawiał sobie ważne pytania. Dlaczego Myles Fletcher włączył się w sprawy Normana Estabrooka? Dlaczego człowiek, któremu ongiś Will ufał, stał się morderczym najemnikiem? Czyżby Myles rozgrywał teraz własną sprawę, a nie żadnego zleceniodawcy? A może zawsze był samodzielnym graczem?

Kiedy Fiona zakończyła swą relację, Bob O'Reilly otrząsnął się już i wszedł w rolę doświadczonego detektywa, którym w istocie był. Spytał: - Gdzie jest teraz Lizzie Rush?

- Odjechała - Fiona rzuciła Willowi wymowne spojrzenie, po czym skierowała wzrok na ojca. - Była przez cały czas opanowana. Próbowwała powstrzymać mnie przed... przed obejrzeniem ofiary.

- Czy jest twoją przyjaciółką?

- My tylko co...

Wpatrzył się uważnie w twarz córki. - Co robiłaś w hotelu Whitcomb, Fi?

- Nasz zespół ma tam występy. Nie powiedziałam

ci... - W oczach zamigotał jej płomyk buntu. - Wiedziałam, że ci się to nie spodoba.

- Wcale nie jestem temu przeciwny - odparował. Podprowadził ją do nieoznakowanego auta. - Wsiadaj, tam jest włączona klimatyzacja.

Słaniasz się na nogach.

- Tato...

- Wsiadaj, dziecko - kciukiem starł łzę ściekającą po jej policzku. - Zaraz tu wrócę. Nie będę się nigdzie oddalał.

- Ten człowiek... ten, którego zastrzelono...

- Zaraz zbadamy, co mu się przydarzyło. Wsiadaj już! - O'Reilly spróbował się uśmiechnąć i dodał: - Poszukaj w radiu, może nadają jakąś muzykę na harfie.

Will zauważył, że wsiadała do auta opornie, ale uznał, że wynikało to raczej z jej chęci, by niczego nie przeoczyć, niż z chęci pozostawania w pobliżu ojca. O'Reilly starannie rozpakował gumę do żucia i włożył do ust. To rytuał - pomyślał Will. Następnie detektyw O'Reilly przystąpił do wypytywania Willa: - Pan zna tego zabójcę, Brytyjczyka?

- Nie widziałem go, poruczniku O'Reilly.

- Nie o to pytałem.

Will nie odpowiedział. Nie musiał przedstawiać temu amerykańskiemu detektywowi historii swych stosunków z Mylesem Fletcherem. A zarazem nie zamierzał w żaden sposób opóźnić śledztwa dotyczącego zabójstwa popełnionego u krańca alejki oraz związków, jakie ofiara mordu bądź Myles mieli z porwaniem Abigail Browning.

- Rzecz polega na tym - podjął O'Reilly - że po trzydziestu latach służby w policji na ogół wiem, kiedy ktoś wprowadza mnie w błąd albo też nie chce wyjawić mi wszystkiego, co wie - może nie mam takiej pewności,



mając do czynienia z własnymi córkami. Gzy pan chce, bym zadawał dalsze pytania?

Will pokręcił głową przecząco. - Nie ma takiej potrzeby. Pańska córka opisała człowieka, którego - jak myślę - znałem.

- A teraz, kiedy on zastrzelił innego człowieka, myśli pan, że go właściwie nie znał. Proszę podać jego nazwisko.

Will rzucił spojrzenie w stronę auta, Fiona siedziała na tylnym siedzeniu przy otwartych drzwiach. - Myles Fletcher.

- Kim on jest?

- Mówiłem panu...

- Nie, nie mówił pan. Z czego on żyje? Czy należy do brytyjskiej szlachty? Czy jeździ na ryby do Szkocji? Czy zna Simona Cahilla? - O'Reilly wyraźnie zawdzięczał gumie do żucia inspiracje do formułowania pytań. - Mogę jeszcze dorzucić tuzin tego typu zapytań lub też może pan sam mi sprawę przedstawić.

Will pomyślał o Lizzie, zagłębiającej się samotnie w alejkę i znajdującej zwłoki człowieka zamordowanego przez kogoś, z kim on miał do czynienia przed dwoma laty. Już wiedział, co ma zrobić. Przybrał oficjalny ton, by zakomunikować O'Reilly'emu:

- Może panu pomóc moja asystentka, Josie Goodwin. Simon wie, jak się z nią skomunikować. Ona będzie dokładniejsza i lepiej ode mnie zorientowana w tych kwestiach.

- Przebywa w Londynie?

Will spojrział O'Reilly'emu prosto w oczy: - W Irlandii. Wraz z pańską siostrzenicą.

- To świetnie - w głosie O'Reilly'ego zabrzmiała

nutka sarkazmu. - Po prostu świetnie. Czy to ten Fletcher nasłał nożownika na Keirę?

- Nie wiem.

- Kolejny unik. Czy Fletcher zna Abigail Browning, Johna Marcha albo Simona Cahilla?

- Poruczniku...

- A Normana Estabrooka?

- Za pozwoleniem, poruczniku O'Reilly, radziłbym panu porozmawiać z dyrektorem Marchem.

- Porozmawiam z nim, oczywiście.

O'Reilly przybrał spokojny ton zabarwiony dociekliwością i ostrożnością. Zdawał sobie dobrze sprawę, że nie może się posunąć za daleko i stracić swobody działania. Zadał kolejne pytanie: - Co pan wie o czarnowłosej kobiecie, która pomogła przedwczorajszej nocy mojej siostrzenicy w Irlandii w sytuacji zagrożenia przez napastnika?

Daremnie czekał na odpowiedź Willa. Davenport był pewien, że przedstawiciel policji bostońskiej zna już rysopis Lizzie. Ona też o tym bez wątpienia wiedziała. O'Reilly ciągnął:

- Rozmawiałem z Eddiem O'Shea. Opisał mi ją. Amerykanka. Drobna, zręczna, brunetka o zielonych oczach. Zna sztukę walki - obezwładniła uzbrojonego zabójcę. Policja irlandzka usiłuje ustalić jej tożsamość i miejsce pobytu.

- Znów...

- Żeby porozmawiał z Marchem, tak? Z kimkolwiek, byle nie z panem?

- O'Reilly wycelował w Willa palec wskazujący. - Eddie mi powiedział, że i pan tam był i pozwolił tej kobiecie, by się oddaliła.

- Ona ocaliła życie pańskiej siostrzenicy, poruczniku O'Reilly.

- Wraz z czarnym psem i irlandzkimi wrózkami. Bardzo im jestem wdzięczny.

Fiona wysiadła z auta i stanęła przy jego otwartych drzwiach. Jej ojciec nie dawał za wygraną: - Odwiedziłem Scoopa w szpitalu. Potężnie go poraniło. Zapamiętał podejrzaną kobietę, którą widział na ulicy przy ich domu w przeddzień wybuchu bomby. Drobna, czarnowłosa, zielonooka. Mimo odniesionych ran i zabiegów medycznych, utrwaliła mu się w pamięci. Kim ona jest?

Will znów rzucił O'Reilly'emu stanowcze spojrzenie.

- Proszę o tym porozmawiać z dyrektorem Marchem. Zanim porucznik zdążył wypowiedzieć się o tej kwestii, podeszła do nich Fiona. Była spokojna, ale bardzo pobladła. - Tato... ja...

Ojciec przyjrzał się jej uważnie: - Wiesz, kto to?

- Ta kobieta... ona...

Detektyw O'Reilly niemal wykrzyknął: - Do diabła! Przecież mówimy o Lizzie Rush? To ona ci pomogła...

- Jej rodzina ma hotel przy Charles Street.

- Whitcomb. Wiem, oczywiście. Dlaczego...

- Powiem ci, mój zespół daje tam występy. Przez całe lato tam występowaliśmy. Rushowie to bardzo mili ludzie.

- Rushowie są... - przerwał i popatrzył na córkę.

- Jak dobrze ich znasz?

Fiona wydawała się bezradna. - Poznałam Lizzie zaledwie kilka tygodni temu. Jej kuzyn Jeremiaś pomaga mi w zaplanowaniu naszej gwiazdkowej wyprawy do Irlandii. Opowiadał, że Lizzie pracowała w Dublinie. Tato, ona nie ponosi odpowiedzialności za zamachy bombowe. Nie mogła być z nimi związana.

- O czym rozmawiałyście?

- Opowiedziałam jej wszystko. O Keirze, o Simonie,

o tobie i o cioci Eileen, o seryjnym mordercy i o Irlandii

- o kamiennym aniele. Powiedziała jej, że Keira

i Simon wynajęli łódź od znajomego Simona, brytyjskiego lorda i... Tato, przepraszam...

O'Reilly wyglądał, jakby się właśnie zastanawiał, co z tym odkryciem począć. W końcu powiedział córce:

- Odpreż się, Fi. - Rozwinął z papierka kolejną gumę do żucia. I

stwierdził: - Nie powiedziałaś Lizzie Rush niczego, do czego nie mogłaby dojść sama.

- Ależ ze mnie pleciuga!

- Z Lizzie miło się rozmawia - wtrącił się Will. Nadjeżdżały kolejne policyjne samochody. Miejsce zbrodni odgrodzono żółtą taśmą. Przybyli też kryminalodzy. Will wiedział, że powinien w zaistniałej sytuacji określić swe stanowisko. Zwrócił się do O'Reilly'ego:

- Detektywie, postaram się ją odnaleźć, ale pod warunkiem, że nie będą dreptali za mną pańscy ludzie.

Bob O'Reilly na pewno pozostawał jeszcze pod silnym wrażeniem zwrotu sytuacji, ale nie tracił pewności siebie: - A co z tym całym Fletcherem?

- Jego również spróbuję wytropić.

- Czy Simon go dopadnie?

- Nie, nie zdoła. Poruczniku, wie pan dobrze, że jeśli się zaraz za to nie zabiorę, to stracimy mnóstwo czasu i napytamy sobie mnóstwo kłopotów.

Detektyw O'Reilly włożył sobie nową gumę do ust.

- Proszę wyruszać.

Hotel Whitcomb był mniejszy, węższy i skromniejszy niż hotel Rushów w Dublinie, ale urządzony równie tradycyjnie i wytwornie. Do lobby wchodził właśnie młody człowiek uderzająco podobny do Justina. Will

skojarzył, że musi to być Jeremiah. Trzeci z czterech braci Rushów, kuzyn Lizzie.

- Mam zaszczyt witać lorda Davenporta, prawda? - Jeremiah otworzył drzwi Willowi. - Proszę tędy. Schodami w dół. I na zewnątrz, na zaplecze.

- Dziękuję - odpowiedział Will.

Wyszedł na wybrukowaną alejkę, na której stały zaparkowane samochody. Przy jednym Will dostrzegł Simona Cahilla. W odróżnieniu od agentów FBI, którzy gromadzili się coraz liczniej przy Beacon Street, Simon ubrany był swobodnie w jeansy i koszulkę polo.

Na jego widok Will powiedział: - Zastanawiałem się właśnie, jak odnajdziesz tu drogę. Czy Lizzie...

- Odjechała, zanim tu dotarłem - uciął Simon. - Wydzwonił mnie partner Abigail, Tom Yarborough. Wkrótce go poznasz, on się w to włączy.

- Czy to jest detektyw, który się przed chwilą znajdował w otoczeniu porucznika O'Reilly'ego?

Simon potwierdzająco skinął głową. - On powiedział, że pozwoliłeś jej się oddalić.

- Pozwoliłem - potwierdził Will.

- Yarborough jest gotów objąć ją, ciebie i mnie opieką policyjną. A także jej ojca.

- Czy tak silnie udzieliło mu się napięcie?

- Nie, on w ogóle jest takim rygorystą. - Była to wypowiedz sformułowana raczej przez agenta FBI niż przez przyjaciela witającego się z Willem. - A więc Myles Fletcher żyje? - spytał.

- Najwidoczniej tak. Zabił tego mężczyznę znalezionego w alejce i naprowadził Fionę O'Reilly na jego zwłoki. Próbuję zrozumieć, w jaki sposób związał się z Estabrookiem.

- Wiedząc, że jesteśmy przyjaciółmi, odkrył, że ja

pracuję nad Estabrookiem, zaczął się i wypatrzył sposobną okazję.

- Okazję do czego? Zdobycia pieniędzy? Przeprowadzenia jakiejś akcji? Dobrania się do nas? Do mnie, gdyż zdemaskowałem jego utajone związki z afgańskimi przyjaciółmi. Do ciebie, ponieważ uratowałeś mi życie.

- Raczej byłbym skłonny uwierzyć w pieniądze i chęć działania - odparł Simon. - Nie zaś w zemstę. Z twego opisu wynika, że Myles Fletcher ma usposobienie praktyka, który nie ulega mścicielskim emocjom.

Will wyczuwał woń wilgotnego popołudniowego upału, odór rozgrzanego asfaltu, spalin, a także śmietniska. Choć Whitcomb był dokładnie wietrzony, na zapleczu wszystkie te wonie uderzały w nozdrza. Przymrużył oczy i przywołał w pamięci wydarzenia sprzed dwóch lat. Oczyma wyobraźni widział Philipa i Davida walczących o własne życie, a także i jego. Oraz o życie człowieka, który ich zdradził.

To wszystko, co się zdarzyło, nie miało żadnego sensu. Will walczył ramię w ramię z Mylesem Fletcherem. Byli ze sobą na ty, wspólnie popijali drinki. Wspólnie tropili bojowników strony przeciwnej, niszczyli zastawiane przez nich zasadzki, odkrywali i przejmowali składy broni, w razie potrzeby wzywali na pomoc siły lotnicze.

- Willu...

Otworzył szeroko oczy i spojrzał na Simona. Przyznał mu rację: - Tak, Myles jest profesjonalistą, który nie podejmuje ryzyka dla zemsty. On wykonuje zlecenia.

Simon podszedł do tylnego wejścia do hotelu. Wzdłuż schodów rosły starannie pielęgnowane krzewy geranium. Powiedział: - Lizzie Rush jest elegancka, miła, atrakcyjna i dzielna, ale nie jest kimś, kogo umiałbym

sobie wyobrazić w starciu z nożownikiem. A ty? Wpadła ci w oko, co? Will zlekceważył tę indagację. Sam zadał pytanie: - Jak widzisz rolę, którą odgrywała przy Estabrooku?

- Byli zaprzyjaźnieni, ale nie łączył ich romans. Ona się nie włączała w jego ryzykowne przedsięwzięcia. Organizowała wędrowniki po Wielkim Kanionie, oglądanie wielorybów, spływy kajakowe wzdłuż wybrzeża Maine - typowe rozrywki ludzi majątnych.

- Ajednocześnie zbierała informacje o machinacjach Estabrooka i przekazywała je Johnowi Marchowi.

Simon zerwał kwiatek geranium. - Wiedziałem, że mamy jakieś anonimowe źródło informacji. Bardzo ważne. Ale Lizzie... - potrząsnął przecząco głową. - Nie wyłowił jej mój radar.

Will przypatrywał się krzewom geranium. Jak dopuścił do tego, by tak mu się skomplikowało życie? Oczyma wyobraźni ujrzał swą matkę spacerującą po jej ogrodzie w Szkocji, nieopodal jej rodzinnej miejscowości. Nigdy sobie nie wyobrażała, że poślubi jego ojca. A o czym marzyła Lizzie jako mała dziewczynka, bawiąc się tu, w tej alejce? Czyjej wyobraźnia obejmowała odnalezienie trupa w alejce?

- Ojciec Lizzie jest oficerem wywiadu i to on nauczył ją pewnych technik zawodowych - wyjaśnił Will. - Wiedziała, jak ukryć swą tożsamość przed dyrektorem Mar-chem. Kiedy ją poznałeś?

- Tego lata, w hotelu Whitcomb. To tu właśnie. Norman wynajął mnie do współpracy. Przyjechałem do Bostonu na kolację wydaną przez fundację Fast Rescue, a on zatrzymał się w tym hotelu. Już się znali z Lizzie.

- Byłeś w pełni przygotowany do takiej utajonej roli, mając tak bogate doświadczenie w poszukiwaniu i wy-

ciąganiu ludzi z opałów. Jak przekonaliśmy się w ciągu ostatnich dwóch dni, Lizzie jest śmiała i pomysłowa. Czy ona zna Marcha? Moje pytanie nie ma żadnego związku z moimi relacjami z dyrektorem Marchem. Próbuję ustalić fakty. Kiedy się zorientowałeś, że March ma źródło dostarczające mu informacji?

- Tego lata. My nie chcemy narażać ludzi na niebezpieczeństwo przez utrzymywanie z nimi bliższych kontaktów. Byliśmy obaj przeświadczeni, że mamy do czynienia z profesjonalistką. Lizzie Rush w ogóle nie było na naszej liście.

- Czy mogła być związana z agencją wywiadu? Simon westchnął: - Myślę, że ona jest dokładnie tym, kim wydaje się być.

- Igra z ogniem - stwierdził Will. - Ale może się okazać kimś, kto nas naprowadzi na ślad córki Marcha.

- Staram się wczuć w sytuację Abigail - w głosie Simona wyczuwało się niepokój.. - Podobnie jak jej ojciec. Ona wpadła w oko cyklonu.

Uczestniczy w nie swojej walce.

- Dlaczego porwano ją, a próbowano zabić Keirę?

- Z tego co wiem, Norman działa jak szalenciec. Musimy go odnaleźć.

Jego samolot nie uniósł go w przestworza. Owen Garrison go odszuka. -

Oderwał listek geranium i uśmiechnął się do Willa: - Podlegam wpływom Scoopa.

- Simonie, wybaczone, ale musisz to zrozumieć. Nie jesteś odpowiedzialny za akcje podejmowane przez Estabrooka.

- A jeśli się mylimy, Willu? Jeśli Fletcher działa na zlecenie przemytników narkotyków, a nie na zlecenie Normana?



- Niezależnie od tego, kto go opłaca, Myles działa we własnym interesie. Simon upuścił zerwany liść na ziemię: - Według Toma Yarborougha człowiek, którego zwłoki znalazły Lizzie i Fiona, miał głęboką bliznę na ramieniu. Wiemy, że Abigail dźgnęła kogoś, kto ją porwał dwa dni temu. A więc mamy krew na scenie. Jeśli to ten człowiek brał udział w porwaniu, a Fletcher go zabił...

- Fiona widziała tego człowieka. Przypomniała go sobie później. Ale Myles nie podjąłby takiego ryzyka. On mógł po prostu zapobiegać czemuś i wprowadzić nas na fałszywy trop.

- A więc zastrzelił człowieka, mając jakiś powód, a nie dlatego, że mógł?

- To możliwe, Simonie, ale wątpię, czy Myles wkroczyłby w sam gąszcz zbrodniczej zemsty, nawet za wysoką opłatą. Jeśli pracuje dla Estabrooka, prawdopodobny jest inny powód. - Will pożałował, iż nie znalazł się w Bostonie w czasie umożliwiającym mu konfrontację z Mylesem, ale czyż nie rozpoznawał planu uknutego przez jego dawnego przyjaciela? Myles wiedział, że Lizzie wyleciała tego ranka z Dublina, a także że taki sam lot odbył Will. Na przekór zmęczeniu i zmartwieniu kontynuował swe dociekania. - Simonie, Myles i Estabrook nie mogli odkryć, że Lizzie jest informatorką FBI.

- Wiem. Gdyby to odkryli, znalazłaby się na pierwszym miejscu listy osób do zlikwidowania, obok Marcha i mnie.

Will znów wyobraził sobie Lizzie siedzącą przy stoliku w Dublinie; miał w oczach zieleń jej oczu, wykrój ust w chwili, gdy pozostawiała za sobą walkę stoczoną w kamiennym kręgu oraz swe postanowienie dotyczące jego osoby. Przypomnił też sobie elementy

jej ubrania, rozrzucone w bawialni apartamentu, który ze sobą dzielili w Dublinie.

- Willu, znów tracę kontakt z tobą - usłyszał zatroskanie w głosie przyjaciela.

- Muszę teraz się oddalić, Simonie. Ufam tobie i ufam Josie. I będę miał oczy szeroko otwarte na wszystkich dokoła.

- Masz rację, Willu - Simon zdobył się na uśmiech, choć pozostawał sceptyczny wobec zamiarów przyjaciela. - Zawsze marzyłeś o kobiecie, która byłaby zdolna przyłożyć ci nóż do gardła.

Otworzyły się właśnie tylne drzwi prowadzące do wnętrza hotelu i wybiegł z nich Jeremiaś Rush, przeskakując po kilka stopni.

- Dwóch detektywów przesłuchuje właśnie wszystkich pracowników i w ogóle każdego, kto mógł zobaczyć Brytyjczyka, który rozmawiał z Fioną O'Reilly. Pomyślałem, że powinniście o tym wiedzieć. Ojciec jest w drodze do nas. Ale nie wydaje się nazbyt przejęty pojawieniem się zabójcy tutaj.

Simon spojrział na Jeremiaha: - Czy wiesz, dokąd pojechała twoja kuzynka?

- Lizzie? - Jeremiaś nie tyle chciał się upewnić, o kogo chodzi, ile zyskać na czasie.

- Tak.

- Ona jest dla nas jak siostra. Jej ojciec jest wspaniałym człowiekiem, ale on tyle podróżuje... - Jeremiaś przeczesał dłonią czuprynę i nagle roześmiał się, zapewne próbując uspokoić agenta FBI, który do nich podchodził. - Wszyscy myślimy, że on jest szpiegiem.

Will powstrzymał uśmiech: - Tak właśnie charakteryzował go dziś rano w Dublinie twój kuzyn.

Jeremiaś wykonywał różne gesty rękoma, jakby

trapiiony jakimś lękiem. - Wy obaj - zwrócił się najpierw do Willa, potem do Simona - lordzie Davenport, agencie specjalny Cahilla - skąd mam wiedzieć, czy mogę wam ufać?

- Nie stanowimy niebezpieczeństwa dla twojej kuzynki - powiedział Will.

- Ale ludzie, których poszukujecie, stanowią dla niej niebezpieczeństwo.

- A co powiesz o ludziach, których ona tropi?

W oczach Jeremiaha błysnęła iskierka okrucieństwa, które Will dostrzegł także w oczach jego kuzynki. Powiedział: - Mam nadzieję, że Norman Estabrook jeszcze przed zakończeniem dzisiejszej nocy zakończy życie albo znajdzie się w więziennej celi.

Simon nie zareagował na emocjonalne oświadczenie Jeremiaha.

- Twoja rodzina ma swoje źródła informacji i kontakty. Czy wy również poszukujecie Estabrooka? A co na to twój wuj? Czy on byłby skłonny wdać się w tę sprawę?

- Wuj Harlan? Nie mam pojęcia. Ale my tu wszyscy gotowi jesteśmy zrobić wszystko, co możemy, by pomóc w rozwiązaniu tej sprawy. - Z jego słów było szczere przejęcie i oburzenie. - Myślę, że Lizzie naigrawała się z tego bogatego ekscentryka i miała pyszną zabawę. Estabrook wynajął nasz hotel w Las Vegas na przyjęcie sylwestrowe dla swych znajomych. Lizzie nie chciała, abym brał w tym udział, ale my mieliśmy w tym samym czasie i miejscu naszą rodzinną fetę i mogłem trochę podpatrywać jego gości.

- Pamiętam ten wieczór - potwierdził Simon. Jeremiah zwrócił się wprost ku niemu: - Wuj Harlan

mógłby mi pomóc w upozorowaniu wypadku, którego Estabrook byłby ofiarą.

Simon uniósł brwi. Podobnie jak Will nie był pewien, czy Jeremiah mówi to na serio. Cała rodzina Rushów dbała o swój prestiż. Nie pozwoliliby żadnemu z jej członków na wyczyn, który by temu prestiżowi zagrażał. Will nie chciał się włączyć w śledztwo prowadzone przez detektywów bostońskich. Oni jednak nie musieli się zgodzić tak łatwo, jak to uczynił Bob O'Reilly, by chodził własnymi ścieżkami. Byli gotowi uznać, że porucznik pozostawał pod wpływem szoku wywołanego perypetiami swej córki i zatracił chwilowo trzeźwość osądu sytuacji. Nawet przy wsparciu ze strony Simona, agenta FBI, Will mógł stracić noc na składaniu wyjaśnień bostońskim policjantom.

Zapytał więc Jeremiaha: - Justin mi wspominał, że Lizzie zamierza wybrać się do swego domu rodzinnego w Maine. Czy pan myśli, że właśnie tam się wybrała?

Jeremiah zawahał się z odpowiedzią. Simon wsparł go oświadczeniem: - Obaj jesteście po stronie twojej kuzynki.

- Może i tak - odparł Jeremiah - ale to nie znaczy, że ona nie zepchnęłaby mnie z dachu, gdybym wam na to pytanie odpowiedział. Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że ona pojechała właśnie do Maine. Ma tam własne lokum. Rozmiarami nie przewyższa ono pomieszczenia ochmistrza, ale ona czuje się tam doskonale.

Sięgnął po kasetkę z kluczykami i podał Willowi jeden z nich: - Proszę wziąć mój wóz - powiedział i określił miejsce, gdzie jest zaparkowany, dodając, że uda się w ten sposób uniknąć spotkania z agentami policji bostońskiej.

Simon nie reagował na to, że Will bierze klucz z rąk Jeremiaha, który wydawał się sprawą bardzo przejęty,

a nawet przestraszony. Wyjaśniał, jakby uspokajając samego siebie: - Ojciec Lizzie porządnie ją podszkolił. Niektóre techniki walki demonstrował nam wszystkim, ale ona była jego oczkiem w głowie. I doskonale zdawała sobie sprawę z własnych możliwości i ograniczeń. Mam nadzieję, że będzie w Maine bezpieczna. I że ten łotr Estabrook nie uzna, że ona zechce opowiedzieć się po jego stronie ze względu na swą matkę. Mam też nadzieję, że to nie ona okaże się tropem na niego naprowadzającym.

Simon zgniótł między palcami kolejny listek geranium. I spytał:

- A co masz na myśli, wspominając o jej matce? Jeremiaś z pewnością uświadamiał sobie, że wkracza

na śliski teren obejmujący sekretne karty historii rodziny i jej wpływowych członków. Wyobrażał sobie Lizzie przepytującą w Irlandii nożownika, który próbował zabić Keirę Sullivan. Lizzie tkwiła od urodzenia w skomplikowanym świecie. Wiedziała, jak się po nim poruszać, podobnie jak Will, który wiedział, jak sobie dawać radę w jego świecie.

- Na ile znam te sprawy - Jeremiaś wypowiadał te słowa z namysłem - ciocia Shauną poczyniła sobie śmiało z regułami sprawiedliwości. Podobnie jak Lizzie.

Simon przez chwilę wpatrywał się w Jeremiaha. Oczy młodego człowieka były zielone, podobnie jak oczy kobiety, którą kochał, i jak wzgórza Irlandii. W końcu niemal wydał Jeremiahowi polecenie:

- Odprowadź Willa do samochodu i powiedz mu, jak ma odnaleźć w Maine siedzibę Rushów. Ja wyjdę naprzeciw detektywom. - A odwracając się do Willa, dodał: - Będziemy w kontakcie.

Nie czekając na ich reakcję, zawrócił w stronę hotelu. W dziesięć minut później Will wyjeżdżał lśniącym, eleganckim wozem z Bostonu na północ, ku Maine.

I - jak miał nadzieję - ku Lizzie.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI**

*Boston, Massachusetts*

*7:15 po południu czasu lokalnego*

*26 sierpnia*

Fiona z radością przyjęła powrót do swego świata i odprężyła się, wchodząc na powrót do należącego do Rushów hotelu Whitcomb, będącego czymś w rodzaju „butik”. Wyraz ten kojarzy się z czymś małym i drogim. Bob przestrzegał córkę, że może to oznaczać konieczność sprawienia jej kosztownych strojów, ale wytłumaczyła ojcu, że ona i jej zespół nie mają najmniejszego pociągu do wytwornych strojów. Oni po prostu grają w pubie hotelowym muzykę. A muzyka była dla Fiony ucieczką, a także pasją, od wczesnego dzieciństwa, kiedy wspinała się na obrotowy stółek, by dosięgnąć klawiatury fortepianu. Bob trzymał się z dala od miejsca mordu przy Beacon Street, ale badali je najbardziej doświadczeni policjanci. O'Reilly chciał obejrzeć ten stolik, przy którym przysiadł się do jego córki bezwzględny morderca. Lucas Jones i Tom Yarborough wysłuchali relacji Fiony o do-

**252**

piero co minionych wydarzeniach. Lucas powiedział później Bobowi: „Powiniem zapytać ją, kiedy po raz ostami rozmawiała z Abigail”, Yarborough natomiast sformułował tę sprawę inaczej: „Ona powinna nam opowiedzieć o spotkaniu z Abigail”. W tej różnicy sformułowań wyraziła się różnica pomiędzy oboma detektywami. Bob wyczuł, iż obaj żywią niejakię podejrzenia wobec zeznań córki. Yarborough wręcz wyraził przypuszczenie, że Bob również zachowuje powściągliwość w zeznaniach.

Bo też tak było. Bob zachował dla siebie większą część swej rozmowy z Davenportem. Nie stosował omijania przepisów jako zasady, ale wierzył swemu instynktowi ukształtowanemu w trakcie wieloletniej praktyki, że dla zapewnienia skuteczności dochodzeniom lepiej w niektórych przypadkach nie stosować procedur zbyt rygorystycznie. W chwili obecnej policja nie miała żadnego wartościowego materiału dowodowego, nie wpadła jeszcze na ślad Abigail, nie otrzymała od porywaczy żadnego sygnału.

Powstrzymał na razie formujący mu się w wyobraźni obraz Abigail i Owena na ich małym podwórku wewnętrznym, wypytyjących Scoopa o jego ogródek i sposoby przygotowywania kompostu. Przez siedem lat Abigail skupiała się na pracy i na poszukiwaniu zabójcy swego męża, nie mając czasu na nic innego. Dopiero tego lata związała się z Owenem. Mieli dużo wspólnych spraw: oglądali domy, poznawali swe rodziny i dokonania zawodowe, było im dobrze razem. I oto, co się zdarzyło. Koledzy z zespołu Fiony byli równie młodzi jak ona sama. Przejęci odkrytym zabójstwem, byli jednak zdecydowani odbyć zaplanowany na wieczór występ, a w każdym razie dotrzymać jej towarzystwa. Bob ich



zagadnął: - Czy zechcielibyście włączyć do programu występu pieśń „Johnny, I Hardly Knew You”? Śpiewałem ją, będąc dzieckiem.

- Zaśpiewaj to z nami, tato - odpowiedziała zarumieniona z emocji Fiona.

Przekonała się, że ojciec ma dobry, czysty głos. Nie ukrywał tego bynajmniej. Tyle że nie żywił specjalnego zamiłowania do śpiewu.

Pozwolił im więc najpierw, by sami wykonali kilka utworów, a potem dołączył do nich jako wokalista. Słuchacze - goście pubu - przyjęli to

życzliwie - był kimś autentycznym, bostoński policjant Irlandczyk wznoszący irlandzkie pienia!

W przerwie występów Bob wziął do ręki jedną z broszur na temat Irlandii, które Fiona pozostawiła na stoliku, kiedy Brytyjczyk wysłał ją na

miejsce zbrodni. Bob miał nadzieję, że do Bożego Narodzenia sytuacja się uspokoi, nieszczęścia i zagrożenia przestaną lgnąć do nich jak ćmy do

lampy. Theresa miała rację, pomyślał. Kiedy Fiona miała sześć lat, on w większym stopniu roztaczał nad nią władzę. Jego siostra mówiła, że

powinien pozwolić swym córkom dorastać. A czy mógł nie pozwolić?

Stwierdził, że tematem broszury jest hotel Rushów w Dublinie. Usłyszał wyjaśnienie Fiony: - Moja babcia lubiła tamtejsze ciasteczka miętowe

wypiekane na Gwiazdkę. - Uśmiechnął się i był to chyba pierwszy

uśmiech, na jaki się zdobył od dnia wybuchu bomby. - Może nam je

podadzą do herbaty - dodała. Byłoby świetnie, pomyślał.

- Ten hotel znajduje się w pobliżu sklepu Browna Thomasa - usłyszał.

- A co to za sklep?

- Ogromne delikatesy przy Grafton Street.

249

- Widzę, że już znasz mapę Dublina na pamięć.
- Żyje się tylko raz - zaróżowiła się przy tych słowach jeszcze bardziej. Podziwiał jej swadę, ale wiedział, że dojście po wszystkich ostatnich przeżyciach do pełnej równowagi będzie ją jeszcze kosztowało sporo wysiłku. Nadal nie odnaleziono Abigail. Scoop jeszcze długi czas spędzi w szpitalu. Keira pozostaje w Irlandii pod opieką policji. Żona Marcha przebywa w Waszyngtonie, a rodzina Boba - w Bostonie. Sprawy porwania i zamachu bombowego pozostają nierozwikłane.
- Czy już wiesz, kim był ten mężczyzna, który... - Fiona straciła już rumieńce, zadając to pytanie, które Bob jej przerwał:
- Pracujemy nad jego zidentyfikowaniem.
- Widziałam bliznę na jego ramieniu, tato. On uczestniczył w porywaniu Abigail, prawda? - Nagle jakby ugryzła się w język. - Przepraszam, Lucas i detektyw Yarborough powiedzieli, że nie powinnam wypowiadać się na ten temat głośno.
- W porządku, dziecinko.
- A jeśli on ją gdzieś porzucił związaną i zakneblowaną?
- On z całą pewnością nie działał w pojedynkę.
- Przepraszam, że nie mówiłam o tym, że ją widziałam tutaj.
- Abigail też o tym nawet słówkiem nie wspominała, Fi. Cokolwiek było powodem jej strapienia, przypuszczalnie nie uważała go za poważne. Absolutnie nie przewidywała podłożenia bomby na ganku. A może Abigail zajrzała do pubu specjalnie po to, by nakłonić jego córkę do zaprzestania występów w hotelowym pubie? I jeśli to przypuszczenie jest słuszne, to co

nią powodowało? Bob miał milion pytań, na które odpowiedź - jak sądził - wiązała się z Lizzie Rush. Ona wybrała się na Jamaica Plain po południu, w przeddzień wizyty Abigail w hotelu Whitcomb i pubie Murrigan. Następnego dnia Lizzie Rush i Keira telefonowały z Irlandii, ostrzegając przed bombą.

- Jeśli ten Brytyjczyk, zabójca z Beacon Street, uczestniczył w porwaniu Abigail - mówiła Fiona, siadając na krześle naprzeciw ojca - to dlaczego właściwie zabił tamtego człowieka? Czy tamten też należał do bandy opryszków?

- Możemy rozważyć różne możliwości. Mogli się pokłócić. Brytyjczyk mógł uznać tamtego za lekkomyślnego. Albo z chciwości chciał zagarnąć dla siebie całą zapłatę przeznaczoną dla obu.

- A może to wcale nie on zabił tamtego?

- Wiemy tylko to, że nie wiemy, jak było. Dlatego właśnie zbieramy wszelkie możliwe informacje.

- Przyjaciół Simona, Will, musi...

- Czy pamiętasz piosenkę „Whiskey in the Jar”? Fiona przymknęła oczy w sposób, który przypomniał

Bobowi jej matkę: - Oczywiście, że pamiętam. Prosiłeś wiele razy, bym ci ją zagrała.

- Ale nigdy jej z tobą nie śpiewałem.

Fiona nie rezygnowała jednak z drażenia sprawy: - Ten Brytyjczyk, Fletcher, mógł zabić tamtego człowieka w obronie własnej, no nie?

- Mógł. Cokolwiek się stało, Fi, nie ty byłaś przyczyną.

- Ale byłam w oku cyklonu.

- Już się to kończy.

Chciała dodać: Na razie, ale powiedziała: - Jak się miewa Keira?

- Rozmawiałem z nią kilka minut przed twoim telefonem do mnie. Nie czuje się pod tą potężną opieką lepiej niż ty tutaj. Ale wiem, że to konieczne. Simon musi się skupić na swojej robocie.
- Scoop... Przykro mi było widzieć go rano w takim stanie.
- Dałaś dowód odwagi, wybierając się do szpitala sama. On ma się lepiej. Wyjdzie z tego.

Bob starał się zmiękczyć swój głos, by nadać ich rozmowie więcej serdeczności, ale nie opanował tej umiejętności w stopniu dostatecznym.

- Fi - przemówił, przybierając ojcowski ton - Scoop to porządny człowiek. Należy do najlepszych, jakich znam. Ale jest dużo starszy od ciebie. Za jakieś pięć lat może nie będzie to nazbyt jaskrawa różnica wieku, ale teraz powinnaś się spotykać z ludźmi w twoim wieku. Z tymi muzykami tutaj. Na przykład ze skrzypkiem. Całkiem przystojny, prawda?

Fiona przybrała minę pełną zdziwienia: - Tato, Scoop to po prostu przyjaciel.

- Tak? A ten skrzypek?

- Hmm, to też przyjaciel. A poza tym Scoop ma wiele wspólnego z Keirą.

- Zbyt wielu rzeczy się dopatrujesz. Zajmuj się bardziej muzyką.

Podeszła do kolegów z zespołu, wzięła do ręki harfę. Na podium stało kilkanaście różnych instrumentów - każde z nich umiało grać na kilku, dobierali je sobie w zależności od melodii. Wszyscy umieli śpiewać.

Bob wyszedł do lobby i podszedł do Jeremiaha. Tom Yarborough i Lucas Jones już z nim rozmawiali, uznali go za młodzieńca inteligentnego, dzielnego, o twórczej umysłowości. Yarborough określił tę umysłowość nawet

jako nazbyt twórczą, twierdząc, że młody człowiek wie znacznie więcej, niż mówi. Nie kłamie, po prostu starannie odmierza swe wypowiedzi, co Yarborough zawsze uważa za rzucone mu wyzwanie.

- Opowiedz mi o Abigail Browning - Bob zwrócił się z tym żądaniem do młodego Rusha.

Ten zajrzał do swej kartoteki. - Była tu w zeszłym tygodniu. A następnie przedwczoraj wieczorem.

- Ona była? Nie oni...?

- Właśnie ona sama. Za pierwszym i za drugim razem.

- Grano wtedy irlandzką muzykę?

- Irlandzką muzykę gra się u nas każdego wieczora, ale za pierwszym razem ona była u nas po południu. Na herbacie.

- Na specjalnie celebrowanej herbacie czy po prostu na szybkiej herbatce z saszetki?

- Na czymś pośrednim.

- A co z twoją kuzynką?

- Jaką kuzynką?

Odgrywa głupa, pomyślał Bob, ale sprecyzował pytanie: - Z Lizzie. Ta, która odnalazła trupa u krańca alejki przy Beacon Street.

Jeremiah wyjaśnił rzeczowym tonem: - Ona często bywa w Bostonie.

Nasze biura tu się mieszczą.

- To prawda. Tak więc, ile razy była w naszym mieście od czerwca?

- Przyjeżdżała i wyjeżdżała. Chyba nie było jej tu w lipcu. Z pewnością była w sierpniu. Układała z naszym serwisem recepcyjnym plan wycieczek. Te wycieczki to jej specjalność. Ale rozporządza swym czasem wedle własnego uznania.

- Szpiegując Abigail?

Jeremiah przerzucił kartki w swej kartotece. - Nie określiłbym tak tego, co robi.

- No dobrze. Ale wróćmy do Abigail. Jak ją poznałeś?

- Garrisonowie zatrzymywali się u nas. Wynajmują pokoje w naszym hotelu na swe doroczne zjazdy oraz na potrzeby fundacji Dorothy Garrison oraz Fast Rescue. Abigail bywała tutaj z tych okazji, a poza tym jest córką Johna Marcha.

Zamilkł, jakby się zorientował, że posuwa się za daleko. Bob odchylił głowę ku tyłowi, jakby dla zebrania myśli. W tonie, w jakim Jeremiah wymówił nazwisko dyrektora FBI, było coś zagadkowego.

- Czy znasz dyrektora Marcha? - spytał w końcu.

- Nie. Osobiście nie znam.

- Ale go widywałeś? - Bob pojał teraz, co miał na myśli Yarborough, wypowiadając swą opinię o umysłowości Jeremiaha. Jeśli wszyscy Rushowie są tacy jak ten recepcjonista, Yarborough może dostać szału.

Rzucił krótko: - Kiedy?

- On tu przyjeżdża raz w roku. To długa tradycja.

- Z czego się wywodząca? Czyżby w hotelu Whit-comb odbyło się jego wesele? I oni oboje z żoną obchodzą tu swą rocznicę?

- Nie. - Jeremiah przybrał minę, jakby wolał w ogóle nie otwierać ust.

Dodał jedynie: - On tu przyjeżdża na drinka, do pubu Morrigan.

- Sam?

- Tak. Zawsze sam.

- Kiedy?

- W końcu sierpnia, tak o tej porze roku.

- No, no. Od kiedy to trwa? Jeremiah spojrział na swe biurko.

254

- Muszę zabrać się do pracy. Telefonowali reporterzy...
- Nie przejmuj się, jeszcze będą dzwonić. No więc, od kiedy?
- Nie powinienem był nic mówić...
- Ale mówiłeś. Od kiedy, panie Rush? Jeremiaś oblizał wargi. -

Przynajmniej od trzydziestu

lat. Czyli zanim jeszcze się urodziłem.

Przed trzydziestu laty March był detektywem bos-tońskiej policji, a dwudziestojednoletni Bob, syn policjanta, który nie chciał zostać nikim innym, jak tylko detektywem w wydziale zabójstw, mieszkał w południowej części Bostonu. - Do czego ta tradycja nawiązuje?

- Nie wiem, ale skądkolwiek się wywodzi, pozostaje dla mnie zawsze prywatną sprawą dyrektora Marcha.

- Czy może się wiązać z Lizzie lub jej ojcem? Jeremiaś zaczął ścierać jakąś plamkę na swym biurku.

Bob nie zamierzał się wycofywać: - Masz na ten temat jakieś domniemanie?

- Domniemanie to nie fakt.

- Czy wy, Rushowie, mówicie kiedyś wszystko, co na jakiś temat wiecie?

- Fiona jest ogromnie przejęta gwiazdkową wyprawą do Irlandii -

Jeremiaś ułożył usta w fałszywy uśmiech. - Mój ojciec chce zaprosić ją i jej zespół na specjalne spotkanie w naszym hotelu, by się wywiedzieć, co ona pragnie w Irlandii zobaczyć, co chce tam robić.

- Zakupy, chce słuchać muzyki i pić mocną herbatę. Czy rozmawiała z Lizzie o Irlandii?

- Trochę. Zapewne. Nie wiem.

- Kiedy ja byłem dzieckiem, wasz pub tam na dole

był bastionem WASPów<sup>1</sup>. Kiedy wpadliście na pomysł, by przekształcić go w pub irlandzki i dać mu nazwę Morrigan?

Jeremiah wyglądał, jakby chciał się wtopić w blat swego biurka. - Po śmierci matki Lizzie. Morrigan to jej panięskie nazwisko.

- A co się z nią stało? - Tym razem młodzieniec nie cofał się jak ślimak w głąb swej skorupki. Zdawał się wiedzieć, że Bob ma go na widelcu i że może już sobie odpuścić. - Potknęła się na kamieniu brukowym w Dublinie.

- W Dublinie - powtórzył Bob.

- To był wypadek - dodał Jeremiah.

Zanim Bob zdołał wycisnąć z młodego recepcjonisty niemal sylaba po sylabie wszystko, co on wie na ten temat, w lobby hotelowym pojawił się dyrektor John March w asyście agentów FBI. Bob zacisnął zęby i wpił się wzrokiem w młodego Rusha: - Czy macie tu jakiś zaciszny pokój, gdzie mógłbym porozmawiać z dyrektorem Marchem? - spytał.

- Tak. Policjanci pilnujący pańskiej córki...

- Nie odstępają od niej. Dziwne sprawy się tu dzieją, ludzie pragną mieć policyjną osłonę. Nie chcą się narażać.

- Wszyscy pragniemy, by Fiona i jej koledzy byli bezpieczni.

Głos Jeremiaha brzmiał absolutnie szczerze. Wskazał schodki wiodące na balkonowe półpiętro i dodał: - Proszę czuć się u siebie w pokoju Frosta.

- Nazwanym według nazwiska jakiegoś krewniaka czy też ze względu na mróz?

**256**

---

<sup>1</sup>WASP (dosł. osa) - White Anglo-Saxon Protestant - środowisko tradycjonalistów amerykańskich (przyp. tłum.).



- Ten pokój nosi miano poety.

March stanął tuż obok nich bez słowa. Bob doradził agentom FBI, by przetrząsnęli otoczenie i upewnili się, że nie ma żadnych bomb, mikrofonów, szpiegów ani w ogóle Bóg wie czego. Zszedł na chwilę do Fiony, by jej powiedzieć, że będą jej strzec policyjni ochroniarze, a sam uda się z dyrektorem Marchem na półpiętro. Nie przyznał się, że w duchu się modli, by uzyskać pełną prawdę z ust starego znajomego, nawykłego do trzymania języka za zębami.

Powrócił do lobby i obaj panowie weszli do eleganckiego, wyłożonego drewnianą boazerią pokoju Frosta. Większość wypełniających to pomieszczenie mebli wyglądała jakby je przeniesiono wprost z jakiegoś starego wnętrza. Pokryte warstwą kurzu stare książki na półkach, ściemniałe portrety olejne przedstawiające ponurych mężczyzn przypominających Paula Revere'a nie sprawiały jednak przygnębiającego widoku. Ale Bob nie miał głowy do zastanawiania się nad dekoratorskimi umiejętnościami Rushów.

Rozpoczął otwartą rozmowę ze starym znajomym wręcz zaczepnym stwierdzeniem:

- Nie jesteś w porządku wobec mnie, Johnie.

- Powiem ci wszystko, co wiem.

- Skądże! To nie wchodzi w grę w stosunkach z tobą. Powiesz mi to, co uznasz za istotne. Nie wypytywałeś nazbyt szczegółowo o Willa Davenporta, tego Brytyjczyka. Znasz go.

To nie ulegało wątpliwości, ale March przyznał:

- Wiem, że on się przyjaźni z Simonem, ale ja nigdy się z nim nie zetknąłem.

Odpowiedź ostrożna.

- On jest lordem. Synem brytyjskiego arystokraty,

257

*markiza* czy kogoś takiego. Ten tytuł brzmi jakby należał do kobiety, prawda?

March w odpowiedzi uśmiechnął się blado, w jego oczach czaił się ból.

- Bobie, co mam zrobić, aby odnaleźć Abigail? Powiem ci wszystko, co mogę, ale co ty uważasz za wskazane?

- Obaj dochodzimy do kresu - w głosie Boba dało się słyszeć ton współczucia. - Czy myślisz, że Davenport może odnaleźć Abigail?

- Niech robi, co może, by nam dopomóc. Dla dobra jej i Simona.

- Nie dla twojego?

Dyrektor FBI zachował kamienny spokój, kiedy potwierdził:

- On nic dla mnie nie zrobił. Przypuszczam, iż on podejrzewa, że ja osobiście ukryłem pewną informację, co się zakończyło tragiczną śmiercią jego przyjaciół.

- A co ty sądzisz o nim?

- To samo co on o mnie.

- A o tym drugim Brytyjczyku?

- Nie wiem, kto to jest.

- Sprytna odpowiedź, Johnie. Rzec ująłbym tak: nie wiesz, ale masz pewien domysł.

- Moje domniemania ci nie pomogą.

March podszedł do półki z książkami. Były wśród nich zbiory wierszy Roberta Frosta. Bob zauważył, że dyrektor FBI ma na sobie drogi garnitur, starannie wyprasowany, ale sam wydaje się wewnętrznie stłamszony.

- Bywają dni, w których chciałbym być poetą - powiedział, głaszcząc grzbiety książek. - A ty, Bobie?

- Nigdy czegoś takiego nie odczuwam. Lubię być policjantem i ostro przepytować ludzi. Co wiesz o Lizzie Rush?

- Objęliśmy całą rodzinę Rushów opieką FBI.

Nie była to odpowiedź wprost, ale zawierała istotne treści. Bob zrozumiał ją w lot. - Od jak dawna była twoją informatorką?

- Do dziś nie wiedziałem, że to ona jest tą informatorką.

- Bo nie chciałeś wiedzieć, kto to. A więc - od jak dawna?

- Od roku.

Bob wykonał długi, poświstujący wydech nagromadzonego w płucach powietrza. - Była anonimową informatorką?

- Jest sprawna i nie chciała zostać odkryta. Wymyśliła historyjkę... że ustalając jej tożsamość, wystawię ją na niebezpieczeństwo. Jej pomoc była cenna, ale nieproszona.

- A była regularna?

- Okresowa. Myślałem, że to profesjonalistka.

- Tyle że nie jedna z waszych agentek.

- Wątpię, czy byśmy ją zidentyfikowali, gdyby nie stanęła w obronie Keiry i nie przestrzegła cię wczoraj.

- Abigail sprawdzała bostońskie koneksje Estabrooka. Niepokoiło ją zagrożenie, jakie stanowił dla ciebie i Simona.

A stosunki Simona z jej ojcem wprawiły ją w zakłopotanie, nawet jeśli starała się je ukryć. Bob do tego nie dotarł. March wiedział o tym.

- Lizzie Rush nie ma tu teraz - dorzucił Bob.

- Nie wiem, dokąd się udała. Zatelefonowała do mnie zaraz po tym, jak ona i twoja córka...

- Nie spytałeś jej, dokąd się wybiera, jakie ma plany?
- Bob westchnął, znając odpowiedź na to pytanie.
- Przyprawiacie mnie wszyscy o ból głowy. Odnajdę twoją córkę, Johnie. Chcę się dowiedzieć, dlaczego ten łotr, który leży teraz martwy w alejce przy Beacon Street, uprowadził ją, zamiast pozwolić jej zginąć od tej bomby. Jeśli twoje stosunki z rodziną Rushów mają coś wspólnego z tym, co się dzieje, powiesz mi o tym.

March zignorował to zdanie. Powiedział: - Informuj mnie o rozwoju sytuacji.

- Wracaj do Waszyngtonu. Trzymaj się z dala od moich dochodzeń.
- Zaordynuj sobie trochę odpoczynku, Bobie. Gdzie spałeś poprzedniej nocy?
- W apartamencie Keiry.
- Masz od niej nowe wiadomości?
- Tak, oczywiście. Mała wróżka irlandzka przyfrunęła do mnie przez okno zeszłej nocy i wyszeptała mi je na ucho.

March ledwie się uśmiechnął. Bob pogroził mu palcem. - Utrzymujesz za dużo sekretów.

- Są istotną częścią mej pracy.
- Nie wszystkie z nich.

Bob pocałował Fionę na pożegnanie i opuścił hotel Whitcomb w chwili, w której dotarła do niego Theresa. Nie chciała go nawet zobaczyć, ale on się tym nie przejął. Ona wraz z trzema córkami wracała do swego domu w Lexington, gdzie wszystkie pozostawały pod opieką policji i skąd miały możliwość dokładnego obserwowania rozwoju spraw. Nic poza tym się nie liczyło. Niech Theresa robi, co chce. Kupił sobie torebkę

prażonych orzeszków i wybrał się na powrót do szpitala sam. Bez obstawy. Bez podejrzliwego Yarborougha.

Scoop nadal był oszołomiony morfiną, ale wydawał się przytomniejszy niż rano. Bob go poinformował:

- Ta twoja czarnowłosa kobieta nazywa się Lizzie Rush. Czy w rozmowach, które prowadziłeś przy pielenu chwastów, Abigail wspominała ci o niej?

Scoop zbierał przez chwilę myśli, po czym zaprzeczył.

- A czy Fiona opowiadała ci o koncertach muzyki irlandzkiej dawanych w hotelu Rushów, Whitcomb, w pubie Morrigan?

- Tak. Nigdy mi nie przyszło do głowy, że to może grozić jakimś niebezpieczeństwem.

- Poszedłbym chętnie ich posłuchać. Jestem dość zajęty, ale nie jestem drętwym kołkiem - wyznał Bob. - I lubię wiedzieć, co porabiają moje dzieci. I pomagać im.

Żrenice Scoopa zwężyły się, spytał: - Bobie, czy dobrze się czujesz?

- Pewnie, że tak. Muszę coś zrobić ze swoim życiem. Ciągłe babrzę się w tym samym. Ale nie ma powodu do zmartwienia. Skupiaj wysiłki na tym, byś ty się czuł coraz lepiej.

Scoop był jednak nastawiony na innych i powiedział:

- Fiona cię nie opuści. Ale powiedziała, że nie lubi, żeby jej krewni znajdowali się na widowni.

- W porządku, Scoop, daj sobie spokój z tą sprawą.

- Pożałował, że zasmucił naszpikowanego morfiną kolegę. - Czy Abigail wspominała ci o Fionie, pubie Morrigan, o Rushach?

- Ani słowem. Czy ona coś o nich wie? Fiona opowiada mi rzeczy, które tai przed wami obojgiem.

- Nie żartuj. Oczywiście, że ona wie.
  - Abigail coś zaczynała dostrzegać i nie opowiedziała.
- Bob odchrząknął. - Co masz jeszcze nowego?
- Mogę powiedzieć, że... Bobie, do diabła, co jest grane? - Scoop z widocznym wysiłkiem zmienił ułożenie swego ciała. - Weźcie mnie stąd - wykrztusił.
  - Lekarze cię wypuszczą, kiedy tylko będziesz mógł się poruszać, nie brocząc krwią. Do tego czasu...
- Ale Scoop już odpłynął w sen. Bob przyglądał mu się z żalem. Przywykł do dzielenia się myślami ze Scoopem i z Abigail, a teraz nie miał żadnego z nich do dyspozycji.
- Pojechał do komendy miejskiej w Roxbury. Chciał się zapoznać z wynikami dochodzeń, z tym, co agenci zebrali na temat Abigail, bomb, zastrzelonego mężczyzny. Praca wrzała w sali konferencyjnej, przy mapach, komputerach, szkicach sytuacyjnych. Nikt nie wdał się z nim w rozmowę. Musiał marnie wyglądać. Dopadł wreszcie Toma Yarborougha nad filiżanką kawy. Powiedział rozkazującym tonem: - Nic do mnie nie mów. Posłuchaj: chcę, żebyś zbadał bostońskie koneksje Normana Estabrooka.
- Masz na myśli Rushów?
- Bob westchnął. Ten młodzik zawsze wybiegał przed szereg. - Już zacząłeś ich obstukiwać?
- Po prostu wymacuję teren. Zastanawiam się, co się stanie, jeśli włączymy w system Harlana Rusha. To ojciec Lizzie. Hazardzista z Las Vegas, dość rozpustny.
  - Czy federalni rozpętają burzę, jeśli za blisko do niego podejdziemy?
  - Chyba nie zrobi tego FBI.
  - Wobec tego robi to CIA. Wspaniale! Jeszcze więcej typków z Waszyngtonu włączy się w śledztwo.

- Czekają nas naloty nadętych bubków, nie ma co.
- Czy on jest gliną, czy nie, nie pozwolę się temu typkowi wysmyknąć.  
Harlan Rush to gracz. Był nim przez całe życie i jest nim nadal.  
Córka Harlana jest najpewniej odłamkiem zmurszałej skały.
- Rozmawiałeś z nim - Bob raczej to oznajmił, niż o to zapytał.  
Yarborough potwierdził.
- Dobra robota.
- Ale nie wiem, czy to nas zbliża do Abigail.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI**

*Nieopodal Kennebunkport, stan Maine 8:19 po południu czasu lokalnego  
26 sierpnia*

Lizzie weszła na galeryjkę okalającą na wysokości pierwszego piętra jej mały domek położony nieopodal ujścia rzeki Kennebec. Dzień dobiegał końca, jachty i łodzie rybackie dopływały do portu. Weszła do wnętrza - stanowiło je jedno pomieszczenie podzielone na mniejsze zakątki.

Otworzyła szeroko drzwi i okna, by wpuścić wieczorną bryzę. Wyszła na galeryjkę i przymknęła oczy, wsłuchując się w odgłosy dobiegające od oceanu i portu.

Okazały dom, który wybudował jej dziadek Rush, mieścił się o kilkadziesiąt metrów wyżej, na skalistym wybrzeżu. Lizzie lubiła Maine, ale jej ojciec unikał tego domu, podobnie zresztą jak - w nieco mniej szym stopniu

- Bostonu. Mawiał, że woda jest tu zawsze zimna. Nawiedzały go tu wspomnienia, dotyczące jednak nie tego, co tu przeżył, ale tego, co mógł przeżyć.

264



Lizzie miała lat dziesięć, kiedy po raz pierwszy pomyślała, że jej ojciec jest agentem wywiadu, a piętnaście, kiedy się dowiedziała, że istotnie nim jest. Zawsze robił uniki, udzielając odpowiedzi na jej pytania, nawet wtedy, kiedy wprowadzał ją w arkana technik samoobrony - gubienia za sobą pościgu, wprowadzania go na fałszywe tropy, zacierania za sobą śladów i *myślenia* w tych kategoriach.

Dopiero samodzielna wyprawa do Irlandii umożliwiła Lizzie nabranie pewności, że jej matka wcale nie potknęła się o żaden kamień brukowy, a okoliczności jej śmierci - właściwie niemożności jej zapobieżenia - były powodem, dla którego ojciec nauczył Lizzie, jak zaciskać dłoń na gardle napastnika. „Nie ulegaj żadnym dogmatom, napominał, nie zwracaj uwagi na żadne przestrogi ani względy uboczne, kiedy walczysz o życie. Ufaj jedynie swym instynktom. Rób wszystko, co konieczne, by ocalić życie”.

Otworzyła oczy i dostrzegła kormorana żeglującego majestatycznie nad spokojną wodą. Jej babcia w ostatnich latach swego życia spędzała tu tyle czasu, ile to tylko było możliwe, kochała ten dom i wspomnienia, które jej przywodził na pamięć.

- Przesiaduję tutaj otulona wspomnieniami jak ciepłym pledem - zwierzała się swej jedynej wnuczce. Ale na sentymentalne wspominki Edna Whitcomb Rush pozwalała sobie rzadko, zaraz więc dodawała: - Kiedy odejdę, przenieś się tam niżej, Kocham tamto miejsce.

Lizzie uśmiechała się: - Jest magiczne.

- Ty masz romantyczną duszę twojej matki.

- Babciu, czy ty wierzysz w to, że ona potknęła się o kamień?

Pytanie to Lizzie zadawała często, ale babcia odpowiedziała na nie tylko raz, pod sam koniec swego życia:

- Spytam ją o to, kiedy się zobaczymy na tamtym świecie, ale tu, na tym, nie wierzę, żeby to było możliwe. Nigdy nie uwierzyłam w to, żeby twoja matka miała się potknąć i upaść. Ale - i wówczas w jej głosie zabrzmiało starcze drżenie - wierzę, że cokolwiek jej się zdarzyło, sprawiedliwość została naruszona. Twój ojciec upewnił się co do tego.

- Jaka ona była?

- Bardzo podobna do ciebie, Lizzie.

Z rozmyślań wyrwał ją odgłos silnika samochodowego. Spojrzała w stronę zwirowej alejki. Podeszła do balustrady i zobaczyła znajomy samochód podjeżdżający do wozu Marthy Prescott, którym ona się tu dostała. Był to samochód Jeremiaha. Spodziewała się, że to on tu przyjechał w ślad za nią, ale z miejsca kierowcy wyłonił się Will Davenport. Odczekała jeszcze chwilę, ale nikt więcej nie wysiadł. A więc Will przybył sam.

Kiedy do niej podszedł, oparła ręce na poręczy starego krzesła z regionu Adirondack, które ściągnęła z dawnego domu babci, i powiedziała:

- Pojawiłeś się tu wcześniej, niż się ciebie spodziewałam.

- Czy cię zaskoczyłem?

- Nie, ani odrobinę - uświadomiła sobie, że mówi to szczerze. - Masz z bliska znacznie lepszy ogląd sytuacji. Wyobrażam sobie, jak się przedzieras przez góry z ciężkim ładunkiem i wielkim pistoletem.

Uśmiechnął się: - Widzę, że dynamika twej wyobraźni nie tylko ci tę sytuację rozjaśnia, ale i dramatyzuje.

- Ha! Zarówno SAS, jak i MI6 wyposażają swych agentów w ciężki bagaż i wielkie pistolety.

Zmarszczyła brwi: - To Jeremiaś ci powiedział, jak tu dojechać? Mam gadatliwych kuzynów.

- Którzy cię podziwiają, a ja ich za to również podziwiam.

- W każdym razie na tyle, by ich wykorzystać do odnalezienia mnie.

Ale w kącikach jego oczu dostrzegła zmęczenie długim dniem, przelotem przez Atlantyk, zdarzeniami mającymi miejsce w Bostonie i w końcu drogą do Maine. On tymczasem pytał: - Czy ten domek jest twoją własnością, czy też należy do twojej rodziny?

- Nie, to moja własność. Mój dziadek Rush był rybakiem w Maine. Jego synowi powiodło się i poślubił pannę Whitcomb z Bostonu. Ale wrócił tu, wybudował ten duży, ale nie nazbyt wielki, dom. Ja również i ten dom odziedziczyłam. Kiedy przed dwoma laty umarła moja babcia, nikt się nie interesował tym, co pozostawiła.

Will rozglądał się dookoła, wieczorna bryza rozwiewała mu włosy. Jego zielononiebieskie źrenice ściemniały. - Może wszyscy chcieli, żeby to trafiło w twoje ręce.

Lizzie oderwała dłonie od poręczy krzesła i stanęła obok Willa zwrócona twarzą do oceanu.

- Nigdy o tym nie myślałam w ten sposób. Moja rodzina... Willu, ja kocham ich wszystkich. - Skupiła wzrok na kutrze do połowu homarów, który wpływał właśnie do portu. - Moi rodzice zamierzali tu właśnie mnie wychowywać. Ale moja matka zmarła, a ojciec... No i sytuacja się zmieniła.

- Sytuacje zawsze się zmieniają.

Spojrzała na niego z ukosa: - Jak dużo o mnie wiesz? Znów się uśmiechnął: - Nie dość dużo, jak na moje potrzeby.

Nie spodziewała się seksualnego podtekstu w jego słowach, ale wyczytała go w jego oczach. I wcale jej to nie poirytowało - przeciwnie, sprawiło jej przyjemność. Powiedziała: - Przejrzałam to, co piszą o twojej rodzinie w *Burkę 's Peerage and Gentry*.

- Byłaś w Londynie w lipcu.

- Josie miała dużo roboty z prześledzeniem moich szlaków?

- Sporo. Rozmawiałem z nią w drodze tutaj.

- Wyobrażam sobie, że FBI chciałoby z nią porozmawiać.

- Dałem im jej numer.

- A ty pewnie łowiłeś w Szkocji ryby, kiedy ja byłam w Londynie.

Wystrzegałam się wtedy wszelkich szpiegowskich radarów. Spotykałam się z ludźmi w barze hotelowym, do którego zaglądaliście z Simonem często na drinka, przechodziłam obok studia sukien ślubnych twej siostry. Nigdy jej nie zobaczyłam i nawet nie próbowałam zobaczyć. - Odchyliła się od balustrady. - Byłam po prostu hotelarką na wakacjach w Londynie.

- Nic o tym nie wiedziałem.

- I o to mi chodziło. Trzymałam się z dala, byś nie mógł mnie dostrzec.

- Miałaś swoje powody.

Lizzie zwróciła ku niemu twarz: - Być może powinieneś wrócić do Bostonu i dołączyć do Simona oraz agentów FBI, by im pomóc w odnalezieniu Mylesa Fletchera.

- Przede wszystkim powinniśmy odnaleźć Abigail Browning. Odszukanie Mylesa nie jest tak ważne jak zapewnienie jej bezpieczeństwa.

- Willu... to miejsce jest moim azylem. Ja nigdy...

- przerwała, próbując zdobyć się na uśmiech. - Zapraszałam kuzynów na świeże homary, ale w tym domu przebywałam zawsze sama.

- Rozumiem cię, Lizzie. Dokonałam aktu inwazji...

- Inwazja to zbyt mocne określenie. Miałam tu inwazję mrówek.

Dotknął palcem kącika jej ust. - Wyobrażam sobie ciebie walczącą z mrówkami. - Przeciągnął palcem po jej dolnej wardze. - Jak się czujesz, Lizzie? - spytał miękko.

- W porządku. Dobrze. Dziękuję.

Tętno jej przyspieszyło, ale nie zwracała na to uwagi. A więc reaguje na tego mężczyznę. Traci przy nim zdolność obiektywnego rozumowania.

- Nie jestem kimś, kto leży zastrzelony u krańca alejki, ani kimś poranionym odłamkami bomby... - zaczęła, ale nagle przerwała, myśląc o tym, dokąd Norman mógł uprowadzić Abigail albo co mógł jej zrobić.

Pojęła, że musi go powstrzymać. Otworzyła szeroko oczy i powiedziała: - Nie chcę, żeby jej wyrządził krzywdę.

Uniósł dłonią jej brodę tak, by móc zajrzeć jej w oczy:

- Cokolwiek się stanie, nie ponosisz za to winy. Poczucie winy donikąd nas nie zaprowadzi. - Pocałował ją czule w usta. 7- Od dłuższego już czasu marzyłem o tym

- wyszeptał.

Lizzie się uśmiechnęła: - W czasie długiego przelotu przez Atlantyk...

- Wcześniej. Zacząłem się zastanawiać, jak by do tego doprowadzić, kiedy próbowałaś zignorować moją obecność w pubie Eddiego O'Shea. A potem, kiedy cię zobaczyłem poskramiającą Michaela Murphy'ego - pocałował ją ponownie - i myślałem, że spełnienie tych marzeń jest tylko kwestią czasu.

- Taki byłeś pewny siebie?

Tym razem pocałowali się w nagłym porywie, ona objęła go ramieniem, by przywrzeć doń bliżej. Poczwała też pragnienie, by on objął ją, by ich usta zwały się jak najściślej.

- Marzyłem o pocałowaniu ciebie - wyznał.

- Mam nadzieję, że się nie zawiodłeś. Roześmiał się. - Nie zawiodłem, ale

- odsunął się od

niej o pół kroku - marzę o czymś więcej.

- Willu...

- To też przecież tylko kwestia czasu, prawda, Lizzie?

Ona również żywała taką nadzieję. Cały jej układ nerwowy tego oczekiwał. Wyszepiała: - Śmiało sobie poczynasz, lordzie Davenport.

- I nie wstydzę się tego.

Zwrócił twarz w stronę oceanu, a Lizzie odsunęła się od niego po tym pocałunku, zadając sobie w myślach serię pytań: Kim jest ten mężczyzna? Co ona o nim wie i dlaczego się tu zjawił?

- Może wzajemna atrakcyjność jest nieuniknionym wynikiem adrenaliny nagromadzonej w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Ona pobudziła nasze zmysły.

Will wydawał się uradowany: - Okazałaś się atrakcyjna jeszcze zanim adrenalina weszła w grę.

Odczuła wewnętrzne ciepło. Rozejrzała się wokół. Wzdłuż koryta rzeki rozblysnęły światła gospód i domów.

Will spytał, wracając do spraw natury ogólniejszej: - Czy Estabrook zna to miejsce?

- Tak.

- Myślisz, że się tu pojawi?

275

- Myślę, że on wie, że ja się tu wybiorę.

- Lizzie, nie możesz już dłużej stawiać mu czoła samotnie. Nikt tego po tobie nie oczekuje.

- A co zrobisz, jeśli ci powiem, że on porwał Abigail ze względu na mnie? Co ty na to? Co twoim zdaniem powinnam w takiej sytuacji zrobić? Nie wahał się ani chwili: - To samo co dotychczas. Nie jesteś ani przestępcą, ani reprezentantką prawa.

- Czy to John March cię poprosił, żebyś miał oko na mnie? Głos mu posmutniał. - Nie pracuję dla Marcha.

- A królowa cię o to nie prosiła? Albo twój przyjaciel premier? - Nie czekając na odpowiedź, dodała: - Przyjechałeś tu, tropiąc Mylesa Fletchera.

- Przyjechałem tu, bo chciałem ci pomóc. Odczuła chłód wieczoru. Lato w Maine dobiegało już końca. Powiedziała: - Dziękuję. Will nie wyrzekł ani słowa.

- Byłam tu tego lata z Normanem na spływie kajakowym. Jeśli tylko...

- Bardzo łatwo zaplątać się we wzajemne wyjaśnienia. I to do niczego nie prowadzi - przerwał jej Will.

- Może to mafia narkotykowa wynajęła twojego znajomego, Fletchera, by się zajął Normanem - spowodował wypadek lotniczy, zmanipulował go, wyeliminował i zastrzelił. Może wczorajsze i dzisiejsze wydarzenia nie są wynikiem działań Normana. W takim wypadku wcale nie mielibyśmy w rękę klucza do odnalezienia Abigail.

Przypatrywała się mewom przygotowującym się do noclegu na skałach. Po chwili odrzuciła te przypuszczenia: - Nie, to jednak sprawka Normana.

- Przywykłaś do dochowywania sekretów. Do niein-

formowania innych o tym, co wiesz. Do nieufności wobec wszystkich. -  
Objął ją, przytulił do siebie i dodał:

- Lizzie, nie jesteś osamotniona.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi, zanim odcięła sobie odwrót: - Trudno być osamotnioną pośród roju tropiących mnie agentów federalnych, policji bostońskiej i MI6. - Obdarzyła go krótkim pocałunkiem. - Daj już spokój. Mogę przynajmniej przygotować kolację.

Weszła do wnętrza, a on wszedł za nią. Zachowywał się równie pewnie, jakby się znajdował w Londynie, w Szkocji, w domu swego ojca markiza albo gdziekolwiek, dokąd go zawiodły losy. Podszedł do ściany obwieszanej fotografiami rodzinnymi, które Lizzie własnoręcznie oprawiła w ramki. Odwrócony do niej plecami, spytał:

- Jak doszło do twego zaznajomienia się z Estabro-okiem? Inni jego znajomi nie wiedzieli, że on dokonuje przestępczych machinacji. Skąd ty się o nich dowiedziałaś?

- Ciekawa sprawa - odpowiedziała, otwierając lodówkę. - Po pierwsze, mam poczucie odpowiedzialności i usuwam wszystko, kiedy stąd wyjeżdżam. Nie mam nawet koszyczka jagód, żeby cię poczęstować.

- Kiedy tu ostatnio byłaś?

- Przed paroma tygodniami. Nie mam obowiązku stawiania się co dzień do pracy. Tymczasem trochę się kręciłam po świecie, na przykład byłam w Londynie, ale zwolniłam tempo po tym, jak aresztowano Normana. A kiedy się dowiedziałam, że on zabiega o zawarcie z władzami układu... -

Otworzyła kredens i westchnęła:

- Mam kilka puszek z fasolą i salsę. Kucharzenie nie jest moim ulubionym zajęciem.

Will przypatrywał się uważnie jednemu ze zdjęć na



samej górze. Spojrzał w jej stronę i spytał: - To twój ojciec?

- Opanowałaś umiejętność rozpoznawania kolegów po szpiegowskim fachu - stwierdziła i przeglądała dalsze produkty znalezione w kredensie.

- Mąka kukurydziana i przyprawy korzenne w niczym nam nie pomogą.

Jak sądzisz, chyba powinnam zakończyć te poszukiwania, prawda?

- Chyba tak - potwierdził z uśmiechem, odszedł od ściany ze zdjęciami i usiadł na barowym stołku. Lizzie zamknęła kredens. Wróciła do jego głównego pytania.

- Przez długi czas nie wiedziałam, kto jest dobry, a kto zły, kto jest strażnikiem prawa i zupełnie się nie orientowałam w sprawach Normana. Ale utrzymywałam kontakt z Marchem. Miał dla mnie znaczenie kluczowe. Nie podejmowałam szaleńczego ryzyka. Poznałam kilku znajomych Normana z mafii narkotykowej, w końcu też... paru machos, wiodących luksusowe życie obfitujące w przygody seksualne, a przy tym bardzo brutalnych. Wykorzystywali słabość innych dla swej przyjemności.

- Kiedy się z nimi po raz pierwszy zetknęłaś?

- W kurorcie na Kostaryce. Sfotografowałam ich i przesłałam e-mailem te zdjęcia do FBI.

- To znaczy do Johna Marcha.

- Tak. - Spojrzała na Willa, odczuwając coś w rodzaju ulgi, że poprosił o potwierdzenie swego domniemania, chociaż zapewne go nie potrzebował. I dodała: - Zwraçałam się do niego ze względów osobistych. Ale nigdy się nie spotkaliśmy. Widywałam go tylko z odległości.

Była to prawda, ale zarazem i wybieg.

- Doceniam pieniądze - ciągnęła - ale nie należę do ligi Normana. Rozbijałam na cząstki to, o co on gorąco zabiegał.

- To przede wszystkim Marchowi przekazywałaś informacje?  
Skinęła głową. - Sama wpadłam na ten pomysł, ale on już uprzednio rozpracowywał Normana. Simon podjął wielkie ryzyko i zdobył kluczowe dowody przeciw niemu. Ja robiłam co mogłam, aby dochodzenie mogło być prowadzone we właściwym kierunku.
- Norman ufał i tobie, i Simonowi.
- Na różne sposoby, ale Norman ma bardzo szczególne wyobrażenie o zaufaniu. On jest słońcem własnego uniwersum, pępkiem wszechświata. Inni to małe planety, ale pożądane jako element otoczenia. Ja byłam planetką szczególnie małą, ale też szczególnie mile widzianą. To mi bardzo pomagało.
- Atrakcyjna, elegancka, żywotna Lizzie Rush? Skłoniła głowę z wdzięcznością: - Komplementy przyjmuję, zwłaszcza od człowieka, który widział mnie walczącą z nożownikami oraz klęczącą w błocie i nawozie.
- Nigdy nie zapomnę tego widoku.  
Próbowała się roześmiać, ale nie udało jej się to. - Ojciec Normana był policjantem. Na ile zdołałam się zorientować, Norman odczuwał wobec niego coś w rodzaju kompleksu niższości, mimo iż uważał, że ojciec nie dorastał nigdy do rang, które uzyskiwał.
- Wystąpienie przeciw Johnowi Marchowi i FBI dawało mu poczucie własnej wartości, czyniło ważnym we własnych oczach. Jak ty to znosiłaś, Lizzie? Przez cały rok?
- Nie mogłam uciszyć dzwonu, skoro już zaczął bić. Co wiedziałam, to wiedziałam. A ja starałam się pomóc. Nie przez cały ten czas przebywałam z Normanem. Nie spędziłam z nim tyle czasu co Simon.

Zbierałam nazwiska, twarze, numery telefonów. Byłam ostrożna. Nie chciałam, żeby March się zorientował, że to ja jestem informatorką. Jeśliby coś poszło nie tak, mógł winić wyłącznie siebie.

- I nigdy nie próbowałam zbliżyć się do Simona, aby się przekonać, że można mu zaufać?

- Nie mogłam sobie pozwolić na zaufanie do nikogo. Will skupił na niej spojrzenie swych zwięzonych

źrenic. Poczula, jak od tego przenikającego ją na wskroś spojrzenia topnieje we wnętrzu. - Nic więcej nie masz do powiedzenia, Lizzie? Jest przecież coś więcej.

Wyrwała się spod jego spojrzenia, przeszła na drugą stronę kredensu i usiadła na stołku barowym obok Willa.

- Jak się miewa Josie Goodwin? Myślę, że ona też pracuje w MI6. Czy już skompletowała moje dossier?

- Jeszcze nie jest skompletowane.

- Czy ona wie, że lubię zapach lawendy?

Do wnętrza domku dostał się chłodny powiew bryzy. Will siedział tak blisko. - A lubisz?

- Nie wiedziałam czemu, aż do pierwszej wyprawy do Irlandii, kiedy jeszcze byłam w college'u. Pojechałam tam sama, ojciec nigdy mi nie towarzyszył. W sklepie z kosmetykami doznałam swego rodzaju szoku

- wwąchiwałam się w saszetkę z lawendą w istnym upojeniu, zaśmiewając się z radości, wykrzykując ze szczęścia. Wiedziałam, że tak reaguję, ponieważ matka lubiła lawendę.

- Dorastanie bez matki musiało być ciężkim doświadczeniem.

- Nie doznałam żadnego innego. Obserwowałam wzajemne relacje innych dziewczynek i ich matek...

- Nagle Lizzie zsunęła się z barowego stołka. - Kocham moją rodzinę. Mój ojciec jest zagadką dla nas wszyst-

kich. Mój wój i ciotka są mili, ciężko pracują, całym sercem oddają się naszym hotelom i moim kuzynom. A także mnie. Ale wiesz o tym wszystkim, prawda? Josie cię poinformowała.

- Częściowo - obdarzył ją przy tym zagadkowym uśmiechem. - Josie ma wnikliwy umysł, jest bardzo dociekliwa, ja nie bardzo...

- A ja o tobie nie mam wiedzy dostatecznej. Londyn, Szkocja, lordowie, damy. Masz własne pieniądze, a w każdym razie rząd Zjednoczonego Królestwa chce, abyśmy w to wierzyli.

- Lizzie...

Posunęła się zbyt daleko i gdyby ją teraz pocałował, byłaby zgubiona.

- Nie ma nic w lodówce, myślę więc, że zejdziemy w dół, ku ujściu rzeki i zafundujemy sobie homara na kolację.

On także zsunął się z barowego stołka, stanął obok niej i odgarnął jej za ucho kosmyk włosów, który wysmyknął się zbyt daleko do przodu.

- Myślę, że odnalazłem właśnie moją życiową partnerkę - powiedział, a smutek wypełnił jego spojrzenie równocześnie z uśmiechem, w jaki Will ułożył swe usta.

Usiedli przy nakrytym czerwonym winylem stoliku na zewnątrz. Turyści zajmujący sąsiednie stoliki - było ich sporo przy tej ruchliwej drodze - przypatrywali się Willowi, jakby podejrzewali, że musi być kimś niepospolitym. Jakimś brytyjskim arystokratą, pomyślała Lizzie, odczuwając satysfakcję.

- Zapomnij o cholesterolu i zamów zupę z małży,

homara, a na deser ciasto z jagodami - gorące, ale obłożone lodami.

- A co z sałatą?

- Sałatę też, oczywiście.

Uśmiechnął się. Ale ograniczyli się do zupy z małży i sałaty.

Lizzie nareszcie zrzuciła z siebie zmęczenie nagromadzone w ciągu minionych dwóch długich dni. Zagadnęła: - W jakich okolicznościach zaprzyjaźniliście się z Simonem?

- On mi uratował życie.

- Zagrożone przez Mylesa Fletchera?

Will zagłębił się w krzesło, palcem popukał w skraj stolika osłonięty serwetą: - Zbyt głęboko wnikasz w sprawy, Lizzie.

- Mój ojciec nauczył mnie uważnie obserwować ludzi.

- Dowodziłem małą ekipą działającą w głębi terytorium Afganistanu.

Ufaliśmy - *ja* ufałem - Mylesowi. A on nas zdradził. Do wczoraj miałem wszelkie powody do tego, by uznać, że został ujęty i stracony przez swych przyjaciół terrorystów.

- A twoja ekipa? - Lizzie odczuwała narastający w niej lęk. - Co się z nią stało?

- Jej członkowie polegli w walce.

- Jak się nazywali?

- David Mears i Philip Billings. Najlepsi w całym Zjednoczonym Królestwie. I najlepsi ludzie, jakich znałem.

Lizzie usłyszała warkot silnika mijającego restaurację samochodu i poczuła aromat muszli, które kelner im właśnie serwował, ale myślami przebywała w Afganistanie, z ludźmi, których nie znała. Wykrztusiła: - Bardzo mi ich żal.

- Ja powinienem był zginąć zamiast nich. Wiedziała, że mówi to szczerze.

- Ludzie dochowują ci lojalności. Josie Goodwin. Twój podwładni.

- Ale nie Myles - jego głos brzmiał rzeczowo, bez domieszki goryczy, po prostu konstatował prawdę. - Zawierzyłem mu. Wydałem Davida i Philipa na śmierć.

- Nie ufasz od tamtej pory nikomu i nie wymagasz zaufania od innych, prawda, Willu? Tym samym nikt nie może sprawić ci zawodu.

Lizzie pochyliła się nad stołem ku swemu rozmówcy, jedynemu człowiekowi, który w tej chwili istniał dla niej. Była skupiona w sobie i oddana swej misji, podobnie jak on, ale nad jego wnętrzem pastwiły się zmory przeszłości. Dodała: - Chciałabym, abyś któregoś dnia roześmiał się serdecznie.

- Lizzie...

- Musisz się dowiedzieć, co się działo z Fletcherem przez ostatnie dwa lata. A także co się naprawdę zdarzyło w Afganistanie. To, co wiedziałeś o tych sprawach dotychczas, okazało się teraz dość mgliste. Czy mam rację?

- Lubię jasne sytuacje - Will uśmiechnął się przy tych słowach leciutko. Z sąsiednich stolików dobiegały do nich odgłosy radosnego śmiechu, będące wyrazem bez troski spędzanych wakacji. Lizzie nałożyła na siebie przed wyjściem z domu sweterek, ale nadal odczuwała chłód.

- Czy John March odegrał jakąś rolę w tym, co miało wówczas miejsce w Afganistanie?

Will zawahał się lekko, zanim odpowiedział: - Myślę, że skoro tyle ci już opowiedziałem, mogę równie dobrze... - rozejrzał się wokół - dodać, że Simon odnalazł

mnie w pieczarze, w której byłem osaczony. Jestem przekonany, że przebywał w tym miejscu na polecenie Marcha. David i Philip już nie żyli. Myles został uprzednio pojmany. Simon miał przy sobie jedynie siekierę i linę, ale możesz go sobie wyobrazić.

- Jest zbudowany jak byk. Czy on i March wiedzą o Mylesie?

- Tak. Z całą pewnością.

Tym razem w jego głosie pobrzmiwała nutka rozgoryczenia.

- Fletcher by cię zabił, gdyby mu się nadarzyła sposobność, prawda?

- Poszukałby takiej sposobności.

- Właśnie dlatego, że wiesz, iż on żyje - stwierdziła Lizzie.

- Dlatego, że wszystko, w co wierzyłem przez ostatnie dwa lata, jest

prawdą, wiedziałem też, co on zrobił. - Will skierował spojrzenie ku

kwiaciarni znajdującej się po drugiej stronie wąskiej ulicy i ku

sąsiadującej z nią gospodzie. - W pewien sposób mam nadzieję, że jeśli

Myles pragnie mojej śmierci, to dlatego, że nie może dopuścić do tego,

byśmy wiedzieli, że on żyje. Gdyby był martwy, moglibyśmy uważać, że wcale nas nie zdradził.

- Mógłby uznać, że nadal tkwi w nim coś na podobieństwo sumienia. -

Lizzie sięgnęła ręką po dłoń Willa

i uścisnęła ją przez stół. - Mógłby także głosić, że wie, iż ty nie

spoczniesz, dopóki go nie odnajdziesz. Lordzie Davenport, jesteś

przystojny i nieuchwytny i uważam, że straciłam dla ciebie głowę. To nie

tylko sprawa adrenaliny ani oszołomienia długim lotem.

Uśmiechnął się: - To się okaże.

- Czy twoja rodzina dozna szoku?

- Będzie uszczęśliwiona. Wprawiałem ją już nieraz w zakłopotanie. Podano im parujące talerze z zupą. Lizzie otworzyła paczkę ostrygowych krakersów i wsypała je do swego talerza. - Spośród nas wszystkich najlepsze zupy przyrządza nasz kuzyn Whit. Czy twoi znajomi z MI6 i SAS obstają za Fletcherem? A Izba Lordów? Premier? Słyszałam, że kolegowaliście się ze sobą.

Will wyglądał na kogoś, kto jest zarazem rozgoryczony i rozbawiony. Lizzie wzruszyła ramionami. - A żeby wprowadzić odrobinę poczucia humoru w naszą niezbyt wesołą sytuację: czy jesteś dla Fletchera magnezem?

- Przypatrywała mu się uważnie. - Tak przypuszczasz, prawda? Czy podejrzewasz, że Normana łączą jakieś związki z tymi samymi ludźmi, z którymi miałeś do czynienia w Afganistanie?

- Nic nie jest wykluczone.

- Efekt powracającej fali. Czy po tym, jak Simon ocalił ci życie, rozglądałeś się w poszukiwaniu Fletchera?

- Dniami i nocami, przez długie tygodnie.

- Jak myślę, nie pragnął zostać odnaleziony. Jak mówiłeś, jest niebezpieczny, prawda?

Jego odpowiedź nie stanowiła wyzwania dla panującej wokół nich swobodnej, rozluźnionej atmosfery:

- Myles nie mógł być zaangażowany w każdy element tego, co się wczoraj zdarzyło w Bostonie i w Irlandii. W przeciwnym razie wydarzenia te pociągnęłyby za sobą całkiem inne skutki.

- Chcesz powiedzieć, że on nie popełnia pomyłek? W każdym razie pomyłek tak ewidentnych. To profesjonalista.

- On jest z pewnością obdarzony szóstym zmysłem do...



- ... do szpiegowania?

Tym razem Will skwitował jej żart szczerym uśmiechem: - Zabieraj się za zupe, Lizzie.

Po kolacji podeszli pod okazały dom, który jej dziadek wybudował na skałach nad oceanem. Nic nie wskazywało, by ktokolwiek jeszcze miał się znajdować w pobliżu. Niekiedy Lizzie przemyśliwała o renowacji tej budowli, by zamknąć rozdział jej historii związanej z jej matką i rozpocząć nowy okres istnienia rodowej siedziby. Jej ciotka zapytywała, czy Norman jest dla Lizzie kimś ważnym - odetchnęła z ulgą, kiedy usłyszała zaprzeczenie temu przypuszczeniu. Ciotka nic nie wiedziała o jego podejrzanych koneksjach, ale osoba Estab-rooka budziła w niej niechęć.

- Lizzie - tłumaczyła - on j est pochłonięty wyłącznie sobą samym. Nie dokonałabyś dobrego wyboru. Potrzebny ci jest co najmniej rzetelny partner. Nawykłaś do samodzielności, ale ona nie zawsze rozwiązuje sprawy. Powinnaś zaglądać pod różne skałki i przypatrywać się różnym żabkom.

Henrietta zastępowała Lizzie matkę, może nawet w stopniu większym niż babcia, ale żadna kobieta nie mogła stać się matką dla Lizzie. Energiczna, twórcza, niezasklepiąca w tradycyjnych rutynach, Henrietta Rush była oddaną żoną i matką czworga dzieci. Córka głównego zarządcy hotelu Whitcomb poznała Bradleya Rusha właśnie wtedy, kiedy sporządziła sobie listę stu błędów, jakie jej ojciec dostrzegł w sposobie prowadzenia hotelu. Oboje mieszkali w tej samej, naśladowującej styl wiktoriański, północnej dzielnicy Bostonu. Lizzie czuła się w ich domu u siebie bardziej niż gdziekolwiek indziej. W okresie gdy dorastała, jej ojciec utrzymywał w Bostonie apartament umożliwiający pozostawianie

Lizzie pod opieką swego brata i bratowej na długie tygodnie, które spędzał w podróżach, w jakie nie mógł zabierać córki ze sobą.

A kiedy Lizzie ukończyła college, ojciec osiadł w Las Vegas.

- Miałam tu dorastać - opowiadała Lizzie wtulona w Willa. Wsłuchiwała się w odgłos fal uderzających o skały wybrzeża. - Ale matka zmarła, a ojciec - myślę, że z tego powodu wycofał się z pracy w CIA czy jakiejś podobnej agencji, z którą był związany.

- Przypuszczasz, że jej śmierć pozostawała w związku z jego pracą?

- Uważam, że nie znam wszystkich faktów związanych z jej życiem i śmiercią.

Wracali do jej domku spleceni uściskiem. Powietrze nasycone wonią oceanu stawało się coraz chłodniejsze.

Lizzie myślała o tym, że tę noc prześpi w jego bliskości. - Jeszcze się nie otrząsnęłam z irlandzkiego czasu - powiedziała.

- Nie pomogło ci w tym odnalezienie zastrzelonego człowieka.

- Nie myślałam o nim. Po prostu działałam, jak należało.

- Dzielnie się spisywałaś. - Wskazał jej mały domek: - Czy tu przemieszkiwałaś?

- Czasami. W lipcu sypiałam przy otwartym oknie. Stał naprzeciw niej, jakby pragnął przebić się przez wszystkie osłony i dotrzeć do jej duszy.

- Co było nonsensem.

Ona pozostawała skupiona, niepodatna na romantyczne fantazje. Ale ujęła go za rękę i wtuliła się w niego. Otoczył ją ramionami, ona odchyliła głowę do tyłu tak, że mógł widzieć jej twarz.

- Kiedy wszedłeś do pubu Eddiego O' Shea... - zamilkła niepewna, czy zdoła mu powiedzieć, co wtedy czuła.

- Było coś w atmosferze tej wioski. Czułam się, jakbym stamtąd się wywodziła, jakbym siadywała tam przy ogniu, czytając ludowe baśnie. Kiedy przebywałam w Londynie, myślałam, że jesteś jeszcze jednym szpiegiem. Właściwie cię nie zobaczyłam...

Uśmiechnął się: - Nie zbliżyłaś się na tyle...

- To było zbyt niebezpieczne - uwolniła rękę z jego objęć i wsunęła ją pod jego sweter.

- Nie wiem, czy cię pragnę wyrwać z kręgu twych romantycznych wyobrażeń o mnie.

- Uważasz, że jesteś tak seksowny...

Przerwał jej wywód pocałunkiem tak mocnym i jednocześnie czułym, że zaparł jej dech w piersiach. Przywarła doń jeszcze mocniej, by zachować równowagę.

- Łamię dla ciebie wszystkie moje zasady - wyszeptał.

- Przywykłeś do dyscypliny i wyizolowania...

- Mój ojciec pozostawiał złamane serca na szlaku swej wędrówki życiowej. Od wczesnych lat nabrałem przekonania o niebezpieczeństwach związanych z romantycznymi porywami.

- *Porywami*. Bojaźliwe słowo.

Znów ją pocałował, unosząc ku swym ustom. Ona poddała się całemu wachlarzowi doznań: powiewom pachnącym oceanem, odgłosom mew i pluskowi fal, swemu pożądaniu... i poczuła jego smak. Wyobraziła sobie, że wnosi ją do sypialni, by kochać się z nią do białego rana. Ale wiedziała, że to się nie zdarzy. Nie tego dnia.

Will odsunął się po chwili, czy też to ona oderwała się od niego, zwracając twarz ku wodzie. Odchrząknęła i poprawiła na sobie bluzkę: - Powinniśmy teraz skupić się na Abigail, Normanie, Fletcherze i całej tej sytuacji.

Will odpowiedział poważnym tonem: - Nie my powinniśmy się skupić, Lizzie.

- Tak, Willu, masz brytyjski paszport. Jesteś cudzoziemcem. Powinieneś snuć się po południowej części stanu Maine własnymi drogami.

- Lizzie...

- Wiem, co chcesz powiedzieć, ale teraz ja jestem tu i jestem bezpieczna. Mam nadzieję, że FBI i policja bostońska odnajdą Abigail i aresztują Normana jeszcze dzisiejszej nocy. Chciałabym obudzić się jutro rano i nie mieć żadnych zadań oprócz wyprawy po homara.

- Ja też bym tego chciał, ale niezależnie od tego, co się wydarzy do rana, powinnaś pozostawić Mylesa i Estabrooka profesjonalistom.

- A jeśli znalazłam się w niewłaściwym czasie i w niewłaściwym miejscu z Normanem i jego przyjaciółmi z mafii narkotykowej? To co wtedy? Nie czekała na jego odpowiedź. - Ty masz swoją robotę do wykonania. Nie chcę ci stawać na drodze. Ale zakochałam się w tobie. Wysokim, rzetelnym, przystojnym i lojalnym - możesz po prostu wędrować przez irlandzkie pastwiska, a nie uwalasz sobie butów łajnem.

Ujął jej dłoń i pocałował bez cienia erotycznej przy-milności. Uśmiechał się, mówiąc: - Wy, Rushowie, niczego nie robicie połowicznie?

Takie słowa z ust człowieka, który walczył z terrorystami!

Pocałował ją w czoło. - Powędrujemy sobie Szlakiem Beary. Pewnego dnia.

Odsunął się, zdejmując dłoń z jej ramienia.

- Idź spać, Lizzie. Ja tu zostanę. Nigdzie się stąd nie ruszę, a nie chcę wykorzystywać słabości kobiety ślaniającej się ze zmęczenia na nogach.

- Willu...
- Mamy czas.
- Mam nadzieję, że mamy. Ty też musisz być zmęczony.
- Spałem w samolocie. Nie miałem przy sobie kart, żeby zagrać w brydża, i korzystałem z prywatnego odrzutowca.

Poczuła się jakby urażona:

- A pasażer siedzący w rzędzie za mną ustawicznie trącał kolanami mój fotel...

Roześmiał się cicho: - Następnym razem może się dwa razy zastanowisz, zanim ułożysz się do snu w sąsiednim pokoju, za ścianą.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY**

*Boston, Massachusetts*

*10 wieczorem czasu lokalnego*

*26 sierpnia*

Fiona odstawiła swą klasyczną harfę w róg pokoju bawialnego w domu Garrisonów. Bob spróbował brzdą-knąć na jednej strunie. Fiona pokazała ojcu, jak się to robi, ale efekt jego wysiłków okazał się niewspółmierny do czystych, głębokich tonów, jakie z tego instrumentu wydobywała córka. W komendzie policji bostońskiej miała się za chwilę odbyć narada. Dokonano pewnego postępu, ale nadal nie odnaleziono Abigail ani też nie zidentyfikowano jej porywaczy. Bob ruszył ku wyjściu.

W hallu czekał na niego Yarborough.

- Poruczniku?

- Słucham, co nowego?

Yarborough, który przez cały wieczór był mroczny, teraz niemal promieniał zadowoleniem. - Znaleźliśmy dowód osobisty zastrzelonego. To Walter Bassette, oprych z południowej dzielnicy Bostonu. Lucas wraz

z kilkoma detektywami i dzielnicowym jest już w drodze do jego mieszkania.

Bassette. Bob lubił zapamiętywać nazwiska. Pochwalił Yarborougha.

- To nie moja zasługa. Po prostu pana informuję.

- Yarborough był ambitny, ale i rzetelny. - Sprawdzamy, czy Bassette był ostatnio w Irlandii albo rozmawiał przez telefon z kimś stamtąd, lub stykał się z kimś przyjezdnym.

- Bomby nie były nazbyt skomplikowane, mogły zostać wyprodukowane tu, na miejscu. Ktoś musiał wynająć tego Murphy'ego w Irlandii. Jeśli to był Bassette... - Bob zawiesił głos na chwilę. - Kto więzi Abigail teraz? Co Bassette robił w tej alejce?

Yarborough potarł nos dłonią.

- Bassette wiedział, że Fiona go widziała - ciągnął Bob. - Nawet ją zagadnął. Zjawił się tam, by ją zabić.

- Proszę o tym nie myśleć. Ona nie jest celem ich akcji i pozostaje pod opieką policji. Nikt się do niej nie zdoła zbliżyć. - Yarborough wszedł do pustego pokoju.

- Abigail spędziła tu sporo czasu tego lata. Myślę, że przymierzała się w myślach do zamieszkania w nim z Owenem. Marzyła o przywróceniu tej budowli pierwotnej rangi rezydencji. Ona zajmowała się tu swoimi papierami, podczas gdy on urzędował w biurze fundacji. Niekiedy Fiona i jej koledzy odbywali tu próby przed koncertami.

- Tomie?

Yarborough poczerwieniał na twarzy. Odpowiedział stropiony:

- Nie wiem. Może coś przeoczyliśmy.

Bob uznał to stropienie za osobisty problem młodego detektywa. Sam lubił podlegać emocjonalnym rozter-

kom i odniósł wrażenie, że Yarborough właśnie im ulega.

- Spotkamy się później w komendzie - zapowiedział Yarborough.

- Nie przydałoby ci się trochę pospać?

- Nie ma na to czasu - łypnął okiem w stronę Boba. - My młodzi możemy nie spać przez kilka dni z rzędu.

- Nie zawracaj głowy! - sarknął Bob.

- Może przyda się panu samochód? Ja tu mogę zostać.

- Nie, dziękuję, łyk świeżego powietrza dobrze mi robi.

W gmachu sprawdzono już biurko Abigail, jej komputer, jej auto, wyprawiano się na oględziny do jej mieszkania. Cały dom Garrisonów przeszukano pod kątem bomb. Nie znaleziono niczego.

Bob wspiął się na piętro, do pomieszczeń zajmowanych przez fundację Dorothy Garrison. Rozglądał się za czymś, co Abigail mogła tu pozostawić - i rzeczywiście, w szafie znalazł laptop z nalepką z jej nazwiskiem.

Yarborough miał dobry instynkt. Bob wspiął się na drugie piętro, do apartamentu Keiry. Dopiero niedawno poznały się z Abigail i zbliżyły się do siebie. Simon podarował jej i Owenowi w prezencie ślubnym - ubiegając samą uroczystość - obraz Keiry, który jej nowa przyjaciółka szczególnie sobie upodobała. Owen nie miał w tym względzie żadnych preferencji.

Bob spostrzegł, że drzwi apartamentu Keiry uchylily się i zobaczył w nich Simona.

- Dobrze, że cię nie postrzeliłem - powiedział pół żartem, pół serio. -

Porządnie się spracowałem. Mózg mi się przegrzał. Przyszedłeś tu sam?

- Tak przypuszczam - zażartował Simon.



Zgubił swą ochronę! Bob westchnął.

- Twoi przyjaciele z FBI nie będą tym uradowani.

- Nie ma wiadomości od Owena?

- Rozpoczęto poszukiwanie samolotu Normana. Owen skupia się na swojej misji.

Simon spojrział przez ramię Boba na ekran laptopa. - A to co takiego? - spytał.

Bob wzruszył ramionami: - Może wyszukiwanie stroju ślubnego?

- Przyjrzyjmy im się.

Położyli laptop na stole. Nawet nie bardzo otrzaskany ze sprzętem elektronicznym Bob nie miał trudności z wyłowieniem z laptopa Abigail pliku „hotel Rushów”. Simonowi zwężyły się źrenice.

- Wygląda na to, że Abigail zainteresowała się Lizzie Rush.

Bob nadal klikał. Odnalazł odbitkę artykułu w *Boston Globe* na temat śmierci irlandzkiej żony Harlana Rusha, Shauny Morrigan, w Dublinie, w okresie kiedy ich córka była jeszcze niemowlęciem. Simon zeskanował ten artykuł. „John March poleciał do Dublina i skonsultował się z irlandzkimi oficerami śledczymi w tym przedmiocie. Dał wyraz głębokiego przejęcia tą tragiczną śmiercią”.

Bob sarknął: - Irlandia jest nader odległym celem podróży w kwestii obywatelki tego kraju, która pośliznęła się i upadła, nawet jeśli była zamężna z bogatym bostończykiem.

Znów kliknął i zagwizdał z wrażenia: - Simonie, popatrz, jeszcze jeden artykuł.

Jako agenta FBI w stan alarmu postawiły go zawarte w tym artykule wiadomości, że rodzice Shauny Morrigan i jej brat zginęli w wypadku samochodowym

w drodze do Dublina, gdzie mieli zidentyfikować jej zwłoki. Zapewne byli tak wstrząśnięci jej utratą, że wypadli z szosy na zakręcie i spadli z wysokiego klifu.

- Kolejna tragedia - westchnął Simon.

Bob już wiedział, że musi wziąć ze sobą ten laptop.

- Chodź ze mną do komendy - zaproponował Simonowi.

- Przejrzemy kartoteki. Wiem, że ten drań Estabrook chce twej śmierci, ale ciebie trudno zabić. Myślę sobie, że będę u twego boku bezpieczny.

- Nie - sprzeciwił się Simon. - Idź sam.

Bob domyślił się, co Simon zamierza, i pokręcił głową: - Nie powinienes tego robić.

- Wcale nie powiedziałem, co chcę zrobić.

- Zabranie się za to *solo* grozi ci śmiercią, Simonie. Nie wdawał się jednak w dalszą z nim sprzeczkę, ale

zszedł na dół i wyszedł z budynku. Spojrzał w ciemne niebo i przypomniał sobie, jak zeszłego lata Abigail rwała na strzępki i paliła w ogniu grilla dzienniki prowadzone przez siedem lat po śmierci męża.

Kiedy dotarł do komendy policji, natychmiast poszedł do swego pokoju, rezygnując z udziału w naradzie, i otworzył pliki dotyczące Shauny Morrigan Rush. Zmarła w sierpniu. Był to ciężki okres w historii miasta, szczególnie w jego południowej dzielnicy. March pracował wówczas w bostońskiej komendzie policji, skąd rozpoczął wspinanie się na szczyty kariery. W jaki sposób Irlandka zameżna z zamożnym bostończykiem Rushem pomogła Marchowi w karierze?

Bob zamyślił się nad nawykiem swego przyjaciela, popijającego samotnie od owych czasów co roku w sierpniu w barze Morrigan.

Uświadomił sobie w pewnej chwili, że March wszedł do jego pokoju i wpatruje się w ekran komputera.

- No tak, Johnny - powiedział, zagłębiając się w krzesło. - Nadszedł czas, byś mi opowiedział o sobie i o Shaunie Murrigan Rush, oraz o tym, dlaczego jej córka ma na twoim punkcie obsesję.

Simon dotykał kolejno krawędzi Keiry, jej pędzli, irlandzkich dzierganych firanek w oknach jej pokoju, by odczuć tę szczególną bliskość, która go z nią łączyła. Ale właśnie zatelefonował Owen z Montany: - Znaleźliśmy samolot Estabrooka. Nie uległ żadnej katastrofie. Wylądował bezpiecznie na prywatnym lotnisku jednego z inwestorów przedsięwzięć Normana.

- Gdzie jesteś?

- Stoję na pasie startowym. Nikogo w pobliżu nie ma. Wygląda na to, że ktoś go tu oczekiwał i wywiózł stąd. Simonie, Estabrook ma pomocnika. Całą tę operację uprzednio zaplanował. Wystarczyło mu nacisnąć spust.

- On tak zawsze postępuje. Nawet sznurowadeł nie wiąże bez ustalonego planu.

- Może się w tej chwili znajdować w dowolnym miejscu. Ma pieniądze, koneksje, zwolenników.

W głosie Owena Simon dosłuchał się nie tyle zmęczenia, ile raczej lęku. Odpowiedział mu: - Dość beztrąsko rozpoczynaliśmy tego lata śledztwo przeciw niemu. Sam się w to wdałem. Owenie, Norman chce dopaść Johna i mnie. Abigail to dla niego jedynie narzędzie.

- Ona przepracowywała się przez ostatnie tygodnie. Przypuszczam, że rozpracowała seryjnego zabójcę, ale w ostatnim czasie dużo czasu spędzałem poza miastem. - Zamilkł na chwilę. - To się już nie powtórzy. Nie pozwolę, żeby się miało powtórzyć.

- Ułóżcie to między sobą po powrocie Abigail. Oboje jesteście ludźmi doświadczonymi. - Simon zadał

sobie nagle w duchu pytanie, czy uspokaja Owena, czy siebie? - Nie spoczniemy, dopóki jej nie odnajdziemy.

Owen się rozłączył, Simon wyszedł z domu Garri-sonów. Wieczór był chłodny. Z nieoznakowanego wozu pomachał do Simona Lucas. Simon skierował ku niemu kroki, podszedł do otwartego okna od strony kierowcy.

Lucas natychmiast go poinformował: - Przed dwoma tygodniami Bassette wysiadł na lotnisku z samolotu z Bostonu. Wsiadaj, Simonie, wiem, o czym myślisz, ale prowadzenie poszukiwań w pojedynkę do niczego nie doprowadzi. Lepiej dołącz do nas.

- Jeśli to nie posunie nas do przodu, odchodzę.

- W takim przypadku sam oddam ci kluczyki do tego wozu. - Spróbował zdobyć się na uśmiech. - Zatankowałem pełny bak paliwa, zanim tu podjechałem.

Kiedy na kilka minut przed piątą rano odezwał się osobisty telefon komórkowy Marcha, wszyscy byli zebrani w sali konferencyjnej bostońskiej komendy policji. Simon przypatrywał się dyrektorowi FBI - swemu przyjacielowi - wykonującemu polecenie Estabrooka i podłączającemu swą komórkę do megafonu.

- Nigdy jej nie odnajdziecie - głos Normana brzmiał donośnie, ale wyczuwało się w nim niepokój, jakby mówca zdawał sobie sprawę, że przemawia do ludzi od niego lepszych. - Nigdy, aż do chwili, w której ja postanowię ją wam oddać.

- Powiedz, co mamy zrobić - odpowiedział March głosem całkowicie opanowanym.

- Posłuchajcie jej. Zastosujcie się do tego, co ona wam powie. Tutaj, pani detektyw, porozmawiaj sobie z tatą.

Po chwili odezwał się kobiecy głos: - Tu mówi Abigail Browning.

- Tato! - z drugiego planu dobiegł głos Normana. - Powiedz: tato, cześć, tato!

Simon stał oddzielony od Marcha stołem, wyczuwał, że każdy człowiek znajdujący się w tej chwili w tej sali chciałby doskoczyć do telefonu i położyć trupem Normana Estabrooka.

- Cześć, tato - powiedziała Abigail bezbarwnym tonem. - Jak...

Do uszu zebranych dotarł odgłos uderzenia wymierzonego jej przez kogoś. I jej wypowiedziane szeptem przekleństwo: - Ty sk...synu!  
Odgłos drugiego uderzenia.

March zacisnął dłonie w pięści: - Dość. Okazałeś już, kim jesteś. Co mamy dla ciebie zrobić? Porozmawiajmy.

Estabrook się roześmiał: - Co macie zrobić *dla mnie*? Masz cierpieć, dyrektorze March. Masz cierpieć i cierpieć, i cierpieć.

Wymierzył Abigail kolejny cios, tym razem tak mocny, że krzyknęła. - Błagaj go! - rozkazywał. - Błagaj swojego tatę, żeby cię uwolnił!

Stojący również przy tym stole Yarborough wyciągnął potężny scyzoryk i zaczął nim czyścić sobie paznokcie z miną pełną wściekłości. Lucasowi łzy stanęły w oczach. Bob żuł gumę. Wszyscy zachowywali ciszę.

Abigail posłusznie wykonywała polecenie swego oprawcy i płaczkliwie wzywała ojcowskiej pomocy.

John March wziął do ręki aparat: - Wkrótce przybędę, kochanie. Nie pozwolę cię zniszczyć. Już wyruszam. Pozwól, że się tym zajmę...

- No właśnie... - głos Estabrooka brzmiał chwiejnie, jakby przemawiający opanowywał ciężkie zmęczenie.

- Serce mi nawala. Nigdy jeszcze nie spotkałem nikogo tak opornego. To jest okropnie wyczerpujące.

March wbił wzrok w aparat telefoniczny: - Powiedz, czego chcesz!

- Chcę Simona Cahilla. Chcę ciebie. - Estabrook odzyskiwał pewność siebie. - Chcę twego informatora. Wiem, że masz takiego. Kto to taki?

- Nie mam pojęcia. Kimkolwiek był, pragnął zachować anonimowość.

- Kłamiesz. Łżesz bezczelnie. Gadasz tyle, że nie wiesz, kiedy zamilknąć. Będziesz pragnął mnie dopaść do końca życia...

- Jak cię mogę dopaść? - przerwał mu March.

- To ja ciebie dopadnę.

March spojrział na Simona, ten skinął potakująco głową i sięgnął po komórkę: - Hello, Normanie. Spotkajmy się. Porozmawiamy sobie. Ty i ja. Twarzą w twarz.

Estabrook prychnął: — Chcę dorwać Marcha żywego i cierpiącego, do końca jego dni, przez każdą okrągłą dobę. A co się tyczy ciebie, Simonie, nic się nie zmieniło: chcę ciebie martwego. Twego trupa.

I rozłączył się. W sali panowała cisza. Przerwał ją March: - Abigail żyje. Mamy nagranie na taśmie.

- Te okrzyki były wyreżyserowane - powiedział Lucas. - Estabrook ją uderzał, ale ona odgrywała ból. Chciała, żeby myślał, że jej dopiekł. Żeby go powstrzymać przed posunięciem się do ostateczności.

Yarborough zatrzasnął swój scyzoryk. - Słyszałem krakanie mewy w dalszym planie. Może kogoś jeszcze? Ale to niewiele. Mewy są wszędzie.

Nikt nie podjął tego wątku. Simon wyszedł do hallu. March ruszył za nim. Simon powiedział:

- Lizzie Rush była twoją informatorką, Johnie.

Znałeś jej matkę. O co tu do diabła chodzi? Czy Lizzie przypuszcza, że odpuściłeś sprawę morderstwa popełnionego na jej matce dla dobra własnej kariery?

- Czy tak właśnie było? - Bob wchodzący właśnie do hallu włączył się do ich rozmowy.

March spojrział na niego i odrzekł krótko: - Nie. Bob wzruszył ramionami.

- Przepraszam, Johnie. Musiałem...

- Wiem, że musiałeś - March przerwał mu głosem znużonym, ale spokojnym. - Nie wiem, jakie uczucia żywi względem mnie Lizzie, ale wierzę, że mi ufa. My musimy zaufać jej.

- I musimy zapewnić jej osłonę - dodał Simon. March potaknął z lekkim grymasem i powiedział:

- Niestety ona nam tego nie ułatwia.

Bob wtrącił: - Ona się uważa za jedną z nas.

- Will mi powiedział - dodał Simon - że Lizzie rozporządza umiejętnościami i instynktem profesjonalistki.

- Ale nie czyni to z niej kogoś niepokonanego - Bob zapragnął sprecyzować obraz sytuacji. - Jeśli Estabrook odkryje, że to ona była tym źródłem informacji, zabije ją.

Nic już nie było więcej do powiedzenia. Simon przypomniał sobie, że w kieszeni ma klucze od wozu Lucasa. Bez słowa wyszedł z budynku.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY**

*W pobliżu Kennebunkport, stan Maine 5:51 rano czasu lokalnego 27 sierpnia*

Abigail słyszała mewy. Upadła na wyłożoną linoleum podłogę sutereny, do której ją teraz wrzucono. Bolała ją głowa, piekło ociekający krwią policzek, w który Norman wymierzył jej cios. Amator. Nie wie, jak się zadaje takie ciosy.

Przyłożyła głowę do ściany, wsłuchując się w dobiegające odgłosy mew, i przystąpiła do porządkowania swych myśli.

Dwaj ludzie Estabrooka chwycili ją z obu stron pod pachy, wywlekli z kajuty jachtu i wrzucili do małej, szybkiej motorówki. Po czym uruchomili silnik i pomknęli w mgłę. Nie zawiązano jej oczu, mogła więc podziwiać najpiękniejszy, jaki w życiu widziała, świt. Słońce przedzierało się różowymi, purpurowymi i czerwonymi kolorami przez kłębiące się na oceanicznym horyzoncie chmury, wzgórza na zachodnim horyzoncie



spowite były mgłami. Żeglowała już kiedyś z Owenem wzdłuż wybrzeży Nowej Anglii, rozpoznawała więc letniskowe domy i oberże Kennebunkport, modnego osiedla letniskowego w południowej części stanu Maine, które w trakcie owego rejsu zwiedzili. Jej strażnicy, widząc, że rozpoznaje okolicę, przycisnęli jej głowę do podłogi łodzi tak silnie, że zwymiotowała. Ale nakazała sobie nie roztkliwiać się nad swym bólem i nie ulegać lękom.

Wspomnienie wyprawy z Owenem dodało jej siły. Była odwodniona i osłabiona, oprawcy odgrażali się, że pozabijają niemal wszystkich jej znajomych, i przestrzegali, że nie oszczędzą i jej, jeśli będzie stawiała opór. Wyglądali na zdenerwowanych, jakby pojęli, że podporządkowali się człowiekowi niepoczytalnemu, który wystawia ich życie na poważne niebezpieczeństwo.

Wpłynęli do starego doku ukrytego w zatoczce słabo widocznej zarówno z lądu, jak i z morza. Wysiedli z łodzi i doprowadzili ją do opuszczonego od dawna domu, położonego na wzgórku, skąd roztaczał się dość rozległy widok na ocean.

Po zaśmieconych schodach sprowadzono ją do piwnicy i wskazano pomieszczenie, w którym stały stara sofa, kilką krzeseł i stolik karciany. Na półkach spostrzegła popularne wydania romansów i komiksy, na ścianach wisiały plakaty ukazujące Batmana i innych superbohaterów czytań, komiksów i filmów.

Musiały w tym domu dawniej dorastać jakieś dzieci. Abigail pomyślała, że jest to zapewne dawna rodzinna siedziba Rushów w Maine. Teraz należała do Lizzie Rush. Gdzie ona przebywa? Abigail postanowiła nie snuć domysłów. Pospiesznie, lecz uważnie obserwowała otoczenie. W pomieszczeniu było tylko jedno małe

okienko - nie dałoby się przez nie uciec. Jedyna możliwa droga ucieczki wiodła przez hall, w którym, kiedy ją doprowadzono do schodów, dostrzegła drzwi wiodące do drugiej części domu.

Przymknęła oczy i zaczęła wspominać, jak to Bob ją przekonywał, że wytrwałe trenowanie sztuki samoobrony wyposaży ją w umiejętności, które mogą się jej przydać pewnego dnia. „Będiesz zadowolona, wiedząc, jak wymierzać ciosy”. „Zadowolona” - może nie było to słowo najodpowiedniejsze na tę okazję, ale tej nocy, w czasie tego urywkowego kontaktu telefonicznego z ojcem, zaaranżowanego w swoisty sposób przez Estabrooka, zachowywała się rozsądnie. Kiedy przyszło jej przesłać ojcu powitalne „hello”, przywołała nauki pobierane w czasie treningu i rozważnie gospodarowała siłami, jakimi dysponowała w konfrontacji z fizyczną przewagą Estabrooka. Ojciec i jego towarzysze powinni zrozumieć, że zabiega zarówno o to, by przeżyć, jak też i o przekazanie im możliwie najobfitszej dozy informacji o człowieku, którego usiłują wytropić. W każdym razie dowiedzieli się, że ona żyje i kto ją więzi.

Do sutereny weszli teraz Estabrook i Fletcher. Fletcher był obecny przy tym, jak Estabrook uderzył Abigail. Odniosła wrażenie, że nie spodobał mu się ten czyn Estabrooka. W oczach profesjonalisty, zarówno ten policzek wymierzony ofierze, jak i telefon do jej ojca były lekkomyślne i zbędne. Fletcher oparł się o drzwi, przypatrując się, jak Estabrook rozciera sobie dłoń obolałą po ciosie wymierzonym Abigail. W mroku dojrzała, jak zaciskał dłonie. Nie zwracał się też wprost do niej, kiedy ze wzburzeniem, jakiego nie dostrzegła w nim nigdy przedtem, napominał swego

zleceniodawcę: - Może pan przestać, panie Estabrook, liczyć na powrót Bassette'a.

Estabrook rzucił mu zdziwione spojrzenie. - Skąd pan to wie?

- Bo go zabiłem. To było absolutnie konieczne. Był niezręczny w stopniu niebezpiecznym.

- Co pan sobie wyobraża? Że kim pan właściwie jest?

- Przykro mi, kolego. Nie było kiedy pytać pana o pozwolenie.

Estabrook dwukrotnie zacisnął dłonie w pięści, zanim odpowiedział: - A co z Fioną O'Reilly? - Głos mu się już uspokoił.

Fletcher wzruszył ramionami: - Ona już nie ma znaczenia, skoro Bassette wypadł z gry.

- Policja się dowie...

- To też nie ma znaczenia. Mają krew Bassette'a, on był w kartotekach przestępców. Równie dobrze może posłużyć za fałszywy trop. I teraz te dwa opryszki rozumieją, co ich spotka, jeśli nie utrzymają się w ryzach. - Fletcher nie zmieniał swej pozycji w trakcie tej rozmowy. - Wyciągnąłem pana z Montany i aż do tej pory utrzymywałem pana z dala od policji, ale nie jestem cudotwórcą. Pan zmotywował przeciw sobie bardzo skutecznie cały aparat ścigania.

Estabrook pokiwał głową z widoczną satysfakcją: - To dobrze.

Żrenice Fletchera lekko się zwięziły: - Musi pan powściągnąć swe mścicielskie pasje. Musi pan ograniczyć ryzyko, panie Estabrook. Unikać ryzyka. Pomogę w tym panu.

- Nigdy się nie uchylam od walki.

- Simon Cahill i John March nie są głupcami. Już wyruszyli po pana.

Estabrook znów gwałtownie zaczerpnął powietrza i postąpił o krok w stronę Fletchera ze słowami: - Nikt mi się nie wyniknie.

- Niech pan ich zwalcza na odległość, jeśli już pan musi, ale jako profesjonalista, radzę panu jak najrychlej opuścić to miejsce. Niech mi pan pozwoli się stąd wywieźć.

- Nie potrzebuję pańskiej pomocy - Estabrook usiadł przy Abigail i wpatrując się w nią, powiedział: - Powinienem przywalić jej mocniej. Natychmiast powstało jej w myślach kilka wersji odpowiedzi.

Ośmioletnie współdziałanie z O'Reillym nauczyło ją błyskawicznego ripostowania, ale rozumiała, że w sytuacji, w jakiej się znajduje, musi starannie dobierać słowa: - Przywalił mi pan dostatecznie mocno.

Estabrook rozwarł pięść i stanął wyprostowany. Abigail wskazała ruchem głowy jego nadwerężoną rękę:

- To pana boli, co? Nigdy nie wiadomo, jak twarda okaże się kość. Scoop pewnego razu omal nie złamał sobie ręki w walce.

Estabrook nie zwracał na nią uwagi.

- Pani nowa przyjaciółka, Keira Sullivan, miała szczęście, jak to Irlandczycy. W czerwcu wymknęła się z rąk seryjnemu mordercy, a dwa dni temu nie zdołał jej dopaść... no, mniejsza o to, kto, jakiś idiota w Irlandii.

- To była sprawka Bassette'a - dorzucił Fletcher od drzwi.

- Ach - Abigail przełknęła trochę krwi, która zebrała jej się w ustach, starając się to ukryć przed Estabrookiem

- wynajął pan w Irlandii nieodpowiedniego człowieka, prawda?

- Szczęście kiedyś tę Keirę opuści - odparł Estabrook, całkowicie już opanowany. - Ja mam czas i jestem

**300**

cierpliwy, nie osiągnąłbym tego, co mam, gdybym się niecierpliwił. Z drugiej strony, dobrze się złożyło, że Simon był wtedy w Bostonie.

- Nie posłał pan przecież jednego półgłówka po to, by zabił i Simona, i Keirę...

- Nie, nie posłałem.

Abigail zbierało się na mdłości.

- Chciał pan, by Simon zastał Keirę już martwą. Jest pan potworem.

Uśmiechnął się chytrze: - Simon znajdował się w tym samym pomieszczeniu, co pani ojciec, kiedy do niego telefonowałem. Obaj naraz cierpieli. To mnie raduje. Na razie mi tej satysfakcji wystarcza.

- Powinien pan posłuchać rady Fletchera i mnie uwolnić.

Poczuła jednak, jak siły ją opuszczają, i wbiła wzrok w szparę w linoleum, świadoma tego, że Estabrook przypatruje się jej cierpieniom.

On jednak po chwili skierował wzrok ku jednemu z afiszów przyklejonych do ściany sutereny i spytał: - Niech mi pani powie, detektywie, dlaczego pani ojciec przestał pracować w komendzie policji bostońskiej?

Zainteresowanie Estabrooka sprawami jej ojca było oczywiście irytujące, ale nie stanowiło dla Abigail zaskoczenia. Prawdziwą niespodzianką było natomiast to, że Estabrook ryzykował swą wolnością i swymi milionami dla zadośćuczynienia swemu pragnieniu wywarcia zemsty. Chodziło oczywiście o coś więcej. Abigail pomyślała, że dostrzega to również Fletcher. Jej ojciec był dla Estabrooka nowym wyzwaniem. Nową, śmiertelnie groźną przygodą i usprawiedliwieniem dla bezpośredniego uczestnictwa w aktach przemocy.

Starając się nadać swemu głosowi rzeczowy ton,

odpowiedziała: - Nic mi na ten temat nie wiadomo. Zapewne opuścił policję bostońską ze względu na swą karierę. Uzyskał dyplom na wydziale prawa i postanowił przenieść się do FBI. On nie jest żadnym Panem Bogiem. Jest po prostu człowiekiem wykonującym obrany zawód.

- A czy wykonywał ten zawód w czasie, gdy zamordowano ojca Simona Cahilla?

Abigail nie odpowiedziała na to pytanie. Estabrook przyglądał się afiszowi Batmana. Bob lubił podkpiwać sobie z Owena, nazywając go Batmanem i żartując, że ma Batmobila zaparkowanego w głównej kwaterze Fast Rescue w Austin. Zaczęła się zastanawiać, co też oni obaj myślą o jej porwaniu, o rozmowie telefonicznej z ojcem, którą na niej wymuszono - o jej okrzyku i bólu. Bob zapewne przeżuwał kolejne gumy. Owen zastanawiał się, co mógłby w tej sytuacji zrobić. Nie miało dla niego znaczenia to, że nie jest funkcjonariuszem sił policyjnych. Estabrook odwrócił się w końcu tyłem do afiszów i stanął przed Abigail. Wyglądał tak, jakby nie uległ w żadnym stopniu stresowi ostatnich dwóch dni ani ostatnich dwóch miesięcy. Spytał: - A czy w okresie, w którym zamordowano Shaunę Morrigan, wykonywał swój policyjny zawód? Abigail odczuła skurcz w żołądku. - Nie wiem - odpowiedziała.

- Shauna Morrigan to irlandzka matka Lizzie Rush. Abigail przybrała zakłopotaną minę: - Rushowie są hotelarzami. Nigdy nie poznałam Lizzie, ale ona nie ma z tym wszystkim nic wspólnego.

Sama jednak nie wierzyła w to, co mówi. Przesunęła językiem po skrwawionych wargach i dodała: - Nie

pracuje w służbach policyjnych. Służy w nich mój ojciec, Simon, Bob, Scoop. My jesteśmy profesjonalistami. Nikt więcej. Niech się pan skupia na nas.

- Lizzie lubi stan Maine. To jest dom jej ojca. Łatwo porównać go z luksusem hoteli, których Rushowie są właścicielami. One imponują gościom, ale nie właścicielom. - Uśmiechnął się. - Ona albo tu już jest, albo wkrótce tu przybędzie. Ma nadzieję, że ja też się tu pojawię.

- Dlaczego?

- Lizzie wie, że ja jestem w stanie pomóc jej w odnalezieniu spokoju. Wie, że mogę jej pomóc w przekuciu jej gniewu w zdecydowane działanie.

- Chce pan z niej zrobić swego sługusa? - Głos mdlał jej przy tych słowach.

- Znakomicie, pani detektyw - Estabrook pokraśniał z zadowolenia. - Świetnie pani sobie przyswaja lekcję o diable. Jest jeden Lucyfer. Jeden szatan. - Gwałtownie odwrócił się ku Fletcherowi: - Popatrz pan na panią detektyw Browning. A potem rozejrzyj się pan za Lizzie i przyprowadź pan ją do mnie. Ona ma tu domek, poniżej, nad zatoką. Lubi tu przebywać samotnie. Po tym wszystkim, co miało miejsce - wciągnął powietrze nosem - ona tu przyjedzie.

Fletcher oderwał plecy od drzwi: - Kolego, powinien pan mnie posłuchać. Zemsta jest czymś krótkotrwałym. Kiedy się jej dokona, nie ma powodu, by się nią chwalić. Pozostanie pan wtedy z pustymi rękoma.

- Ja nie zamierzam poprzestać na tych wstępnych działaniach. To tylko początek. Początek nowego życia. - Teraz on ruszył ku drzwiom, ożywiony wolą czynu. Spytał Fletchera: - Czy wpadł pan już na trop tego informatora, który donosił na mnie do FBI?

Fletcher wzruszył ramionami: - A jakież to może mieć znaczenie teraz? Ponieważ nie poskromił pan w sobie chętki odbycia tej nocnej rozmowy telefonicznej, FBI wie, że to pan ma w swych rękach panią detektyw Browning. Już nie mają wątpliwości, że to nie pańscy przyjaciele z mafii narkotykowej ją porwali.

- Czułem się zmuszony do porządnego przywalenia tej pani detektyw.

- Możliwe, ale to nie było to, czego pan pragnie. Pan chce, żeby John March wiedział, że to pan jest odpowiedzialny za tarapaty, w które wpadła jego córka. Pan chce, by on wiedział, że to pan ma ją w ręku i że może pan zrobić z nią, co pan zechce. A to, panie kolego - w tym momencie Fletcher podszedł do Abigail - jest przyczyną, która sprawi, że albo pan zginie, albo trafi za kratki na bardzo długo.

Estabrook przetarł sobie wargi knykciami obolałej dłoni: - Kiedy przyjechałeś pan do mnie do Las Vegas, wiedziałeś, że zostanę wkrótce aresztowany, co? Powiedziałeś pan, że mnie wyciągniesz, jeśli wpadnę w kłopoty. Już pan wiedziałeś, że nie powinienem ufać Simonowi i nic mi pan nie powiedziałeś.

Fletcher obrzucił go chłodnym spojrzeniem: - Ma pan rację. Nie powiedziałem panu. To by niczego nie zmieniło. Było już za późno na wszelkie ostrzeżenia. FBI miało pana na celowniku.

- Potrzebowałeś pan pieniędzy.

- Nie musiał mnie pan wynajmować. Wynajął mnie pan, ponieważ pan zrozumiał, że nasze interesy są zbieżne.

- Powinien pan to właśnie wziąć pod uwagę - powiedział Estabrook oschłym tonem.

Skoro tylko wyszedł, Fletcher podsunął Abigail



zwilżoną czarną chusteczkę: - Jest pani odwodniona. Proszę wycisnąć sobie trochę wody.

Rozłożyła sobie chusteczkę na twarzy. Przyglądała się napisom na ścianie:

*Whit. Harlan. Lizzie. Jeremiah. Justin.*

Odnutowano wzrost każdej z tych osób.

- Chcę mieć dzieci - wyszeptała. - A pan, panie Fletcher?

Bez słowa wyciągnął w jej stronę rękę. Przeciągnął dłonią po jej ciele aż ku stopom, a ona przywołała w wyobraźni obraz siebie i Owena na wyspie Mount Desert, położonej dalej na północ, nieopodal wybrzeża Maine. Spacerują tam oboje, ona spodziewa się pierwszego dziecka. Dręczył ją głęboki smutek. Tak długo nie czuła macierzyńskich potrzeb. A co się stanie, jeśli Owen...

- Wkrótce znajdzie się pani u jego boku, kochanie. Pani narzeczoney, Owen, odszukał samolot pana Estabrooka w Montanie. On nie należy do tych, którzy siedzą z założonymi rękoma. Będzie z pani dumny.

- Czy pan był kiedyś zakochany?

- Ja? - Rzucił jej spojrzenie nabrzmiałe erotyzmem. - Może pani być tego pewna.

Kiedy się odwracał, dojrzała ból w jego szarych źrenicach. Nie była pewna, czy naprawdę ten ból widzi, czy też tylko wyobraża go sobie.

Kimkolwiek jest i jakkolwiek odgrywa rolę, Myles Fletcher kryje w sobie tajemnice i żale.

I jest bardziej osamotniony na świecie niż ona.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY**

*Nieopodal Kennebunkport, stan Maine 6:25 rano czasu lokalnego 27 sierpnia*

Will stanął przed domkiem Lizzie o bladym świcie. Wody oceanu spowite były szarymi mgłami. Noc spędził na sofie, przy otwartych oknach i drzwiach, by powiewy bryzy mogły wnikać do środka pomieszczenia wraz z odgłosami dobiegającymi z portu, a także wydawanymi przez ptactwo i buszującą w krzewach rudą wiewiórkę. Przez całą noc radowały go te atrakcje nadmorskiego otoczenia, właściwie nawet bardziej niż bliskie sąsiedztwo łóżka Lizzie.

Ona zeszła już nad wodę, kiedy on brał prysznic i spacerowała sobie wzdłuż nabrzeżnych skałek, owiewana słonym wiatrem. To, że zerwała się na nogi tak wcześnie - być może budziła się także w trakcie nocy - świadczyło, iż podobnie jak on trapi się sytuacją Abigail Browning i zastanawia nad tym, czy podjęła słuszną decyzję, przyjeżdżając do Maine. Czy nie

oddaliło to jej od miejsca, gdzie przetrzymywano porwaną policjantkę? Josie Goodwin nagrała się Davenportowi na pocztę głosową z Irlandii, prosząc, by się z nią skontaktował. Odezwała się po pierwszym sygnale.

- Nasi przyjaciele z gardy woleliby, żebym się z tobą nie komunikowała, ale mam w nosie ich mądre zalecenia.

- A gdzie jesteś w tej chwili?

- Na farmie Aidana O'Shea. Pięknie tu. Dwie owieczki przyglądają mi się spoza krzewów różanych. Dziś rano odbyłam z Keirą rozmowę przy herbatce. Gardziści zrazu nie chcieli mnie do niej dopuścić, ale przełamalam ich opór.

Will się uśmiechnął: - Nie mogło być inaczej. Czego się od niej dowiedziałaś?

- Keira potrafi kreślić scenariusze zarówno ponure, jak i optymistyczne, ale jedno nie ulega wątpliwości: Murphy miał współników. On z kimś współpracuje. Zaprowadził gardzistów do niezamieszkanego domu w pobliżu kopalni miedzi. Wraz z dwoma kumplami miał tam dostarczyć Simona po tym, jak on odnalazłby zwłoki Keiry w kamiennym kręgu.

- Oni działali na zlecenie Estabrooka.

- Tak - zgodziła się Josie. - A ten chciał najpierw nasycić się cierpieniem Simona, a następnie go zamordować, i to własnymi rękami.

Will wsłuchiwał się w głosy niewidocznych we mgle mew. Lizzie oddaliła się tak daleko, że znikła z pola widzenia.

- Muszę dopaść tego łotra - powiedział do Josie.

- Ja również tego pragnę. Nie jesteśmy w tym względzie sami. Podobne pragnienie żywią gardziści, Keira

- zaprzyjaźniliśmy się tu wszyscy. Ale mam coś jeszcze, Willu. Przed swą śmiercią Shauna Morigan Rush wskazała Amerykanom pewnego agenta FBI współpracującego z bostońskimi bandziorami... - Will nie reagował, dodała więc po chwili: - Ona była matką Lizzie Rush.

- Która potknęła się o kamień brukowy, idąc do baru Tempie.

- I której rodzina zginęła w wypadku samochodowym w drodze do Dublina na wieść o jej śmierci. Policja bostońska przysłała do Irlandii swego detektywa, by zbadał okoliczności śmierci Shauny.

Will wykrztusił w swój aparat: - Był nim John March.

- Tak. Wkrótce po tym, jak wróci! z Dublina, ustalił tożsamość tego agenta FBI, który współpracował - wyobraź to sobie - z bostońską mafią irlandzką. To ci Irlandczycy zaaranżowali śmierć Shauny i wypadek samochodowy jej krewnych.

- Z całą pewnością March nie powiedział wszystkiego, czego się w tej sprawie dowiedział.

- A czy on kiedykolwiek wyklada na stół wszystkie karty?

Will nawet nie próbował ustosunkowywać się do tego zdania Josie. We mgle dostrzegł właśnie czarną fryzurę Lizzie wchodzącej na powrót w pole jego widzenia. Jej pojawienie się przywracało mu nadzieję.

- Will? Jesteś tam?

Wyczuł zaniepokojenie w głosie Josie. On nie rozluźniał nigdy samodyscypliny w działaniu. W swej pracy reagował błyskawicznie na wszystkie sygnały i zwroty sytuacyjne, na jakie się natykał. Ale czy teraz wykonywał czynności zawodowe?

- March ściąga tragedie - odpowiedział Josie.

- Nikomu nie udaje się uniknąć tragicznych sytuacji

w życiu, ale człowiek o *jego* życiorysie i pozycji zmuszony jest stawać w obliczu tragedii częstszych i boleśniejszych, niż to jest udziałem innych ludzi. - Wywód Josie brzmiał poważnie i szczerze. - Musiał podejmować trudne decyzje i ma swoje sekrety. Wynikają one z pracy, jaką wykonuje, i to od wielu lat.

- Jak myślisz, Josie, czym będziemy się zajmować za trzydzieści lat?

W słuchawce rozległ się wybuch jej serdecznego śmiechu: - Ja będę odbywała herbatki z bezzębnymi staruszkami i będę im opowiadała o mej dawnej współpracy z przystojnym arystokratą. One będą przypuszczały, że się nim chełpię i przedstawiam im zmyślane historie. - Ale głos Josie nagle spoważniał: - Willu, jeśli Shauna Morrigan zginęła, ponieważ była informatorką Marcha, to twoja Lizzie Rush ma wszelkie powody, by go nienawidzić.

- Estabrook o tym wie. Jej przeszłość była zapewne powodem, dla którego się z nią zaprzyjaźnił. Zapoznał się pewnie z tą sprawą dawno temu, a w miarę jak jego obsesja na punkcie Marcha rosła...

- ... zapragnął pozyskać Lizzie j ako sojusznika w walce przeciw Marchowi - dokończyła Josie. - Albo może chciał zaofiarować swego rodzaju nagrodę - jej, pozbawionej w dzieciństwie matki przez wpływowego i ambitnego człowieka. Estabrook jest nader pokrętną osobowością, Willu. Niełatwo przeniknąć sposoby jego myślenia.

- Lizzie wie albo przynajmniej się domyśla jego zamiarów - dopowiedział Will. - To właśnie dlatego tu przyjechała. Ma nadzieję, że on tu do niej dojedzie.

Josie odpowiedziała dopiero po chwili: - Z tego, czego się dowiedziałam od irlandzkich przyjaciół, Shau-

na Morrigan była bardzo dobra w tym, co robiła, niezależnie od tego, w jaki sposób zmarła. Niekiedy, mimo wszelkich naszych wysiłków, sprawy nie układają się tak, jakbyśmy sobie życzyli.

Will zastygł na widok dwóch mężczyzn, którzy wyłonili się nagle spomiędzy drzew i ruszyli naprzeciw wyłaniającej się spomiędzy skałek Lizzie. Ciemnowłosa mężczyzna dotknął jej ramienia, a ona obróciła ku niemu twarz. Przebijając wzrokiem mgłę, Will rozpoznał go po sylwetce i sposobie poruszania się. Wyrzucił z siebie tylko kilka słów: - Josie, muszę ruszać.

- On tam jest, tak? - spytała Josie.

Ale Will już się rozłączył. Lizzie krzyknęła w jego stronę: - Zaraz wracam.

I odeszła w asyście obu mężczyzn. Jednym z nich był Myles Fletcher. Ich sylwetki rozplywały się we mgle. Will skoczył ku schodom, ale na ich szczycie pojawił się Simon i zagroził mu drogę: - Zostań tu, Willu. Pomyśl chwilę.

- Simonie, to Myles. Nie mogę go...

- Nie pozwolimy, by cokolwiek złego stało się Lizzie. Ty, ja, czuwamy nad nią.

- Ty jesteś agentem FBI. Musisz przestrzegać obowiązujących procedur.

- Posłuchaj, Willu. Norman nie wie, że to Lizzie była informatorką Marcha. Sam March nie wiedział tego do wczoraj. Jestem więcej niż pewien, że nie znał klucza do tej sytuacji. Ona grała w tę grę od miesięcy.

- Ale nie grała z Mylesem.

- Norman zmusił tej nocy Abigail do tego, by skomunikowała się z ojcem przez telefon. To był błąd.

Will dobrze rozumiał, co przyjaciel chce mu powiedzieć, ale nie chciał słuchać szczegółów.

- Przepraszam, Simonie, mogę sobie wyobrazić, jak

przykra musiała być ta rozmowa dla Marcha, dla ciebie. - Ruda wiewiórka zeskoczyła właśnie z jednego z tych drzew, za które weszła Lizzie ze swymi towarzyszami. Czy Lizzie dostrzegła ich na ścieżce wcześniej niż on? Czy może wzywała pomocy? Biegła ku domowi, by uniknąć przed nimi? Dodał: - Wiem, co myśli Myles. Znam jego taktykę.

- I chcesz go pojmać.

- Simonie, musimy to przeprowadzić na mój sposób, bo jeśli tego nie zrobimy, i Lizzie, i Abigail Browning zginą.

- A co z Fletcherem? Czy jest szansa...

- ... szansa na to, by mu zaufać? To nie ma znaczenia. To, czy Myles jest z nami, czy przeciw nam, lub też po prostu rozgrywa swoje sprawy - nie może mieć wpływu na to, co musimy teraz zrobić.

- W porządku - Simon uśmiechnął się kwaśno. - Na szczęście jestem uzbrojony.

- Simonie - zwrócił się do niego Will - nie rób tego.

- Czy Lizzie ma broń?

Will oczyma wyobraźni ujrzał jej smukłą sylwetkę w jeansach i bluzeczce, przemykającą się między skałkami. Zapragnął nagle, by dołączyła do niego i by oboje zostawili tym Amerykanom Estabrooka, Fletchera i całą sprawę.

Simon powtórzył pytanie: - Ma czy nie?

- Nie. Nie ma broni. Zna sztukę walki, której nauczył ją ojciec. Ukrywała to przez długie miesiące przed tobą, Marchem i tym wspaniałym ryzykantem. - Rzucił spojrzenie w dół, ku nadbrzeżnym skałkom.

Wiewiórka gdzieś znikła. Nadleciała mewa, zaczęła nad nimi kołować, jakby chciała im powierzyć jakąś tajemnicę. - Lizzie domyśliła się, że Estabrook tu przybędzie.

- Może tylko miała taką nadzieję - Simon otworzył drzwi. - Wezwę tu antyterrorystów.
- Ale niech się włączą dopiero na nasz rozkaz. Ani o chwilę wcześniej.
- Oczywiście, Wilku. Upewnimy się tylko, że przybędą na czas, żeby albo nas uratować, albo włożyć nasze zwłoki do plastikowych worków.



## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY**

*Boston, stan Massachusetts 7:02 rano czasu lokalnego 27 sierpnia*

Bob siedział w pubie Morrigan przy stoliku pod oknem, twarzą w twarz z Marchem. Było wczesne rano, bar był jeszcze nieczynny, butelki z alkoholem schowano przed nocą. Przy swoim biurku w hallu pełnił dyżur Jeremiaś Rush - czynny jakby przez całą dobę. Nie zagroził obu panom drogi do pustego pubu. Marchowi nie towarzyszył nawet nikt z jego obstawy, Bob nie wiedział, do jak radykalnych środków musiał się uciec dyrektor FBI, żeby się pozbyć swych aniołów stróżów.

Żaden z nich - ani Bob, ani March, ani Lucas - nie zmrużył minionej nocy oka. Nikt nie wiedział, gdzie się znajduje Simon. Wszyscy pozostawali pod wrażeniem okrzyków bólu wydawanych przez Abigail w trakcie rozmowy telefonicznej.

- Za wcześnie na drinka - westchnął Bob. - Przydałaby się choćby filiżanka kawy.

- Chciałbym zostać przez kilka minut sam - zwrócił

318

się do niego March - tu, gdzie... - głos zamarł mu w krtani.

- Johnie, nigdy nie jesteśmy sami. Nasze duchy nigdy nas nie odstępują. Oczy Marcha wypełniły się łękiem, którego nikt nie powinien był zobaczyć. - Lizzie Rush, Abigail... - dorzucił. - Wszystko to zaczęło się tutaj trzydzieści lat temu.

Bob nie rozumiał, w jaki sposób mogłoby im pomóc takie rozpamiętywanie przeszłości.

- Dokonałiśmy jednak pewnego postępu przez kilka ostatnich godzin.

Niewielkiego, ale zawsze...

- Nie powinieneś tu przychodzić, Bobie - przy tych słowach March zerwał się na równe nogi. - Nie idź za mną - rzucił rozkazującym tonem i pędem rzucił się ku schodom do hallu.

Bob pokręcił głową. John March nigdy nie ułatwiał nikomu życia. Nie po to przyszedł na świat. Odrzucając pokusę oczekiwania, aż bar zostanie uruchomiony, a on będzie mógł zamówić sobie szklaneczkę irlandzkiej whiskey i nie ruszać się stąd aż do końca dnia, Bob również wstał od stolika.

Nie łamiąc prawa federalnego, gdyż March nie był jego przełożonym, ruszył za dyrektorem schodami w górę. To, co wiedział o śmierci matki Lizzie - i co wiedzieli wszyscy oprócz Marcha - pozwalało mu uznać, że Lizzie miała powody, by nienawidzić dyrektora FBI, a przynajmniej do tego, by mieć uraz na jego punkcie. Musiała więc być przedmiotem jego zainteresowania jako potencjalna współniczka Normana Estabrooka, a więc i współwinna jego poczynań.

Jeremiah Rush wstał zza biurka, by wskazać tylne drzwi wyjściowe z hotelu jakiejś parze w średnim wieku.

W dwie minuty później Bob, idąc ich śladem, znalazł się na wąskiej alejce, na zapleczu hotelu; March wszedł właśnie do ciemnoniebieskiego, lśniącego bmw.

- Chcesz je ukraść, Johnie? - spytał go Bob, podchodząc blisko.

- Chcę wymienić moje życie za jej życie - odpowiedział March, nie patrząc Bobowi w oczy. - Niech Estabrook torturuje mnie zamiast niej.

- Daj spokój! - wykrzyknął Bob, zatrzymując dłonią niezatrzasknięte jeszcze drzwi. - Nie łam mi życia! Jeślibym stracił z oczu dyrektora FBI w Bostonie, odebraliby mi prawo do emerytury!

March zrezygnował z zaniknięcia drzwi, ale tylko na chwilę. Przez wszystkie minione godziny żaden mięsień nie drgnął mu w twarzy, ale jeśli ktoś przypuściłby, że dyrektor FBI nie jest przejęty losem córki, to byłby w błędzie - i Bob wiedział o tym.

March odetchnął głęboko i wbijając wzrok w niebo, poskarżył się: - Nie było mi łatwo wyniknąć się moim ochroniarzom, ale tobie, O'Reilly... - zaciął się. I wykrztusił: - Puść mnie.

Bob zapanował nad emocjami i przedstawił swoją ocenę sytuacji:

- Ten zastrzelony facet, Bassette, był tutejszy. Wiesz o tym. Ale Estabrook wynajął oprychów z Chicago, swych dawnych kumpli. Jeden z nich zakradł się na nasze podwórko i podłożył bombę na ganku u Abigail. A policjanci? Przeszukaliśmy miejsce zamachu, ale na tyle, na ile można to było zrobić... Oni mogli przerzucić bombę przez płot i zabić Scoopa i Fionę na miejscu.

- Bobie...

- Niepotrzebny ci Estabrook po to, by cię torturować. Sam się torturujesz. Wiem o tym. Ja też sam to sobie

zaordynowałem, obciążając się odpowiedzialnością za to, że Fiona tam siedziała przygnieciona krwawiącym ciałem Scoopa. I za to, co wczoraj zobaczyła u krańca alejki. - Pochylił się i zerwał kwiatek geranium, nie rozumiejąc, po co to czyni. - Oskarżanie samych siebie do niczego nie prowadzi.

- Przykro mi, Bobie. Współczuję ci z powodu Fiony. To takie dobre dziecko... Przepraszam cię za przejścia.

- Za co przepraszasz? Co jej zrobiłeś? Dyrektor FBI próbował zdobyć się na uśmiech, ale

Bob nagle przypomniał sobie, jak przed laty w południowej dzielnicy Bostonu stali obaj na ulicy. March, starszy o dziesięć lat, przystojny, wyruszał po raz pierwszy do pracy w policji, a Bob, jeszcze brzdąc, syn policjanta, nie chciał, by jego przyjaciel miał polec. I jeszcze teraz, po trzydziestu latach, Bob odczuwał żar tamtego upalnego lata. I oto znów obaj znajdują się w sytuacji, o której pragnęli zapomnieć.

Bob poczuł, że jest zdany na siebie i pozbawiony nadzoru - i że musi sam uczynić wszystko, by nie zmarnować dnia i wykonać swe zadanie: odnaleźć Abigail i aresztować jej porywaczy. March wyglądał na człowieka, któremu wyrządzono osobistą zniewagę.

Bob sięgnął po kolejną gumę do żucia.

- Wiesz, że Abigail pragnie jak najrychlejszego wesela? Nie chce już z nim zwlekać. Wychodzi za zamożnego Garrisona. Będę na to wesele zaproszony. Nikt nie wie, gdzie się odbędzie.

- Owen jest porządnym człowiekiem - stwierdził March, opanowując swe emocje.

- Nie wzrastał w takich warunkach jak my. Nikt spośród nich nie miał takiego dzieciństwa. Co się tyczy Keiry: stawiam dziesięć przeciw jednemu, że pobiorą się

z Simonem. Już zaczęła mnie namawiać do udziału we wspólnej wyprawie do Irlandii na Gwiazdkę. Do diabła, Johnie, te dziewczyny osuszają mi konto bankowe.

W ciemnych źrenicach Marcha zalśniły łzy. Spytał: - Czy pogodziłeś się już, Bobie, z tym, co się wydarzyło?

- Skądże!

- Wciąż słyszę jej krzyk.

- Tak, wiem.

- Wszyscy go słyszymy, ale dla ciebie to jest najbardziej przykre. Ciesz się, że tego krzyku nie słyszała jej matka. - Przerwał na chwilę. - Jako twój przyjaciel muszę ci coś powiedzieć. Kathryn chce, żebyś spędził jakiś czas, wypoczywając w spa.

- Jakim spa?! Bobie, o czym ty mówisz?

Bob wyjaśniał: - Rozmawiała o tym z Abigail w czasie ostatniego pobytu w Bostonie. Siedziałem na ganku i słyszałem ich rozmowę. Były w ogródku Scoopa. Wyobraziłem sobie ciebie w szlafroku, popijającego ziołową herbatkę, oczekującego na masaż...

- Dość tego - przerwał mu March i wpatrując się w niebo, wygłosił sentencjonalnym tonem: - Już nie jesteśmy tacy młodzi jak kiedyś...

- No i co z tego? Wiemy, co mamy robić, prawda?

- Czy ktokolwiek kiedykolwiek...

- Johnie, przyprawiasz mnie o ból głowy. Myślę, że mamy co najwyżej dziesięć minut, zanim dopadnie nas Yarborough. Wiesz na pewno, że już wpadł na nasz trop. Nie pozwoli nam oddalić się od Beacon Hill.

- Czyje stanowisko przejmie on najpierw? Twoje czy moje?

- Najpierw sięgnie po moje. A ja się przeniosę do Irlandii i będę śpiewał w pubach.

Bob wiedział już dobrze, co mają obaj teraz uczynić.

Być może wiedział to również March, ale czekał, aż młodszy odeń porucznik policji dojdzie do tych samych konkluzji co on. Albo też Bob przejmie dowodzenie. Nie miało to znaczenia.

- Ojciec dobrze wyszkolił Lizzie, ale musimy odnaleźć ją i jej nowego brytyjskiego przyjaciela, Davenporta. I to jest zadanie dla nas obu.

Otworzyły się tylne drzwi hotelowe i wyszedł przez nie mężczyzna w średnim wieku o kasztanowej fryzurze. Najwidoczniej ktoś z rodziny Rushów. Przyjrzał się dwóm mężczyznom stojącym na alejce. Jego wyraz twarzy świadczył o tym, że dobrze wie, kim oni są.

- Lizzie jest nieodrodną córką swej matki. Wypowiedział te słowa tonem spokojnym, ale Bob

wyczuł w intensywności jego głosu, iż on także ma kogoś bliskiego sobie w kręgu osób objętych niebezpieczeństwem. Dodał: - Nie znoszę samolotowych podróży, ale przyleciałem właśnie z Vegas. Proszę włączyć mnie w poszukiwania, żebym nie musiał porywać głównego w Bostonie detektywa wydziału zabójstw ani dyrektora FBI.

Harlan Rush, ojciec Lizzie, mógłby się na coś takiego zdobyć. Bob wypluł gumę i zwrócił się do Marcha:

- John?

Ten nie wahał się ani chwili: - Ruszamy.

Harlan wyjął z kieszeni pęk kluczy. - Mój bratanek powiedział, że możemy pożyczyć wóz jego taty. To ten tutaj. Nie musimy go kraść.

Bob go zapytał: - Ma pan upoważnienie odblokowane?

- Mam upoważnienie do sterowania lotem rakiety wymierzonej w tego drania Normana Estabrooka.

- I podszedł do bmw.

323

Bob uświadomił sobie, że nie ma możliwości przeciwstawiać się Harlanowi. Usiadł na tylnym fotelu auta, Harlan zajął miejsce kierowcy, March - dawny detektyw w policji bostońskiej, badający sprawę śmierci jego żony - usiadł na przednim fotelu pasażera. Bob znów się odezwał: - Mam nadzieję, że kiedy dojedziemy do Maine, dowiemy się, że Abigail jest uwolniona i bezpieczna, a my sobie zafundujemy świeże krewetki na lunch.

Żaden z pozostałych pasażerów się nie odezwał. Bob zadysponował: - No to w drogę!

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY**

*Nieopodal Kennebunkport, stan Maine 7:45 rano czasu lokalnego 27 sierpnia*

- Lubię kormorany - powiedziała Lizzie, idąc wąską ścieżką powyżej nadbrzeżnych skałek. - Mogę się im przyglądać bez końca.

Żaden z dwóch eskortujących ją mężczyzn nie odezwał się. Myles Fletcher szedł obok niej, nawet jeśli to wymagało schodzenia ze ścieżki na nierówne, kamieniste pobocze. Ten drugi, wyraźnie mniej sprawny fizycznie, szedł z tyłu. Obaj uzbrojeni byli w pistolety kalibru 9 mm. Fletcher trzymał swój w kaburze, przy pasie, a człowiek zamykający pochód dzierżył swą broń w dłoni.

Lizzie wyszła z domu z nożem do smarowania chleba jako jedynym orężem. W pierwszej chwili zaczęła się rozglądać za jakimś kamieniem, ale Fletcher przeczącym ruchem głowy odradził jej sięganie po coś takiego.

Zmierzali w stronę oceanu - spokojnego i szarego we mgle. - Pięknie tu, prawda? Wiem, że panowie nie mogli

320



dziś zbyt wiele zobaczyć. Ja tu zwykle spacerowałam z babcią. - Starła się nadać swemu głosowi ton gawędziarski, jakim posługiwała się zazwyczaj w rozmowach z Normanem, jakby nie zwracając uwagi na swą uzbrojoną eskortę i jakby nie była tym anonimowym źródłem informacji, jakie przekazywała FBI. - Powiedziała mi kiedyś, że gdyby miała prawo decydowania o tym, gdzie ma umrzeć, wybrałaby to miejsce, z którego można przypatrywać się kormoranom nurkującym w poszukiwaniu pokarmu.

Fletcher zapytał: - I tutaj zmarła?

- Nie, zmarła w szpitalu.

Zachowywał się uprzejmie, ale widać było po nim napięcie. - Brak jej pani, prawda?

- Tak, ale co robić. Pan też by pragnął, żeby ktoś za panem tęsknił po pańskiej śmierci.

- Nie wiem, czy bym pragnął, kochanie. Zarówno on, jak i ten drugi rewolwerowiec, musieli

dostrzec Willa na tarasie i przybycie Simona. Fletcher wiedział, że Davenport jest oficerem SAS, a Simon agentem FBI. Lizzie skupiała wysiłki na odnalezieniu Abigail Browning i na tym, by otworzyć im możliwość działania. Ojciec uczył ją śmiałości. „Bądź odważna. Bądź zdecydowana. Zwłaszcza jeśli stawką jest życie”.

Spostrzegła, że naprzeciw nim ruszył ścieżką jakiś mężczyzna. Spojrzała na Fletchera. - Tu jest zupełnie inaczej niż w Las Vegas, prawda?

- Prawda. Zupełnie inaczej - odpowiedział.

- Co tam pan robił, spotykając się z Normanem w Las Vegas, oferował mu pan swoje usługi? Czy pan wiedział, że zbliża się chwila jego aresztowania?

- Proszę się mieć na baczności.

- Oczywiście. Czy Norman jest tutaj, czy na łodzi?

Tego lata przyplłynął tu wynajętym jachtem. Wspaniałym. Zaprosił mnie na kolację na pokładzie, komfort nie do porównania z moim kajakiem, choć też przygotowanym do pływania po oceanie.

Zachwiała się na jakimś kamieniu, ale odzyskała równowagę, zanim Fletcher zdążył jej w tym pomóc.

- Ile Norman zapłaci panu za zbrodnie popełnione w ostatnich dniach?  
- On jest bardzo bogaty.

Lizzie powstrzymała się przed cisnącą się jej na usta ripostą i wróciła do roli niewiniątka: - Norman wiedział, że tu przyjadę, no i przyjechałam. Musimy się pospieszyć. - I dodała: - Osłaniam cię, co powstrzymuje Willa.

W oczach Fletchera zamigotała żartobliwa iskierka:

- Właśnie dlatego nie wchodzę mu w linię strzału.  
- On nie ma przy sobie broni.

Fletcher parsknął śmiechem: - Nasz lord Davenport jest człowiekiem niezwykle pomysłowym.

Dróżka wiodła skrajem zbocza w górę. Nad skałkami krążyły mewy, ich krakanie ułatwiało Lizzie utrzymywanie kontroli nad układem oddechowym. Jeśli go przeciąży, Norman i jego ludzie będą ją mieli jak na widelcu. Przemierzała tę ścieżkę setki razy, poczynając od lat dzieciennych. Babcia objaśniała jej wszystkie spotkane po drodze rośliny, wskazywała ptasie gniazda i zwracała uwagę na roztaczające się, zmienne krajobrazy. Edna Whitcomb Rush nie była sentymentalna, ale kochała wnuczkę gorąco na swój własny sposób.

- Estabrook polecił nam trzymanie na dystans FBI oraz kogokolwiek innego, kto zechce podejść zbyt blisko. Jesteś na to przygotowany, kolego? - zwrócił się do swego kompana.

Zagadnięty wzruszył ramionami, ale odpowiedział:

- Nie stawiałem się tu po to, by uczestniczyć w jakichś zagrywkach taktycznych, ale będę wykonywał to, co do nas należy.

Akcent świadczył, że jest Amerykaninem, mniej więcej trzydziestoletnim. I dodał, wskazując Lizzie lufą pistoletu: -Uważam, że zabijemy tę tutaj i tę policjantkę, a potem się stąd zmyjemy. Tylko w ten sposób możemy się wyrwać.

Lizzie zapanowała nad nerwami. Uzyskała cenną informację: Abigail nadal jest żywa.

Fletcher również nie dawał po sobie poznać, co myśli o słowach swego kumpla. Zadał mu nagle pytanie: - Czy przypuszczasz, że Estabrook zarezerwował sobie jakąś możliwość ucieczki? Sobie samemu, bez nas?

- Zanim da stąd nogę, będzie mi musiał zapłacić. A potem jego los nic mnie nie obchodzi.

Fletcher skwitował jego słowa zapewnieniem:

- W porządku. Nadajemy na tej samej długości fal. Ten zbir umocnił swą przywódczą rolę. Weszli na

zarośniętą wysoką trawą i krzewami dziedziniec rozległego domu, zbudowanego przez Harlana Rusha seniora, dziadka Lizzie. Zmarł, kiedy ona była jeszcze dzieckiem, ale zachowała w pamięci odbywane z nim wyprawy łodzią wzdłuż wybrzeża, w czasie których opowiadał jej różne historie. Kochał morze. Babcia mówiła, że gdyby mu odebrano wszystko, ale pozostawiono morze, i tak byłby szczęśliwy.

Zadziwiało ją to, że jego pierworodny syn i następca, Harlan Junior, ojciec Lizzie, przedkładał nad ocean pustynię otaczającą Las Vegas.

Lizzie jednak sądziła, że ma on po temu istotne powody.

Spojrzała z ukosa na Fletchera: - Will panu ufa?

Były oficer SAS, unikając jej wzroku, odpowiedział:

- Will wierzy w honor i obowiązki wobec kraju.

- A pan?

Szli po miękkiej trawie, mijając rząd krzewów różanych i jeżyn. Lizzie nie uzyskała na swe pytanie żadnej odpowiedzi. Dorzuciła więc: - A ja wiem, co i dlaczego robię. Czy pan również powiedziałby to o sobie?

- Posłuchaj, kochanie - zwolnił, by zrównać z nim kroki, objął ją ramieniem i przygarnął do siebie. Wydawał się w pełni z siebie zadowolony. - Miło mi z tobą gawędzić, ale teraz nie pora na to. OK?

- Dlaczego pan zabił tego człowieka w Bostonie?

- Lizzie nie rezygnowała z prób nawiązywania dialogu.

Popatrzył jej w oczy przez dłuższą chwilę, zanim odpowiedział:

- Z konieczności.

Lizzie zaczerpnęła oddechu: - Tamten człowiek chciał zabić Fionę O'Reilly, tak?

Fletcher nie cofnął obejmującego ją ramienia, kiedy podchodzili do schodków przed głównym wejściem do domu. Jego koleś wysunął się przed nich. Myles odezwał się rzeczowym tonem: - Nie dajesz za wygraną, co? Nie miałem wyboru, niezależnie od tego, po której stanąłbym stronie.

- To Norman wynajął tamtego. Polecił mu zamordowanie ludzi ze sporządzonej przez siebie listy, bez pańskiej wiedzy?

- Jak wiesz, kochanie, pan Estabrook jest człowiekiem w pełni niezależnym.

- Lękał się pan o Fionę, prawda?

- Tak, lękałem się o nią. W końcu zgodziła się na poddanie policyjnej opiece, prawda? - Zdjął ramię

z pleców Lizzie. - A jak się ostatnio miewa lord Davenport?

- Świetnie. Te jego oczy o zmiennym kolorycie...

- Wyprzedziła Fletchera i weszła na schodki... Ale on zagroził jej drogę.

- Myślę, że mógłby być mym księciem z bajki.

Wargi mu zadrżały, kiedy odpowiedział: - Odnajdziecie się. - Skupił na niej swe spojrzenie, ale nadał głosowi ten sam co wówczas w Las Vegas ton zdystansowania, kiedy dopowiedział: - Myślę, że przez całe życie Will wypatrywał takiej kobiety jak ty.

Serce jej zabiło mocniej. - Pan jest...

Przerwał jej uprzejmie, lecz stanowczo: - Jeśli chcesz, byście obie z Abigail Browning uszły stąd z życiem, wykonuj dokładnie moje polecenia. Zrozumiałaś?

- Chcesz, żebym ci zaufała?

- Nie dbam o twoje zaufanie. Chcę, żebyś teraz zdała się na mnie.

Lizzie zawahała się, przypomniała sobie, że Will uczestniczył wspólnie z Fletcherem w tajnej misji przed dwoma laty. Musiał mu bezwzględnie ufać i strasznym ciosem było dla niego to, że Fletcher jego zaufanie zawiódł. A teraz ona ma powierzyć swoje życie Mylesowi Fletcherowi.

- Dobrze - powiedziała w końcu - podporządkuję ci się, ale jeśli się mylę i ty nie byłbyś tym...

- To wy obie byłybyście w takim wypadku martwe

- znów jej przerwał. - Jesteś dobra w te klocki, kochanie, ale ja jestem lepszy.

- Zdaję się na ciebie, bo chcę pomóc. Spojrzał na nią przenikliwie: - Wiem.

Idąc za nim ku bocznemu wejściu do domu, czuła

- chłodne mrowienie w krzyżu. - Od kiedy to wiesz? - spytała.
- Jesteś córką Harlana Rusha.
  - A więc od czasu naszego spotkania w Las Vegas. Staraleś się mnie ostrzec.
  - A ty się w tym nie połapałaś. - Nie należał jednak do ludzi zamartwiających się przeszłością. Oznajmił sucho: - Estabrook chce odkryć źródło informacji napływających do Johna Marcha. Ja nakierowałem jego domysły na kogoś funkcjonującego w jego imperium finansowym. Jak dotychczas, nadal jest tobą zafascynowany.
  - To ze względu na moją matkę - powiedziała półgłosem, jakby do samej siebie.
  - Ty i detektyw Browning nie możecie mnie odstępować ani na krok. Niezależnie od tego, co się będzie działo. Jasne?
  - Jasne. A gdzie jest Abigail?
  - Zamknięta w suterenie.
  - Zaprowadź mnie do niej - zaproponowała z uśmiechem. - Z tej izdebki ani ja, ani moi kuzyni nigdy nie mogliśmy się wydostać.
  - Byłaś nieznośnym dzieciakiem?
  - Nasza rodzina była pomysłowa. Przymknął powieki:
  - Trwasz w zamiarze przejęcia dowodzenia z mych rąk?
  - Norman ma plan alternatywny, wariant rezerwowy. Zawsze taki przygotowuje. Mogłabym się dowiedzieć, co to za plan.
  - Możesz ukryć się z Abigail Browning na czas, kiedy ja będę wykonywał moją robotę.
  - Pozwól, żeby ci pomogli Will i Simon...

- Ruszamy! - zdecydował i popchnął Lizzie na schody wiodące ku górze.  
- Panie Estabrook, zostawiam państwa samych. My musimy się zmywać.  
I to zaraz. Simon Cahill i Will Davenport już się tu zjawili. - Trzymał  
Lizzie w uścisku, nawet kiedy już się znaleźli w pokoju. - Oto pańska  
bogata znajoma.

Norman pojawił się w drzwiach uśmiechnięty i nie patrząc na Lizzie,  
powiedział: - Dobra. Pora na nasz ruch.

Nadal nie rozluźniając uścisku, w którym trzymał Lizzie, Fletcher  
oznajmił: - Oni już wezwali posiłki.

- No to my się musimy uporać z Simonem i Davenportem przed  
przybyciem tu antyterrorystów. Chcę mieć ich obu. Agenta specjalnego  
Cahilla i jego kolegę arystokratę.

- Ci panowie wiedzą, co robią. Nie pozwolą nam ich wypatrzeć ani  
zbliżyć się do nich na odległość strzału. - Głos brzmiał mu pewnie,  
profesjonalizm zapewniał pozycję niejako niezależną od Estabrooka. -  
Radziłbym pozostawić tu pannę Rush i panią detektyw Browning i  
wycofać się stąd.

- Ja też wiem, co robię - odburknął mu Norman. Skierował spojrzenie na  
Lizzie. - Cieszę się, że cię widzę. Wiedziałem, że przyjedziesz do Maine.  
Ten dom... - zatoczył krąg dłonią - jego ściany spływałyby łzami, gdyby  
mógł pojąć, że to John March spowodował śmierć twojej matki.

- A gdzie jest teraz jego córka? - spytała Lizzie. Wyśliznęła się już z objęć  
Fletcher'a. - Normanie, mogę ci pomóc w tej sytuacji. Ona miała takie  
dzieciństwo, jakiego mnie pozbawiono. Wychowywała się pod okiem  
obojga rodziców.

- Mamy ją w naszym ręku, Lizzie.

Dostrzegła błysk niechęci, wręcz nienawiści w spojrzeniu Fletchera, zanim znów się opanował.

- Chcę ją zobaczyć - powiedziała Lizzie.

- Odprowadzę panią Rush na dół - zaoferował się Fletcher. -

Porozmawiają sobie o ojcu pani Browning, a my tymczasem zajmujemy się Cahillem i Davenportem. Proszę nie oponować, panie Estabrook. Albo zrobimy tak, jak radzę, albo ja wyłączam się natychmiast z całej sprawy.

- W porządku. Proszę zamknąć Lizzie razem z panią detektyw - Norman uśmiechnął się i dotknął opuszkami palców policzka Lizzie. - Pani detektyw powinna wiedzieć, w jaki sposób jej ojciec zaciążył nad twoim życiem. Opowiedz jej o tym. Przekonaj ją, że to błąd popełniony przez jej ojca jest przyczyną tarapatów, w jakie wpadła.

- Myślę, że ukrywałam przed tobą... nienawiść, jaką czuję do Marcha.

Norman parsknął śmiechem: - Nigdy niczego nie zdołasz przede mną ukryć. Jesteś całkowicie przeźroczysta. Przyjdę tam po ciebie. - I odsunął jej kosmyk włosów za ucho władczy gestem wolnym od wszelkiego erotyzmu.

- Jesteś dla mnie kimś wyjątkowym - dodał. - Kimś, kto od początku miał rację.

- Ty również jesteś dla mnie kimś wyjątkowym, Normanie. - Pokonując suchość w gardle, dodała: - Dokonałeś wielkiej zmiany w moim życiu. Fletcher wziął ją pod rękę i odprowadził do sutereny. Mężczyzna, który pomagał mu w doprowadzeniu jej do domu, w którym się znajdowali, otworzył drzwi i zaczekał na korytarzu, aż Fletcher wprowadzi ją do wnętrza.



Abigail siedziała na podłodze oparta plecami o ścianę. Twarz - zwłaszcza lewy policzek - miała obrzękłą i pokrwawioną, blizny zaczynały się pokrywać strupami. Lizzie zwróciła się do Fletchera cichym głosem: - Powiedz Normanowi, że postawił na swoim. Nie ma żadnego powodu, by zabijać teraz Abigail. Jeśli zachowają przy życiu, zdobędzie jeszcze większą przewagę nad Marchem. Jej ojciec będzie wiedział, co Estabrook mógł zrobić z jego córką i że jest w stanie zrobić z nią, co zechce.

- Jest w stanie ją więzić.

- Właśnie.

- I zrobi to, kochanie - mrugnął do niej. - Ja myślę raczej o tym, by przy pierwszej sposobności strzelić mu w łeb.

- Ale przecież on jest ci potrzebny - zdziwiła się Lizzie. - Jeśli jesteś agentem MI6...

- To czysta fikcja - wtrącił.

- To takie sformułowanie obiegowe. Secret Intelligence Service nie jest fikcją. Ani Special Air Service. Nawet jeśli działasz z wolnej stopy, wypełniasz misję. Zniknąłeś w Afganistanie. Czy łączą cię jakieś związki z lordem terrorystą?

Oczy Fletchera ściemniały. - Muszę się stąd zbierać. Do starego doku wpłynie niebawem łódź. Nie chcę tu zostać zastrzelony. Spróbuję powstrzymać Simona i Willa, by nie spieszyli się zbytnio z pomocą dla ciebie. A ty tymczasem znajdź tu jakąś dobrą kryjówkę. - Spojrzał na Abigail, po czym ponownie mrugnął do Lizzie: - Bądź dzielna, kochanie. Po tym, jak w zamku przekreślił się klucz, Abigail się wyprostowała.

- Pewnie wyglądam jeszcze gorzej, niż się czuję - jęknęła.

- Mam nadzieję, że nie jest z tobą aż tak źle.
- Ty jesteś Lizzie Rush, prawda? Mój ojciec badał okoliczności śmierci twojej matki w Irlandii. Uznano to za wypadek.
- Ale to nie był wypadek - stwierdziła Lizzie. Abigail potwierdziła: - Nie, nie był.

Zgodnie z zaleceniem Fletchera, Lizzie zwięźle przedstawiła Abigail sytuację, w jakiej się obie znajdowały. Zakończyła zdaniem: - Powiedziałam Mylesowi, że mogą nas stąd uwolnić.

- Mylesowi... - Abigail upewniła się, czy dobrze kojarzy imię z nazwiskiem - ...to znaczy Fletcherowi, tak? To zagadkowa postać. Estabrookowi asystowali jeszcze przynajmniej dwaj inni mężczyźni. A trzeci... chyba już nie żyje.

- Tak. Fiona O'Reilly i ja znalazłyśmy wczoraj jego zwłoki. To długa historia. Na razie skupmy się na tym, jak się stąd wydostać, zanim Norman złoży nam tu wizytę. Czy zdołasz utrzymać się na nogach? Abigail skinęła głową potakująco, Lizzie pomogła jej podnieść się z podłogi. Abigail zagadnęła: - Z pewnością masz już jakiś pomysł na uwolnienie nas.

Lizzie się uśmiechnęła: - W swoim czasie bawiłam się tu z moimi kuzynami, byliśmy więźniami uciekającymi piratom z ich statku.

- A statkiem było to pomieszczenie? Czy jest stąd jakieś wyjście?

- Coś w tym rodzaju. - Odsunęła kanapę od ściany i wskazała niskie drzwiczki: - Korytarzyk pod schodami prowadzi do pralni. Moi kuzyni i ja byliśmy... no, po prostu kochaliśmy przygody. Będziesz się musiała przeczołgać.

- Dam radę. Powinnam wpaść na to sama. Pralnia... stamtąd jest wyjście na zewnątrz?

- Przez drzwi do cieplarni, gdzie babcia hodowała różne kwiatki.  
- A jeśli Estabrook albo któryś z jego oprychów nas złapie...  
- Wrócimy tu pograć w karty - zażartowała Lizzie. Abigail próbowała się uśmiechnąć: - Mój optymizm nie potrafi się jeszcze uzewnętrznić. - Wpatrywała się przez chwilę w drzwiczki. - Pójdę pierwsza. Jeśli napotkam jakieś trudności, wrócę, a ty mnie skarcisz.

Lizzie nie sprzeciwiła się temu zamiarowi; obejrzała uważnie drzwiczki i skonstatowała: - Nie wiem, czy dorosła część naszych osobowości zechce uznać, że to jest droga do wolności, i zdobędzie się na tyle kreatywności i buntowniczości, na ile zdobywałam się wraz z moimi kuzynami w dzieciństwie. - Spojrzała w oczy Abigail i dodała: -1 nie mogę obiecać, że się po drodze nie natkniemy na myszy, zarówno żywe, jak i martwe.  
- Słyszałam chrobot myszy zza ściany - potwierdziła to przypuszczenie Abigail. - Ale mam nadzieję, że ich towarzystwo jest miłsze od szczurów, grasujących tam na górze.

Wśliznęła się w drzwiczki, a Lizzie przysunęła kanapę do ściany, na ile się dało, choć i tak Norman i jego opryszki zorientowaliby się w ciągu minuty w tym, co tu zaszło. Zamknęła drzwiczki za sobą i zaczęła się czołgać w ślad za Abigail. Wydało jej się, że słyszy mysie chroboty i popiskiwanie, ale rychło doczołgała się do kolejnych drzwiczek, które Abigail pozostawiła otwarte.

Znalazła się w pralni obok Abigail. Stały tu stare pralka i suszarka, a także zamrażarka. Przypatrując się drewnianym półkom, dostrzegły parę wielkich, pordzewiałych nożyc ogrodniczych.

- Ja wolę łaskę mojej babci - powiedziała Lizzie. - Przypominam sobie, jak spacerowała, wspierając się na niej...

- Możemy dokonać niejakich spustoszeń przy użyciu tych nożyc i laski, ale oni mają pistolety - Abigail przemówiła tonem detektywa wydziału zabójstw. - Nie będziemy ryzykować żadnych szaleństw, zgoda?

Wyszły do hallu. Lizzie otworzyła drzwi, starając się, by wydały jak najmniej zgrzytów, i wkroczyły w mgłę, wzdłuż żywopłotu, dróżką biegnącą pod zbroczem. Abigail natychmiast odczuła, jak chłód pobudza krążenie jej krwi, policzki zaczęły ją wręcz palić. Lizzie, przygięta ku ziemi, starała się nie wychylać ponad korony krzewów. Wiedziała też, co powinna zrobić. Pociągnęła Abigail za łokieć: - Jesteś ranna, musisz cierpieć piekielne męki. Pozwól, Abigail, że ja wezmę to na siebie. Norman myśli, że jestem po jego stronie...

- Nie ma mowy. Działajmy razem.

Lizzie ponownie chwyciła Abigail za łokieć: - Fletcher potrzebuje czegoś od Normana. To ważne, a ja mogę to od niego uzyskać. Jeśli on się teraz oddali, nigdy go już nie odnajdziemy. On wyjdzie z całej sprawy zwycięzcą. I on stanie się dla twego ojca *nemesis*.

- Nie mogę ci pozwolić...

- Niech cię przynajmniej przez cały czas osłaniam. Nie będę podejmowała niepotrzebnego ryzyka. W każdym razie nie tutaj. -

Podprowadziła Abigail do drewnianej ławki osłoniętej żywopłotem. - Wiedziałam, dlaczego nie należy tych krzewów podcinać! Posłużą ci za parawan.

Abigail opadła na ławkę. - Zostań tu ze mną.

- Fletcher w żaden sposób nie zdoła przeprowadzić tej akcji w pojedynkę. Norman mi ufa. Jeśli nie zrobię

teraz tego, co mogę... - Lizzie urwała zdanie w połowie. - Trzeba przekonać Willa i Simona, że Fletcher jest po dobrej stronie. Jest inny jeszcze powód, byś tu została. Nie jest nam potrzebny żaden żywiołowy wybuch radości.

- Nie, nie jest, ale...

Lizzie podparła się laską i uśmiechnęła się do Abigail. -Nie zmuszaj mnie do tego, bym cię odpędzała. Ufam ci i naszemu księciu z bajki, ciemnowłosemu lordowi, który przybył, by mnie ratować.

- Simon, Davenport i Fletcher - Abigail uśmiechnęła się niepewnie - bardzo przyjemne trio. Może weźmiesz ode mnie te ogrodowe nożyce?

- Miej oko na te wszystkie zarośla. Czy myślisz, że będę skuteczniejsza z tymi nożycami? - Nie czekając na odpowiedź, ruszyła ku kamiennym schodkom. Nie mogła przez mgłę dostrzec nikogo, zaczęła schodzić w dół przez pochyły dziedziniec. Zastanowiła się, czy nie powinna wykrzykiwać imienia Normana, ale dostrzegła go przy rzędzie jeżyn i dzikich róż powyżej skałek.

Pomachała mu dłonią i podbiegła w jego stronę z okrzykiem:

- Normanie! Abigail omal mnie nie zabiła! Użyła mnie jako zakładniczki

- przepraszam, że uciekłam. Nie wiedziałam, co robić.

- A gdzie ona jest teraz?

- Wbiegła na górę. Szuka ciebie. Myśli, że zdoła pozyskać twoich ludzi.

- Przekona się o czymś przeciwnym.

- Normanie... - Lizzie z trudem łapała oddech - to prawda!

Jego źrenice ziały chłodem, nad górną wargą lśniły kropelki potu.

333

- Szczera prawda - potwierdził. - Ale niezależnie od tego, czy kłamiesz, czy nie, jesteś teraz moja.

Mgła zasłoniła linię brzegu szarym całunem. Abigail drżała od chłodu w swej kryjówce pomiędzy krzewami. Dokuczały jej bóle, jak w chorobie, ale chciała zrobić wszystko, co możliwe, by odciągnąć Estabrooka i jego ludzi, i w ten sposób dopomóc Lizzie Rush. Zaczęła szcząkać zębami. Nagle spomiędzy skałek wyłonił się Simon. Na jej widok opuścił lufę pistoletu. Wysoki, jasnowłosy mężczyzna, również uzbrojony, stanął obok niego. Przyjaciół Simona, Brytyjczyk, Will Davenport. Książę z bajki wymarzony przez Lizzie.

Abigail powściągnęła emocje. Powiedziała: - Estab-rook ujął Lizzie Rush.

Simon pospieszył z zapewnieniem: - Roztoczymy nad nią opiekę, Ab. Skupiła się, by przedstawić im jasno sytuację. - Lizzie stara się powstrzymać Estabrooka. Przypuszcza, że Fletcher chce uzyskać od niego jakieś informacje. Nie wiem, gdzie on się podział. Estabrook ma jeszcze dwóch ludzi. Uzbrojonych najemników.

Will próbował przebić się wzrokiem przez mgłę, ku morzu, ale zwrócił się do Abigail: - Myles przez długi czas był sam. - Zamilkł na chwilę, jakby zbierał myśli. - Lizzie jest równie uparta i niezależna jak on.

Abigail przycisnęła dłonie do piersi, morskie powietrze zaostriło jej ból.

- Przykro mi, że nie zdołałam jej powstrzymać - wykrztusiła.

- Od roku nikt nie był w stanie tego dokonać - powiedział Simon.

Will spojrział na swego przyjaciela. Rzekł: - Muszę isc.

W Simonie obudził się agent FBI: - Willu, do diabła

- przecież Fletcher jest brytyjskim agentem, nie?

- Teraz tak. Nie wiedziałem.

- Moglibyście się obaj postarać przynajmniej o to, by już nikogo nie zabijać na terytorium amerykańskim.

Will bez słowa cofnął się między krzewy i zaczął schodzić ku nabrzeżu, zanurzając się w mgłę.

Abigail wyciągnęła rękę do Simona. - Daj mi broń. Nie mogę bronić się przed tymi oprychami, rozporządzając tylko nożycami ogrodowymi. - Rzuciła je na ziemię.

Podał jej swój pistolet z kwaśnym uśmiechem, z kabury wyciągnął drugi.

Abigail poczuła się pewniej z bronią w ręku. - Musimy uniknąć

strzelaniny, dokąd to będzie możliwe. Jeśli Norman pomyśli, że

przegrywa... - Wiedziała, że nie musi tego zdania kończyć. Ona też

spróbowała przebić się wzrokiem przez mgłę i dojrzeć morze. - Simonie

- dodała - czy możesz mi dostarczyć klucz do zrozumienia prawdy?

- Afganistan - brzmiała odpowiedź.

Była dla niej wystarczająca. Narkotyki, terroryzm. Jakiegokolwiek

szczegóły wchodziły w grę, Brytyjczycy byli w nie wprowadzeni.

Podobnie jak - bez wątpienia -jej ojciec.

Oraz Lizzie Rush.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY**

*Nieopodal Kennebunkport, stan Maine 8:56 rano czasu lokalnego 27 sierpnia*

Mgła osiadała na włosach i ramionach Lizzie. Dostrzegła łódź Zodiac przycumowaną w starej przystani, którą jej babka miała zamiar wyremontować. Wybudował ją dziadek wraz ze swymi dwoma synami, stanowiła więc rodzinną pamiątkę. Ale babci nie wystarczyło już czasu na zrealizowanie tego zamiaru.

Norman przyłożył Lizzie do pleców pistolet kalibru 9 mm. Na ile Lizzie orientowała się w jego interesach, nie obejmowały one broni. Ciekawe, w jakim stopniu potrafi się nią posługiwać. Ale właściwie wystarczy, by umiał nacisnąć spust.

Nie odebrał jej babcinej laseczki. Wyszukiwała nią teraz znajomych wybruszeń i zagłębień w ścieżce, którą podążali. - Dokąd idziemy? - spytała.

- Zaufaj mi, Lizzie - brzmiała jego odpowiedź. Kiedy doszli do krańca ścieżki, wysunął się na krok



przed nią i zatrzymał, stając z nią twarzą w twarz. Spytał: - Nie ufasz mi, prawda?

- Oczywiście, że ufam, Normanie, zapewniłabym cię o tym, nawet gdybyś nie wycelował we mnie tej broni. Mógłbyś ją ode mnie odsunąć? Opuścił lufę pistoletu ku ziemi, ale nie schował go do kabury przytroczonej do paska od spodni pod letnią marynarką. Oddychał gwałtownie, próbując przebić wzrokiem mgłę. - Nic nie widzę - poskarżył się.

- Wypływanie dokądś łodzią nie ma w tych okolicznościach sensu. Odparował tę uwagę dość gniewnie: - Niech cię o to głowa nie boli.

- Mogę ci pomóc - Lizzie wypróbowywała różne tonacje rozmowy, byle niezbyt agresywne z jednej

i niezbyt pojednawcze z drugiej strony. - Gdzie twoi ludzie? Ten Brytyjczyk i tamci dwaj?

- Mamy się tu spotkać. I powtarzam: to nie twoje zmartwienie. Zawrę z nimi układ.

Lizzie starała się nie okazywać żadnych uczuć, jakie się w niej rodziły. Jeszcze nigdy nie zetknęła się z tak zimną nienawiścią. Było to dla niej trudniejsze do zniesienia niż pogrożki miotane przez niego w jej obecności pod adresem Simona i Marcha. Najwidoczniej Norman rozpałał w sobie tę nienawiść przez dwa miesiące, jakie minęły od dnia aresztowania.

- Co się takiego zdarzyło? - zapytała. - Czy Abigail stała się dla ciebie celem, gdyż odważyłeś się grozić zemstą jej ojcu?

- Ja ją również wziąłem na celownik.

- Aha, rozumiem. Ale w rozmowie telefonicznej z Simonem mówiłeś, że chcesz zabić jego i jego szefa, Marcha.

- Zawsze wiem, co mówię.
- Chciałeś, żeby najpierw odcierpieli swoje. Norman z uśmiechem potwierdził.

Lizzie uświadomiła sobie, że bynajmniej nie potrzebowała Fletchera po to, by jej odradzał wsiadanie do łodzi z Normanem. Ważyła w dłoni babciną laseczkę i starała się wciągać go w rozmowę. - Wiesz, że tu właśnie miałam dorastać i dorośleć?

- Oczywiście! Wiem o tobie wszystko. Nie musisz zabiegać o moje zainteresowanie. - Mgła osiadała mu na twarzy, nadając jej lśniąca śliskość.

- Śmierć córki Marcha tutaj miałyby wymowę ironiczną, a nawet po trosze poetyczną.

Jego wzrok był tak przepojony zimną nienawiścią, że chłód przenikał Lizzie do szpiku kości. Usłyszała odgłosy łodzi zbliżającej się do brzegu. Norman nie spuszczał jej z oczu. Dodał:

- Twoja śmierć byłaby również poetyczna, gdybyś mnie zdradziła.
- W jaki sposób mogłabym cię zdradzić? Czy w którymś z naszych hoteli zaślano ci łóżko zbyt krótkim prześcieradłem?

Norman uśmiechnął się niemal niedostrzegalnie. - Zawsze podziwiałem twoje poczucie humoru. Tak mało miałem tego lata okazji do tego, by się pośmiać. Ale to się właśnie zmienia.

Lizzie nie zareagowała na szczyptę złośliwości zawartą w jego słowach. Dotknęła jego pokrwawionej dłoni i spytała: - Czy musiałeś się bronić przed agresywnością córki Marcha? Zauważyłam, że wygląda na utrudzoną jakąś walką...

- Lizzie, Lizzie, to nie *ona* zaatakowała mnie. To ja zaatakowałem *ją*. - Zaczął schodzić ku krawędzi doku.

- Wszystko zmieniło się w czerwcu, kiedy pojąłem, co mi wyrządzono. John March przestał być frapującym wyzwaniem, ale wezwaniem do rywalizacji... do wzięcia się z nim za bary... - Przerwał na chwilę, wdychając powietrze przez nos, i dokończył: - A teraz toczyliśmy walkę na śmierć i życie.

- Nie powziąłeś jeszcze takiego planu w czerwcu

- udawała głębokie przejęcie jego słowami. - Czy coś w tobie podsuwa ci myśl, że to March cię rozpracowywał?

- On jest przeciwnikiem wyjątkowej klasy, muszę dopuszczać wszystkie możliwości.

- Ci twoi znajomi ze służb federalnych byli w końcu... no dobrze, nie mnie to sądzić, ale dlaczego mi nie powiedziałeś, że musisz być gotów na wszystko?

- Powstrzymała mnie troska o zapewnienie bezpieczeństwa moim zamiarom.

- Fletcher dołączył do ciebie w Las Vegas. Widziałam go tam.

- Pomógł mi wyrwać się z Montany.

Lizzie rzuciła okiem na pistolet, który miał w dłoni. Był to kosztowny Sig Sauer. Norman nie trzymał palca na cynglu. - To, że się zaprzyjaźniliśmy, było możliwe dzięki moim osobistym porachunkom z Marchem?

- To ty mi odpowiedz na to pytanie. Czy tak rzecz się miała z twojego punktu widzenia?

Wstrząsnął nią nagły dreszcz. - Moja matka... - zaczęła.

- Pomóż mi. Stań po mojej stronie. Tego tylko pragnę i oczekuję od ciebie teraz. Czy choć przez chwilę wierzyłaś, że FBI wie o mnie wszystko? -

Mówił tak przekonująco, że zrozumiała, iż mógł zdobywać miliardy dla siebie i współników. Był zarazem skupiony

i natchniony, a do tego nieprzeciętnie inteligentny. - Działalność w funduszach inwestycyjnych dowiodła mi znaczenia dyskrecji i dochowywania sekretów. Ty pragniesz, by John March odcierpiał swoje, prawda, Lizzie? Za to, co sprokurował twojej matce.

Pokonując uczucie wewnętrznego sparaliżowania, odpowiedziała: - Tak. - To dobrze. Powodujące tobą motywy nie mają dla mnie charakteru osobistego, nie podzielam ich. Moje motywy są czystsze - bardziej interesujące od nienawiści czy mściwości. Potrzebna mi jesteś z twoimi prostszymi motywami. Mam za przeciwnika człowieka o potężnej władzy, skrytego i owładniętego obsesją na moim punkcie. Obaj jesteśmy sobie równi. Ten człowiek ma się dowiedzieć, że zabiłem ludzi, o których się troszczy. Odmawiam podporządkowania się jego władzy. Zniknę mu na zawsze.

Z mgły wyłoniła się smukła, szybka motorówka, Norman zwrócił wzrok ku wodzie. - Musimy się spieszyć - rzucił.

- Nie jestem taką ryzykantką jak ty, Normanie - Lizzie nadała swemu głosowi ton niejakiego niezdecydowania, tak jakby szukała w Normanie wsparcia przed powzięciem decyzji. - Powiedz mi, dokąd się udamy.

- Na pełnym morzu czeka jacht, który nas stąd wywiezie bardzo daleko. Mam potężnych przyjaciół.

- Jaki jacht? Sądziłam, że przybyłeś tutaj na łodzi. To jakaś inna...

- Zapewniam cię, że jacht będzie ci odpowiadał. Jest zarejestrowany jako własność jednej z moich firm, o której nikt nic nie wie. Ty byłaś mi inspiracją - przy tych słowach wyciągnął ku niej dłoń. - Jesteś moją sojuszniczką. Moją pomocnicą numer jeden.

Lizzie zachłysnęła się wewnątrz na myśl o tym, że za tym jachtem stoi Fletcher. - Chciałabym ci pomóc... ale... jestem zaniepokojona. Co to za jacht? Gdzie...

- Twoja matka lubiła lawendę. Mówiłaś mi o tym. Pomyśl sobie, że to ona czeka na ciebie na pokładzie. *Lawendowa dama*. - Odnosił się do niej teraz z wyszukaną uprzejmością, podszytą jednak resztką nieufności. - Nie lękaj się. Zwyciężymy. March, Simon - nigdy nie mieli przeciwnika takiego jak ja.

Silnik łodzi zwolnił obroty, kiedy wpływała do przystani. Lizzie dostrzegła sternika za kołem i drugiego mężczyznę na rufie, obaj byli uzbrojeni w długą broń.

Udała zakłopotaną. - To nie popłyniemy łodzią typu Zodiac?

- Nie lękaj się, Lizzie, nie ma powodu do strachu.

- A co z tymi ludźmi, którzy zostali w domu? Z tym Brytyjczykiem i dwoma innymi...

- Oni zajmą się Simonem i Davenportem. Obiecałem im specjalny bonus, jeśli Simon znajdzie trupa Abigail.

- Przetarł sobie brew dłonią, w której trzymał pistolet. - Najpierw myślałem, że uwiozę ją ze sobą, ale znudziła mnie. Powinienem był zabić ją osobiście, aby móc opowiedzieć, jakich uczuć doznawałem, kiedy jej krew spływała mi z rąk...

Opanowując dreszcze, które ją przenikały, Lizzie zaczęła wyliczać: - Simon i twoi trzej ludzie, i ty, i ja...

- zamyśliła się, jakby chciała zrozumieć jego zamiary

- nie zmieścimy się wszyscy w tej łódce.

Mina Normana musiała jej wystarczyć za odpowiedź.

- Postanowiłeś ich zabić. Ci ludzie z motorówki mają ten wyrok wykonać.

- Potrzebna mi nowa drużyna.

Wiedziała, że jeśli wsiądzie do łodzi z tymi ludźmi,

będzie zgubiona. Will, Simon, Fletcher, March - żaden z nich nigdy jej nie odnajdzie.

I nigdy też nie odnajdą *Lawendowej damy*.

Porastające nadbrzeżne wzgórza krzewy, rozrzucone wokół głazy i skałki stwarzały jej możliwość uniknięcia zguby, ale tylko do czasu, kiedy Norman (a także jego najemnicy) sądził, że ona stoi po jego stronie.

Oznajmiła nagle:

- Nie płynę z wami.

Oślupiał, ale tę właśnie chwilę Lizzie wykorzystała, by z całej siły uderzyć go babciną laseczką w dłoń, w której trzymał pistolet. Wypuścił go z ręki, wyjąc z bólu.

Pistolet wpadł do wody, właśnie wzbierał przypyływ.

Norman rzucił się ku niej, ale Lizzie zniknęła już między skałkami, głazami i krzewami - znała tu każdy skrawek wybrzeża.

Z łodzi wyskoczył sternik z bronią wycelowaną w stronę, w którą zbiegła. Skryta za okazałym głazem, usłyszała nad sobą odgłos czyichś kroków. Z mgły wyłonił się Myles Fletcher z karabinem w ręce. Wymierzył go w stronę Estabrooka i jego ludzi. - Złóżcie broń - zakomenderował.

Nie usłuchali rozkazu i próbowali użyć przeciw niemu broni, ale Fletcher był szybszy. Norman jęknął ze strachu i wściekłości, skoczył ku mokrym głazom, próbując ucieczki. Fletcher nie zwracał na niego uwagi.

Miliarder w okamgnieniu przekształcił się w pełzającego po nabrzeżnych kamieniach kraba.

W chwilę potem zza okazałego świerka wyskoczył Will, dobiegł do przystani i celując w drugiego mężczyznę, pozostałego na rufie łodzi, rozkazał: - Ręce do góry!

Najemnik Estabrooka posłusznie wykonał to polecenie.

Ze szczytu wzgórza dobiegł odgłos trzech wystrzałów, ale Fletcher i Will potraktowali je jak strzały na wiwat. Will zapytał Fletchera, nie spuszczać z muszki człowieka w łodzi: - Chcesz go pojmać w łodzi czy wyciągnąć ci go na brzeg?

- Wyłuskaj go na brzeg. Niezawodny jesteś, lordzie Willu - roześmiał się Fletcher, skierowując lufę swego karabinu w stronę Normana przeskakującego niezgrabnie z jednego obślizłego kamienia na drugi. - Od dwóch lat ubiegam cię zawsze o krok.

- Myles? Mój Boże! - Will rozglądał się wokół.

- Lizzie?

- W porządku - odpowiedziała. - Myślałam, że nadepnęłam na rozgwiazdę. - Podeszła do Normana, ciągle nie umiejącego odzyskać równowagi na niepewnym gruncie. Poleciała mu: - Nie uciekaj, bo któryś z Brytyjczyków cię postrzeli. - Sprawdziła, czy Estab-rook nie ma jeszcze ukrytej gdzieś broni, ale żadnej nie znalazła. - No i doigrałeś się, Normanie. Miałeś wszystko: pieniądze, przygody, przyjaciół. Ale nie dość ci tego było. A teraz zostałeś sam jeden, i to z własnej winy.

- Hotelarka... - wysyczał. - Panna Rush... I ty jesteś członkinią ekipy Marcha. Zdradziłaś mnie. Ale któregoś dnia, Lizzie, ja cię zabiję. - Głos brzmiał mu pewnie, jakby nie uświadamiał sobie jeszcze swej przegranej.

- Uduszę cię, powoli, własnymi rękami.

Lizzie stanęła na suchej skałce: - John March jest człowiekiem dobrym, a ty jesteś dokładnie taki, jakim lękałeś się być.

- I to nie żadnym Maćkiem Majchrem - dodała schodząca właśnie ścieżką ze wzgórza Abigail.

Norman zjeżył się i zamachnął w jej stronę, ale

wycelowała w niego lufę pistoletu: - Spokojnie, bez szaleństw.  
Znieruchomiał na sekundę, po czym rzucił się z pięściami w jej stronę.  
Spoza jej pleców wyłonił się Simon i strzelił do Normana równocześnie z Abigail. Kiedy padał, Lizzie nie usłyszała jego krzyku zagłuszonego przez tę kanonadę i plusk fal przyływu bijących o nabrzeżne głązy.  
Abigail przyklękła i zwymiotowała. Fletcher podszedł do niej i objął ją ramieniem, pomagając wstać. - To zapewne nie tylko choroba morska, kochanie - powiedział. - Pomyślałaś o tym?  
Spojrzała na niego z ukosa: - O czym?  
Mrugnął do niej porozumiewawczo: - Będzie z ciebie świetna mama. -  
Podszedł z kolei do Lizzie, już nie roześmiany. - Nie przyglądaj mu się.  
Odszedł. W pewnym sensie szkoda. Ale wolał trafić wprost do piekła niż do więzienia.  
- Masz rację - zgodziła się Lizzie. - Teraz jawnie drżała od chłodu. - On...  
Robiłam, co mogłam.  
- Wiem, kochanie. Nie pozwoliłbym mu cię zabić. - Uśmiechnął się nagle. - W każdym razie nie przed oświadczynami lorda Davenporta. On jest tobą opętany.  
Tymczasem w zatoce człowiek z łodzi odmówił zejścia na ląd. - Nie będziecie zabijać nieuzbrojonego.  
- Popatrz no - powiedział rozbawiony Fletcher. W tej samej chwili Will wskoczył do łodzi i kolbą karabinu wymierzył tamtemu cios tak celny, że zaatakowany zachwiał się i wpadł do zimnej wody.  
- No widzisz - skwitował sytuację Fletcher i uśmiechając się szeroko, dodał: - Ty byłaś równie dobra, operując babciną laseczką. - Zwrócił wzrok ku morzu:



- Estabrook ma jacht oczekujący go na pełnym morzu. To nie ta łódź, którą przyплыł tu wtedy z Bostonu.

- Wiem - potwierdziła Lizzie.

Simon przejął człowieka wydobywającego się z wody. Will dołączył do swego rodaka. Spytał: - Jak się nazywa ten jacht?

- Gotów byłem zabić, żeby poznać jego nazwę - odpowiedział Fletcher.

Simon prowadził najemnika ociekającego wodą, z uniesionymi do góry rękoma, który wbił wzrok w trupa swego partnera.

- Byliśmy zaangażowani tylko do transportu. Nie wiedzieliśmy, dokąd zostaniemy stąd wysłani.

- Do transportu i do morderstw was zaangażowano

- wtrącił Simon.

- Wpadłeś na trop sieci terrorystycznej - Will pochylił się ku Fletcherowi.

- Tropienie zajęło mi dwa lata. To wyjątkowo groźna sieć. Nazwa jachtu ułatwiłaby mi jej rozbicie. - Fletcher spojrział Willowi w oczy: - Nie mogłem zapobiec temu, co się stało w Afganistanie. Śmierć Davida i Philipa. Twoje osamotnienie w zasadzce. Nie mogłem nic w tej sprawie zrobić, jak tylko uznać nieuniknioną tych strat. Było też konieczne, byś ty uznał, że nie żyję. I że jestem zdrajcą.

- Wpadłeś na ślad powiązań terrorystycznych. To cię przywiodło do Estabrooka.

- Odsunąłem od tej sprawy Marcha. Uczyniłem to anonimowo, ale myślę, że on się domyślił, że to ja za tym stoję. Nie zadawał żadnych pytań.

Abigail rzuciła bystre spojrzenie w ich stronę: - Mój ojciec nie stawia pytań, na które nie oczekuje odpowiedzi.

Fletcher skinął głową potwierdzająco: - To dzielny człowiek. - Zwrócił się do Lizzie i Willa: - Poza tym Afganistan nie był błędem Marcha. Ani twoim, Willu. Dowiedziałem się o zamachach bombowych w Bostonie zbyt późno, by im zapobiec, starałem się tylko zmniejszyć straty. Nie wiedziałem o ataku na Keirę w Irlandii.

- Przebywałeś tam wtedy - powiedział Will.

- Zamierzałem porozmawiać z Simonem osobiście, ale go nie zastałem w tej wiosce. Powróciłem do swej roli. - W szarych źrenicach Fletchera zamigotało rozbawienie. - Gdybym nie skontaktował się z Oddziałem Specjalnym, nie mógłbym dotrzeć do zakichanego FBI.

- Powinieneś pozostać duchem, tkwić w konspirze

- stwierdził Will. - W czymkolwiek mogę, stawiam ci się do dyspozycji. Nie jesteś już samotny.

Fletcher uśmiechnął się:

- A czy mam wybór?

Lizzie opanowywała swe emocje. - Masz rację. Norman zamierzał dopłynąć tą motorówką do jachtu. Wszystko było dokładnie zaplanowane. Ja miałam być jego...

- zaczerpnęła powietrza i nie patrząc na jego zwłoki, dodała: - Znam nazwę jachtu. To *Lawendowa dama*.

- Lawendowa...?

- Moja matka uwielbiała lawendę - wyszeptała Lizzie.

- Ten człowiek był wytrawnym manipulatorem, który ubzdurał sobie rolę *nemesis* Johna Marcha, mając ciebie u swego boku. - Z kolei Fletcher wziął oddech, zanim dodał: - Pomogłaś nam bardziej, niż sądziłaś.

Przyrzekam ci, że schwytemy resztę tych zbrodniczych oprychów.

- Zrobię, co mogę...

- Jedyne, co możesz, to zająć się lordem Willem tak

intensywnie, by nie snuł się moimi śladami. -1 zwracając się do swego przyjaciela, poprosił: - Zaopiekuj się Josie.

- Ona się wścieknie! - odpowiedział, ale oczy zasnuła mu mgiełka smutku. - Od dwóch lat marzy o tym, by cię zabić, nawet wtedy, kiedy myśli, że nie żyjesz. Powiedziała kiedyś, że powinniśmy ekshumować twe zwłoki i zabić cię ponownie, dla pewności.

Fletcher się rozpromienił: - Oto dziewczyna dla mnie!

Wskoczył do motorówki i wypłynął nią na pełne morze.

Lizzie dostała kolejnego ataku dreszczy, Will objął ją i oboje wsłuchiwali się w słabnące odgłosy motorówki, którą oddalał się Fletcher.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY**

*Nieopodal Kennebunkport, stan Maine 10:43 przed południem czasu lokalnego 27 sierpnia*

Kiedy Bob zobaczył Lizzie Rush stojącą na skałce i wpatzonego w nią Willa Davenporta, zrozumiał od razu, że nie znajdzie na nią sposobu. W jego mieście rodzinnym zaszły w ciągu minionego trzydziestolecia zmiany, których nie rozumiał i nie byłby w stanie zrozumieć, a ich większość wiązała się z Johnem Marchem.

On, March i Harlan Rush dotarli do Maine akurat w czasie, kiedy antyterrorysty przeszukali już posiadłość Rushów w poszukiwaniu bomb, trupów, oprychów i broni, ale nad sytuacją panowali już dwaj Brytyjczycy, Lizzie i Abigail. Antyterrorystom i policjantom udało się jedynie odnaleźć pistolet kalibru 22 mm schowany w puszcze na cukier. Służył niegdyś zapewne starej damie, która wiodła w tym domu samotny żywot, jako zabezpieczenie przed ewentualnymi napastnikami.

Ratownicy usiłowali nakłonić Abigail, by dała się przewieźć do ambulatorium. Rzuciła się ojcu na szyję, jak tylko go zobaczyła, ale odzyskała już niemal w pełni dawną energię i była gotowa sprzeczać się ze wszystkimi o wszystko.

Bob przypatrywał się Davenportowi wspinającemu się na wzgórze od strony brzegu morskiego. Mgła rozsnuwała się pod wpływem słońca. Zaczęto opisywać to, co znaleziono na miejscu wydarzeń: dwóch martwych oraz dwóch schwytanych żywcem opryszków, a także zwłoki miliardera.

Jednego Brytyjczyka już nie było.

Bob zwierzył się Davenportowi: - Zawsze się zastanawiałem, któż to mieszka w tych ogromnych rezydencjach nad oceanem. Nareszcie się tego dowiedziałem. Poznał pan już Harlana, rodzica Lizzie?

- Tylko się sobie przedstawiliśmy.

- On należy do tej samej branży co pan. Chociaż to Amerykanin. To upiór.

Davenport odpowiedział: - Przedstawił mi się jako na wpół emerytowany hotelarz.

Bob roześmiał się: - Nie kpij pan sobie ze mnie. - Wpatrzył się w horyzont: - Przypuszczam, że pański współrodak już się stąd zmył.

- Tak.

- On jest taki sam jak pan.

- To znaczy: Brytyjczyk?

Bob zorientował się, że chodzi im o utrzymanie wizerunku Fletchera jako jednego z przestępców. Myles Fletcher miał być przestępcą.

- Zabił Waltera Bassette'a - dodał Bob.

- W akcji obronnej. Stwierdził, że ten Irlandczyk zamierza zabić pańską córkę, i zapobiegł temu. - Daven-

port otrząsnął się, jakby i on wyszedł z wody. - Ona się w końcu zgodziła, żeby ją objęto opieką policyjną?

- Po tych wszystkich przejściach...

- Myles nie jest łagodny, ale jest skuteczny.

Bob zauważył, że w miarę ich zbliżania się do agentów policji stanowej oraz federalnej wyraz twarzy Davenporta radykalnie się zmienia. Zrazu tego nie widział. Potem dostrzegł, że Lizzie Rush wymyka się stróżowi porządku i rusza naprzeciw niemu i Davenportowi - jej czarna fryzura lśniła w nabierającym mocy blasku słonecznym. Lizzie była po kolana zmoczona wodą morską w wyniku swej akcji, ale nie ulegało

wątpliwości, że podąża na spotkanie z Davenportem, brytyjskim lordem, wywiadowcą i oficerem SAS, w którym zakochała się z wzajemnością.

- Zechce mi pan wybaczyć - zwrócił się do Boba Davenport. Kiedy oboje młodzi ludzie objęli się i zwarli ustami, świadkowie tej sceny: John March, Harlan Rush oraz Bob przybrali pozy spokojnych obserwatorów.

- Wiesz - zagadnął Boba Harlan - że kiedy uczyłem Lizzie technik samoobrony, w ogóle nie przyszło mi do głowy, że przydarzy jej się bronić przed uzbrojonym miliarderem tutaj, na tym zasłanym głazami nadmorskim pustkowiu.

- Czego się obawiałeś? - spytał go Bob.

Przed oczami stanęła mu własna córka - tak wyraziście, że nie tylko zrozumiał, ale odczuł ładunek uczuciowy słów Harlana: - Tego, bym jej nie utracił.

- Harlanie, ona jest równie piękna i dzielna jak jej matka - wtrącił March. Rush nie zakwestionował tej oceny. Uzupełnił ją: - Bardzo nie lubię sekretów.

- Abigail też ich nie znosi.

350

- Należą obie do innej generacji niż nasza.

Bob zagadnął zaczepnie: - A kto, u diabła, ma dziś jeszcze jakieś sekrety? Moje dzieciaki wiedzą wszystko.

March wywołał na usta słaby uśmiech. - Wszyscy prowadzimy jakieś wojny, dążymy do zwycięstwa.

Dołączyli do nich Will i Lizzie, March zmienił nagle temat: - Przed paroma minutami przejeżdżaliśmy jacht *Lawendowa dama*, ale nie znaleźliśmy tam Fletchera ani żadnego śladu, że tam dotarł.

Bob skwitował tę sytuację: - Uzyskał to, o co mu chodziło, i zniknął. Mówiłem, że to upiór.

Harlan Rush i Will Davenport - obaj będący upiorami *bona fide* - nie zareagowali na to określenie ani słowem. Nie odezwał się też March, który zdaniem Boba doskonale wiedział, kiedy i spod jakiej skały wypęzła ta jaszczurka.

Lizzie stała tuż obok Willa, gdy zwróciła się do Johna Marcha: - Ja bym pokierowała sprawami z ostatniego roku w inny sposób.

Ale zanim March zdążył odpowiedzieć, zainterweniował Harlan, któremu oczy niemal wychodziły z orbit: - Lizzie, do diabła, czego cię uczyłem? Odpowiedziała mu z uśmiechem: - Na przykład jak udostępnić poncz kuzynowi Whitowi.

- A oprócz tego?

- Nie wzdychać do przeszłości.

- Słusznie. Wracać do niej myślą tylko po to, żeby wyciągnąć z niej nauki, ale ponieważ nigdy nie będziesz już mogła szpiegować zwariowanego miliardera, żadnych nauk z tej przeszłości nie wyniesiesz. Nie ma więc po co do niej wracać.

Ale Bob, podobnie jak oni wszyscy, wiedział, że ona będzie wracać.

Abigail, porwana przez człowieka ży-

wiącego obsesyjną nienawiść do jej ojca. Scoop, który opłacił całą sprawę daniną swej krwi. Fiona i Keira - po swych traumatycznych przeżyciach. Wygrzebią się z tego. Czy mają inny wybór?

Lizzie wpatrzyła się swymi zielonymi oczami w dyrektora FBI: - Norman uważał, że pan zburzył życie, które mogłam mieć.

- Może i zniszczyłem - odparł March.

- A czy pan myśli, że byłby pan dziś dyrektorem FBI, gdyby tak było?

- Wątpię. Twój ojciec mógłby zaaranżować mi jakiś wypadek. Jako wyrównanie rachunku. - Ale żarty rzadko udawały się Marchowi. -

Lizzie, twój ojciec był gotów oddać swe życie za ciebie i za Abigail. Ja też bym na taką wymianę poszedł.

- Jeden z was za nas dwie?

- Dwaj za dwie.

Harlanowi oczy zalśniły łzami, cokolwiek to oznaczało.

Bob uznał, że dość już tego: - Kości zostały rzucone. - Zwrócił się do Lizzie. - Powinnaś do nas zapukać i porozmawiać ze Scoopem, Abigail i ze mną. Porozumieć się ze Scoopem, kiedy cię zauważył.

Nie wydawała się przestraszona słowami porucznika policji. - Nie rozporządzałam żadną informacją, której by pan nie znał. Pan mógł mnie powstrzymać przed wylotem do Irlandii. I co by było wtedy?

- Keira musiałaby polegać na swoich irlandzkich wrózkach.

- Może i polegała na nich - stwierdziła Lizzie.

- Nie kpj sobie ze mnie.

Uśmiechnęła się do niego, a Bob dałby głowę za to, że zobaczył, jak Brytyjczyk w tym samym czasie całuje ją w czubek głowy.



- Kto do diabła wie teraz cokolwiek. - Dostrzegł zmierzającego ku nim Owena Garrisona. - Batman się zbliża.

Owen spostrzegł Abigail, która usiadła na barierce, i zerwał się do biegu. Nikt nie próbował go powstrzymać.

Bob spojrział na Marcha i natychmiast odwrócił głowę. Nie dlatego, że nie chciał dostrzec łez w oczach szefa FBI; chodziło o to, by mu nie wchodzić butami w duszę.

Harlan Rush skrzyżował ręce na piersiach i ogarnął skałki Maine wzrokiem tak ciepłym, jakby były stolikami do pokera w Las Vegas.

Znów poczuł się tu u siebie. Ruchem głowy wskazał Bobowi Davenporta, nadal obejmującego Lizzie, i powiedział: - Jego dziadek był porządnym człowiekiem. Zaglądałem do niego co jakiś czas w okresie zimnej wojny, w latach mej beztrudnej młodości. To zabawne, jaki obrót przybierają różne sprawy. Czy lord Davenport często jeździ do Szkocji powędkować?

- Najwidoczniej często - odparł Bob.

- To samo robiła jego babcia - roześmiał się stary upiór. - Nie wiem, czy to się zdarza Lizzie, ale my, Rushowie, nie mamy hotelu ani w Londynie, ani w Szkocji.

- Powinniście jakiś tam sobie zafundować - zasugerował Bob. -

Otworzyłyby to przed nią nowe perspektywy, gdyby zaczęli się oboje z Davenportem zastanawiać nad tym, jakby tu znów popaść w tarapaty.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY**

*Boston, stan Massachusetts 6:30 po południu czasu lokalnego 27 sierpnia*

Owen wziął Abigail za rękę i wprowadził do rozległego apartamentu w świeżo odnowionym budynku położonym przy nabrzeżu południowej części Bostonu. Miała to być nowa siedziba fundacji Fast Rescue. Z okien roztaczał się widok na port. Jeremiaś Rush przygotował dla wszystkich uczestników ostatnich wydarzeń pokoje w hotelu Whit-comb przy Charles Street, ale Abigail wolała zainstalować się tutaj. Doktor zalecał jej wypoczynek.

- Mamy tu do wyboru dwa apartamenty, ale możemy też odnowić dom przy Beacon Street. Mnie wszystko jedno, gdzie zamieszkamy. Zależy mi tylko na tym, byśmy mieszkali razem.

Przytuliła się do niego. - Taka jestem szczęśliwa! Mamy siebie nawzajem, mamy rodziny, przyjaciół...

Owen rozumiał, co ona ma na myśli. - Norman Estabrook - tłumaczył - samodzielnie dokonał wyboru. Podobnie jak ci ludzie, którzy mu się podporządkowali.

Pomyślała o My lesie Fletcherze, o tym, jak zobaczyła go po raz pierwszy na jachcie, i musiała powstrzymać łzy. Czy on jest teraz bezpieczny?

- Abigail...

- Nie widzę żadnej mojej winy w tym, co się wydarzyło. Nie było to dobre, ale... - uśmiechnęła się do Owena - jestem tu teraz z tobą i to mi wystarcza. Wiem, że jesteś tutaj ze względu na mnie. Żeby być ze mną. Przez cały czas.

- Bardzo mi zależy, żebyś czuła się dobrze tu, gdzie jesteśmy i pozostaniemy razem.

- Może nie wszystko przebiegało tak, jak powinno.

- Spojrzała przez okno na jacht wpływający do portu.

- Na tej łajbie czułam się chora. Staralam się nie dopuszczać do siebie myśli, że mogę być w ciąży. Ale od chwili, kiedy Fletcher to skonstatował, jestem już tego świadoma.

Uczuła, jak ramię Owena objęło ją ściślej, ale nie wyrzekł ani słowa.

Lekarz pogotowia w Kennebunkport potwierdził przypuszczenie Fletchera. Była w czwartym miesiącu ciąży. Wiosną urodzi dziecko.

- Kocham Chrisa z całego serca. Gdyby żył... - Abigail przywołała pamięć o mężu, którego utraciła przed tyłu laty. - On pozostanie na zawsze częścią mego życia.

- Wiem o tym, kochanie - wyszeptał Owen. - Szanuję to.

- Kocham cię - powiedziała, przywierając doń twarzą.

- No to przygotujmy wesele.

- Will Davenport zaoferował nam gościnę w jego zamku w Szkocji. W dowolnym czasie. Owenie, nie chcę zwlekać ani o minutę.

Uśmiechnął się: - To świetnie, bo obiecałem Willowi, że skoszę trawę. Ja też nie chcę odwlekać naszego ślubu.

- Moje sińce i blizny da się jakoś ukryć. Będę wyglądała normalnie. Pocałował ją w czoło. Przypomniął: - Bob ze swymi córkami i Keirą wybiera się na Boże Narodzenie do Irlandii. Trzeba mu powiedzieć, że są zaproszeni na wesele w Szkocji...

- Och! - uśmiechnęła się radośnie, choć taki układ ust wywołał ból - będzie nam pysznie z nimi!

Z domu Garrisonów Will zadzwonił do Josie. Simon oglądał obrazy Keiry rozmieszczone na ścianach niemal pustej bawialni. Zatrzymał się przed celtyckim kamiennym aniołem.

- Czy on tym razem zmarł naprawdę? - dopytywała się Josie.

- Nasz Myles jest feniksem, Josie.

- Nasz?

Milczała. Wiedziała już teraz na pewno. Już nie mogło być wątpliwości.

- Nadal jestem w Irlandii - powiedziała po chwili. - Przed moim powrotem do Londynu spotkamy się z Arabellą na herbatce. Twoja siostrzyczka zamartwia się o ciebie.

- Powiedz jej, żeby przysposabiała igłę i nici.

- Żenisz się z Lizzie Rush?

Serce zatrzymało mu się na chwilę, ale w odpowiedzi przekazał jej komunikat: - Abigail Browning i Owen Garrison urządzają przyjęcie weselne w zamku w Szkocji za parę dni.

- Aha. No dobrze.

Simon nie mógł się już doczekać, kiedy przejmie od Willa telefon komórkowy: - Hello, Misiaczk. Czy znajdziesz jakiś sposób, żeby mnie jak najrychlej

ściągnąć do Irlandii? Nie mogę się doczekać chwili, w której się tam znajdę.

Will uśmiechnął się. Znając Josie Goodwin, wiedział, że na lotnisku w Bostonie czeka już na Simona samolot z zarezerwowanym dla niego miejscem.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

*Boston, stan Massachusetts 9:30 rano czasu lokalnego 28 sierpnia*

Lekarze wypuścili Scoopa ze szpitala wcześniej, niż się wszyscy spodziewali. Bob zastał go już w ogródku. Scoop był obandażowany, odczuwał jeszcze bóle, ale zrywał z krzaków pokancerowane pomidory. - Ci gamonie strażacy zniszczyli mi część zbiorów. Jakby nie można było uważniej posługiwać się sikawkami - poskarżył się.

- Starali się przede wszystkim nie uszkodzić cię dodatkowo podczas wyciągania cię spod skrzynki na kompost.

Scoop się uśmiechnął: - W moim mieszkaniu jest tyle szkód i tak przesiąkło dymem, że trzeba je poddać gruntownemu remontowi.

- Podobnie jak cały budynek.

- Będziesz nadzorował ten remont. A gdzie tymczasem zamieszkasz?

358

- W apartamencie Keiry - odpowiedział Bob.

- A co z nią?

- Ma swoje plany.

Scoop po chwili stwierdził: - Aha, związane z Simonem.

Bob westchnął. Okazał się całkiem niedomyślny. Fiona próbowała mu wytłumaczyć, że to nie jej problem, tylko jego siostrzenicy. Wykrztusił: - Scoopie...

- Będzie im dobrze razem.

Scoop nie był wprawdzie zachwycony tym zaproszeniem, ale udał się z Bobem do baru Morrigan w hotelu Whitcomb. Simon wyleciał już do Irlandii. Na miejscu byli Jeremiaha i kilku innych Rushów: Bradley, ojciec Jeremiaha, i jego wuj, Harlan. Później dołączyła do nich Lizzie. Nikt nie wiedział, gdzie się podział jej Brytyjczyk, a w każdym razie nikt się o niego nie dopytywał.

Fiona wraz z trójgiem muzyków z jej zespołu grali irlandzkie melodie.

Zarumieniła się z wrażenia na widok Scoopa, ale Bob już wiedział, że nie ma powodu do niepokoju.

John March zajrzał do pubu, ale zaraz wrócił schodkami do lobby. Lizzie ruszyła za nim. Jej ojciec pozostał w barze. Pogodzenie się z przeszłością nie jest łatwe, Bob wiedział o tym z własnego doświadczenia.

Zjawiła się też Theresa z Maddie i Jayne. - Dowiedziałyśmy się od tego tu

- powiedziała, wskazując dłonią byłego męża. - Dziękuję.

- Nie za bardzo jest za co.

- Nie zostałeś zastrzelony.

- Jakoś mi się udało.

Usiadły przy jego stoliku, a Bob wrócił myślami do przeszłości i uświadomił sobie, co stracił, będąc takim tępakiem. Ale Theresa i córki wyglądały na szczęśliwe,

pomyślał więc, że przynajmniej może nie psuć im nastroju swymi ubolewaniami.

W przerwie koncertu podeszła do nich Fiona z całym naręczem broszur i prospektów.

- Hotel Rushów w Dublinie został włączony w nasz oficjalny program podróży. Zarezerwowałam pokoje na noc wigilijną, byśmy mogli tam wypić rytualną herbatę. To droga przyjemność.

- Co za niespodzianka! - sarknął Bob.

- W dublińskim hotelu pracuje brat Jeremiaha, Justin. Ma dwadzieścia dwa lata.

- Dopóki serwują te miętowe herbatniki, które zwykła wypiekać na Gwiazdkę moja babcia, jestem za wyborem tego hotelu. I bardzo lubię śpiewać kolędy.

Bob się rozpromienił, kiedy Jayne wspięła mu się na kolana.

March siedział samotnie w eleganckiej restauracji hotelowej na parterze. Na stoliku stała butelka dobrej irlandzkiej whiskey. Lizzie przysiadła się do niego.

- Spotykałem się tutaj z twoją matką, zanim przyszłaś na świat. I zanim poznała twojego ojca. Był młodym policjantem. A ona śliczną irlandzką dziewczyną, która znała kilku bardzo podejrzanych facetów. Siadywała tutaj.

- Miała dobry gust - powiedziała Lizzie. Wustachjej zaschło, ręce drżały. Pomyślała, że wytrzymała konfrontację z Normanem Estabrookiem i jego bandziorami, ale rozmowa ze zgnębionym człowiekiem ojej matce, której nie znała, jest przeżyciem przerastającym jej siły. March ciągnął swą opowieść:

- Pracowała w firmie propagującej turystyczne wyjazdy do Irlandii - w której sama nie była.



- Była to dobra przykrywka dla jej roboty wywiadowczej.
  - Wiedziała dobrze, co robi. Przeciwwstawiła się bardzo zawziętym i bezwzględnyim ludziom. - Rozejrzał się wokół. - Chciałem ją uratować. Jeśli mnie nienawidzisz...
  - Nie nienawidzę. I nigdy nie nienawidziłam, nawet wtedy, kiedy podejrzewałam, że nie znam prawdziwych okoliczności jej śmierci. Tak strasznie żałowałam, że jej nie zdążyłam poznać. Marzyłam o tym, że będzie obok mnie, jeśli kiedykolwiek będę wychodziła za mąż, że kiedy będę miała własne dzieci...
  - Lizzie - dostrzegła łzy w jego oczach. - Tak mi przykro.
  - Miałam wspaniałe dzieciństwo, naprawdę kochającą rodzinę. Matka pozostała dla mnie kimś nierzeczywistym, różne podejmowane przeze mnie decyzje, zadawanie się z ludźmi takimi jak Norman, zbliżały mnie do niej, pozwalały mi zrozumieć ją lepiej.
  - Kochała całym sercem ciebie i twego ojca.
  - A czy także ciebie, dyrektorze March?
- Nie zareagował na jej pytanie. Mówił: - Mogłem się w niej zakochać. Może nawet się zakochałem. Poznaliśmy się niedługo przed tym, jak zacząłem spotykać się z Kathryn. Ale urocza, zielonooka i czarnowłosa Shauna Murrigan poznała tutaj, w restauracji hotelu Whitcomb, Harlana Rusha i tak się to zaczęło.
- Czy moja matka wiedziała, że on pracuje dla wywiadu?
  - On nie działał w tej samej dziedzinie co ona. Ona miała kontakty z IRA w Bostonie. Właśnie dzięki temu ją poznałem. Ale zanim się urodziłaś, przerwała tę działalność. Tylko było już za późno.

- Kto zabił ją i jej rodzinę?
- Agent FBI powiązany z bostońską bandą irlandzką. Wpadłem na jego trop. Ułatwiła mi zbliżenie się do niego. Ale on odkrył to zagrożenie. Przypuszczał, że jej zamordowanie utrudni mi jego zdemaskowanie. Zade-nuncjował ją jej wrogom w Irlandii. Nie miało dla nich znaczenia to, że zaprzestała już działalności. To oni zabili ją i jej krewnych. - Pociągnął duży łyk whiskey. - Współpracowaliśmy z Irlandczykami, zabiegając o uratowanie ich życia.
- To dlatego ich śmierć uznano za wypadek. Co się stało z tym skorumpowanym agentem FBI?
- Zginął w strzelaninie w południowej części Bostonu. Nigdy nie ustalono, kto go zastrzelił. - Dopił whiskey i odsunął szklanekę. - Sprawiedliwości stało się zadość. To były okrutne czasy, Lizzie. Unieszkodliwiliśmy tych zbirów, ale ich miejsce zajęli inni.
- Czy myślisz, że ona wiedziała, że ją zamordowano? Czy też wierzyła w to, że się potknęła?
- Myślę, że kochała ciebie i twojego ojca, a reszta mnie nie obchodzi.
- Chciałabym jednak, żebyś znał odpowiedź na to pytanie.
- Ludzie ją znają. Nie jesteś w swym zainteresowaniu tą kwestią odosobniona. Chciałbym móc wiedzieć, że twoja matka była w niebezpieczeństwie. I żebym mógł ją ustrzec. Po jej śmierci wszyscy chcieli ratować ciebie, tę dziecinę, którą tak kochała.
- Wiedziałam, że nie mam w tych sprawach pełnej wiedzy. - Próbowała się uśmiechnąć przez łzy. - A co się stało z ojcem Simona?
- Brendan Cahill był moim przyjacielem. Zginął w dziesięć lat po śmierci twojej matki.

- Dziwna zbieżność. Kryjesz w duszy wiele sekretów, dyrektorze March.
- Ty też kryjesz niemało tajemnic.
- Dziękuję, że mnie osłaniałaś przez ostatni rok.
- Lizzie... - uśmiechnął się. - Abigail i Owen zapraszają cię na swój ślub. Odbędzie się za pięć dni w Szkocji. W zamku Davenporta.
- Will nazywa to domem.
- Wyrazisz mi swą o nim opinię, jak go zwiedzisz. W moim pojęciu to jest zamek.

- Ty już tam byłeś?

Wzruszył ramionami. Kolejny sekret.

- Powinnaś skłonić twego ojca, by od czasu do czasu porozmawiał z tobą. Miałby to i owo do opowiedzenia o brytyjskich lordach i damach.

Roześmiała się: - Idę o zakład, że to zrobi.

- Kochał twoją matkę, a ona kochała jego. Oboje kochali ciebie. Być może nic więcej nie ma znaczenia. Żyj swoim życiem, Lizzie. Nie zamykaj się w rozpamiętywaniu przeszłości. - Odchylił się w swoim krześle, patrząc, jak Lizzie wstaje od stolika. - Pozostańmy w kontakcie - powiedział.

Wychodząc z restauracji, zobaczyła oprawioną w ramę fotografię przedstawiającą jej rodziców na skałkach w Maine - matka była w wyraźnie widocznej ciąży, oboje uśmiechnięci wpatrywali się w ocean. Nigdy tego zdjęcia nie zauważyła.

- Owego ranka twój ojciec zawiesił tutaj tę fotografię - powiedział Jeremiaś, stając przy Lizzie.

- Gdzie on jest teraz?

- Wujek Harlan? A któż to może wiedzieć?

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI**

*Półwysep Bear a, Irlandia południowo-zachodnia 4:00 po południu czasu lokalnego 29 sierpnia*

Lizzie rozsiadła się przy stoliku, który teraz uznawała za własny, w pubie Eddiego O'Shea. Otworzyła album Keiry o irlandzkich opowieściach ludowych na stronie, na której zamieszczono ilustrację przedstawiającą zgromadzenie wrózek. Uśmiechnęła się i wyszeptała: jakżebym chciała umieć rysować!

- Masz inne talenty - powiedział Eddie, który usłyszał jej szept, przysiadając się do jej stolika. Pies przyglądał się Lizzie z wyraźną dezaprobatą, jakby wiedział, że całowała się z brytyjskim lordem.

- To miejsce wygląda teraz zupełnie inaczej niż w dniu, w którym tu przybyłam.

Eddie pogłaskał psa, by go udobruchać, a na jej słowa odpowiedział: - Mam nadzieję, że się zmieniło. Przyjechał Simon. Zaraz tu się zjawi na pogawędkę. Słyszałaś jego irlandzki akcent?

- Rozumiem go dobrze.

- Bo to nie jest rodowity Irlandczyk.

Lizzie się roześmiała. - Keira ucieszy się z jego przyjazdu. Dobrze, że jej irlandzcy opiekunowie upewnili się, że jest już bezpieczna. - Przewróciła strony. Kolejna ilustracja ukazywała piękną księżniczkę wróżek i równie pięknego księcia z bajki. - Wyobraź sobie taką miłość. Ze masz kogoś, kto cię tak mocno kocha.

- W Irlandii obowiązują pewne reguły dotyczące wesela, ale obawiam się, że Keira i Simon nie będą ich respektowali. - Eddie wyprostował się w krześle, a pies stanął pomiędzy swym panem a kominkiem. - Twoja matka była Irlandką - dodał.

- Tak - potwierdziła Lizzie. - W czasie kiedy mieszkałam w Irlandii, odwiedziłam dworek, w którym się urodziła. Był już opuszczony, ale budynek zachował się nieźle. To niedaleko stąd, w spokojnej, niemal zamkniętej przed światem dolince.

- W dolince czarodziejskiej?

Lizzie uśmiechnęła się, uznając że nie jest aż tak sceptyczny wobec wyobrażeń ludowych, jak to usiłuje ludziom zasugerować. - Mam otwarty umysł - odpowiedziała. - Chciałabym zabrać tam Keirę. Może by ją to zainspirowało? Może znalazłybyśmy tam stare legendy, żywe jeszcze wśród mieszkańców.

- Pozyskałaś w Keirze nową przyjaciółkę.

- Mam nadzieję. Ja także uprawiam myślenie życzeniowe.

Spojrzał na nią bystro: - Zakochałaś się w tym Brytyjczyku, co? Twoja matka pokochała Jankesa.

- Przecież lubisz Willa. Moi irlandzcy przodkowie...

- Pragnę, byś była szczęśliwa - dokończył za nią. - Jak słyszę, Rushowie nie mają hotelu w Londynie.

370

- Wyobraź sobie, że nie mamy.
- To się dobrze składa, prawda?

Do pubu weszła Josie Goodwin i zamówiła w barze butelkę drogiej whiskey. Poprosiła o szklanki i przysiadła się do stolika Lizzie - Eddie ustąpił jej miejsca.

- Jestem zachwycona półwyspem Beara - powiedziała, otwierając butelkę. - Czy mogę pani zaproponować szklaneczkę?

Lizzie potrząsnęła głową i wytłumaczyła się: - Żywię słabość do jagodzianek Eddiego.

Josie wychyliła swą szklaneczkę i wypisała zaproszenie na ślub Abigail i Owena, który odbędzie się w Szkocji.

- A ponieważ nie wiem, czy wystarczy pani czasu na zakupy, zamówiłam też dla pani suknię. Wysłałam ją już do Szkocji. Jest jasnoniebieska, długa, myślę, że rozmiar dobrałam właściwy. Pani ciotka jest niezwykle miła. Skontaktował mnie z nią pani kuzyn Justin w Dublinie. -

Zaczerpnęła powietrza i wychyliła kolejną szklaneczkę whiskey. - A co u pani? To wszystko musiało być dla pani przykre, ale są i inni ludzie. Will i jego amerykańscy przyjaciele. Myślę, że pani dotrze na czas do Szkocji.

- Uwielbiam wesela - odpowiedziała Lizzie.

- Tak też przypuszczałam. Will nieco się spóźnia, ale na samą ceremonię zdąży z pewnością. To, co zaszło między wami, jest aktualnym hitem. - Oblizwała wargi, jakby dając sobie czas na dobranie sformułowań. - Jego rodzina jest dość skomplikowana.

W tej chwili do pubu wkroczył Simon. Ten i ów z gości westchnął na jego widok, ale wyczuwało się ogólną dla niego sympatię. Przysunął sobie krzeselko i dosiadł się do Lizzie i Josie. Słyszając ostatnie wypowiedziane przez nią słowa, powiedział: - Wszystkie rodziny

są skomplikowane, Josie. - Między nimi panowała atmosfera bezpośredniości, natomiast zwracając się do Lizzie, przybrał poważny ton: - March powinien powiedzieć mi o swych związkach z panią. Powinienem może sam się w nich zorientować. Nie powinienem natomiast pozostawiać pani samej przez tak długi czas.

- Nigdy nie byłam sama - odpowiedziała Lizzie. - Mogłam uzyskać pomoc, gdybym tylko podała moje nazwisko dyrektorowi Marchowi. Wiedziałam o tym nawet w tych chwilach, w których czułam się zdana na własne siły.

- To była niezwykle trudna misja, od początku po sam finał. Norman był nader pomysłowym manipulatorem, ale nawet on nie zdołał przeniknąć całej złożoności sprawy.

- A John March zdołał?

Odpowiedzi udzieliła Josie: - Tego nikt nie wie.

Simon przeczytał wręczone sobie zaproszenie. - Nadchodzi więc czas śpiewów i tańców. - Psotne iskierki zamigotały mu w źrenicach. - Wcale nie jestem pewien, czy Will posiadał odpowiednie umiejętności.

- W gruncie rzeczy - odpowiedziała Josie - ja też nie jestem tego pewna. Simon uśmiechnął się do Lizzie: - Powinna pani zbadać tę sprawę i powiadomić nas o wynikach.

Odczuła przyływ ciepła, o którym wiedziała, że nie ma nic wspólnego z rozmyślaniami o tańcach z Willem Davenportem w Szkocji. - Czy to jest wyzwanie, agencie specjalny Cahillu?

Zerwał się na równe nogi. To był naprawdę kawał chłopa.

- To był zew adresowany do diablików tkwiących w tobie. - Oczy mu się rozjarzyły, wyczytała w nich

obietnicę. - W Szkocji znajdziesz się wśród samych przyjaciół. Miejscowi goście próbowali go powściągnąć, ale odrzucił ich prośby. Był uprzejmy i dawał się lubić, ale nie owijał słów w bawełnę. Wyszedł z pubu, a Lizzie pozostała speszona, bezradna, niepewna, czy powinna tu w ogóle przychodzić. Podziękowała Josie, która ożywiona swą whiskey, przystąpiła do instruowania Eddiego, w jaki sposób powinno się przygotowywać jagodzianki.

Lizzie ruszyła w ślad za psem Eddiego. Wiejską uliczką doprowadził ją do ścieżki wiodącej wzdłuż starego muru w stronę portu. Doszedłszy do zakurzonej, bocznej ścieżki, dostrzegła biegnącą od kamiennego kręgu Keirę Sullivan. Simon stał przy ogrodzeniu okalającym pastwisko dla owiec. Lizzie zatrzymała się, spaniel zawrócił i stanął obok niej. Oboje przypatrywali się przez szarą, delikatną mgiełkę, jak Simon przeskakuje przez płot pastwiska. Keira podbiegła do niego i rzucili się sobie w objęcia. Trwali w uścisku, jakby nigdy nie mieli go rozluźnić.

- Bratnie dusze - wyszeptała Lizzie i znów ruszyła w ślad za psem w stronę wioski. Dochodząc do niej, odebrała SMS-a od Justina:

*Ratunku. Wuj Harlan przyjechał.*

Zatelefonowała do niego. - Lizzie - wykrzyknął - jadę właśnie z wujkiem Harlanem do wioski, z której wywodzi się twoja rodzina. Jestem wzruszony, przysięgam, ale boję się, że on chce mi zademonstrować, jak się spędza noc w irlandzkich ruinach. I chce sam prowadzić wóz.

- Utrzymaj kontrolę nad sytuacją, a wszystko będzie dobrze.

- „Kontrolę nad sytuacją"! Lizzie! Roześmiała się. - Ja jadę na wesele.



## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY**

*Góry w Szkocji*

*3:00 po południu czasu lokalnego 2 września*

„Dom” Willa Davenporta był oszałamiająco okazałą rezydencją z okresu Regencji, położoną w górach szkockich. Lizzie natknęła się na Abigail Browning spacerującą po rozległym parku. Pani detektyw ucieszyła się na jej widok: - Jak to dobrze, że przyjechałaś. Davenportowie są tacy gościnni. Siostra Willa, Arabella, przygotowała dla mnie suknię. Will załatwił dla Scoopa specjalny samolot, by rekonwalescent mógł wygodnie dotrzeć na miejsce. Josie Goodwin zadysponowała wysłaniem ambulansu na lotnisko. Scoop wygląda marnie, ale twierdzi, że to dlatego, iż musiał przez całą drogę wysłuchiwać uzalań się Boba na transatlantycką podróż. Moi nowi kuzyni, Garrisonowie, też już są na miejscu. Nie wiem, jak to było możliwe, żeby nasze małe wesele stało się tak szybko wielką fetą. - Zamilkła nagle zakłopotana: - Zalewam cię potokiem słów...

**374**

Lizzie się uśmiechnęła: - To jest szczególny dzień. Rodzina i przyjaciele cieszą się twym szczęściem.

- Nigdy nie przypuszczałam... - wbiła w Lizzie intensywne spojrzenie swych ciemnych oczu: - Dziękuję ci za uratowanie mi życia.

- Myles Fletcher nie dopuściłby do tego, by cię zabito.

- Na pewno zrobiłby co w jego mocy, ale ty wykazałaś się instynktem, zasobem informacji i wytrwałością. I to zadecydowało. Bez ciebie Estabrook byłby... - Twarz jej nagle skamieniała. - Ani słowa o nim. Nie psujmy nastroju tego dnia.

- A twój ojciec?

- Przyleciał poprzedniego wieczora. A zaraz nadejdzie moja matka. Jest taka przejęta, to jej zdenerwowanie udziela mi się...

- Ma za sobą przykre dni.

Abigail skrzywiła się. - Kocham ją i nie chciałabym...

- Nie martw się tym jej zdenerwowaniem. Pozwól, żeby się samo rozładowało. Odgrywaj rolę ocalonej córeczki...

Po kilku minutach spaceru Lizzie weszła do wspaniałej sali o ścianach wyłożonych gobelinami i wypełnionej kwiatami w pięknych wazonach.

Usiadła obok Arabelli Davenport mającej oczy podobne do oczu brata.

Parodniowa rozłąka z Willem uczyniła ją jeszcze bardziej atrakcyjną dla niego, dowiodła, że nie tylko zagrożenie związało ich dwoje.

Ale nie mógł z nią zatańczyć. Ona też nie mogła pójść z nim w tany.

- A twoja rodzina, Willu... Czy jest dumna z tego, co zrobiłeś? -

Wyprężyła się w jego objęciach. - Czy wie o nas?

- Moja siostra wie... inni jeszcze nie...

Ta jego odpowiedź nie wymagała odpowiedzi z jej strony.

Kątem oka dostrzegła Simona tańczącego z Keirą.

- Patrz, Simon może tańczyć - powiedziała.

- Istotnie, może. Philip Billings także mógł. David i Myles, a także ja, byliśmy zawsze zadziwieni...

- uśmiechnął się do niej i przygarnął do siebie. - Mieli rację Billings i Mears co do ciebie. Spotkałem wyzwanie równe mi skalą...

- Willu?...

Popchnął ją w stronę szklanych drzwi i wyprowadził do ogrodu. -

Powiedz mi, czego pragniesz, Lizzie.

- Pragnę zamieszkać w zamku wspólnie z księciem z bajki i zbierać lawendę.

- Z małymi wypadkami na ratunek komuś znajdującemu się w opałach?

- Przypuszczam, że zajmowałabym się także pracą. Chciałabym założyć hotel gdzieś na terenie Zjednoczonego Królestwa.

- Przygoda w twoim stylu - pochylił się do jej ucha:

- Spróbujmy potańczyć. Ostrzegam, że mam dwie lewe nogi.

- Udajesz. Umiesz tańczyć równie dobrze, jak każdy bohater powieści Jane Austen.

Wyprowadził ją na chłodny taras obrośnięty różami.

- Zawiadomiłem wszystkich, że przez kilka tygodni będę tu w Szkocji łowił ryby. Pomyślałem, że może zechcesz obejrzeć to miejsce.

- Ja nie wędkuję.

- Nie wędkujesz, nie tańczysz. To jakim przyjemnościom możemy się oddać?

Wprowadził ją do ocienionego drzewami dworku,

wniósł do sypialni, rozebrał - spokojnie, delikatnie i do końca. Lizzie drżała pod jego oddechem, od dotyku jego rąk. Spytała: - Czy mogłeś się zakochać tak, od pierwszego wejrzenia?

- Mogłem. - Jego ciepłe dłonie rozpalały niemal jej nagie ciało. - Czekałem na ciebie przez całe dotychczasowe życie.

- Mój księciu z bajki!

Uśmiechnął się i dotknąwszy palcami jej warg, przestrzegł: - Tylko nie zmieniaj się w śpiącą królową.

Zagłębiła się w miękką, delikatną pościel. - Nawet na chwilę się nią nie stanę.

Do jego pieszczot dołączyły powiewy bryzy zza uchylonego okna. Wsunęła dłonie pod jego miękki sweter, głaskała go po muskularnych plecach, odczuwała wzbierającą w nim rozkosz.

Zrzucił z siebie ubranie i ułożył się obok niej. Zatopiła się bez reszty w jego bliskości. Pieszcząc go, tuląc, całując, doprowadziła całe swe ciało do rozedrgania. Wchłonęła go w siebie, przymykając oczy i wyszeptując jego imię. Poruszał się w niej, aż doszła do poczucia samozatracenia się w spazmie najgłębszej, nieograniczonej rozkoszy.

Wydawał się rozumieć ten jej wzlot. Zacisnął się wokół niej najsilniej jak mógł i powiedział: - Właśnie zaczęliśmy.

I były to na długi czas ostatnie słowa, jakie między nimi padły.

Później ubrali się ciepło i powędrowali wzdłuż strumienia, trzymając się za ręce w chłodzie zapadającego zmroku. Lizzie przywarła do niego, wszystkie tajemnice i zagrożenia ostatniego roku wyparowały jej z myśli.

Kiedy powrócili do dworku w ogrodzie, znaleźli przy drzwiach kosz z szampanem i bukietem lawendy. Lizzie spojrzała na Willa i wsunęła w jego dłoń swoją. *Myles Fletcher*.

Will wniósł kosz do wnętrza dworku, otworzył butelkę i nalał szampana do kieliszków. Ujął jeden z nich w dłoń, a drugim ramieniem objął Lizzie: - Za przyjaciół stojących oko w oko z grozą. Stuknęli się kieliszkami, a Lizzie wyszeptała: - Oby zawsze wiedzieli, że nie są osamotnieni w swej walce.

## PODZIĘKOWANIA

Składam serdeczne podziękowania za podzielenie się ze mną wiedzą memu kuzynowi detektywowi Gregory'emu Harrellowi, szefowi straży pożarnej w Hartford Stephenowi Locke'owi, a także: mojej siostrze, pielęgniarce Hildzie Neggers Stilwell, Paulowi Hudsonowi oraz Dave'owi i Margie Carleyom (z Maine). Wszelkie pomyłki i nieścisłości są moją wyłączną winą.

Specjalne podziękowania kieruję do Denisa Burke'a z Cleveland za jego irlandzkie opowieści!

Nic nie daje się porównać z wyprawą do Irlandii, tego zachwycającego kraju. Przywiozłam stamtąd kilka książek, które pomogły mi lepiej zrozumieć to, co oglądałam w trakcie wycieczki. Jeśli chodzi o bliższe informacje o półwyspie Beara, polecam następujące publikacje: *Beam: The Unexplored Peninsula* Francisa Twomeya

1 Tony'ego McGettigana (Woodpark Publications); Ordnance Survey *The Beara Way* (Wayfarer Series); *The Stone Circles of Cork and Kerry* Jacka Robertsa (Bandia Publishers). Spośród moich ulubionych książek na temat irlandzkiego folkloru wymienić muszę *Irish Folktales*,

tom opracowany przez Henry'ego Glassiego (Pantheon Books).  
Chciałabym też wyrazić wdzięczność wydawcy, Margaret Marbury, i  
całemu zespołowi MIRA Books za ich pomoc, cierpliwość oraz twórczą  
współpracę.  
Dziękuję!